

# POWRÓT

Kontynuacja  
światowego  
bestsellera  
wydanego  
w 34 krajach  
i filmowanego  
przez Warner Bros.

KSIĘGA WSZYSTKICH DUSZ Tom 4

DEBORAH HARKNESS



# HARKNESS DEBORAH

## *KSIĘGA WSZYSTKICH DUSZ* *04*

### POWRÓT

Diana Bishop, młoda doktor historii z potężnej czarnoksiężskiej rodziny, i Matt hew Clairmont, fascynujący i nieśmiertelny naukowiec, połączeni wielkim zakazanym uczuciem rozpoczęli walkę o niebezpieczną tajemnicę, która zmieni świat.

Idąc tropem zaginionej zaklętej księgi, której szukają wszystkie magiczne rasy, przenieśli się w czasie do elżbietańskiego Londynu. Teraz wędrują dalej, do XVI-wiecznej cesarskiej Pragi, gdzie Diana pozna szokującą prawdę o swoim ukochanym.



CZEŚĆ 1  
LONDYN: BLACKFRIARS

## ROZDZIAŁ 1

**Czy** dobrze zrobiłam, wzywając panią, Mateczko Alsop? -Susanna, bawiąc się fartuchem, spojrzała na mnie z niepokojem. - Prawie odesłałam ją do domu - dodała cicho. -Gdybym...

- Ale tego nie zrobiłaś, Susanno. - Mateczka Alsop była tak stara i chuda, że jej ręce i nadgarstki opinała tylko cienka skóra. Natomiast głos czarownicy był zaskakująco mocny jak na kogoś tak kruchego, a w jej oczach błyszczała inteligencja. Może i była po osiemdziesiątce, ale nikt nie śmiałby nazwać jej zniedołężnią.

Wraz z przybyciem Mateczki Alsop w głównym pokoju Normanów zrobiło się tłoczno. Susanna zgodziła się z pewnym ociąganiem, by Matthew i Pierre weszli do środka i stanęli przy drzwiach pod warunkiem, że nie będą niczego dotykali. Jeffrey i John popatrywali to na wampiry, to na kurczaka, bezpiecznie otulonego leżącą przy kominku czapką Johna. Piórka zaczynały mu się stroszyć w ciepłym powietrzu i na szczęście przestał popiskiwać. Usiadłam na stołku przy ogniu, obok Mateczki Alsop, która zajmowała jedyne krzesło.

- Niech no na ciebie spojrzę, Diano. - Gdy Mateczka Alsop wyciągnęła palce w stronę mojej twarzy, dokładnie tak, jak wdowa Beaton i Champier, cofnęłam się gwałtownie. Czarownica spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- O co chodzi, dziecko?

- Czarownik we Francji próbował czytać z mojej skóry. Czułam się tak, jakby przeszywał mnie ostrzami noży - wyjaśniłam szeptem.

- To nie będzie bardzo przyjemne, bo żadne badanie takie nie jest. Ale nie powinno boleć. - Jej palce przesunęły się po mojej twarzy.

Miała chłodne, suche dłonie, o nabrzmiątych żyłach i powykręcanych stawach. Czułam się tak, jakby coś mnie przeszywało, ale nie przypominało to w niczym bólu, jaki zadały mi ręce Champiera.

- Ach - jęknęła cicho, gdy dotknęła gładkiej skóry na moim czole. Moje trzecie oko, które jak zwykle zamknęło się złośliwie, gdy tylko Susanna i Annie ujrzały kurczaka, otworzyło się teraz szeroko. Mateczka Alsop była czarownicą, którą warto było znać.

Spoglądając w trzecie oko Mateczki Alsop, zagłębiłam się w świat kolorów. Mimo starań nie potrafiłam rozplątać gęstego splotu kolorowych nici, by coś rozpoznać, choć znów miałam wrażenie, że te wątki mogą się do czegoś przydać. Dotyk Mateczki Alsop łaskotał, gdy badała moje ciało i umysł wewnętrznym wzrokiem, a energia wokół niej pulsowała pomarańczowo, z odcieniem fioletu. Nigdy dotąd nie widziałam nikogo o takim zestawieniu kolorów. Zaczekała kilka razy niezadowolona, a od czasu do czasu mruczała coś z aprobatą.

- Ona jest dziwna, prawda? - wyszeptał Jeffrey, zaglądając przez ramię Mateczki Alsop.

- Jeffrey! - zawołała zawstydzona zachowaniem syna Susanna. - Dla ciebie to pani Roydon.

- No dobrze. Pani Roydon jest dziwna - odparł niewzruszony Jeffrey. Wsparł ręce na kolanach i nachylił się bliżej.

- Co widzisz, młody Jeffreyu? - zapytała Mateczka Alsop.

- Ona... pani Roydon... jest ze wszystkich kolorów tęczy. Jej trzecie oko jest niebieskie, a reszta zielona i srebrna, jak u bogini. A czemu tutaj ma obwódkę czerwoną i czarną? -Jeffrey wskazał moje czoło.

- To znak wampierza - odpowiedziała Mateczka Alsop, głaszcząc to miejsce palcem. - Mówi, że ona należy do rodziny pana Roydona. Gdziekolwiek zobaczysz taki znak, Jeffrey, a to rzadki widok, musisz to traktować jak ostrzeżenie. Wampierz, który to zrobił, nie będzie zadowolony, jeśli będziesz coś kombinował z ciepłokrwistym, do którego rości sobie prawa.

- Czy to boli? - zapytał chłopiec.

- Jeffrey! - znów krzyknęła Susanna. - Powinieneś wiedzieć, że nie wolno zamęczać Mateczki Alsop pytaniami.

- Susanno, jeśli dzieci przestaną zadawać pytania, to czeka nas ponura przyszłość - zauważyła Mateczka Alsop.

- Krew wampierza może uzdrawiać, ale nigdy nie krzywdzi - odpowiedziałam chłopcu, nim zdążyła się odezwać Mateczka Alsop.

Dlaczego kolejne pokolenie czarownic miało wzrastać w strachu przed tym, czego nie znają? Spojrzałam na Matthew, którego prawa do mnie sięgały znacznie głębiej niż przysięga krwi jego ojca. Matthew zgadzał się, by Mateczka Alsop dalej mnie badała, ale na razie nie spuszczał z niej oka. Zmusiłam się do uśmiechu, a w odpowiedzi jego usta drgnęły leciutko.

- Och. - Jeffrey zdawał się niezbyt zadowolony z tej informacji. - A może pani znów rozbłysnąć?

Chłopcy byli bardzo rozczarowani, że nie widzieli świetlistej manifestacji mojej magicznej energii.

Mateczka Alsop położyła sękaty palec na wgłębieniu nad ustami Jeffrey'ego, skutecznie go uciszając.

- Muszę teraz porozmawiać z Annie. Potem, służący pana Roydona zabierze całą waszą trójkę nad rzekę. A jak

wróćcie, będziecie mogli zadawać mi tyle pytań, ile tylko zechcecie.

Matthew skinął głową w stronę drzwi, a Pierre zgarnął swoich dwóch młodych podopiecznych, zerknął nieufnie na staruszkę i zszedł z dziećmi na dół. Podobnie jak Jeffrey, Pierre musiał przewyciężyć swój lęk przed innymi stworzeniami.

- Gdzie dziewczynka? - zapytała Mateczka Alsop, odwracając głowę.

Annie podeszła niepewnie.

- Tutaj, Mateczko.

- Powiedz prawdę, Annie - rozkazała Mateczka Alsop. - Co obiecałaś Andrew Hubbardowi?

- N... nic - wyjąkała Annie, rzucając na mnie okiem.

- Nie kłam, Annie. To grzech - zbesztła ją Mateczka Alsop. - Mów.

- Mam mu powiedzieć, jeśli pan Roydon postanowi znów opuścić Londyn. A ojciec Hubbard przysyła jednego ze swoich ludzi, gdy państwo są jeszcze w alkowie, by zapytać, co się dzieje w domu - wyjąkała dziewczynka, po czym przycisnęła palce do ust, jakby zszokowana tym, że tyle powiedziała.

- Annie nie może złamać umowy z Hubbardem, ale może ją wypełniać trochę inaczej, niżby on się spodziewał. - Mateczka Alsop zamyśliła się chwilę. - Jeśli pani Roydon z jakichś przyczyn będzie opuszczać miasto, Annie najpierw uprzedzi mnie. Zaczekasz godzinę i dopiero wtedy powiadomisz Hubbarda, Annie. A jeśli piśniesz choć słówko na temat tego, co się dzieje tutaj, to rzucę na twój język taki urok, że nawet trzynaście czarownic nie zdoła go złamać. - Annie wyglądała na przerażoną tą wizją. - Idź do chłopców, ale zanim wyjdiesz, otwórz wszystkie drzwi i okna. Gdy nadejdzie czas, poślę po was.

Twarz Annie, gdy dziewczynka otwierała okiennice i drzwi, zdradzała skruchę i lęk, więc skinęłam jej łaskawie

głową. Biedne dziecko nie mogło przeciwstawić się Hubbardowi i robiło to, co musiało, by przetrwać. Mała posłała jeszcze jedno przerażone spojrzenie Matthew, który odnosił się do niej z wyraźną niechęcią, po czym wyszła.

W końcu, gdy w domu zrobiło się cicho i zaczęły hulać przeciągi, odezwał się Matthew. Wciąż opierał się o drzwi, a jego czarne ubranie pochłaniało tę odrobinę światła, jaka była w pokoju.

- Czy może nam pani pomóc, Mateczko Alsop? - Jego uprzejmy ton nie przypominał aroganckiego zachowania wobec wdowy Beaton.

- Tak sądzę, panie Roydon - odpowiedziała Mateczka Alsop.

- Proszę spocząć - odezwała się Susanna, wskazując Matthew stołek. Trudno było oczekiwać, by mężczyzna postury Matthew mógł wygodnie zasiąść na małym trójnogu, mimo to bez słowa zajął miejsce.

- Mój mąż śpi w pokoju obok. Nie powinien usłyszeć wampierza ani naszej rozmowy.

Mateczka Alsop wsunęła palce pod szarą wełnę i perłowe płótno, które okalało jej szyję i wyciągnęła coś niematerialnego. Rozcapierzyła palce i strzepnęła nimi, wpuszczając do pokoju niewyraźną postać. Idealna replika Mateczki powędrowała do sypialni Susanny.

- Co to? - zapytałam, oddychając z trudem.

- Moja pomocnica. Będzie obserwować pana Normana i dopilnuje, by nikt nam nie przeszkadzał... - Usta Mateczki Alsop poruszyły się i przeciągi ustały. - Teraz, gdy drzwi i okna są szczelnie zamknięte, nie zostaniemy też podsłuchani. Tym możesz się już nie martwić, Susanno.

Te dwa czary mogły okazać się bardzo przydatne w domu szpiega. Otworzyłam usta, by spytać o nie Mateczkę Alsop, ale nim zdążyłam wypowiedzieć słowo, uniosła rękę i roześmiała się cicho.



- Jesteś bardzo ciekawska, jak na dorosłą kobietę. Boję się, że poddasz próbie cierpliwość Susanny jeszcze bardziej niż Jeffrey. - Rozsiadła się wygodnie i przyjrzała mi z uśmiechem. - Długo na ciebie czekałam, Diano.

- Na mnie? - zapytałam z niedowierzaniem.

- O tak. Wiele lat upłynęło od czasu, gdy pierwsi wróżbici zapowiedzieli twoje przybycie, a wraz z upływem czasu niektórzy spośród nas porzucili już nadzieję. Ale gdy nasze siostry powiedziały nam o znakach na północy, wiedziałam, że należy się ciebie spodziewać. - Mateczka Alsop miała na myśli Berwick i dziwne wydarzenia w Szkocji.

Wyprostowałam się na krześle, gotowa zadać kolejne pytanie, ale Matthew pokręcił lekko głową. Wciąż nie był pewien, czy można ufać tej czarownicy. Mateczka Alsop zauważyła niemą prośbę mojego męża i znów zachichotała.

- A więc miałam rację - odezwała się z ulgą Susanna.

- Tak, dziecko. Diana rzeczywiście jest prządką. - Słowa Mateczki Alsop rozbrzmiały w pokoju niczym zaklęcie.

- Co to? - wyszeptałam.

- Wiele na razie pozostaje dla nas niejasne, Mateczko Alsop. - Matthew wziął mnie za rękę. - Czy mogłabyś potraktować nas jak Jeffrey'a i wyjaśnić wszystko jak dziecku?

- Diana tworzy czary - odpowiedziała Mateczka Alsop. - My, prządky, jesteśmy rzadkimi stworzeniami. Dlatego właśnie bogini przysłała cię do mnie.

- Nie, Mateczko Alsop. Musisz się mylić. - Pokręciłam głową. - Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o czary. Moja ciotka Sarah ma wielkie umiejętności, ale nawet ona nie potrafiła mnie wyuczyć rzemiosła czarownic.

- To jasne, że nie potrafisz rzucać czarów innych czarownic. Musisz wymyślać własne. - Słowa Mateczki Alsop

przeczyły wszystkiemu, czego mnie uczono. Spojrzałam na nią zdziwiona.

- Czarownice uczą się czarów. Nie wymyślają ich.

Czary przekazywano z pokolenia na pokolenie, w rodzinach albo wśród członków zgromadzeń. Zazdrośnie strzegłyśmy tej wiedzy, zapisując słowa i sposoby postępowania w grymuarach, wraz z imionami czarownic, które opanowały tę sztukę. Bardziej doświadczone czarownice uczyły młodzież, jak iść ich śladem, zważając na niuanse każdego czaru i doświadczenia dawnych czarownic.

- Ale prządki owszem - odpowiedziała Mateczka Alsop.

- Nigdy nie słyszałem o prządkach - odezwał się ostrożnie Matthew.

- Mało kto słyszał. Jesteśmy tajemnicą, panie Roydon,

0 której wie niewiele czarownic, a co dopiero wampierzy. Potrafi pan dochować sekretu, prawda? - Oczy załśniły jej psotnie.

- Mateczko Alsop, przeżyłem już wiele lat. Trudno mi uwierzyć, by przez tyle czasu czarownice zdołały ukryć przed innymi stworzeniami istnienie prządek. - Zmarszczył brwi. - Czy to kolejna gierka Hubbarda?

- Jestem za stara na takie zabawy, panie de Clermont. Och tak, wiem, kim naprawdę jesteś i jaką pozycję zajmujesz w naszym świecie - stwierdziła Mateczka Alsop, widząc zaskoczenie na twarzy Matthew.  
- Może nie potrafisz skrywać przed czarownicami prawdy tak dobrze, jak ci się wydaje.

- Może i nie - warknął ostrzegawczo Matthew. Jego zachowanie tylko bardziej rozbawiło staruszkę.

- Ta sztuczka może przerazić takie dzieci, jak Jeffrey i John, i wybrańców bogini, takich jak twój przyjaciel Christopher, ale nie mnie - stwierdziła, poważniejąc. - Prządki kryją się, gdyż kiedyś wyszukiwano nas i mordowano, tak jak rycerzy twojego ojca. Nie wszystkim podobało się, że

władamy mocą. Jak doskonale wiesz, łatwiej przetrwać, gdy twoi wrogowie myślą, że nie żyjesz.

- Ale kto zrobiłby coś takiego i po co? - Miałam nadzieję, że odpowiedź nie będzie dotyczyła odwiecznej wrogości między wampirami i czarownicami.

- To nie wampierze ani demony nas ścigały, ale inne czarownice - odpowiedziała spokojnie Mateczka Alsop. - Boją się nas, bo jesteśmy inni. Strach budzi pogardę, a potem nienawiść. Stara śpiewka. Kiedyś czarownice zabijały całe rodziny, w obawie że dzieci też mogłyby wyrosnąć na prządków. Ci, którzy przetrwali, ukrywali swoje dzieci. Miłość rodzicielska jest potężna, niedługo oboje się o tym przekonacie.

- Wiesz o dziecku - stwierdziłam, osłaniając brzuch.

- Tak. - Mateczka Alsop skinęła poważnie głową. - Już teraz tworzysz potężne czary, Diano. Nie uda ci się długo ukrywać tego przed innymi czarownicami.

- Dziecko? - Oczy Susanny zrobiły się wielkie jak spodki. - Poczęte z czarownicy i wampierza?

- Nie byle jakiej czarownicy. Tylko prządków mogą stworzyć taką magię. Jest powód, dla którego bogini wybrała właśnie ciebie, Susanno, tak jak z jakiegoś powodu wybrała mnie. Jesteś akuszerką, Susanno, a twoje umiejętności już niedługo będą potrzebne.

- Nie mam doświadczenia, które mogłoby pomóc pani Roydon - zaprotestowała Susanna.

- Od lat pomagasz kobietom w położu - stwierdziła Mateczka Alsop.

- Ciepłokrwistym kobietom, Mateczko, z ciepłokrwistymi dziećmi! - zawołała oburzona Susanna. - Nie takim stworzeniom jak...

- Wampierze mają ręce i nogi tak samo jak my wszyscy - przerwała jej Mateczka Alsop. - Nie wierzę, by to dziecko się czymś różniło.

- Tylko dlatego, że będzie miało po dziesięć palców u rąk i u nóg, nie znaczy, że będzie miało duszę - odparła Susanna, przyglądając się podejrzliwie Matthew.

- Dziwię ci się, Susanno. Dusza pana Roydona jest dla mnie równie przejrzysta, jak twoja. Czyżbyś znów słuchała swojego męża i jego paplaniny o tym, jakie zło kryje się w demonach i wampierzach?

Susanna zacisnęła usta.

- A jeśli nawet, Mateczko?

- To jesteś głupi. Czarownice wyraźnie widzą prawdę, nawet jeśli ich mężowie opowiadają bzdury.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje - wyszeptała Susanna.

- Nie musi być też takie trudne. Z dawna oczekiwana prządka jest wśród nas, więc należy ułożyć plany.

- Dziękuję, Mateczko Alsop - odezwał się Matthew. Ulżyło mu, że wreszcie ktoś się z nim zgadza. - Masz rację. Diana powinna się szybko nauczyć tego, co trzeba. Nie może tu rodzić.

- To nie zależy wyłącznie od twojej decyzji, panie Roydon. Jeśli dziecko ma się urodzić w Londynie, to tak się stanie.

- Diany nic nie wiąże z tym miejscem - odparł Matthew, po czym dodał szybko: - Z Londynem.

- Ależ to jest oczywiste. Biorąc jednak pod uwagę, że potrafi przemieszczać się w czasie, przeniesienie jej po prostu w inne miejsce nic nie pomoże. Diana będzie się rzucać w oczy równie wyraźnie w Canterbury, jak w Yorku.

- A więc znasz kolejny nasz sekret. - Matthew zmierzył staruszkę zimnym spojrzeniem. - W takim razie musisz też wiedzieć, że Diana nie wróci do własnego czasu sama. Będzie z nią także dziecko i ja. A ty nauczysz ją tego, czego potrzebuje, by tego dokonać. - Matthew znów zaczynał rządzić, co oznaczało, że sprawy jak zwykle będą się komplikować.

- Edukacja pańskiej żony to teraz moja sprawa, panie Roydon. No, chyba że pan wie więcej o byciu prządką niż ja - odpowiedziała spokojnie Mateczka Alsop.

- Wie, że to sprawa pomiędzy czarownicami - zwróciłam się do Mateczki Alsop, kładąc rękę na ramieniu męża. -Matthew nie będzie przeszkadzał.

- Wszystko, co dotyczy mojej żony, jest moją sprawą, Mateczko Alsop - oburzył się Matthew i zwrócił do mnie.

- I to nie jest sprawa wyłącznie pomiędzy czarownicami; nie, jeśli czarownice mogą narazić na szwank moją drugą połowę albo moje dziecko.

- A więc to czarownica, a nie wampierz, cię skrzywdziła - odezwała się cicho Mateczka Alsop. - Czułam ból i wiedziałam, że powoduje go czarownica, ale miałam nadzieję, że ona leczyła, a nie zadawała ran. Co też stało się z tym światem, że jedna czarownica wyrządza drugiej taką krzywdę?

Matthew skupił się na Mateczce Alsop.

- Może ta czarownica także wiedziała, że Diana jest prządką.

Nie przyszło mi do głowy, że Satu mogła to wiedzieć. Biorąc pod uwagę, co Mateczka Alsop powiedziała o stosunku innych czarownic do prządek, świadomość, że Peter Knox i jego kumple z Kongregacji mogą mnie podejrzewać o skrywanie takiej tajemnicy, przyprawił mnie o drżenie serca. Matthew szybko ujął w obie dłonie moją rękę.

- To możliwe, ale nie mam pewności - odezwała się z żalem Mateczka. - Tak czy inaczej musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, w czasie, jaki da nam bogini, by przygotować Dianę na jej przyszłość.

- Chwileczkę! - Uderzyłam ręką w twarde drewniany stół. Pierścień Ysabeau zadźwięczał. - Wszyscy rozprawiacie o tym tak, jakby to całe tkactwo miało jakiś sens. Ale ja nie

potrafię nawet zapalić świece. Moje talenty są magiczne. Mam we krwi wiatr, wodę, nawet ogień.

- Jeśli potrafię dostrzec duszę twego męża, Diano, to nie dziw się, że umiem też ujrzeć twoje moce. Ale nie jesteś czarownicą ognia ani wody, bez względu na to, w co wierzysz. Nie potrafisz władać tymi żywiołami. Gdybyś była na tyle szalona, by tego spróbować, zniszczyłyby cię.

- Przecież prawie utonęłam we własnych łzach - upierałam się. - Aby uratować Matthew, zabiłam wampierza strzałą czarodziejskiego ognia. Moja ciotka rozpoznała jego zapach.

- Czarownica ognia nie potrzebuje strzał. Ogień opuszcza ją i błyskawicznie dociera do celu. - Mateczka Alsop pokręciła głową. - To było tylko proste tkactwo, zrodzone z bólu i miłości. Bogini pobłogosławiła cię możliwością pożyczania mocy, których potrzebujesz, ale nie władania nimi w pełni.

- Pożyczania... - Przypomniałam sobie frustrujące wydarzenia kilku ostatnich miesięcy: przebłyski magii, które nigdy nie chciały działać tak, jak powinny. - To dlatego moje zdolności pojawiają się i znikają. Tak naprawdę nigdy nie należały do mnie.

- Żadna czarownica nie mogłaby mieć w sobie tyle magii, inaczej zakłóciłaby równowagę światów. Prządka czerpie ostrożnie z otaczającej ją magii, którą wykorzystuje, by stworzyć coś nowego.

- Ale muszą istnieć tysiące czarów, nie mówiąc już o amuletach i miksturach. Nie uda mi się stworzyć nic oryginalnego. - Przesunęłam dłonią po czole, a miejsce, gdzie Philippe złożył swoją przysięgę krwi, wydało mi się chłodne.

- Wszystkie czary biorą się z czegoś, Diano: z potrzeby, tęsknoty, wyzwania, którego nie dało się inaczej spełnić. I pochodzą też od kogoś.

- Od pierwszej czarownicy - wyszeptałam. Niektórzy uważali, że *Ashmole 782* był pierwszą księgą magii, która zawierała oryginalne czary i uroki stworzone

przez naszych ludzi. Oto kolejny związek między mną a tajemniczym manuskrytem. Spojrzałam na Matthew.

- Pierwszej prządki - poprawiła mnie spokojnie Mateczka Alsop.  
- A także tych, którzy poszli w jej ślady. Prządki to nie tylko czarownice, Diano. Susanna jest wspaniałą czarownicą, wie więcej o magii ziemi i związanych z nią tradycjach niż jakakolwiek inna czarownica w Londynie. Ale mimo wszystkich tych umiejętności nie potrafi stworzyć nowego czaru. A ty tak.

- Przecież ja nawet nie wiem, jak zacząć - oznajmiłam.

- Sprawiałaś, że ten kurczak się wykluł - zauważyła Mateczka Alsop, wskazując na śpiącą kulkę puchu.

- Ale próbowałam rozbić jajko! - zaprotestowałam. Teraz, gdy zrozumiałam, na czym polega strzelectwo,

zdałam sobie sprawę z problemu. Moja magia, jak moje strzały, chybiała celu.

- Skądże znowu. Gdybyś próbowała tylko rozbić jajko, delektowałybyśmy się doskonałym kogłem-mogłem Susanny. Myślałaś o czym innym. - Kurczak przyznał jej rację, piszcząc wyjątkowo głośno.

- To prawda. Myślałam o czym innym. O naszym dziecku... czy potrafimy je dobrze wychować i zapewnić mu bezpieczeństwo.

Mateczka Alsop skinęła głową.

- Tak przypuszczałam.

- Nie wypowiedziałam żadnych słów, nie odprawiłam żadnego rytuału, nic nie uwarzyłam. - Trzymałam się uporczywie tego, czego starała się nauczyć mnie Sara. - Zadałam tylko kilka pytań. W dodatku niezbyt odpowiednich.

- Magia zaczyna się od pragnienia. Słowa pojawiają się znacznie, znacznie później - wyjaśniła Mateczka Alsop. - Nawet wtedy prządka nie zawsze potrafi zamknąć czar w kilku słowach, by mogły go wykorzystywać inne czarownice. Niektóre czary nie poddają się temu, choć bardzo się staramy. Są tylko na nasz użytek. I właśnie dlatego budzą strach.

- „Na początku są nieobecność i pożądanie” - wyszeptałam.

Przeszłość i teraźniejszość znów się starły, gdy wypowiedziałam pierwszy wers wiersza wypisanego na kartce dołączonej do pojedynczej strony *Ashmole* 782, którą ktoś wysłał kiedyś do moich rodziców. Tym razem, gdy w kątach zaśnity błękit i złoto, nie odwróciłam wzroku. Mateczka Alsop również nie. Matthew i Susanna też spojrzeli w tamtą stronę, ale nie dostrzegli nic niezwykłego.

- Właśnie. Widzisz teraz, jak czas czuje twoją nieobecność i chce, byś z pomocą swojej magii powróciła do dawnego życia. - Uśmiechnęła się promiennie, klaszcząc w dłonie, jakbym właśnie nakreśliła jej wyjątkowo śliczny rysunek, który chciałaby przykleić do swojej lodówki. - Oczywiście czas nie jest jeszcze na ciebie gotowy, w przeciwnym razie błękit byłby znacznie intensywniejszy.

- Mówisz o tym tak, jakby magię i czary dało się połączyć, a przecież one są odrębne. - Wciąż czułam się zagubiona. - Czarownice używają czarów, a magia to odziedziczona moc nad którymś z żywiołów, jak powietrze czy ogień.

- Kto nauczył cię takich głupot? - prychnęła Mateczka Alsop, a Susanna wydawała się zszokowana. - Magia i czarodziejstwo to tylko dwie ścieżki biegnące przez las. Prządka umie stanąć na rozstajach, z jedną nogą na każdej z nich. Potrafi zająć miejsce pomiędzy, gdzie moce są największe.

Czas zaprotestował przeciw temu stwierdzeniu głośnym jękiem.

- „Dziecko stojące pośrodku, czarownica na uboczu” - wyszeptałam oszołomiona. Duch Bridget Bishop ostrzegał mnie przed wiążącymi się z tym niebezpieczeństwami.



- Nim tu przybyliśmy, duch jednego z moich przodków, Bridget Bishop, powiedział, że taki jest mój los. Musiała wiedzieć, że jestem prządka.

- Tak jak i twoi rodzice - stwierdziła Mateczka Alsop. -Widzę ostatnie ślady po ich uroku wiążącym. Twój ojciec także był tkaczem. Wiedział, że pójdziesz w jego ślady.

- Jej ojciec? - zapytał Matthew.

- Tkaczami rzadko są mężczyźni, Mateczko Alsop -zauważyła ostrożnie Susanna.

- Ojciec Diany był tkaczem o wielkim talencie, ale niedouczone. Jego czar był raczej sfastrygowany niż odpowiednio utkany. Ale został stworzony z miłością i przez jakiś czas spełniał swoje zadanie, trochę jak łańcuch, który przykuwa cię do twojego wampierza, Diano. - Łańcuch ten, moja tajemna broń, zapewniał mi poczucie bezpieczeństwa w najtrudniejszych chwilach.

- Bridget powiedziała mi wtedy coś jeszcze. „Nie ma przed tobą drogi, na której nie byłoby miejsca dla niego". Musiała wiedzieć też o Matthew - stwierdziłam.

- Nie wspominałaś mi nigdy o tej rozmowie, *mon cceur* -odezwał się Matthew raczej zaintrygowany niż rozżalony.

- Rozstaje, ścieżki i niejasne przepowiednie nie wydawały mi się wtedy ważne. A potem tyle się wydarzyło, że zapomniałam. - Spojrzałam na Mateczkę Alsop. - A właściwie jak mogłabym tworzyć czary, nie wiedząc o tym?

- Tkaczy osnuwa tajemnica - odparła Mateczka. - Nie mamy teraz czasu, by znaleźć odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, bo musimy się skupić na nauczaniu cię, jak panować nad magią, która przez ciebie przepływa.

- Moje moce ostatnio robią, co chcą - przyznałam, myśląc o zasuszonych pigwach i zniszczonych butach Mary. - Nigdy nie wiem, czego się spodziewać.

- To dość typowe dla prządki, która po raz pierwszy odkrywa swoje moce. Ale twój blask widzą i czują nawet

ludzie. - Mateczka Alsop rozsiadła się na krześle i przyjrzała mi uważnie. - Jeśli czarownice, tak jak Annie, zobaczą, jak błyszczysz, to mogą wykorzystać tę wiedzę dla własnych celów. Nie pozwolimy, abyś ty albo dziecko wpadli w szpony Hubbarda. Zakładam, że zajmiesz się Kongregacją? - Spojrzała na Matthew.

Jego milczenie uznała za zgodę.

- Świetnie. Diano, przychodź do mnie w poniedziałki i czwartki. Pani Norman będzie się z tobą widywać we wtorki. Poślę po Marjorie Cooper w środy, a Elizabeth Jackson i Catherine Streeter w piątki. Będziesz potrzebowała ich pomocy, by opanować ogień i wodę we krwi, bo inaczej nigdy nie uzyskasz nic więcej niż odrobinę pary.

- Nie wiem, czy to rozsądne, żeby tyle czarownic poznało tę właśnie tajemnicę, Mateczko - odezwał się Matthew.

- Pan Roydon ma rację. Już i tak krąży zbyt wiele pogłosek o czarownicy. John Chandler rozpowiadał o niej, by przypodobać się ojcu Hubbardowi. Na pewno zdołamy wyuczyć ją same - stwierdziła Susanna.

- A od kiedy to jesteś czarownicą ognia, Susanno? - zapytała Mateczka Alsop. - W krwi tego dziecka buzuje ogień. Moje talenty skupiają się na czarodziejskim wietrze, a twoje tkwią w mocy ziemi. Nie nadajemy się do tego zadania.

- Jeśli zastosujemy się do twojego planu, to taki spęd skupi na nas zbyt wiele uwagi. Jest nas ledwie trzynaście, a mimo to proponujesz, by uczestniczyło w tym aż pięć. Niech jakieś inne zgromadzenie zajmie się problemami pani Roydon... może to w Moorgate albo Aldgate.

- Zgromadzenie w Aldgate zbyt się rozrosło, Susanno. Nie potrafi zająć się własnymi sprawami, a co dopiero nauką prądku. Poza tym to dla mnie za daleko, a złe powietrze nad kanałami miasta mi szkodzi, cóż, reumatyzm. Wyuczymy ją tutaj, jak chciała tego bogini.

- Nie mogę... - zaczęła Susanna.

- Jestem w hierarchii nad tobą, Susanno. Jeśli chcesz dalej protestować, będziesz musiała poprosić o decyzję Radę.

Powietrze zgęstniało niebezpiecznie.

- Dobrze, Mateczko. Poślę zapytanie do Queenhithe. -Susanna zdawała się zaskoczona własną reakcją.

- Kim jest Queen Hithe? - zapytałam cicho Matthew.

- Queenhithe to miejsce, a nie osoba - odparł. - Ale o co chodzi z tą Radą?

- Nie mam pojęcia - przyznałam.

- Przestańcie szeptać - odezwała się Mateczka Alsop, potrząsając z irytacją głową. - Czar rzucony na okna i drzwi sprawia, że wasze szepty poruszają powietrzem, a to drażni moje uszy.

Gdy powietrze się uspokoiło, Mateczka Alsop ciągnęła:

- Susanna podważyła moje zdanie w tej kwestii. Jako że przewodzę zgromadzeniu Garlickhythe, a także jestem starszą okręgu Vintry, pani Norman musi przedstawić swoją sprawę starszym innych okręgów Londynu. Oni zdecydują, co mamy robić, jak zawsze, gdy pojawiają się różnice zdań między czarownicami. Jest dwudziestu sześciu starszych, razem tworzymy Radę.

- Więc to tylko polityka? - zapytałam.

- Polityka i rozwaga. Gdybyśmy nie potrafili rozstrzygać własnych sporów, ojciec Hubbard jeszcze głębiej pakowałby swoje wampierze paluchy w nasze sprawy - odparła Mateczka Alsop. - Przepraszam, jeśli pana uraziłam, panie Roydon.

- Ależ skąd, Mateczko Alsop. Ale jeśli przekażecie tę sprawę starszym, tożsamość Diany będzie znana wszystkim w Londynie. - Matthew wstał. - Do tego nie mogę dopuścić.

- Wszystkie czarownice w tym mieście słyszały już o twojej żonie. Wieści szybko się tu roznoszą, w czym sporą zasługę ma twój przyjaciel, Christopher Marlowe - stwierdziła Mateczka Alsop, przekrzywiając głowę, by spojrzeć

Matthew w oczy. - Proszę usiąść, panie Roydon. W tej pozycji moje stare kości mi dokuczają.

Ku mojemu zaskoczeniu Matthew usiadł.

- Londyńskie czarownice wciąż nie wiedzą, że jesteś prządką, Diano, a to ważne - mówiła dalej Mateczka. - Radę będzie trzeba poinformować. Gdy inne czarownice usłyszą, że zostałeś wezwana przed oblicze starszych, uznają, że każą cię za twój związek z panem Roydonem albo sprawią, by nie miał dostępu do twojej krwi i mocy.

- Bez względu na to, co zdecydują, czy nadal będziesz moją nauczycielką?

Przyzwyczyłam się już do tego, że byłam obiektem szyderstw czarownic, i nie liczyłam na to, że londyńskie czarownice zaaprobują mój związek z Matthew. Mało mnie obchodziło, czy Marjorie Cooper, Elizabeth Jackson i Catherine Streeter - kimkolwiek były - podejmą się nauczania mnie. Ale Mateczka Alsop była inna. Pragnęłam zdobyć przyjaźń i pomoc tej czarownicy.

- Jestem ostatnią w Londynie i jedną z trzech znanych prządek w tej części świata. Szkocka prządka Agnes Sampson przebywa w więzieniu w Edynburgu. Od lat nikt nic nie słyszał o irlandzkiej prządcie. Rada nie ma innego wyjścia, jak oddać cię pod moją opiekę - zapewniła mnie Mateczka Alsop.

- Kiedy odbędzie się sabat czarownic? - zapytałam.

- Tak szybko, jak tylko to możliwe - obiecała Mateczka Alsop.

- Będziemy gotowi - zapewnił ją Matthew.

- Pewnymi sprawami twoja żona musi się zająć sama, panie Roydon. Donoszenie dziecka i spotkanie z Radą do nich należą - odparła Mateczka Alsop. - Zaufanie to duży problem dla wampierza, wiem o tym, ale musisz dla jej dobra spróbować.

- Ufam mojej żonie. Czuliś, co czarownice jej zrobiły, więc nie dziw się, że już wam nie ufam - odparł Matthew.

- Musisz spróbować - powtórzyła Mateczka Alsop. -Nie możesz obrazić Rady. Gdyby tak się stało, Hubbard musiałby interweniować, a Rada nie zniesie kolejnej zniewagi i zażąda, by sprawą zajęła się Kongregacja. Bez względu na różnice zdań między nami nikt w tym pokoju nie chce, by Kongregacja skupiła się na Londynie, panie Roydon.

Matthew zmierzył wzrokiem Mateczkę Alsop. W końcu skinął głową.

- Dobrze, Mateczko. Byłam prządką.

A niedługo miałam zostać matkę.

„Dziecko stojące pośrodku, czarownica na uboczu”, wyszeptał cichy głos Bridget Bishop.

Zauważyłam, że Matthew gwałtownie wciągnął powietrze, a więc wyczuł jakąś zmianę w moim zapachu.

- Diana jest zmęczona i musi wracać do domu.

- Nie jest zmęczona, tylko się boi. Ale koniec z lękiem, Diano. Musisz zmierzyć się z tym, kim jesteś naprawdę -oświadczyła z lekkim żalem Mateczka Alsop.

Mój niepokój jednak rósł, nawet gdy znaleźliśmy się bezpiecznie Pod Łanią i Koroną. Gdy tam dotarliśmy, Matthew zdjął swój pikowany kaftan. Narzucił mi go na ramiona, próbując chronić przed chłodem. Materiał zachował jego zapach goździków i cynamonu, a także ślad dymu z paleniska Susanny i mokrego powietrza Londynu.

- Jestem prządką. - Może jeśli będę to w kółko powtarzać, to wreszcie zrozumiem. - Ale nie mam pojęcia, co to znaczy ani kim tak naprawdę jestem.

- Jesteś Dianą Bishop, historykiem i czarownicą -chwycił mnie za ramiona. - Bez względu na to, kim byłaś wcześniej lub też kim się kiedyś staniesz, jesteś moim życiem, właśnie tym.

- Twoją żoną - poprawiłam go.

- Moim życiem - powtórzył. - Nie dość, że jesteś moim sercem, to także jego biciem. Przedtem byłem tylko cieniem, jak pomocnik Mateczki Alsop.

Mówił z naciskiem, a głos aż drżał mu z emocji.

- Powinnam się cieszyć, że wreszcie znam prawdę - wydusiłam, szcękając zębami. Wsunęłam się do łóżka, zimno zdawało się przenikać mnie do szpiku kości. - Przez całe życie zastanawiałam się, czemu jestem inna. A teraz znam odpowiedź i wcale mi to nie pomaga.

- Pewnego dnia pomoże - zapewnił Matthew i ułożył się przy mnie pod kołdrą.

Objął mnie. Spletliśmy nogi jak korzenie drzewa. Każde z nas czepiało się drugiego w poszukiwaniu oparcia, gdy się do siebie zbliżaliśmy. Gdzieś w głębi mnie łańcuch, który wykułam z miłości i tęsknoty za kimś, kogo miałam kiedyś spotkać, napiął się i płynął jak strumień. Był gruby i nierozzerwalny, przepelniony życiodajnymi sokami, które nieustannie przepływały od czarownicy do wampira, a potem znów do czarownicy. Szybko przestałam się czuć „pośrodku”, przeciwnie: cudownie w pełni, w samym centrum. Odetchnęłam głęboko. A potem jeszcze raz. Gdy próbowałam się odsunąć, Matthew przytrzymał mnie mocniej.

- Nie jestem jeszcze gotów cię puścić - przyciągnął mnie bliżej.

- Na pewno masz pracę... dla Kongregacji, Philippe'a, Elżbiety. Nic mi nie jest, Matthew - upierałam się, mimo że chciałam trwać w jego objęciach tak długo, jak to tylko możliwe.

- Wampiry inaczej odbierają czas niż ciepłokrwieńcy - odparł, wciąż nie chcąc mnie puścić.

- To ile trwa wampirza minuta? - zapytałam, wsuwając mu głowę pod brodę.

- Trudno powiedzieć - szepnął. - Jakoś między zwykłą minutą a wiecznością.

## ROZDZIAŁ 2

Zgromadzić dwadzieścia sześć najpotężniejszych czarownic Londynu nie należało do zadań łatwych. Wyobrażałam sobie, że Rada będzie spotkaniem, podczas którego czarownice zasiądą w równych rzędach, jak na sali rozpraw, a ja stanę przed nimi. W rzeczywistości działalność Rady okazała się serią wizyt, jakie przez kolejnych kilka dni odbywałam w sklepach, karczmach i domach. Nie było oficjalnych prezentacji, nie marnowano też czasu na żadne inne błahe drobiazgi. Spotkałam tyle obcych czarownic, że w końcu ich twarze zlały mi się w jedną.

A jednak niektóre utkwiły mi w pamięci. Pierwszy raz w życiu poczułam niezaprzeczalną moc czarownicy ognia. Mateczka Alsop miała rację: nie dało się nie zauważyć żaru w dotyku i spojrzeniu rudej czarownicy. I chociaż moja krew aż buzowała od płomieni, gdy byłam blisko niej, sama na pewno nie byłam czarownicą ognia. Utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy spotkałam kolejne dwie czarownice ognia w pokoju gospody Pod Infułą, w Bishopsgate.

- To będzie wyzwanie - stwierdziła jedna z nich po tym, jak skończyła czytać z mojej skóry.

- Prządka, która może wędrować w czasie, a do tego mnóstwo w niej wody i ognia. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę takie połączenie - przyznała druga.

Należące do Rady czarownice wiatru zebrały się w domu Mateczki Alsop, który w środku był znacznie większy, niż można było sądzić po jego skromnym wyglądzie. Po pokojach przechadzały się dwa duchy, a także pomocnica Mateczki Alsop, która witała gości w drzwiach i krzątała się bezszelestnie, upewniając się, czy wszyscy zajęli wygodne miejsca.

Czarownice wiatru nie budziły takiej grozy, jak ogniste. Ich dotyk był delikatny i lekki, gdy w ciszy oceniały moje zalety i wady.

- Burzliwa - wyszeptała siwowłosa, mniej więcej pięćdziesięcioletnia czarownica. Malutka i gibka, poruszała się z prędkością, która sugerowała, że grawitacja działa na nią w znacznie mniejszym stopniu niż na resztę śmiertelników.

- Zbyt duża koncentracja - druga zmarszczyła brwi. - Musi pozwolić, by sprawy toczyły się własnym biegiem, bo inaczej każdy wiaterek, jaki stworzy, może się zmienić w wicherę.

Mateczka Alsop podziękowała im, ale gdy wyszły, odetchnęła z ulgą.

- Odpocznę teraz, dziecko - szepnęła, wstając z krzesła i kierując się w głąb domu. Jej pomocnica podążyła za nią jak cień.

- Mateczko, czy w Radzie są jacyś mężczyźni? - zapytałam, biorąc ją pod rękę.

- Zostało tylko kilku. Większość młodych czarowników wyjechała na uniwersytety studiować filozofię naturalną - westchnęła. - To dziwne czasy, Diano. Wszyscy tak się spieszą w poszukiwaniu czegoś nowego. Czarownice myślą, że książki dadzą im więcej wiedzy niż doświadczenie. Zostawię cię teraz. W uszach mi dzwoni od tej całej gadaniny.

W czwartkowy poranek Pod Łanią i Koroną pojawiła się samotna czarownica wody. Leżałam wyczerpana całodzienną wędrówką po mieście poprzedniego dnia. Wysoka i smukła czarownica nie weszła, a raczej wpłynęła do domu. Napotkała jednak twarde opór w postaci ściany wampirów w korytarzu.

- Wszystko w porządku, Matthew - zawołałam od drzwi sypialni, zapraszając ją do siebie.



Gdy zostałyśmy same, czarownica wody zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Jej spojrzenie mrowiło jak słone krople na skórze, orzeźwiało jak zanurzenie się w morzu w gorący letni dzień.

- Mateczka Alsop miała rację - odezwała się cichym, melodyjnym głosem. - W twojej krwi jest zbyt wiele wody. Nie możemy spotykać się z tobą w grupach, bo jeszcze spowodujesz potop, lecz pojedynczo. Obawiam się, że to nam zajmie cały dzień.

Nie poszłam więc do czarownic wody, one same przyszły do mnie. Napływały i odpływały z domu, doprowadzając do szału Matthew i Françoise. Ale nie dało się zaprzeczyć, że coś nas łączyło. W obecności czarownic wody czułam siłę przyciągania.

- Woda nie kłamała - wyszeptwała jedna z nich, kiedy przebiegła palcami po moim czole i ramionach. Odwróciła moje dłonie, by przyjrzeć się ich wnętrzu. Była niewiele starsza ode mnie i miała niezwykłą karnację - białą jak śnieg skórę, kruczoczarne włosy i oczy koloru morza na Karaibach.

- Jaka woda? - zapytałam, gdy badała drobne linie odbiegające od mojej linii życia.

- Wszystkie czarownice wody z Londynu zbierały deszczówkę od letniego przesilenia do święta Mabon, a potem wlały ją do misy wróżebnej Rady. Przepowiedziała, że pojawi się długo oczekiwana prądka, w której żyłach płynie woda. - Czarownica wody odetchnęła z ulgą i puściła moje dłonie. - Po tym, jak pomogłyśmy odegnąć hiszpańską flotę, potrzebujemy nowych czarów. Mateczka Alsop uzupełniła zapasy czarownic wiatru, ale szkocka prądka ma dar ziemi, więc nie mogła nam pomóc, nawet gdyby chciała. Ty natomiast jesteś prawdziwą córą księżycy i dobrze nam się przysłużysz.

W piątkowy poranek do domu przybył posłaniec z wiadomością, że mam się stawić o jedenastej na Bread Street,

by spotkać się z ostatnimi członkiniami Rady - dwiema czarownicami ziemi. Większość czarownic ma w sobie odrobinę magii ziemi. W końcu jest to podstawa naszej sztuki, ale we współczesnych zgromadzeniach nie cieszą się one jakąś szczególną atencją. Byłam ciekawa, czy czarownice ziemi czasów elżbietańskich są inne. W drodze towarzyszyli mi Matthew i Annie, gdyż Pierre zajęty był jakimiś zleceniami mojego męża, a Françoise robiła zakupy. Wychodziliśmy właśnie z terenu katedry Świętego Pawła, gdy Matthew odwrócił się w stronę ulicznika o brudnej twarzy i patykowatych nogach. W okamgnieniu przy uchu dziecka błysnął sztylet.

- Jeśli choćby drgnie ci palec, chłopcze, to obetnę ci ucho - szepnął Matthew.

Zaskoczona spojrzałam w dół. Palce chłopca dotykały sakiewki, którą miałam u pasa.

Po Matthew zawsze można było się spodziewać przemocy, nawet w moich czasach, ale w Londynie epoki elżbietańskiej ta groźba stała się znacznie realniejsza. Mimo wszystko nie musiał wyzywać się na malcu.

- Matthew - odezwałam się ostrzegawczym tonem, widząc przerażenie na twarzy chłopca. - Przestań.

- Ktoś inny obciąłby ci ucho albo odprowadził przed oblicze szeryfa. - Matthew zmrużył oczy, a dziecko jeszcze bardziej pobladło.

- Dość tego - rzuciłam krótko.

Dotknęłam ręki chłopca, a on się wzdrygnął. Moje oko czarownicy ujrzało w przeblysku, jak mężczyzna wymierza chłopcu cios, który posłał go aż na ścianę. Pod koszulą z surowego płótna, jego jedyną ochroną przed chłodem, poczułam, jak zbiera się krew i powstaje okropny siniec.

- Jak ci na imię?

- Jack, proszę pani.

Matthew wciąż przyciskał ostrze do jego ucha i zaczęliśmy ściągać na siebie uwagę otoczenia.

- Schowaj nóż, Matthew. To dziecko mi nie zagraża. Matthew syknął, ale usłuchał.

- Gdzie twoi rodzice?

- Nie mam, proszę pani - wzruszył ramionami Jack.

- Annie, zabierz chłopca do domu i dopilnuj, by Françoise dała mu coś do jedzenia i jakieś ubranie. Jeśli zdołasz, wykąp go w gorącej wodzie i połóż do łóżka Pierre'a. Jest zmęczony.

- Nie możesz przygarniać wszystkich włóczęgów Londynu, Diano. - By to podkreślić, Matthew wsunął głośno sztylet do pochwy.

- Françoise przyda się ktoś do załatwiania sprawunków. - Odgarnęłam chłopcu włosy z czoła. - Będziesz dla mnie pracował, Jack?

- Ta jes, psze pani - zaburczało mu głośno w brzuchu, a w jego czujnym spojrzeniu pojawiła się iskierka nadziei.

Moje trzecie oko szeroko się rozwarło - zajrzało do pustego żołądka i popatrzyło na wątle, trzęsące się nogi. Wyciągnęłam z mieszka kilka monet.

- Annie, po drodze kup mu u pana Piora kawałek placka. Chłopak zaraz padnie z głodu, a to powinno go podtrzymać, nim Françoise da mu porządny posiłek.

- Tak, proszę pani - odparła Annie.

Złapała Jacka za ramię i poprowadziła w stronę Blackfriars.

Matthew odprowadził ich wzrokiem, zmarszczył brwi, po czym zwrócił się do mnie.

- Nie wyświadczasz tym chłopcu przysługi. Ten Jack, jeśli rzeczywiście tak się nazywa, w co wątpię, nie przeżyje nawet roku, jeśli dalej będzie kradł.

- Nie przeżyje tygodnia, jeśli nie zajmie się nim ktoś dorosły. Co mówiłeś? Że jedyne, czego potrzebują dzieci, to miłość, dorosły, który się nimi zajmie i bezpieczna przystań?

- Nie wykorzystuj przeciw mnie moich własnych słów, Diano. To było o naszym dziecku, a nie jakimś bezdomnym

bachorze. - Matthew, który spotkał w ciągu ostatnich kilku dni więcej czarownic niż większość wampirów przez całe życie, aż palił się do kłótni.

- Też byłam kiedyś bezdomnym bachorem.

Mój mąż odsunął się ode mnie, jakbym go spoliczkowała.

- Nagle porzucenie go nie brzmi już tak dobrze, prawda? - Nie czekałam, aż mi odpowie. - Jeśli go nie weźmiemy do siebie, to równie dobrze możemy go wysłać wprost do Andrew Hubbarda. A tam albo zrobią mu przymiarkę do trumny, albo zjedzą na kolację. Tak czy inaczej wyjdzie na tym lepiej, niż gdyby został na ulicy.

- Mamy dość służby - burknął Matthew.

- I masz też dość pieniędzy. A jeśli cię na to nie stać, to opłacę jego pensję z własnych środków.

- Lepiej szybko wymyśl bajeczkę, którą mu opowiesz na dobranoc. - Matthew złapał mnie za łokieć. - Myślisz, że nie zauważy, że mieszka z trzema wampierzami i dwiema czarownicami? Ludzkie dzieci są znacznie bardziej spostrzegawcze, jeśli chodzi o nasz świat, niż dorośli.

- Czy według ciebie on w ogóle zwróci uwagę na to, kim jesteśmy, jeśli będzie miał dach nad głową, pełny brzuch i łóżko, w którym można bezpiecznie spędzić noc?

Z drugiej strony ulicy jakaś kobieta posłała nam zaniepokojone spojrzenie. Wampir i czarownica nie powinni prowadzić tak zaciętej dyskusji w miejscu publicznym. Naciągnęłam kaptur głębiej na głowę.

- Im więcej stworzeń pojawi się w naszym tutejszym życiu, tym bardziej wszystko się skomplikuje - stwierdził Matthew. Zauważył obserwującą nas kobietę i puścił moje ramię. - A w przypadku ludzi to jeszcze trudniejsze.

Po spotkaniu z dwiema poważnymi, statecznymi czarownicami ziemi usadowiliśmy się z Matthew w dwóch różnych pomieszczeniach Łani i Korony, czekając, aż opadną emocje.

Matthew skupił się na poczcie, krzycząc na Pierre'a i przeklinając kwiecień rząd Jej Wysokości, pomysły swojego ojca i głupotę króla Jana ze Szkocji. Ja zajęłam się tłumaczeniem Jackowi jego obowiązków. Chłopiec miał co prawda bogate umiejętności w otwieraniu zamków, opróżnianiu kieszeni i oszukiwaniu wieśniaków, ale nie potrafił czytać, pisać, gotować, szyć, słowem, nie umiał nic, co mogłoby przydać się Françoise i Annie. Natomiast Pierre zainteresował się malcem, zwłaszcza po tym, jak z kieszeni starego kaftana, który mu wcześniej podarował, wyciągnął swój amulet na szczęście.

- Chodź ze mną, Jack - odezwał się Pierre; otworzył drzwi i wskazał głową schody. Ruszał właśnie po kolejne pisma od informatorów Matthew i najwyraźniej postanowił wykorzystać znajomość londyńskiego podziemia Jacka.

- Tak, panie - zawołał radośnie chłopak. Wystarczył jeden posiłek, a już wyglądał lepiej.

- Tylko nie róbcie nic niebezpiecznego - ostrzegłam Pierre'a.

- Ależ skąd, madame - odparł niewinnie wampir.

- Mówię serio - naciskałam. - I masz go przyprowadzić przed zmrokiem.

Przeglądałam papiery na biurku, gdy Matthew wynurzył się ze swojego gabinetu. Françoise i Annie poszły na targ w Smithfield, do rzeźników, po krew i mięso, a my mieliśmy dom dla siebie.

- Przepraszam, *mon cœur* - odezwał się, podchodząc do mnie od tyłu i obejmując w talii. Pocałował mnie w szyję. - To był długi tydzień, jeszcze ta Rada i królowa...

- Ja też przepraszam. Wiem, czemu nie chcesz, aby Jack tu zamieszkał, ale nie mogłam go tak zostawić, Matthew. Był głodny i obolały.

- Wiem - Matthew przytulił mnie mocno.

- Zareagowałbyś inaczej, gdybyśmy spotkali tego chłopca we współczesnym Oksfordzie? - zapytałam, wpatrując się w ogień, by uniknąć jego wzroku.

Od chwili spotkania z Jackiem zastanawiałam się, czy zachowanie Matthew wynikało z jego wampirzych cech, czy też z elżbietańskiej moralności.

- Pewnie nie. Wampirom niełatwo żyć pośród ciepłokrwistych, Diano. Bez więzi emocjonalnej ciepłokrwistości to tylko źródło pożywienia. Żaden wampir, bez względu na to, jak dobrze jest wychowany i kulturalny, nie zdoła wytrzymać blisko nich, nie pragnąc pożywić się nimi. - Czułam jego chłodny oddech na szyi; łaskotał to wrażliwe miejsce, w którym Miriam użyła swojej krwi, by uleczyć ranę zadaną przez Matthew.

- Nie wyglądasz, jakbyś chciał się mną żywić. - Nic nie wskazywało na to, by Matthew zmagał się z taką potrzebą. Ponadto stanowczo odmówił ojcu, kiedy ten sugerował, by napił się mojej krwi.

- Teraz panuję nad swoimi zachciankami znacznie lepiej niż na początku naszej znajomości. Pragnienie twojej krwi wynika raczej z chęci kontroli niż głodu. Pożywianie się tobą byłoby głównie manifestacją dominacji od chwili, gdy jesteśmy parą.

- A od tego mamy seks - stwierdziłam rzeczowo. Matthew był hojnym i pomysłowym kochankiem, ale w sypialni to on rządził.

- Słucham? - zmarszczył brwi.

- Seks i dominacja. Współcześni ludzie uważają, że właśnie na tym polegają związki z wampirami - odparłam. -W ich opowieściach aż roi się od szalonych wampirzych samców alfa, które przerzucają sobie kobiety przez ramię, po czym zaciągają na kolacje i randki.

- Kolacje i randki? - zdziwił się Matthew. - Chcesz powiedzieć?...

- Yhm. Powinieneś zobaczyć, co czytają przyjaciółki Sary ze zgromadzenia Madison. Wampir spotyka dziewczynę, wampir gryzie dziewczynę, zszokowana dziewczyna odkrywa, że w ogóle istnieją wampiry. Wkrótce pojawia się seks, krew i nadopiekuńcze zachowania. I to raczej bez specjalnego owijania w bawełnę. - Przerwałam. - Na pewno nie ma czasu na przytulaniu. Nie przypominam też sobie jakichś wierszy czy tańców.

Matthew zaklął.

- Nie dziwię się już, czemu twoja ciotka tak się dopytywała, czy jestem głodny.

- Naprawdę powinieneś to przeczytać, choćby po to, by dowiedzieć się, co myślą ludzie. To po prostu koszmar. Znacznie gorszy od tego, z czym muszą się mierzyć czarownice. - Odwróciłam się do niego. - Zdziwiłbyś się, ile dziewczyn mimo to chciałoby mieć chłopaka-wampira.

- A co by było, gdyby ich chłopcy-wampiry zachowywali się jak bezduszni dranie, którzy znęcają się na ulicach nad głodującymi sierotami?

- Większość powieściowych wampirów ma szczerzłote serca, czasem tylko doznaje napadów zazdrości, które kończą się rozszarpaniem partnera czy ofiary. - Odgarnęłam mu włosy z czoła.

- Nie wierzę, że w ogóle o tym rozmawiamy - oświadczył.

- Czemu? Wampiry czytają książki o czarownicach. To, że *Doktor Faust* to czysta fantazja, nie odbiera ci przyjemności czytania dobrej opowieści.

- Tak, ale całe to porywanie, a potem uprawianie miłości... - Matthew potrząsnął głową.

- Porywałeś mnie, jak sam to pięknie określiłeś. Z tego, co pamiętam, w Sept-Tours porwałeś mnie na ręce niejedną raz - zauważyłam.

- Tylko kiedy byłaś ranna! - zawołał oburzony. - Lub zmęczona.

- Albo kiedy chciałeś, abym była w jednym miejscu, a ja byłam w innym. Albo gdy koń był zbyt potężny, łóżko za wysokie, morze zbyt wzburzone. Gdy jest ci to na rękę, masz bardzo wybiórczą pamięć. A co do uprawiania miłości, nie jest to zawsze delikatny akt, jaki opisujesz. Nie w książkach, które czytałam. Czasami jest to po prostu dobre, ostre...

Nim zdążyłam dokończyć, wysoki, przystojny wampir przerzucił mnie sobie przez ramię.

- Dokończymy tę rozmowę w ustronnym miejscu.

- Ratunku! Mój mąż jest chyba wampirem! - roześmiałam się i zadudniłam pięściami o jego uda.

- Cicho - warknął. - Albo będziesz musiała stawić czoło pani Hawley.

- Gdybym była człowiekiem, a nie czarownicą, to ten twój głos przyprawiłby mnie o zawrót głowy. Oddałabym ci się, a ty mógłbyś zrobić ze mną, co ci się tylko podoba - zachichotałam.

- Już jesteś moja - przypomniał mi Matthew, kładąc mnie na łóżku. - A tak przy okazji, to zmieniam tę idiotyczną fabułę. Aby zyskała na oryginalności, o prawdopodobieństwie nawet nie wspominając, pomijamy kolację i przechodzimy od razu do randki.

- Czytelnicy byliby zachwyceni wampirem, który mówi takie rzeczy! - zawołałam.

Matthew zdawał się nie zwracać uwagi na moje redaktorskie docinki. Był zbyt zajęty unoszeniem mi sukien. Mieliśmy się kochać bez rozbierania. Jakże to elżbietańskie.

- Chwileczkę. Pozwól mi chociaż zdjąć wałek. Annie poinformowała mnie, że tak powinno określać

się oponkę z materiału, która nadawała objętość moim sukniom. Ale Matthew nie zamierzał czekać.

- Do diabła z wałkiem. - Poluzował rzemyki swoich pludrów, złapał mnie za ręce i uniósł je nad głowę. Wszedł we mnie jednym pchnięciem.



- Nie sądziłam, że rozmowy o literaturze popularnej tak na ciebie działają - jęknęłam bez tchu, gdy zaczął się we mnie poruszać. - Przypominaj mi, bym częściej dyskutowała z tobą na takie tematy.

Siadaliśmy właśnie do kolacji, gdy wezwano mnie do Mateczki Alsop.

Rada podjęła decyzję.

Do Mateczki przybyliśmy z Annie w obstawie dwóch wampirów i z Jackiem jako ariergardą. Czekala na nas w saloniku wraz z Susanną i trzema nieznanymi mi czarownicami. Mateczka Alsop odesłała mężczyzn pod Złotą Gąskę i poprowadziła mnie do stojącej przy ogniu grupy.

- Diano, poznaj swoje nauczycielki. - Pomocnica Mateczki wskazała mi puste krzesło i skryła się w cieniu swojej pani.

Piątka czarownic uważnie się we mnie wpatrywała. W grubych wełnianych sukniach o ciemnych, zimowych kolorach wyglądały na bogate mieszczyki. Tylko ich mrowiące spojrzenia zdradzały, że są czarownicami.

- A więc Rada zgodziła się na twój plan - odezwałam się cicho, próbując popatrzeć im w oczy. Nigdy nie należy okazywać strachu nauczycielom.

- Tak - odezwała się zrezygnowana Susanna. - Wybacz mi, pani Roydon. Mam dwóch chłopców, o których muszę zadbać, i męża, zbyt chorego, by na nas pracować. A życzliwość sąsiadów można stracić w okamgnieniu.

- Pozwól, że przedstawię cię pozostałym. - Mateczka Alsop odwróciła się w stronę kobiety na prawo - miała jakieś sześćdziesiąt lat, była niska, puciołowata i, jeśli mogłam coś wnioskować po jej uśmiechu, wielkoduszna.

- To Marjorie Cooper.

- Diano - Marjorie skinęła głową, aż zaszeleściła jej niewielka kryza. - Witaj w naszej rodzinie.

Podczas spotkania z Radą stwierdziłam, że czarownice czasów elżbietańskich używały określenia „rodzina” na podobnej zasadzie, co współczesnego słowa „zgromadzenie”, na określenie rozpoznawalnej grupy czarownic. Jak wszystko inne w Londynie, granice rodzin pokrywały się z granicami parafii. Chociaż trudno było myśleć o zgromadzeniach czarownic i kościołach chrześcijańskich w takiej symbiozie, okazało się to doskonałym rozwiązaniem ze względów organizacyjnych, ponadto dawało poczucie bezpieczeństwa, gdyż sprawy czarownic pozostawały wśród najbliższych sąsiadów.

Dlatego też w samym Londynie żyło ponad sto rodzin, a do tego kolejne dwa tuziny na przedmieściach. Podobnie jak parafie, rodziny były zebrane w większe grupy zwane kręgami. Każdy krąg wybierał jednego ze swoich starszych do Rady, która zajmowała się wszelkimi sprawami czarownic w mieście. Narastająca panika i polowania na czarownice budziły obawy Rady, że stary system rządów zaczyna zawodzić. Londyn i tak już pękał w szwach pod naporem różnych stworzeń, a każdego dnia przybywały kolejne. Słyszałam o wielkiej liczbie rodziny z Aldgate, którą tworzyło ponad sześćdziesiąt czarownic, a nie jak zwykle trzynaście do dwudziestu. Także w Cripplegate i Southwark rodziny były bardzo duże. Niektóre zgromadzenia, by ukryć się przed ludźmi, zaczęły dzielić się na gałęzie. Ale nowe rodziny, na których czele stali niedoświadczeni przywódcy, stanowiły problem w tych trudnych czasach. Czarownice z Rady, które miały dar patrzenia w przyszłość, widziały nadciągające kłopoty.

- Marjorie ma dar magii ziemi, jak Susanna. Jej specjalnością jest zapamiętywanie - wyjaśniła Mateczka Alsop.

- Nie potrzebuję grymuarów ani tych nowoczesnych almanachów, które zachwalają teraz sklepikarze - odezwała się z dumą Marjorie.

- Marjorie doskonale pamięta każdy czar, jakiego kiedykolwiek użyła, i potrafi odtworzyć układ gwiazd na każdy rok swojego życia, a także na wiele miesięcy naprzód.

- Mateczka Alsop obawiała się, że nie będziesz mogła zapisać wszystkiego, czego się tutaj nauczysz, by zabrać to z sobą. Więc nie dość, że pomogę ci znaleźć odpowiednie słowa, by inne czarownice mogły użyć wymyślonych przez siebie czarów, to jeszcze nauczę cię, jak osiągnąć jedność z tymi słowami, by nikt nigdy nie mógł ci ich odebrać - Oczy Marjorie rozbliły, gdy ściszyła konspiracyjnie głos. - A mój mąż jest kupcem winnym. Może dostarczyć ci znacznie lepszego wina niż to, które teraz pijecie. Z tego, co wiem, dla wampierzy wino jest ważne.

Na te słowa roześmiałam się w głos, a pozostałe czarownice mi zawtórowały.

- Dziękuję, pani Cooper. Przekażę tę propozycję mężowi

- Marjorie. Jesteśmy tu siostrami. - Po raz pierwszy nie skrzywiłam się, słysząc, że jestem siostrą czarownicy

- Jestem Elizabeth Jackson - odezwała się starsza kobieta siedząca po drugiej stronie Mateczki Alsop, w wieku gdzieś między Marjorie a Mateczką.

- Jesteś czarownicą wody - poczułam związek gdy tylko przemówiła.

- Owszem. - Elizabeth miała stalowoszare oczy i włosy i była tak wysoka i szczupła, jak Marjorie krągła i niska. Wiele czarownic wody w Radzie było skrytych i łagodnych ale Elizabeth miała w sobie czystą przejrzystość górskiego strumienia. Czulałam, że zawsze powie mi prawdę, nawet jeśli me będzie ona miła dla moich uszu.

- Elizabeth jest uzdolnioną jasnowidzącą. Nauczy cię sztuki odczytywania przyszłości.

- Moja matka była znana ze swoich umiejętności jasnowidza - wyznałam z wahaniem. - Chętnie poszłabym w jej ślady.

- Ale nie miała ognia - odparła stanowczo Elizabeth, od razu atakując mnie szczerością. - Możliwe, że nie zdołasz podążyć śladami matki w każdej kwestii, Diano. Ogień i woda to potężna mieszanka, jeśli tylko nie zdławią się wzajemnie.

- Dopilnujemy, by tak się nie stało - odezwała się ostatnia czarownica, odwracając się do mnie.

Do tej pory uparcie unikała mojego wzroku. Teraz zrozumiałam dlaczego: w jej brązowych oczach migotały złote iskry, a moje trzecie oko rozwarło się z zaskoczenia. Dzięki niemu ujrzałam otaczający ją nimb światła. To musiała być Catherine Streeter.

- Jesteś... jesteś jeszcze potężniejsza niż czarownice ognia z Rady - wyjąkałam.

- Catherine to wyjątkowa czarownica - przyznała Mateczka Alsop. - Jest zrodzona ze związku czarownicy i czarownika ognia. Rzadko się to zdarza, zupełnie jakby natura sama wiedziała, że takiego światła nie da się ukryć.

Gdy moje trzecie oko, oślepięte blaskiem potrójnie błogosławionej czarownicy ognia, zamknęło się, Catherine jakby pobladła. Jej brązowe włosy i oczy poszarzały, a twarz, chociaż wciąż ładna, przestała przyciągać uwagę. Jednak gdy tylko się odezwała, jej magia znów ożyła.

- Masz w sobie więcej ognia, niż sądziłam - zamyśliła się.

- Szkoda że nie było jej, gdy nadciągnęła Armada - stwierdziła Elizabeth.

- A więc to prawda? Ten słynny „angielski wiatr”, który odegnał hiszpańskie okręty od brzegów Anglii, wywołały czarownice? - zapytałam.

Tę historię znały wszystkie czarownice moich czasów, ale zawsze myślałam, że to tylko mit.

- Mateczka Alsop niezwykle przysłużyła się Jej Królewskiej Mości - odparła dumnie Elizabeth. - Gdybyś tu

była, zdołałybyśmy pewnie stworzyć płonącą wodę... albo chociaż ognisty deszcz.

- Nie tak szybko - Mateczka Alsop uniosła dłoń. - Diana me rzuciła jeszcze swojego preczaru prządki.

- Preczar? - zapytałam. Ten termin także był mi obcy.

- Preczar ukazuje, w jakim kierunku rozwiną się talenty tkacza. Stworzymy razem uświęcony krąg A w nim pozwolimy, by twoje moce uwolniły się, nieskrępowane słowami czy pragnieniami, i odnalazły własną drogę - wyjaśniła Mateczka Alsop. - Dzięki temu dowiemy się bardzo wiele na temat twoich umiejętności i tego, co trzeba zrobić, by je wyćwiczyć, a także poznamy twojego Chowańca.

- Czarownice nie mają Chowańców. - To był kolejny ludzki wymysł, zupełnie jak czczenie szatana.

- Tkacze mają - odparła pogodnie Mateczka Alsop i skinęła w stronę swojej pomocnicy. - Oto mój. Jak każdy Chowaniec, jest przedłużeniem moich umiejętności.

- Nie jestem pewna, czy w moim przypadku posiadanie Chowańca to dobry pomysł - stwierdziłam, myśląc o poczerńiałych pigwach, butach Mary i kurczaku. - Już i tak mam dość zmartwień.

- Właśnie dlatego rzuca się preczar: by stawić czoło najskrytszym lękom, a potem bez przeszkód czynić magię. Możliwe to być jednak dość wstrząsające przeżycie. Zdarzali się tkacze, którzy wchodząc do kręgu, mieli kruczoczarne włosy, a opuszczali go z pasmami siwizny - przyznała Mateczka Alsop.

- Ale to nie będzie tak bolesne, jak noc, kiedy wampierz opuścił Dianę, a w niej uniosły się wody - odezwała się cicho Elizabeth.

- Ani tak samotne, jak noc, gdy zamknięto ją w ziemi - Susanna zadrżała.

Marjorie ze współczuciem pokiwała głową.

- Ani tak przerażające, jak spotkanie, podczas którego czarownica ognia próbowała cię otworzyć - zapewniła mnie Catherine, a jej palce zaśniły pomarańczowo z wściekłości.

- W piątek przypada nów. Za kilka tygodni święto Matki Boskiej Gromnicznej. To czas sprzyjający czarom nakłaniającym dzieci do nauki. - Marjorie zmarszczyła brwi i skupiła się, szukając odpowiednich informacji w swojej niesamowitej pamięci.

- Sądziłam, że to tydzień na czary przeciw ukąszeniom węży. - Susanna wyciągnęła z kieszeni mały almanach.

Podczas gdy Marjorie i Susanna dyskutowały o magicznych zawilościach harmonogramu, Mateczka Alsop, Elizabeth i Catherine przyglądały mi się badawczo.

- Tak sobie myślę... - Mateczka wpatrzyła się we mnie i przyłożyła palec do ust.

- Na pewno nie - przerwała jej zduszonym głosem Elizabeth.

- Nie uprzedzajmy faktów - rzuciła Catherine. - Bogini udzieliła nam już dość błogosławieństw.

Gdy to powiedziała, jej oczy zaczęły zmieniać barwę od zieleni przez złoto, czerwień, aż w końcu poczerniały.

- Może jednak...

- Almanach Susanny właściwie niczemu nie służy. Ale zdecydowałyśmy, że najpomyślniej będzie, by Diana utkała swój preczar w następny czwartek, zaraz po nowiu księżyca - odezwała się Marjorie, klaszcząc z radości w dłonie.

- Ojej! - zawołała Mateczka Alsop, wciskając palec do ucha, by uchronić je przed drzeniem powietrza. - Ostrożniej, Marjorie, ostrożniej.

Z powodu moich nowych zobowiązań wobec zgromadzenia St. James Garlickhythe i niesłabnącego zainteresowania alchemicznymi eksperymentami Mary, coraz więcej czasu spędzałam poza domem. Natomiast karczma Pod

Łanią i Koroną nadal służyła jako siedziba Szkoły Nocy i centrum dowodzenia Matthew. Posłańcy przybywali z raportami i pocztą, George zaglądał często na darmowy posiłek i informował o swoich porażkach w szukaniu *Ashmole 782*, a Hancock i Gallowglass podrzucali służbie swoje pranie i skąpo odziani siedzieli przy kominku, czekając, aż dostaną ubrania z powrotem. Kit i Matthew niechętnie przyjęli rozejm po wydarzeniach z Hubbardem i Johnem Chandlerem. Oznaczało to, że często natykałam się w salonie na dramaturgę wpatrzoną ponuro w przestrzeń, by chwilę później nagle rzucić się do pisania. Fakt, że korzystał z moich zapasów papieru, tym bardziej mnie drażnił.

No i jeszcze Annie i Jack. Wprowadzenie dwójki dzieci do domu okazało się zajęciem na pełny etat. Jack, pewnie siedmio-, ośmioletni - nie miał pojęcia, ile ma naprawdę - uwielbiał drażnić nastolatkę. Chodził za nią i naśladował jej sposób mówienia. Wtedy Annie wybuchala płaczem, uciekała do siebie i rzucała się na łóżko. Gdy karciałam Jacka za jego zachowanie, dąsał się. Pragnąc za wszelką cenę kilku godzin spokoju, zatrudniłam nauczyciela - zgodził się nauczyć dzieci czytać, pisać i rachować, ale ta dwójka, udając niewiniątka i gapiąc się na niego nic nierozumiejącym wzrokiem, szybko sprawiła, że świeżo upieczony absolwent Cambridge zrezygnował z tej pracy. Obydwoje woleli chodzić po zakupy z Françoise i biegać z Pierre'em po Londynie, niż siedzieć grzecznie nad książkami.

- Jeśli nasze dziecko będzie się tak zachowywać, to je utopię - odezwałam się do Matthew, szukając chwili wytchnienia w jego gabinecie.

- Możesz być pewna, że *ona* będzie się tak zachowywać. I że jej nie utopisz - odparł, odkładając pióro. Wciąż nie zgadzaliśmy się co do płci dziecka.

- Próbowałam wszystkiego. Przekonywałam, przymilałam się, błagałam... do diabła, nawet przekupywałam. - Bułeczki pana Piora tylko dodały Jackowi energii.

- Każdy rodzic popełnia takie błędy - roześmiał się Matthew. - Próbujesz być ich przyjaciółką. Traktuj Jacka i Annie jak szczeniaki. Prztyczek w nos od czasu do czasu znacznie lepiej zapewni ci posłuch niż ciastko.

- Uczysz mnie, jak wychowywać dzieci, na podstawie zachowań zwierząt? - Pomyślałam o jego badaniach nad wilkami.

- Prawdę mówiąc, tak. Jeśli nie przestaną robić takiego hałasu, to będą musiały skonfrontować się ze mną, a ja nie rozdaję prztyczków, ja gryzę. - Matthew spojrział groźnie na drzwi, gdy dobiegł nas wyjątkowo głośny łoskot, a po nim żalosne „przepraszam”.

- Dzięki, ale nie jestem aż tak bardzo zdesperowana, by zacząć szkolić ich jak psy. Jeszcze nie... - Wyszłam z pokoju.

Dwa dni używania mojego „nauczycielskiego głosu” i zarządzania przerw zapewniły pewien porządek, ale by okiełznać ich energię, dzieci potrzebowały wielu zajęć. Porzuciłam książki i notatki, by odbywać z nimi długie spacerunki do Cheapside, a także na zachodnie przedmieścia. Chodziliśmy z Françoise na targi i oglądaliśmy, jak w dokach Vintry rozładowuje się barki; zastanawialiśmy się, skąd są towary i skąd biorą się załogi. Jakoś w tym czasie przestałam się czuć jak turystka, a elżbietański Londyn stał się dla mnie drugim domem.

W sobotni poranek robiliśmy zakupy na targu Leadenhall, najlepiej zaopatrzonym w artykuły spożywcze miejscu w Londynie, gdy ujrzałam jednonogiego żebraka. Wysupływałam już pensa z sakiewki, gdy dzieci pognały do kapelusznika. W takim miejscu mogły dokonać niezłego spustoszenia, za co trzeba by słono zapłacić.



- Annie! Jack! - zawołałam, rzucając pieniądze na wyciągniętą dłoń mężczyzny. - Trzymajcie ręce przy sobie!

- Jest pani daleko od domu, pani Roydon - usłyszałam niski głos. Skóra na plecach mi ścierpła pod lodowatym spojrzeniem. Odwróciłam się i stanęłam oko w oko z Andrew Hubbardem.

- Ojcie Hubbardzie - odezwałam się. Żebrak odkuśtykał.

Hubbard rozejrzył się wokół.

- Gdzie twoja kobieta?

- Jeśli masz na myśli Françoise, to jest na targu - odparłam ostro.

- Jest tu też ze mną Annie. Nie miałam okazji podziękować ci za przysłanie jej. Bardzo mi pomaga.

- Jak rozumiem, spotkałaś się z Mateczką Alsop. Nie zareagowałam na tę oczywistą próbę wyciągnięcia informacji.

- Od kiedy przybyli Hiszpanie, nie wychodzi z domu, chyba że ma ważny powód.

Wciąż milczałam. Hubbard uśmiechnął się.

- Nie jestem twoim wrogiem, pani.

- Nic takiego nie powiedziałam, ojcie Hubbardzie. Ale to, z kim się spotykam i po co, nie powinno cię interesować.

- Słusznie. Twój teść... a może myślisz o nim jako o ojcu?... jasno wyraził się na ten temat w swoim liście. Philippe podziękował mi za okazaną ci pomoc, oczywiście. W przypadku głowy rodziny de Clermont groźby następują dopiero po podziękowaniach. To bardzo odświeżająca zmiana w porównaniu z typowym zachowaniem twojego męża.

Zmarszczyłam brwi.

- Czego chcesz, ojcie Hubbardzie?

- Znoszę obecność de Clermontów, bo muszę. Ale nie jestem zobowiązany dalej tak postępować, jeśli pojawią się kłopoty. - Hubbard nachylił się do mnie, owionął mnie jego

lodowaty oddech. - A ty sprawiasz kłopoty. Czuję to. Od kiedy przybyłaś, czarownice stały się... trudne.

- To zwykły zbieg okoliczności - odparłam. - Nie mnie należy za to winić. Jestem tak niewykształcona w sztuce magii, że nie potrafię nawet rozłuc jajka do miski.

Françoise wróciła z targu. Dygnęłam Hubbardowi i ruszyłam w jej stronę, a on wyciągnął gwałtownie rękę i złapał mnie za nadgarstek. Spojrzałam na jego zimne palce.

- Nie tylko wszystkie istoty pachną, pani Roydon. Wiedziałaś, że sekrety też mają charakterystyczny zapach?

- Nie - odparłam, wyrrywając rękę.

- Czarownice wiedzą, gdy ktoś kłamie. Wampierze wyczuwają tajemnice tak, jak gończe psy jelenia. Wytropię twój sekret, pani Roydon, bez względu na to, jak bardzo będziesz próbowała go ukryć.

- Czy możemy iść, madame? - zapytała Françoise, marszcząc brwi i podchodząc bliżej. Byli z nią Annie i Jack; gdy dziewczynka ujrzała Hubbarda, pobladła.

- Tak, Françoise - odparłam, odwracając wzrok od przedziwnych, prążkowanych oczu Hubbarda. - Dziękuję za radę, ojcie Hubbardzie. I za informacje.

- Jeśli chłopiec ci przeszkadza, chętnie się nim zajmę - wyszeptał Hubbard, gdy go mijałam.

- Trzymaj ręce z dala od tego, co moje - spojrzałam mu w oczy i tym razem to on pierwszy odwrócił wzrok.

Wróciłam do mojego stadka, czyli do wampirzycy, czarownicy i dziecka. Jack niespokojnie przestępował z nogi na nogę, jakby chciał uciec.

- Chodźmy do domu, zjemy piernika - powiedziałam, biorąc go za rękę.

- Co to za człowiek? - wyszeptał.

- To ojciec Hubbard - odpowiedziała cicho Annie.

- Ten z piosenek? - Jack spojrzał przez ramię. Annie skinęła głową.

- Tak, a gdy...

- Dość już, Annie. Co widzieliście u kapelusznika? -zapytałam, przytrzymując mocniej chłopca, a drugą rękę wyciągnęłam po wypełniony po brzegi kosz z zakupami. -Daj mi to, Françoise.

- To nic nie pomoże, madame - odparła Françoise, ale oddała mi kosz. - Milord będzie wiedział, że spotkała się pani z tym draniem. Nawet smród kapusty tego nie ukryje.

Jack, słysząc to, nadstawił uszu, a ja posłałam Françoise ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie szukajmy problemów. - Ruszyłam w stronę domu. Gdy wróciliśmy Pod Łanię i Koronę, pozbyłam się kosza,

plaszcza, rękawiczek i dzieci i poszłam z kielichem wina do Matthew. Siedział przy biurku, pochylony nad kartką papieru. Na ten znajomy już widok zrobiło mi się lżej na duszy.

- Wciąż to samo? - zapytałam, wyciągając rękę nad jego ramieniem, by postawić przed nim wino, i zmarszczyłam brwi. Kartka przed nim była zarysowana jakimiś schematami, iksami i zerami, i czymś, co wyglądało na współczesne wzory. Raczej nie mogło to mieć nic wspólnego ze szpiegostwem czy Kongregacją, chyba że wymyślał jakiś kod.

- Co robisz?

- Próbuję coś ustalić - odparł i odsunął kartkę.

- Dotyczącego genetyki? - Iksy i zera nasunęły mi na myśl biologię i groch Grzegorza Mendla. Przyciągnęłam do siebie kartkę. Były na niej nie tylko iksy i zera. Rozpoznałam też inicjały rodziny Matthew: YC, PC, MC, MW. A także -mojej: DB, RB, SB, SP.

Matthew narysował między osobami strzałki, a między pokoleniami przebiegały jakieś linie.

- Niezupełnie - uciął. Była to typowa dla niego, wymijająca odpowiedź.

- Sądzę, że do tego potrzebowałbyś sprzętu. - U dołu strony były dwie litery w kółku: B i C - Bishop i Clairmont. Nasze dziecko. To musiało dotyczyć dziecka.

- Aby wyciągnąć jakieś wnioski, na pewno. - Matthew uniósł kielich do ust.

- A jaką stawiasz hipotezę? - zapytałam. - Jeśli wiąże się z dzieckiem, chcę to wiedzieć.

Matthew zeszywniał, a nozdrza mu się rozdęły. Odstawił ostrożnie wino i wziął mnie za rękę, przyciskając usta do mojego nadgarstka, jakby w geście miłości. Oczy mu poczerniały.

- Widziałaś się z Hubbardem - odezwał się oskarżycielskim tonem.

- Nie szukałam go. - Sróbowalam wyrwać rękę. Błąd.

- Nie - warknął Matthew, zaciskając mocniej palce. Znów odetchnął gwałtownie. - Hubbard dotknął twojego nadgarstka. Tylko nadgarstka. Wiesz czemu?

- Bo chciał skupić moją uwagę - odparłam.

- Nie. Chciał mojej. Tu masz puls - przesunął palcem po żyłę. Zadrżałam. - Krew płynie pod skórą tak blisko, że nie tylko ją czuję, ale i widzę. Jej ciepło potęguje obcy zapach. - Objął moją dłoń palcami jak bransoletą. - Gdzie podziewała się Françoise?

- Robiła zakupy na targu Leadenhall. Byli ze mną Jack i Annie. Był jakiś żebrak i... - Poczulałam nagłe ukłucie bólu.

Gdy spojrzałam w dół, zobaczyłam rozplątany nadgarstek; z wąskich zakrzywionych nacięć sączyła się krew. Ślady zębów.

- Tak szybko Hubbard mógł sięgnąć po twoją krew i dowiedzieć się o tobie wszystkiego. - Matthew mocno przycisnął ranę kciukiem.

- Nawet nie widziałam, kiedy się ruszyłeś - wyjąkałam. Jego ciemne oczy zalśniły.

- Nie zauważyłabyś też Hubbarda, gdyby chciał zaatakować.

Może Matthew nie był jednak tak nadopiekuńczy, jak mi się zdawało.

- Nie pozwól mu więcej podejść blisko. Jasne? Skinęłam głową, a Matthew rozpoczął trudną sztukę

opanowywania swojego gniewu. Dopiero gdy tego dokonał, odpowiedział mi na pierwsze pytanie.

- Próbuję ustalić, jakie jest prawdopodobieństwo, że przekażę naszym dzieciom krwawy szal - odezwał się gorzko. - Benjamin jest zarażony. Marcus nie. Przeraza mnie myśl, że mógłbym narazić na to niewinne dziecko.

- Wiesz, czemu Marcus i twój brat Louis byli na to odporni, a ty, Louisa i Benjamin nie? - Staralam się nie obejmować tym stwierdzeniem wszystkich jego dzieci. Matthew powie mi więcej, kiedy - jeśli - będzie gotów.

Rozprostował ramiona.

- Louisa zmarła na długo przed tym, nim można było przeprowadzić wiarygodne testy. Nie mam dość danych, by wyciągać słuszne wnioski.

- Ale masz jakąś teorię - odparłam, myśląc o jego schematach.

- Zawsze sądziłem, że krwawy szal to rodzaj choroby, i uważałem, że Marcus i Louis mieli na nią naturalną odporność. Ale gdy Mateczka Alsop powiedziała, że tylko prządka może urodzić dziecko wampierza, zacząłem się zastanawiać, czy nie patrzę na to w nieodpowiedni sposób. Może to nie Marcus jest odporny, ale coś we mnie jest podatne, tak jak prządka jest podatna na nasienie wampierza i zachodzi w ciążę, w odróżnieniu od wszelkich innych ciepłokrwistych kobiet.

- Uwarunkowanie genetyczne? - zapytałam, próbując nadażyć za jego rozumowaniem.

- Może. Niewykluczone, że to jakaś cecha recesywna, która nie pojawia się w grupie, o ile oboje rodzice nie są nosicielami. Wciąż myślę o twojej koleżance Catherine Streeter i o tym, że określiłaś ją jako potrójnie pobłogosławioną, zupełnie jakby genetyczna całość była w niej większa niż suma części.

Matthew szybko zagłębiał się w zawilosci swojej intelektualnej układanki.

- A potem zacząłem się zastanawiać, czy fakt, że jesteś prządką, wystarcza, by wyjaśnić twoją zdolność poczęcia dziecka. A co, jeśli jest to kombinacja nie tylko twoich recesywnych cech genetycznych, ale i moich? - Gdy sfrustrowany przeczesał palcami włosy, uznałam, że ostatnie objawy krwawego szału minęły, i odetchnęłam z ulgą.

- Gdy wrócimy do twojego laboratorium, będziesz mógł przetestować twoją teorię - zniżyłam głos. - A gdy Sara i Em dowiedzą się, że zostaną ciotkami, nie będziesz miał problemów z uzyskaniem od nich próbek krwi ani zapewnienia, że chętnie zajmą się dzieckiem. Jeśli o to idzie, są jak harpie: od lat opiekują się dziećmi sąsiadów, by ten babciny głód zaspokoić.

To wreszcie wywołało uśmiech.

- Babciny głód? Cóż za brzydkie wyrażenie! - Matthew podszedł do mnie. - Pewnie przez tyle wieków Ysabeau też na to zapadła.

- Cóż za przerażająca myśl! - Udałam, że przeszedł mnie dreszcz.

Właśnie w takich momentach - gdy rozmawialiśmy o tym, jak na tę wiadomość zareagują inni, a nie jak my się do tego odnosimy - naprawdę czułam się w ciąży. Moje ciało ledwie rejestrowało to, że nosi nowe życie, i w czasie codziennej krzątaniny łatwo zapominaliśmy, że niedługo zostaniemy rodzicami. Zdarzało się, że przez całe dni

nie poświęcałam tej myśli ani sekundy, po czym przypominałam sobie o tym, gdy Matthew przytulał się do mnie w środku nocy, kładł dłonie na moim brzuchu i wsłuchiwał się w oznaki nowego życia.

- A mnie przeraża myśl, że mogłoby ci się coś stać. -Matthew wziął mnie w ramiona. - Uważaj na siebie, *ma lionne* - wyszeptał mi w ucho.

- Będę uważać, obiecuję.

- Nie rozpoznalabyś niebezpieczeństwa, nawet gdyby przyszło i ci się przedstawiło. - Odsunął się, by spojrzeć mi w oczy. - Pamiętaj, wampiry są inne niż ciepłokrwisici. Nie lekceważ tego, jak mogą być zabójcze.

Ostrzegawcze słowa Matthew długo jeszcze mnie męczyły. Zaczęłam przyglądać się mieszkającym z nami wampirom, wypatrując drobnych znaków sugerujących, że chcą coś zrobić, są głodne, zmęczone, znudzone czy zaniepokojone. Były to subtelne i łatwe do przegapienia znaki. Gdy Annie minęła Gallowglassa, ten przymknął powieki, by skryć łśniący w nich płomyk pożądania, ale stało się to tak szybko, że równie dobrze mogło mi się tylko wydawać; możliwe też, że zachłyśnięcie się powietrzem przez Hancocka, gdy ulicą przeszła grupa ludzi, było tylko wytworem mojej wyobraźni.

Nie wyobrażałam sobie natomiast dodatkowych opłat za usuwanie krwi z ich ubrań. Gallowglass i Hancock polowali i żywili się na mieście, Matthew się jednak do nich nie przyłączał. Ograniczał się do tego, co Françoise dostarczała mu od rzeźników.

W poniedziałkowe popołudnie, gdy tradycyjnie wybrałyśmy się z Annie do Mary, zwracałam na otoczenie uwagę większą niż kiedykolwiek od naszego przyjazdu. Tym razem nie starałam się jednak chłonąć szczegółów elżbietańskiego życia, ale upewniałam się, czy nie jesteśmy obserwowani bądź śledzeni. Miałam Annie na wyciągnięcie ręki, a Pierre mocno przytrzymał Jacka. Stwierdziliśmy, że tylko twar-

da ręka może ustrzec chłopca przed „lepkimi łapami”, jak to określił Hancock. Mimo usilnych starań Jack wciąż coś podkradał. By to zwalczyć, Matthew wprowadził w domu nowy zwyczaj. Każdego wieczoru Jack musiał opróżniać swoje kieszenie i wyjaśniać, jak zdobył liczne błyszczące przedmioty. Na razie nie powstrzymało to jego zapędów.

Biorąc pod uwagę jego „lepkie łapy”, nie mogłam go zabrać do eleganckiego domu hrabiny Pembroke. Zostawiłam Jacka z Pierre'em, a do posiadłości weszliśmy same. Buzia dziewczynki rozpromieniła się na myśl o ploteczkach ze służącą Mary, Joan, i o kilku godzinach wolności od Jacka.

- Diano! - zawołała Mary, gdy przekroczyłam próg laboratorium.

Ilekcio tu wchodziłam, widok kolorowych fresków ilustrujących tworzenie kamienia filozoficznego zapierał mi dech w piersiach.

- Chodź, chcę ci coś pokazać.

- Czy to ta twoja niespodzianka?

Mary sugerowała, że niedługo zachwyci mnie swoimi alchemicznymi zdolnościami.

- Tak - oparła, biorąc ze stołu dziennik. - Spójrz, mamy dziś osiemnasty styczenia, a zaczęłam pracę dziewiątego grudnia. Zajęło mi to dokładnie czterdzieści dni, tak jak przepowiadali mędrcy.

Czterdziestka była znaczącą liczbą w pracy alchemicznej, więc mogło to dotyczyć wielu doświadczeń. Przejrzałam jej wpisy, próbując odkryć, czym się zajmowała. Przez ostatnie dwa tygodnie nauczyłam się skrótów Mary i symboli, którymi określała różne metale i substancje. Jeśli dobrze rozumiałam, zaczęła to doświadczenie, rozpuszczając uncję srebra w *aqua fortis* - w dosłownym tłumaczeniu silnej wodzie, czyli kwasie azotowym. Do tego dodała wody destylowanej.

- Czy tak oznaczasz rtęć? - zapytałam, wskazując nieznaną hieroglify.



- Owszem, ale tylko tę, którą uzyskuję z najlepszego źródła w Niemczech.

Mary nie żałowała środków, gdy chodziło o jej laboratorium, odczynniki czy sprzęt. Pociągnęła mnie w stronę dużej szklanej kolby, kolejnego przykładu jej dbałości o jakość bez względu na cenę. Była bez skazy i przezroczysta jak kryształ, co oznaczało, że została sprowadzona z Wenecji. Szkło angielskie, produkowane w hrabstwie Sussex, miało zwykle skazy w postaci malutkich bąbelków i przebarwień. Hrabina Pembroke wołała towary weneckie i mogła sobie na nie pozwolić.

Gdy zobaczyłam, co jest w środku, poczułam ostrzegawcze ukłucie.

Z maleńkiego ziarenka na dnie kolby wyrastało srebrne drzewo. Z pnia wychodziły konary, które rozgałęziając się, wypełniały całą górę naczynia błyszczącymi witkami. Malutkie kuleczki na końcu gałązek wyglądały jak owoce, dojrzałe i gotowe do zbiorów.

- *Arbor Diana* - odezwała się dumnie Mary. - Zupełnie jakby Bóg natchnął mnie, bym je stworzyła na twoje powitanie. Już wcześniej próbowałam je wyhodować, ale nigdy mi się nie udawało. Nikt, kto je zobaczy, nie będzie mógł zaprzeczyć prawdziwości i mocy sztuki alchemicznej.

Drzewo Diany, zwane też drzewem filozoficznym, wyglądało imponująco. Lśniło i rozrastało się na moich oczach, wciąż wypuszczając nowe gałązki, by całkiem zapełnić naczynie. Świadomość, że to tylko dendryt kryształów srebra, nie umniejszała zachwyty, jaki budził we mnie ten metal, przechodzący jakby proces wegetatywny.

Na ścianie naprzeciwko widniał fresk przedstawiający smoka, który siedział nad podobnym do użytego przez Mary naczyniem. Trzymał ogon w paszczy, a skapujące zeń krople krwi wpadały do srebrzystego płynu poniżej. Rozejrzałam

się za kolejnym obrazem z serii - wyobrażeniem ptaka Hermesa, który leciał w stronę tego chemicznego ślubu. Ptak przypominał mi tego z ilustracji ślubu w *Ashmole* 782.

- Wydaje mi się, że dałoby się wymyślić szybszą metodę osiągnięcia tego samego rezultatu - odezwała się Mary, przykuwając znów moją uwagę. Z wysoko upiętych włosów wyciągnęła pióro, zostawiając nad uchem czarną smugę. - Jak sądzisz, co by się stało, gdybyśmy wsypały do *aqua fortis* same opiłki srebra?

Spędziłyśmy przyjemne popołudnie, dyskutując o nowych sposobach stworzenia drzewa Diany, ale nasz czas szybko dobiegł końca.

- Zobaczymy się w czwartek? - zapytała Mary.

- Niestety, mam inne zobowiązania - odparłam. Przed zachodem słońca miałam być u Mateczki Alsop.

Mary posmutniała.

- To może piątek?

- Zgoda, piątek.

- Diano, dobrze się czujesz?

- Tak - odparłam zaskoczona. - Czy wyglądam niezdrowo?

- Jesteś blada i wydajesz się zmęczona - stwierdziła. - Jak większość matek, zwykłam... och...

Zamilkła nagle i zaczerwieniła się mocno. Spojrzała na mój brzuch, a potem znów na twarz.

- Jesteś przy nadziei.

- W najbliższych tygodniach będę miała do ciebie wiele pytań. - Wzięłam ją za rękę i uścisnęłam.

- Jak długo? - zapytała.

- Niedługo. - Uważałam, by nie odpowiadać jednoznacznie.

- Ale dziecko nie może być Matthew. Wampierz nie jest w stanie spłodzić dziecka. - Mary uniosła dłoń i zdziwiona

zasłoniła usta. - Matthew zgadza się na dziecko, mimo że nie jest jego?

Co prawda Matthew ostrzegł mnie, że wszyscy uznają, iż to nie on spłodził dziecko, ale nie ustaliliśmy, jak odpowiadać na takie stwierdzenie. Musiałam coś wymyślić.

- Uważa je za własną krew - odparłam stanowczo. Moja odpowiedź zdawała się ją tym bardziej niepokoić.

- Masz szczęście, że Matthew jest tak szlachetny, gdy idzie o ochronę tych, którzy są w potrzebie. A ty... Czy zdołasz kochać dziecko, mimo że wzięto cię wbrew twojej woli?

Mary sądziła, że zostałam zgwałcona... i że Matthew ożenił się ze mną tylko po to, by uchronić mnie przed hańbą samotnej matki.

- Dziecko jest niewinne. Nie mogę odmówić mu miłości. - Uważałam, by nie zaprzeczyć ani nie potwierdzić podejrzeń Mary.

Na szczęście moja odpowiedź ją zadowoliła i, jak zwykle, Mary nie drążyła dalej tematu.

- Jak się zapewne domyślasz, nie chcemy o tym rozpowiadać tak długo, jak to możliwe - dodałam.

- Oczywiście. Nakażę Joan zrobić dla ciebie budyń, który wzmocni ci krew, nie nadwężając przy tym żołądka; jada się go przed snem. Podczas mojej ostatniej ciąży bardzo mi to pomogło, ulżyło w porannych mdłościach.

- Jak to dobrze, że ta przypadłość mnie nie męczy - odparłam, naciągając rękawiczki. - Matthew zapewnia, że to tylko kwestia dni.

- Hmm... - Po twarzy Mary przemknął cień. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, co też tym razem

ją niepokoi, ale gdy ujrzała mój wyraz twarzy, uśmiechnęła się szeroko.

- Nie powinnaś się przemęczać. W piątek nie pozwolę ci tak długo stać, a do pracy będziesz siadać na stołku. - Zaczęła poprawiać mi płaszcz. - Unikaj przeciągów. I niech

Françoise robi ci kataplazmy, jeśli zaczną ci puchnąć nogi. Wyślę przepis wraz z budyniem. Czy mam wezwać moją łódź, by podwiozła was na Water Lane?

- To tylko pięciominutowy spacer! - roześmiałam się.

W końcu Mary zgodziła się, bym wróciła piechotą, ale dopiero gdy zapewniłam ją, że będę unikać przeciągów, zimnej wody i hałasu.

Tej nocy śniłam, że śpię w cieniu drzewa, które wyrastało z mojego łona. Jego gałęzie osłaniały mnie przed światłem księżyca, a gdzieś w mroku, wysoko nad moją głową latał smok. Gdy dotarł do księżyca, oplótł go ogonem, a srebrny glob poczerwieniał.

Obudziłam się w pustym łóżu, w przesiąkniętej krwią pościeli.

- Françoise! - krzyknęłam, czując nagły, ostry skurcz. Ale to Matthew przybiegł na moje wołanie. Widok jego zrozpaczonej miny potwierdził moje obawy.

### ROZDZIAŁ 3

Wszystkie traciłyśmy dzieci, Diano - odezwała się smutno Mateczka Alsop. - To ból znany większości kobiet.

- Wszystkie? - Rozejrzałam się wokół, patrząc na twarze czarownic z rodziny Garlickhythe.

Posypały się opowieści o dzieciach utraconych w połogu i o tych, które zmarły, mając sześć miesięcy czy sześć lat. Nie znałam żadnej kobiety, która poroniła, a przynajmniej tak mi się wydawało. Czy to możliwe, że któraś z moich przyjaciółek przechodziła przez coś takiego, a ja o tym nie wiedziałam?

- Jesteś młoda i silna - odezwała się Susanna. - Nie ma powodu, dla którego nie mogłabyś powić kolejnego dziecka.

Żadnego, poza tym, że mój mąż odmówił seksu ze mną do czasu, aż wrócimy do świata antykoncepcji i monitorowania płodów.

- Możliwe - wzruszyłam ramionami.

- A gdzie pan Roydon? - zapytała cicho Mateczka Alsop. Jej pomocnica krążyła wokół, zupełnie jakby sądziła, że znajdzie go na którejś z poduszek przy oknie albo na szafie.

- Załatwia swoje sprawy - odparłam, owijając się ciasniej szalem Susanny. Pachniał przypalonym cukrem i rumiankiem, jak ona sama.

- Słyszałam, że wczoraj spędził wieczór z Christopherem Marlowe'em w hallu Middle Tempie. Podobno oglądał sztukę. - Catherine podała Mateczce Alsop pudełko z karmelkami.

- Zwyczajni ludzie niezmiernie cierpią po stracie dziecka. Nie dziwię się, że dla wampierza to przeżycie jest wyjątkowo trudne. W końcu jest bardzo zaborczy. - Mateczka Alsop sięgnęła po czerwoną galaretkę. - Dziękuję, Catherine.

Kobiety czekały w milczeniu, licząc, że dam się pociągnąć za język Mateczce Alsop lub Catherine i powiem, jak nam się wiedzie.

- Da sobie radę - wykrztusiłam.

- Powinien być tutaj - odezwała się ostro Elizabeth. - Nie rozumiem, czemu jego strata ma być boleśnieszka niż twoja!

- Bo Matthew przetrwał już tysiąc lat cierpienia, a ja tylko trzydzieści trzy - odparłam równie ostro. - Jest wampierzem, Elizabeth. Czy wolałabym, aby był tu teraz przy mnie, a nie z Kitem? Oczywiście. Czy będę go błagać, by został dla mnie Pod Łanią i Koroną? Na pewno nie.

Wraz ze wzrastającym bólem i frustracją mój głos stawał się coraz bardziej przenikliwy. Matthew zachowywał

się wobec mnie niezmiernie łagodnie i delikatnie. Pocięszał mnie, gdy zmagalam się z setkami marzeń, które rozsypały się w pył wraz ze stratą dziecka.

Ale to godziny, które spędzał gdzie indziej, tak mnie niepokoiły.

- Rozum mówi mi, że Matthew ma prawo rozpaczać na swój sposób - odezwałam się. - A serce, że mnie kocha, chociaż woli spędzać czas z przyjaciółmi. Chciałabym tylko, by mógł mnie dotykać bez żalu.

Czułam ten żal za każdym razem, gdy na mnie patrzył, brał za rękę, przytulał. To było nie do zniesienia.

- Tak mi przykro, Diano - powiedziała ze skrucą Elizabeth.

- Nic się nie stało - zapewniłam.

Ale nie była to prawda. Cały świat zdawał się przeobrażony. Kolory były zbyt intensywne, dźwięki tak głośne, że aż podskakiwałam, ciało puste i bez względu na to, co próbowałam czytać, nie mogłam się skupić.

- Zobaczymy się jutro, zgodnie z planem - oświadczyła żywo Mateczka Alsop, gdy pozostałe czarownice wyszły.

- Jutro? - Zmarszczyłam brwi. - Nie jestem w nastroju do zabawy magią, Mateczko.

- A ja nie jestem w nastroju, by położyć się do grobu, nim utkasz swój pierwszy czar, więc oczekuję, że pojawisz się tutaj, gdy dzwony będą bić na szóstą.

Tej nocy wpatrywałam się w ogień, gdy dzwony biły na szóstą, siódmą, ósmą, dziewiątą, dziesiątą... Gdy wybiły trzecią, usłyszałam jakieś szuranie na schodach. Sądząc, że to Matthew, podeszłam do drzwi. Na schodach nie było nikogo, leżało natomiast kilka przedmiotów - skarpetka dziecka, gałązka ostrokrzewu, zwitek papieru z wypisanym na nim imieniem mężczyzny. Usiadłam na zimnym stopniu, otuliłam się mocniej szalem i zebrałam wszystkie te przedmioty na podółku.

Wciąż próbowałam zgadnąć, co oznaczają te wszystkie dary i jak się tu znalazły, gdy niczym cień pojawił się Matthew. Przystanął gwałtownie.

- Diana. - Przeciągnął wierzchem dłoni po ustach. Oczy lśniły mu zielono.

- Przynajmniej pożywasz się, gdy jesteś z Kitem -stwierdziłam, wstając. - Dobrze wiedzieć, że wasza przyjaźń wiąże się z czymś więcej niż recytacja wierszy i gra w szachy.

Matthew postawił stopę obok moich stóp i przycisnął mnie kolanem do ściany, uniemożliwiając ucieczkę. Jego oddech był słodki i lekko metaliczny.

- Będziesz się za to jutro nienawdził - stwierdziłam spokojnie, odsuwając głowę. Wiedziałam, że nie wolno uciekać, gdy na jego wargach wciąż lśni krew. - Kit powinien był cię zatrzymać przy sobie, aż pozbędziesz się z organizmu narkotyków. Czy cała londyńska krew ma w sobie opiaty?

Już drugą noc Matthew wychodził z Kitem i wracał kompletnie zamroczony.

- Nie cała - mruknął Matthew. - Ale na taką najłatwiej trafić.

- Co to? - Uniosłam skarpetkę, ostrokrzew i zwitek papieru.

- To dla ciebie - odparł Matthew. - Każdej nocy przynoszą nowe. Zabieramy je z Pierre'em, nim się obudzisz.

- Kiedy to się zaczęło? - Nie potrafiłam powiedzieć nic więcej.

- Na tydzień przed... W tygodniu, w którym spotkałaś się z Radą. Większość to prośby o pomoc. A od... od poniedziałku także dary dla ciebie. - Matthew wyciągnął rękę. - Zajmę się nimi.

Przytuliłam je do serca.

- Gdzie reszta?

Zacisnął usta, ale pokazał mi, gdzie je trzyma - w pudełku na strychu, wsuniętym pod jedną z ław. Przejrzałam

zawartość, która przypominała mi trochę to, co każdego wieczora wyciągał ze swoich kieszeni Jack: guziki, ścinki wstążek, kawałek sztucznej zastawy. Były też pukle włosów i dziesiątki karteczek z imionami. Choć większość ludzi nie mogła tego dostrzec, ja widziałam, że z każdego przedmiotu zwisają postrzępione magiczne nici, czekając, aby je odwiązać, połączyć czy też wygładzić.

- To proszę o magię. - Spojrzałam na Matthew. - Nie powinieneś być tego przede mną ukrywać.

- Nie chcę, abyś rzucała czary dla wszystkich stworzeń z Londynu - oczy Matthew pociemniały.

- A ja nie chcę, abyś jadał obiady na mieście, po czym chodził na popijawy z przyjaciółmi! Ale jesteś wampirem i czasami właśnie to musisz robić - odgryzłam się. - Jestem czarownicą, Matthew! Do takich próśb należy podchodzić z rozwagą. Nasze bezpieczeństwo zależy od moich kontaktów z naszymi sąsiadami. Nie mogę kraść łodzi i warzeć na ludzi jak Gallowglass.

- Milordzie! - Pierre stał po drugiej stronie strychu, skąd wąskie schodki prowadziły do ukrytego wyjścia obok olbrzymich bali praczek.

- Co? - burknął Matthew.

- Agnes Sampson nie żyje. - Pierre wyglądał na przerażonego. - W sobotę zabrali ją na zamkowe wzgórze w Edynburgu, ścięli i spalili ciało.

- Chryste... - Matthew pobladł.

- Hancock powiedział, że nie żyła, nim podpalili drwa. Nic nie poczuła - ciągnął Pierre. To był drobny akt litości, na który nie każda skazana czarownica mogła liczyć. - Odmówili przeczytania pańskiego listu. Poradzili Hancockowi, żeby zostawił szkocką politykę szkockiemu królowi, bo inaczej następnym razem, gdy pojawi się w Edynburgu, zaczną go łamać kołem.

- Czemu nie mogę tego naprawić?! - wybuchnął Matthew.



- A więc nie tylko strata dziecka pcha cię w ciemności Kita. Kryjesz się też przed wydarzeniami w Szkocji.

- Bez względu na to, jak bardzo się staram wszystko naprawić, nie potrafię wyłamać się z tego zaklętego kręgu - jęknął Matthew. - Poprzednio, jako szpieg królowej, radowałem się ze szkockich problemów. Jako członek Kongregacji uważałem, że śmierć Sampson to dopuszczalna cena za zachowanie *status quo*. Ale teraz...

- Teraz masz czarownicę za żonę - przerwałam mu. -I wszystko wygląda inaczej.

- Tak. Tkwię pomiędzy tym, w co kiedyś wierzyłem, a tym, co jest mi teraz drogie, czego kiedyś z dumą broniłem jak prawdy objawionej, i ogromem tego, czego już nie wiem.

- Wróć do miasta - odezwał się Pierre, podchodząc do drzwi. - Może trzeba się dowiedzieć czegoś więcej.

Spojrzałam na zmęczoną twarz Matthew.

- Nie możesz wymagać od siebie zrozumienia wszystkich życiowych tragedii, Matthew. Ja też cierpię z powodu straty dziecka. Wiem, że teraz wydaje się to niewyobrażalne, ale to wcale nie znaczy, że nie czeka nas wspaniała przyszłość, w której nasza rodzina i dzieci będą bezpieczne.

- Poronienie w tak wczesnym stadium ciąży prawie zawsze oznacza jakąś anomalię genetyczną, która nie dopuszcza do przetrwania płodu. Jeśli to zdarzyło się raz... -zamilkł.

- Istnieją anomalie genetyczne, które nie skazują na poronienie - zauważyłam. - Jak choćby ja.

Byłam chimera, z zakłóconym DNA.

- Nie zniosę utraty kolejnego dziecka, Diano. Po prostu nie zniosę...

- Wiem. - Byłam wykończona i jak on pragnęłam tylko błogosławionego zapomnienia, jakie daje sen. Nie znałam swojego dziecka tak, jak on znał Lucasa, a mimo to mój ból też był dojmujący.

- O szóstej wieczorem muszę być u Mateczki Alsop. -Spojrzałam na niego. - Czy znów wychodzisz z Kitem?

- Nie - szepnął Matthew. Przycisnął usta do moich, krótko, z żalem. - Będę z tobą.

Dotrzymał słowa i odprowadził mnie do Mateczki Alsop, po czym wybrał się z Pierre'em do Złotej Gąski. Czarownice w najdelikatniejszy możliwy sposób wyjaśniły, że wampierze nie są u nich mile widziane. Przeprowadzenie prądki bezpiecznie przez jej preczar wymagało uwolnienia sporej dawki nadnaturalnej, magicznej energii. Wampierze tylko by w tym przeszkadzały.

Moja ciotka Sara na pewno z uwagą przyglądałaby się, jak Susanna i Marjorie przygotowywały święty krąg. Wiele substancji i przedmiotów, których używały, wyglądało znajomo - jak sól wysypywana przez nie na deski podłogi, by oczyścić przestrzeń - ale inne były mi zupełnie nieznane. Zestaw Sary jako czarownicy składał się z dwóch noży -jednego z czarną, drugiego z białą rękojeścią - grymuara Bishopów i różnych ziół i roślin. Czarownice czasów elżbietańskich potrzebowały znacznie większej liczby przedmiotów, w tym mioteł. Nigdy wcześniej nie widziałam czarownicy z miotłą, chyba że w Halloween, kiedy są one nieodłącznym elementem stroju, podobnie jak spiczaste kapelusze.

Każda z czarownic ze zgromadzenia w Garlickhythe przyniosła ze sobą inną miotłę. Miotła Marjorie była z gałęzi wiśni. Na końcu kija ktoś wyrył jakieś glify i symbole. Zamiast zwykłych witek w miejscu, gdzie gałąź się rozwidlała, Marjorie przywiązała do niej suszone zioła i gałązki. Powiedziała mi, że zioła są ważne dla jej magii - rzepik pomaga łamać zaklęcia, wrotycz o białożółtych kwiatach chroni, a twarde łodygi rozmarynu o zielonkawoniebieskich liściach służą oczyszczaniu i prawdzie. Miotła Susanny była z wiązu - symbolizował fazy życia, od narodzin do śmierci,

i łączył się z jej zawodem akuszerki. Podobnie jak rośliny, które do niego przytwierdziła - mięsiste, zielone liście nasięźrzału do uzdrawiania, białe, mechate kwiaty sadzca dla ochrony i spiczaste liście starca dla zdrowia.

Marjorie i Susanna, poruszając się zgodnie z ruchem słońca, starannie posypały solą podłogę tak, by drobne ziarenka znalazły się wszędzie. Jak wyjaśniła mi Marjorie, sól nie tylko miała oczyścić przestrzeń, ale także unieruchomić ją tak, by moja moc, gdy w pełni się uwolni, nie wyciekła poza krąg, do zewnętrznego świata.

Mateczka Alsop zabezpieczyła okna, drzwi, a nawet komin. Domowe duchy otrzymały zakaz pętania się pod nogami i mogły wybrać, czy wolą siedzieć wśród belek stropowych, czy też wynieść się na jakiś czas do rodziny, która mieszkała na parterze. Nie chcąc utracić nic z przedstawienia i czując lekką zazdrość wobec pomocnicy, która musiała zostać ze swoją panią, duchy rozsiadły się między krokwiemi i zaczęły plotkować o tym, czy mieszkańcy Newgate Street zaznają jeszcze spokoju, od kiedy średniowieczna królowa Isabella i morderczyni lady Agnes Hungerford znów prowadziły ze sobą wojnę.

Elizabeth i Catherine uspokajały mnie i zagłuszały upiorne kwestie potwornych poczynań i śmierci lady Agnes, opowiadając o swoich pierwszych przygodach z magią i wypytyjąc o moje.

Elizabeth była pod wrażeniem tego, jak poprowadziłam wodę spod sadu Sary, przyciągając ją kropla po kropli. A Catherine piała z zachwytu, gdy usłyszała, jak ciężyły mi łuk i strzała na moment przed uwolnieniem magicznego ognia.

- Księżyc wzeszedł - odezwała się Marjorie, a twarz jej się rozpromieniła.

Okiennice były zamknięte, ale nikt nie podawał jej słów w wątpliwość.

- A więc nadszedł czas - zawołała raźnie Elizabeth. Wszystkie czarownice obeszyły po kolei pokój, w każdym

kącie pozostawiając odłamaną ze swojej miotły gałązkę. Nie układały ich jednak w zwykłe stosiki. Tworzyły z nich pentagramy, pięcioramienne gwiazdy czarownic.

Stanęłyśmy z Mateczką Alsop w środku kręgu. Jego granic nie było na razie widać, ale gdy czarownice zajęły swoje miejsca, Catherine wyszeptała zaklęcie i pomiędzy nimi przebiegła zakrzywiona linia ognia, zamykając krąg.

W jego środku zebrała się moc. Mateczka Alsop ostrzegała mnie, że to, na co się porywamy, wyzwala starodawną magię. Po chwili pulsującą falę energii zastąpiło coś, co dygotało i strzelało jak tysiące spojrzeń wiedźm.

- Rozejrzyj się wokół swoim wzrokiem czarownicy - odezwała się Mateczka Alsop. - I powiedz mi, co widzisz.

Otwierając swoje trzecie oko, spodziewałam się, że ujrzę ożywione powietrze, jakby każda cząstka naładowana była potencjałem możliwości. Okazało się jednak, że cały pokój wypełniony jest włóknami magii.

- Nici - odparłam. - Jakby cały świat był jednym wielkim kilimem.

Mateczka Alsop skinęła głową.

- Aby być prządką, musisz łączyć się z otaczającym światem i dostrzegać jego wątki i odcienie. Niektóre więzy blokują twoją magię, inne wiążą moc w twojej krwi z czterema żywiołami i wielkimi tajemnicami, które się za nimi kryją. Tkacze uczą się, jak rozwiązywać te więzy, które wstrzymują użycie innych.

- Ale nie wiem, jak je rozróżnić. - O moje suknie ocierały się setki nici.

- Niedługo je wypróbujesz, tak jak ptak wypróbowuje skrzydła, by odkryć ich sekrety. Na razie po prostu je przetniemy, by mogły powrócić do ciebie niezwiązane. Gdy rozetnę wątki, musisz pohamować pragnienie, by pochwycić

otaczającą cię moc. Jesteś prządką, więc będziesz chciała powiązać to, co zerwane. Uwolnij myśli i oczyść umysł. Pozwól działać mocy.

Mateczka Alsop puściła moją rękę i zaczęła tkąć czar, wydając odgłosy, które nie przypominały słów, ale były dziwnie znajome. Po każdym z nich widziałam, jak odpadają ode mnie kolejne nici, zwijając się i płacząc. W uszach zaczęło mi szumieć. Moje ręce, jak na komendę, uniosły się i rozprostowały na boki, tak że stałam w takiej samej pozycji, w jakiej ustawił mnie Matthew w domu Bishopów, gdy wydobyłam wodę spod starego sadu Sary.

Sznury magii - wszystkie te wątki mocy, którą mogłam pożyczyć, ale nie zatrzymać - zbliżyły się do mnie, zupełnie jakby były z żelaza, a ja stanowiłam magnes. Gdy ułożyły mi się w dłoniach, z trudem hamowałam chęć zaciśnięcia na nich palców. Pragnienie było silne, tak jak przepowiedziała Mateczka Alsop, ale pozwoliłam im zsunąć się po mojej skórze, jak atlasowym wstążkom, o których w dzieciństwie opowiadała mi matka. Na razie wszystko działo się tak, jak opisała to Mateczka Alsop. Ale nikt nie mógł zgadnąć, co może się wydarzyć, gdy moje moce nabiorą kształtu, więc zebrane wokół czarownicy przygotowały się na każdą ewentualność. Mateczka Alsop ostrzegła mnie, że nie wszyscy tkacze tworzą chowańca podczas preczaru i nie powinnam tego oczekiwać. Ale przez ostatnie kilka miesięcy nauczyłam się, że gdy byłam w pobliżu, to, co nieoczekiwane, zdarzało się częściej, niż można by przypuszczać.

Huk spotęźniał, a powietrze zadrżało. Nad moją głową zawisła wirująca kula energii. Wyciągała moc z pomieszczenia, ale wciąż zapadała się w sobie, jak czarna dziura. Zamknęłam trzecie oko, by nie patrzeć na to oszałamiające, przyprawiające o zawrót głowy zjawisko.

Coś zaczęło pulsować w matni. Wyrwało się i przybrało błądy kształt. Gdy tylko to nastąpiło, Mateczka Alsop

zamilkła. Posłała mi ostatnie, długie spojrzenie, po czym zostawiła mnie samą w środku kręgu.

Rozległ się łopot skrzydeł, machnął ząbkowany ogon. Gorący, wilgotny oddech owionął mój policzek. W powietrzu unosiło się półprzezroczyste stworzenie o gadzim pysku smoka i lśniących skrzydłach, które uderzały o krokwie, strasząc duchy. Miało tylko dwie łapy, a zakrzywione szpony wyglądały równie groźnie, jak kolce na długim ogonie.

- Ile ma nóg? - zawołała Marjorie, nie widząc stwora wyraźnie ze swojego miejsca. - To zwykły smok?

Zwykły smok?

- To ognista wiwerna - krzyknęła zachwycona Catherine. Uniosła ramiona, szykując się do rzucenia ochronnego zaklęcia, gdyby stwór postanowił zaatakować. Elizabeth Jackson zrobiła to samo.

- Czekaście! - zawołała Mateczka Alsop, powstrzymując je. - Diana nie skończyła jeszcze tkać. Może zdoła zapanować nad wiwerną.

Zapanować nad wiwerną? Spojrzałam z niedowierzaniem na Mateczkę. Nie wiedziałam nawet, czy ten stwór jest materialny. Zdawał się prawdziwy, ale był przezroczysty.

- Nie wiem, co robić - zaczęłam panikować.

Każde machnięcie skrzydłami wywoływało deszcz iskier i ognistych kropli.

- Niektóre czary zaczynają się od pomysłu, inne od pytania. Można sobie z tym poradzić na wiele sposobów: wiążąc węzeł, tworząc linę, a nawet wykuwając łańcuch, jak ten, którym połączyłaś się ze swoim wampierzem - odezwała się cicho i spokojnie Mateczka Alsop. - Pozwól działać mocy.

Ognista wiwerna ryknęła zniecierpliwiona i wyciągnęła do mnie łapy. Czego chciała? Złapać mnie i wynieść z domu? Usiąść gdzieś wygodnie i złożyć skrzydła?

Podłoga pode mną skrzypnęła.

- Odsuń się! - krzyknęła Marjorie.

Zrobiłam to w ostatniej chwili, bo zaraz z miejsca, gdzie stałam, zaczęło wyrastać drzewo. Pień potężniał, podzielił się na dwa grube konary i dzielił dalej, na gałęzie. Pączki zamieniły się w zielone listki, następnie pojawiły się białe kwiaty, a w końcu czerwone owoce. Po kilku sekundach znalazłam się pod rozłożystym drzewem, które kwitło i owocowało jednocześnie.

Wiwerna zacisnęła łapy na jednej z najwyższych gałęzi. Przez moment myślałam, że tam odpoczywa. Gałąź skrzypiała przeraźliwie. Wiwerna poderwała się znów do lotu, trzymając w szponach sękaty konar. Wysunęła język, plując strumieniem ognia, a drzewo stanęło w płomieniach. W pokoju było mnóstwo łatwopalnych przedmiotów - drewniane podłogi i meble, ubrania czarownic. Myślałam tylko o jednym: zatrzymać ogień. Potrzebowałam wody. I to dużo.

Poczułam ciężar w ręku. Spojrzałam w dół. Wiadro? Ale trzymałam strzałę. Magiczny ogień. Lecz jak mogło mi pomóc więcej ognia?

- Nie, Diano! Nie próbuj stworzyć czaru! - ostrzegła mnie Mateczka Alsop.

Porzuciłam myśli o deszczu i rzekach. Gdy tylko to zrobiłam, instynkt wziął górę, wyciągnęłam przed siebie ręce, prawa dłoń się cofnęła, a gdy rozprostowałam palce, w środek drzewa poszybowała strzała. Płomienie, oślepiając mnie, buchnęły w górę. Żar zniknął, a gdy odzyskałam wzrok, ujrzałam, że stoję na szczycie góry, pod rozgwieżdżonym niebem. Nisko nad ziemią wisiał potężny księżyc w nowiu.

- Czekałam na ciebie. - Głos bogini był niewiele głośniejszy od tchnienia wiatru.

Spowijały ją delikatne szaty, a włosy spływały kaskadami na plecy. Nie widziałam jej tradycyjnej broni; u jej boku szedł potężny pies. Tak duży i czarny, że mógł być nawet wilkiem.

- To ty! - Ogarnął mnie lęk. Od kiedy straciłam dziecko, spodziewałam się ujrzeć boginię. - Wzięłaś moje dziecko w zamian za życie Matthew? - W moim pytaniu brzmiała wściekłość i rozpacz.

- Nie. Tamten dług został spłacony. Wzięłam już inne. Martwe dziecko nie jest dla mnie nic warte. - Oczy łowczyni były zielone jak pierwsze pędy wierzby na wiosnę.

Przeszył mnie dreszcz.

- Czyje życie wzięłaś?

- Twoje.

- Moje? - osłupiałam. - Czy ja... umarłam?

- Oczywiście, że nie. Martwi należą do kogoś innego. Mnie są potrzebni żywi. - Głos łowczyni był teraz równie przesywający i jasny, jak promień księżyca. - Obiecałaś mi kogokolwiek, cokolwiek, w zamian za życie tego, którego kochasz. Wybrałam ciebie. I jeszcze z tobą nie skończyłam.

Bogini zrobiła krok naprzód.

- Oddałaś mi swoje życie, Diano Bishop. Nadeszła pora, by go użyć.

Krzyk nad głową uprzedził mnie, że w pobliżu jest ognista wiwerna. Spojrzałam w górę, próbując ją dostrzec na tle księżyca. Gdy zamrugałam, jej zarys pojawił się na suficie Mateczki Alsop. Znów byłam w domu czarownicy, a nie na łysym wzgórzu z boginią. Drzewo zniknęło. Pozostała tylko mała sterta popiołu. Znów zamrugałam.

Wiwerna odpowiedziała mrugnięciem. Miała smutne, znajome oczy - czarne, o raczej srebrnych niż białych białkach. Znów ostro krzyknęła i rozluźniła szpony. Na moje ręce upadła gałąź. Była jak drzewce strzały, cięższa i solidniejsza, niż się wydawało. Wiwerna pokiwała głową. Z nozdrzy buchał jej dym. Chciałam wyciągnąć rękę i jej dotknąć, ciekawa, czy jej skóra jest ciepła i równie delikatna, jak wężowa, ale coś mi mówiło, że to by jej się nie spodobało. A nie chciałam jej przestraszyć. Mogła wystrzelić



w górę i wybić dziurę w dachu. Dom Mateczki Alsop już dość wycierpiał od drzewa i ognia.

- Dziękuję - wyszeptalam.

Wiwerna odpowiedziała mi cichym jękiem ognia i pieśni. Spojrzała na mnie srebrno-czarnymi, przedwiecznymi oczami, machając w zadumie ogonem. Rozpostarła skrzydła, po czym owinęła się nimi i zniknęła.

Jedyne, co z niej pozostało, to mrowienie, jakie czułam w żebrach; uświadamiało mi, że stwór jest we mnie i czeka, aż będzie mi potrzebny. Ciężar wiwerny przygniótł mnie tak, że padłam na kolana, a gałąź pomknęła po podłodze. Czarownice przyskoczyły do mnie.

Mateczka Alsop dotarła pierwsza i objęła mnie kościstymi ramionami.

- Dobrze się spisałaś, dziecko, bardzo dobrze - pochwaliła.

Elizabeth wyciągnęła do mnie dłoń i kilkoma słowami zamieniła ją w płytką srebrną czarkę pełną wody. Napiłam się, a pusta czarka zamieniła się z powrotem w dłoń.

- To wspaniały dzień, Mateczko Alsop - odezwała się Catherine, uśmiechając się od ucha do ucha.

- O tak, a jaki trudny dla tak młodej czarownicy - dodała Mateczka. - Diano Roydon, widzę, że w niczym się nie oszczędzasz. Najpierw okazuje się, że jesteś nie tylko czarownicą, ale też prządką. A następnie tkasz preczar, w którym pojawia się jarzębina tylko po to, by opanować ognistą wiwernę. Nie uwierzyłabym, gdybym tego nie zobaczyła.

- Widziałam boginię - odparłam. - I smoka.

- To nie był smok - zaprzeczyła Elizabeth.

- Miał tylko dwie łapy - wyjaśniła Marjorie. - A to znaczy, że to była istota nie tylko ognia, ale i wody, z darem przemieszczania się między tymi żywiołami. Ognista wiwerna to połączenie przeciwieństw.

- To samo dotyczy jarzębiny - dodała z dumnym uśmiechem Mateczka Alsop. - Nieczęsto się zdarza, by korona jarzębiny pojawiła się w jednym świecie, podczas gdy korzenie pozostają w innym.

Mimo panującej wokół wesołości uświadomiłam sobie, że myślę o Matthew. Czekał na wieści w Złotej Gąsce. Otworzyłam trzecie oko i rozejrzałam się za poskręcany wątkiem czerni i czerwieni, który prowadził od mojego serca przez pokój i dziurkę od klucza w ciemności za nią. Pociągnęłam go, a łańcuch we mnie odpowiedział przyjemnym brzękiem.

- Jeśli się nie mylę, pan Roydon będzie tu za chwilę, by zabrać żonę - odezwała się sucho Mateczka Alsop. - Trzeba cię podnieść z tej podłogi, bo posądzi nas o to, że nie potrafimy się tobą zaopiekować.

- Matthew bywa nadopiekuńczy - wyjaśniłam, jakbym przepraszała. - Jeszcze bardziej, od kiedy...

- Nigdy nie słyszałam o wampierzu, który by nie był. Taka ich natura. - Mateczka Alsop pomogła mi wstać. Powietrze znowu zgęstniało, ocierało się o moją skórę.

- Pan Roydon nie ma się czego w tej kwestii obawiać - odezwała się Elizabeth. - Dopilnujemy, byś znalazła drogę powrotną z ciemności, tak jak twoja wiewerna.

- Jakiej ciemności? Czarownice zamilkły.

- Jakiej ciemności? - powtórzyłam, opanowując zmęczenie.

Mateczka Alsop westchnęła.

- Bardzo niewiele czarownic może się przenosić między tym i innym światem.

- Wędrowczynie w czasie - skinęłam głową. - Tak, wiem. Jestem jedną z nich.

- Nie między tym czasem i następnym, Diano, lecz między tym światem i następnym. - Marjorie wskazała leżącą u moich stóp gałąź. - Życie. I śmierć. Możesz być

w obu tych światach. To dlatego wybrała cię jarzębina, a nie olszyna czy brzoza.

- Zastanawialiśmy się, czy może o to chodzić. W końcu zdołałaś począć dziecko wampierza. - Mateczka Alsop przyglądała mi się z uwagą. Pobladałam. - O co chodzi, Diano?"

- Pigwy. I kwiaty. - Nogi ugięły się przede mną, ale się me przewróciłam. - Trzewik Mary Sidney. I dąb w Madison.

- I wampierz - dodała cicho Mateczka Alsop; rozumiała mnie, mimo że nic nie wyjaśniłam. - Tyle znaków wskazujących nam prawdę.

Zza drzwi dobiegło ciche dudnienie.

- On nie może się dowiedzieć - powiedziałam z naciskiem, chwytając za rękę Mateczkę Alsop. - Nie teraz. Zbyt szybko po stracie dziecka, poza tym Matthew nie chce, bym mieszała się w sprawy życia i śmierci.

- Trochę już na to za późno - odparła smutno.

- Diano! - Matthew załomotał w drzwi.

- Wampierz rozwali drzwi - odezwała się Marjorie. - Pan Roydon nie zdoła złamać wiążącego czaru i wejść, ale gdy zdruzgocze drewno, drzwi narobią straszego hałasu. Pomyśl o swoich sąsiadach, Mateczko.

Mateczka Alsop skinęła dłonią. Powietrze zgęstniało. W mgnieniu oka przede mną pojawił się Matthew; zmierzył mnie spojrzeniem swoich szarych oczu.

- Co tu się wydarzyło?

- Jeśli Diana będzie chciała, abyś się dowiedział, powie ci - odezwała się Mateczka. Odwróciła się do mnie. - W obliczu tego, co tu zaszło, uważam, że jutro powinnaś spędzić czas z Catherine i Elizabeth.

- Dziękuję, Mateczko - wyszeptałam, wdzięczna, że nie zdradziła moich tajemnic.

- Chwileczkę. - Catherine podeszła do gałęzi i oderwała od mej malutką witkę. - Weź to. Zawsze noś ją przy sobie jako talizman.

Wsunęła mi w dłoń kawałeczek drewna.

Na ulicy oprócz Pierre'a czekali na nas Gallowglass i Hancock. Pomogli mi wsiąść do łodzi zacumowanej u stóp Garlic Mili. Gdy dotarliśmy do naszej karczmy na Water Lane, Matthew odesłał wszystkich i zostaliśmy sami w cudownej ciszy naszej sypialni.

- Nie muszę wiedzieć, co się wydarzyło - odezwał się zduszonym głosem, zamykając za sobą drzwi. - Muszę tylko wiedzieć, że naprawdę nic ci nie jest.

- Wierz mi, wszystko w porządku - stanęłam do niego plecami, by rozwiązał mi gorset.

- Boisz się czegoś. Czuję to. - Matthew odwrócił mnie do siebie.

- Boję się tego, czego mogę się o sobie dowiedzieć. - Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Dowiesz się prawdy - mówił z wielkim przekonaniem i troską. Ale nie wiedział o smoku i jarzębinie ani o tym, co one znaczą dla prządki. Nie wiedział również, że moje życie należy do bogini i że oddałam je, by go uratować.

- A co, jeśli stanę się kimś innym, kto nie będzie ci się podobał?

- To niemożliwe - zapewnił, przyciągając mnie do siebie.

- Nawet jeśli odkryjemy, że w mojej krwi płynie moc życia i śmierci?

Matthew odsunął się.

- To nie przypadek, że zdołałam cię uratować w Madison. Tchnęłam też życie w trzewiki Mary, tak samo jak odebrałam życie dębowi u Sary i pigwom.

- Życie i śmierć to duża odpowiedzialność. - Szarozielone oczy Matthew pociemniały. - Ale i tak będę cię kochał. Zapominasz, że ja także mam władzę nad życiem i śmiercią. Co powiedziałaś mi tamtej nocy, gdy poszedłem polować w Oksfordzie? Że nie ma między nami różnicy: „Ja od czasu do czasu jadam kuropatwy, ty od czasu do czasu żywisz się

jelonkami". Jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż nam się zdawało - ciągnął. - Ale jeśli wierzysz, że jest we mnie dobro, wiedząc o tym wszystkim, co zrobiłem w przeszłości, to musisz pozwolić, bym to samo myślał o tobie.

Nagle poczułam, że chcę mu o wszystkim opowiedzieć.

- Tam była ognista wiwerna i drzewo...

- Teraz ważne jest tylko to, że jesteś w domu, bezpieczna - zamknął mi usta pocałunkiem.

Tulił mnie tak długo i mocno, że przez kilka cudownych chwil prawie mu wierzyłam.

Następnego dnia, zgodnie z ustaleniami, poszłam do Mateczki Alsop na spotkanie z Elizabeth Jackson i Catherine Streeter. Towarzyszyła mi Annie, ale na czas trwania lekcji została odesłana do domu Susanny.

W kącie pokoju stała jarzębinowa gałąź. Poza tym pokój wyglądał normalnie, wcale nie przypominał miejsca, w którym czarownice nakreślają święte kręgi i przyzywają ogniste wiwerny. Mimo to liczyłam, że dojrzę więcej znaków mówiących o tym, że będzie się tu uprawiać magię - może jakiś kocioł albo kolorowe świece dla przywołania żywiołów.

Mateczka Alsop wskazała stół, wokół którego stały cztery krzesła.

- Chodź, Diano. Usiądź. Uznałyśmy, że najlepiej będzie zacząć od początku. Opowiedz nam o twojej rodzinie. Wiele można się dowiedzieć, śledząc rodowód czarownicy.

- Myślałam, że będziecie mnie uczyć, jak tkać czary z ognia i wody.

- A czymże jest krew, jeśli nie ogniem i wodą? - odparła Elizabeth.

Trzy godziny później gardło bolało mnie od gadania i czułam się wyczerpana wyciąganiem wspomnień z dzieciństwa - o wrażeniu, że ktoś mnie obserwuje, o wizytach Petera Knoksa, o śmierci rodziców. Ale to nie wystarczyło trzem czarownicom. Musiałam opisać też każdą chwilę w szkole

średniej i na studiach - demony, które mnie męczyły, kilka czarów, które potrafiłam rzucić bez większych problemów, dziwne wydarzenia zaraz po tym, jak spotkałam Matthew. Jeśli można było w tym dostrzec jakiś wzorzec, to mnie się to nie udało, ale Mateczka Alsop odesłała mnie do domu, zapewniając, że wkrótce będą miały gotowy plan działania.

Powlokłam się do zamku Beynardów. Mary posadziła mnie na krześle i nie pozwoliła sobie pomagać, mówiąc, że mam odpoczywać. Rozważała, co też poszło nie tak z naszą porcją *prima materia*, która zrobiła się czarna i mulista, a na wierzchu pokrył ją zielony nalot.

Mary pracowała, a ja błędziłam gdzieś myślami. Dzień był słoneczny, zadymione powietrze przeciął promień światła i padł na fresk przedstawiający alchemicznego smoka. Pochyliłam się.

- Nie - stwierdziłam. - To niemożliwe.

A jednak. Smok wcale nie był smokiem, gdyż miał tylko dwie łapy. To była ognista wiwerna; trzymała w pysku ząbkowany ogon, zupełnie jak uroboros ze sztandaru de Clermontów, i półksiężyc. Unosiła głowę ku niebu. Nad nią widniała wieloramienna gwiazda. Godło Matthew! Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć?

- Co się stało, Diano? - zapytała zaniepokojona Mary.

- Zrobisz coś dla mnie, nawet jeśli prośba wyda ci się dziwna?

Nie czekając na odpowiedź, zaczęłam rozwiązywać jedwabną tasiemkę wokół mojego nadgarstka.

- Oczywiście! Czego sobie życzysz?

Wiwerna roniła krople krwi do alembiku umieszczonego pod jej skrzydłami. W naczyniu krew tonęła w rtęci i srebrze.

- Pobierz moją krew i wlej do roztworu *aqua fortis*, srebra i rtęci - powiedziałam.

Mary rzuciła okiem na wiwernę, a potem znów na mnie.

- Bo czymże jest krew, jeśli nie ogniem i wodą, połączeniem przeciwieństw, chemicznym zaślubieniem?'

- Jak sobie życzysz, Diano - zdziwiona Mary nie zadawała więcej pytań.

Przesunęłam palcem po bliźnie na wewnętrznej stronie przedramienia. Tym razem nie potrzebowałam noża. Skóra rozeszła się tak, jak tego oczekiwałam, a do rany napłynęła krew, tylko dlatego, że jej potrzebowałam. Joan podbiegła by zebrać czerwony płyn do czarki. Na ścianie nade mną srebrno-czarne oczy wiewerny śledziły każdą kroplę.

- Na początku jest nieobecność i pożądanie, na początku jest krew i strach - wyszeptalam.

- Na początku jest odkrycie czarodziejstwa - odparł czas prastarym echem, które rozświetliło błękitne i bursztynowe wątki między kamiennymi ścianami sali.

#### ROZDZIAŁ 4

**Czy to dalej będzie się tak zachowywać?** - Stałam z rękami na biodrach, marszcząc brwi i wpatrując się w sufit.

- Ona, Diano. Twoja wiewerna jest samicą - odezwała się Catherine, przygnębiona. Ona także spoglądała w sufit.

- Ona. To. Tamto. - Wskazałam w górę. Próbowałam utkać czar, gdy moja wiewerna wyrwała się

z ukrycia w mojej klatce piersiowej. Znowu. Siedziała teraz przylepiona do sufitu, wydmuchując kłęby dymu i kłapiąc z podniecenia zębami.

- Nie może mi to, ona, wlatywać do pokoju czy sali za każdym razem, gdy ma na to ochotę. - Ładnie bym wyglądała, gdyby tak wyskoczyła podczas mojego wykładu w Yale.

- To, że twoja wiwerna ucieka, świadczy o znacznie poważniejszym problemie. - Mateczka Alsop wyciągnęła pęk związanych razem kolorowych jedwabnych nici. Ich końce zwisały luźno, jak wstążki ze słupa majowego. Sznureczków było dziewięć, każdy w innym kolorze: czerwony, biały, czarny, srebrny, złoty, zielony, brązowy, niebieski i żółty. - Jesteś prządką, musisz nauczyć się panować nad swoją mocą.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, Mateczko, ale nie wiem, jak ma mi w tym pomóc ta... robótka - odparłam naburmuszona. Smoczyca przytaknęła skrzekiem, przybierając przy tym wyraźniejszą formę, a gdy ucichła, znów pobladła.

- A co ty wiesz o byciu prządką? - zapytała ostro Mateczka Alsop.

- Niewiele - przyznałam.

- Diana powinna najpierw to wypić. - Susanna podeszła do mnie z parującym kubkiem w dłoni.

Powietrze wypełnił zapach rumianku i mięty. Moja smoczyca przekrzywiła z zainteresowaniem głowę.

- To napar uspokajający, powinien trochę ukoić nerwy tego stwora.

- Nie martwiłabym się zbyt wrogią - rzuciła lekceważąco Catherine. - Zawsze trudno nad nimi zapanować, to zupełnie jak hamować zapędy demona, który postanowił zrobić coś złego.

Łatwo jej mówić. Ona nie musi przekonywać smoka, żeby wlaź z powrotem do jej klatki piersiowej.

- Z jakich ziół powstał ten wywar? - zapytałam, pociągając łyk naparu.

Od czasów herbatki Marthy traktowałam ziołowe napary podejrzliwie. Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, z kubka zaczęły wyrastać gałązki mięty, pachnące słomą kwiaty rumianku, puchaty arcydzięgiel i jakieś sztywne, błyszczące liście, których nie znałam. Zaklęłam.



- Widzicie? - zawołała Catherine, wskazując kubek. -Tak jak mówiłam. Gdy Diana zadaje pytanie, bogini jej odpowiada.

Susanna spojrzała z niepokojem na naczynie, które zaczęło pękać pod naporem pęczniejących korzeni.

- Chyba się nie mylisz, Catherine. Ale jeśli Diana ma tkać, a nie niszczyć, to powinna zacząć zadawać trafniejsze pytania.

Mateczka Alsop i Catherine odkryły sekret mojej mocy -była niestety związana z moją ciekawością. W tym świetle pewne sprawy nabierały wreszcie sensu - moja tablica i kolorowe puzzle, które pomagały mi za każdym razem, gdy stawałam przed jakimś problemem, masło wylatujące z lodówki Sary w Madison, gdy zaczęłam się zastanawiać, czy jest go więcej... Można było w ten sposób wyjaśnić nawet zaskakujące pojawienie się manuskryptu *Ashmole 782* w Bibliotece Bodlejańskiej - gdy wypełniałam fiszkę biblioteczną, zastanawiałam się, co też może być w tym tomie. Kilka godzin wcześniej moje rozważania nad tym, kto zapisał jeden z czarów w grymarze Susanny, sprawiły, że atrament odpłynął z kartki i utworzył obok doskonałą podobiznę jej zmarłej babki. Obiecałam Susannie, że przywrócę tekst, gdy tylko ustalę, jak to zrobić. I tak oto odkryłam, że uprawianie magii nie różni się zbyt od uprawiania zawodu historyka. W obu przypadkach chodzi nie tyle o to, by znajdować prawidłowe odpowiedzi, ale by zadawać trafniejsze pytania.

- Diano, opowiedz nam raz jeszcze o czarodziejskiej wodzie i o łuku ze strzałą, które pojawiają się, gdy ktoś z twoich bliskich ma kłopoty - zaproponowała Susanna. -Może to naprowadzi nas na odpowiedni trop.

Opowiedziałam im wydarzenia tego wieczoru, gdy Matthew zostawił mnie w Sept-Tours, a ze mnie zaczęła się lać strumieniami woda, i o poranku w sadzie Sary, kiedy

ujrzałam podziemne żyły wodne. Opisałam też starannie wszystkie przypadki pojawienia się łuku - nawet jeśli nie było na cięciwie strzały albo jej nie wystrzeliłam. Gdy skończyłam, Catherine westchnęła zadowolona.

- Widzę już, w czym problem. Diana nie jest w pełni skoncentrowana, jeśli nie chroni kogoś albo nie mierzy się ze swoimi lękami - stwierdziła. - Zawsze błądzi myślami w przeszłości albo rozmyśla nad przyszłością. Czarownica, by czynić czary, musi być w pełni skupiona na tu i teraz.

Moja wiwerna potakująco zamachała skrzydłami i posłała przez pokój podmuch ciepłego powietrza.

- Matthew zawsze uważał, że między moimi emocjami, potrzebami i magią jest jakiś związek - powiedziałam.

- Czasami się zastanawiam, czy ten wampierz nie jest po części czarownikiem - wyznała Catherine.

Wszystkie roześmiały się na tę szaloną sugestię, jakoby syn Ysabeau de Clermont mógł mieć w żyłach choćby kroplę krwi czarownic.

- Sądzę, że na razie możemy zostawić w spokoju wiwernę i skupić się na zaklęciu ukrywającym Dianę - odezwała się Mateczka Alsop, mając na myśli konieczność ukrywania nadmiaru energii, która uwalniała się zawsze, gdy używałam magii. - Robisz jakieś postępy?

- Czuję, jak otaczają mnie kłęby dymu - odparłam z wahaniem.

- Musisz się skupić na węzłach. - Mateczka Alsop spojrzała znacząco na sznurki na moich kolanach. W wątkach wiążących światy był obecny każdy z odcieni, a manipulowanie sznurkami - skręcanie i wiązanie - tworzyło magię. Ale na początek musiałam ustalić, których sznureczków użyć. Ujęłam je tuż przy górnym węźle. Mateczka Alsop nauczyła mnie, jak delikatnie dmuchać na nitki, skupiając się przy tym na swoich zamiarach. To miało uwolnić odpowiednie do utkania danego czaru nici.

Dmuchałam na sznurki, a one zalsniły i zatrzepotały. Żółty i brązowy wysunęły się z węzła, a po chwili dołączyły do nich czerwony, niebieski, srebrny i biały. Przesunęłam palcami po dziewięciocalowych, poskręcanych jedwabnych niciach. Sześć wątków oznaczało sześć różnych węzłów, każdy bardziej skomplikowany niż poprzedni.

Wciąż marnie szło mi wiązanie węzłów, ale ta faza tkania zaskakująco mnie uspokajała. Gdy ćwiczyłam skomplikowane przekładańce i skręty na zwykłym sznurku, efekty przypominały trochę starodawne celtyckie węzły. Miały one swoją hierarchię. Pierwsze dwa to pojedynczy i podwójny węzeł ruchomy. Sara używała ich czasem do czarów miłosnych i wiążących. Ale tylko tkacze potrafili tworzyć zawile węzły, składające się czasem nawet z dziewięciu różnych skrzyżowanych wątków, których luźne końce łączyły się magicznie w nierozzerwalny splot.

Wzięłam głęboki oddech i skupiłam się znów na swoim zadaniu. Ukrycie to forma ochrony, a jej kolorem jest fiolet. Ale nie miałam fioletowego sznurka. Gdy tylko o tym pomyślałam, niebieska i czerwona nić uniosły się i splotły ze sobą tak ciasno, że wyglądały zupełnie jak bladofioletowe świece, które moja matka ustawiała w oknach podczas nowiu księżyca.

- Pierwszym węzłem czary rozpoczynam - wyszeptałam, zawiązując pętelkę na fioletowym sznurku.

Wiwerna zaskrzeczała, naśladując mój głos.

Spojrzałam na nią i po raz kolejny zdziwiła mnie jej umiejętność zmiany wyglądu. Gdy robiła wydech, zamieniała się w blady obłok dymu. Gdy robiła wdech, jej kontury stawały się wyraźniejsze. Była w idealnej równowadze ciała i ducha, ani jednym, ani drugim. Czy kiedykolwiek zdołam ją doścignąć?

- Drugim węzłem prawdę naginam - zrobiłam podwójny węzeł na fioletowym sznurku.

Zastanawiając się, czy jest jakiś sposób, bym rozpląnęła się w nicości tak, jak moja wiwerna, przeciągnęłam między palcami żółty sznurek.

Trzeci węzeł był pierwszym z prawdziwych węzłów tkackich, jaki miałam wykonać. Składał się tylko z trzech przełożeń, ale i tak stanowił wyzwanie.

- Węzłem trzecim uwalniam zakłęcie. - Zrobiłam pętelki i splotłam nić tak, że przypominała koniczynę, po czym przytknęłam oba końce do siebie. Połączyły się, tworząc nierozzerwalny tkacki węzeł.

Odetchnęłam z ulgą i położyłam go na kolanach, a z moich ust wydobyta się szara mgła, bardziej przejrzysta niż dym. Wisiała wokół mnie niczym woal. Jęknęłam, zaskoczona, wydychając kolejny obłok tajemniczej, przezroczystej mgły. Spojrzałam w górę. Moja smoczyca gdzieś zniknęła, a w palcach znalazł się brązowy sznurek.

- Węzłem czwartym wpuszczam mocy żar. - Uwielbiałam przypominający precel, elegancko zaokrąglony, czwarty węzeł.

- Doskonale, Diano - odezwała się Mateczka Alsop. Właśnie w tym momencie moje czary zaczynały zwykle zanikać. - A teraz skup się na tu i teraz i namów wiwernę, by z tobą została. Jeśli jest tak bardzo na tobie skupiona, to powinna skryć cię przed spojrzeniami innych.

Nie liczyłam nazbyt na pomoc smoczycy, ale i tak z białej nici stworzyłam kolejny węzeł, w kształcie pentagramu.

- Węzłem piątym czar z mocą się łączy.

Wiwerna sfrunęła w dół i otoczyła moje żebra skrzydłami.

- Zostaniesz ze mną? - zapytałam bezgłośnie. Smoczyca otuliła mnie szarością. Sprawiała, że czerń

moich sukni pobladła, przybierając grafitowy kolor. Pierścień Ysabeau nie lśnił już tak intensywnie, a ogień w głębi brylantu przygasł. Nawet srebrny sznur na moich kolanach

zdawał się zaśnieć. Uśmiechnęłam się na tę niemą odpowiedź smoczycy.

- Węzeł szósty to zakłęcie zamyka - dokończyłam. Mój ostatni węzeł nie był tak symetryczny, jak być powinien, ale spajał wszystko razem.

- Będzie z ciebie prządka, dziecko - odetchnęła z ulgą Mateczka Alsop.

W drodze do domu czułam się cudownie niezauważalna, otoczona szalem wiwerny, ale gdy tylko weszłam do gospody Pod Łanią i Koroną, serce znów zaczęło mi mocniej bić. Czekala na mnie paczka, a także Kit. Matthew nadal spędzał zdecydowanie za dużo czasu z tym nieokrzesanym demonem. Przywitaliśmy się oschle i zabrałam się do rozpakowywania paczki, gdy rozległ się wrzask Matthew.

- Dobry Boże! - W miejscu, gdzie jeszcze sekundę wcześniej nikogo nie było, stał Matthew i wpatrywał się z niedowierzaniem w kartkę papieru.

- Czego tym razem chce Stary Lis? - zapytał kwaśno Kit, wsuwając pióro do kałamarza.

- Właśnie otrzymałem rachunek od Nicholasa Vallina, złotnika z naszej ulicy - skrzywił się Matthew.

Spojrzałam na niego niewinnie.

- Żąda piętnastu funtów za łapkę na myszy.

Teraz, gdy lepiej się orientowałam w wartości funta i wiedziałam, że służąca Mary - Joan - zarabia tylko pięć funtów rocznie, rozumiałam, czemu Matthew jest tak zszokowany.

- A, to... - Znów skupiłam się na paczce. - Poprosiłam go, by ją zrobił.

- Zleciłaś wykonanie pułapki na myszy jednemu z najlepszych złotników w mieście? - krzyknął z niedowierzaniem Kit. - Jeśli masz jeszcze jakieś pieniądze na zbyciu, pani Roydon, pozwól, że przeprowadzę dla ciebie alchemiczny

eksperyment. Zamienię twoje srebro i złoto w wino w karczmie Pod Kardynalskim Kapeluszem!

- To pułapka na szczury, nie myszy - wyszeptałam.

- Mogę zobaczyć tę pułapkę na szczury? - Głos Matthew był niebezpiecznie spokojny.

Skończyłam rozpakowywać paczkę i uniosłam pułapkę.

- Połączone srebro! Ma nawet jakiś grawerunek - stwierdził Matthew, przyglądając jej się uważnie. - *Ars loriga, vita brevis*. Sztuka pozostaje, życie przemija. Rzeczywiście.

- Podobno jest bardzo skuteczna. - Zmyślny twór mistrza Vallina przypominał czujnego kota, ze starannie wykutymi uszami na zawiasach i wygrawerowanymi, szeroko rozstawionymi oczyma. Brzegi pułapki przypominały paszczę zwierzaka, miały nawet zabójcze zęby. Całość wyglądała trochę jak kotka Sary, Tabitha. Vallin dodał też miły akcencik, umieszczając na nosie kota srebrną mysz. Malutkie stworzonko absolutnie nie było podobne do tych długozębnych potworów, które krążyły po naszym strychu. Sama myśl o tym, jak przegryzają się przez papiery Matthew, podczas gdy my śpimy, przypominała mi o dreszczu.

- Spójrzcie, pod spodem też coś wygrawerowano - zauważył Kit, podążając wzrokiem za rozbrykanymi myszkami na podstawie pułapki. - Dalszy ciąg cytatu z Hipokratesa, oczywiście po łacinie: *Occasio praeceps, experimentum periculosum, iudicium difficile*.

- Biorąc pod uwagę, do czego ma służyć to urządzenie, to inskrypcja jest raczej zbyt sentymentalna - stwierdziłam.

- Sentymentalna? - Matthew uniósł brwi. - Z punktu widzenia szczura brzmi to całkiem realnie: okazja jest ulotna, doświadczenie niebezpieczne, a sąd niełatwy. - Zadrżał mu kącik ust.

- Vallin panią naciągnął, pani Roydon - oznajmił Kit. - Matt, powinieneś odmówić zapłaty i odesłać mu pułapkę.

- Nie! - zaprotestowałam. - To nie jego wina. Rozmawialiśmy o zegarach i mistrz Vallin zaprezentował mi kilka pięknych, a ja pokazałam mu broszurkę ze sklepu Johna Handlera przy Cropplegate, o tym, jak pozbyć się szkodników, i opowiedziałam o naszych problemach ze szczurami. I tak od słowa do słowa... - Spojrzałam na pułapkę. Ze swoimi małutkimi kołami zębatymi i sprężynami rzeczywiście świadczyła o olbrzymim kunszcie.

- Cały Londyn ma problem ze szczurami - odezwał się Matthew, starając się nad sobą zapanować. - Ale nie znam nikogo, kto próbowałby go rozwiązać za pomocą pozłacanej zabawki. Zwykle wystarcza kilka całkiem tanich kotów.

- Matthew, ja zapłacę. - Poświęcając pewnie wszystkie pieniądze, którymi dysponowałam, co oznaczało, że będę musiała poprosić Waltera o więcej funduszy, ale cóż robić. Doświadczenie jest zawsze cenne. A czasem też drogie. Wyciągnęłam rękę po pułapkę.

- Czy Vallin zaprojektował to tak, by wybijało też godziny? Jeśli tak, to jest to jedyne na świecie połączenie zegara i urządzenia do tępienia szkodników. Może jednak jest warte swojej ceny. - Matthew próbował się skrzywić, ale nie potrafił ukryć uśmiechu. Zamiast oddać mi pułapkę, wziął mnie za rękę, uniósł ją do ust i pocałował.

- Zapłacę rachunek, *mon cœur*, choćby po to, by móc ci dogryzać przez kolejne sześćdziesiąt lat.

W tym momencie do pokoju wpadł George. A wraz z nim podmuch zimnego powietrza.

- Przynoszę wieści! - Rzucił płaszcz i stanął dumnie wyprostowany.

Kit jęknął i złapał się za głowę.

- Niech zgadnę. Temu idiocie, Pansonby'emu, podoba się twoje tłumaczenie Homera i chce je opublikować bez poprawek.

- Nawet ty nie popsujesz mi dziś dobrego humoru, Kit. - George rozejrzał się, czekając na reakcję. - No? Nikt nie jest ani trochę ciekaw?

- Cóż to za wieści, George? - zapytał od niechcienia Matthew, podrzucając i łapiąc pułapkę.

- Znalazłem manuskrypt pani Roydon.

Matthew zacisnął palce na pułapce. Mechanizm zaskoczył. Gdy wampir uwolnił dłoń, rzucił pułapkę na stół, a ona znów się zatrzasnęła.

- Gdzie?

George odruchowo cofnął się o krok. Ja też bywałam przepytywana przez mojego męża i doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, jak czuje się człowiek, na którym w pełni skupia się uwaga wampira.

- Doskonale wiedziałam, że to zadanie stworzone dla ciebie - odezwałam się ciepło do George'a, kładąc rękę na ramieniu Matthew, by go nieco uspokoić. Moje słowa udobruchały George'a - wrócił do stołu, odsunął krzesło i usiadł.

- Twoja wiara we mnie bardzo mnie cieszy, pani Roydon - odparł George, zdejmując rękawiczki. Pociągnął nosem. - Nie każdy ją podziela.

- Gdzie. To. Jest? - wydusił przez zaciśnięte zęby Matthew.

- W najoczywistszym miejscu na świecie. Wręcz na widoku. Aż się dziwię, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej. - Znów zamilkł na krótką chwilę, by upewnić się, że wszyscy go słuchają. Matthew cicho mruknął z frustracji.

- George - ostrzegł Kit. - Matthew znany jest z tego, że kąsa.

- Ma go doktor Dee - zawołał George, gdy Matthew znacząco przestąpił z nogi na nogę.

- Astrolog królowej - wyjaśniłam.



George miał rację, już dawno należało o nim pomyśleć. Dee był także alchemikiem. I właścicielem największej biblioteki w Anglii.

- Ale on jest w Europie.

- Doktor Dee rok temu wrócił z Europy. Mieszka teraz pod Londynem.

- Powiedzcie tylko, że nie jest czarownikiem, demonem ani wampirem - jęknęłam.

- Jest zwykłym człowiekiem... I do tego oszustem - odezwał się Marlowe. - Nie wierzyłbym w ani jedno jego słowo, Matt. Okropnie wykorzystał biednego Edwarda, zmuszając go, by wpatrywał się w kryształy i całymi dniami gadał z aniołami o alchemii. A potem Dee ogłosił, że to wszystko jego zasługa!

- Biedny Edward? - prychnął Walter, wchodząc bez pukania. Był z nim Henry Percy. Jeśli tylko jakiś członek Szkoły Nocy znajdował się choćby milę od Łani i Korony, natychmiast się w niej zjawiał. - Twój demoniczny przyjaciel latami wodził go za nos. Moim zdaniem doktor Dee słusznie postąpił, pozbywając się go. - Podniósł pułapkę na szczury. - Co to?

- Bogini łowów postanowiła się skupić na drobniejszej zwierzynie - zakpił Kit.

- Rzeczywiście, to pułapka na myszy. Ale nikt nie byłby tak szalony, by robić ją z połączanego srebra - stwierdził Henry, zaglądając Walterowi przez ramię. - Wygląda mi na robotę Nicholasa Vallina. Zrobił Esseksowi ładny zegarek, gdy został on Kawalerem Orderu Podwiązki. Czy to jakaś zabawka dla dzieci?

Pięść wampira uderzyła w stół, roztrzaskując drewno.

- George - warknął Matthew. - Opowiedz o doktorze Dee.

- Ach, tak. Oczywiście. Nie ma wiele do opowiadania. Zrobiłem, o co zostałem pop... poproszony - wyjąkał Geo-

rze. - Obszedłem stoiska z książkami, ale nie uzyskałem tam żadnych informacji. Była mowa o jakimś tomie greckiej poezji, która doskonale nadawałaby się dla mnie do tłumaczenia, ale odbiegam od tematu. - George przełknął głośno. - Wdowa Jugge zasugerowała, bym porozmawiał z Johnem Hesterem, aptekarzem w Paul's Wharf. Hester odesłał mnie do Hugh Plata, no wiecie, kupca winnego z Saint James Garlickhythe.

Przysłuchiwałam się uważnie tej intelektualnej pielgrzymce, z nadzieją, że podczas następnej wizyty u Sussany zdołam odtworzyć wędrowkę George'a. Może byli z Piatem sąsiadami.

- Piat jest równie beznadziejny, co Will - mruknął Walter. - Nieustannie pisze o tym, co wcale nie powinno go interesować. Raz zapytał mnie o przepis mojej matki na ciasto.

- Pan Piat powiedział, że doktor Dee ma książkę z biblioteki cesarza. Nikt nie potrafi jej przeczytać i są w niej jakieś dziwne obrazki - wyjaśnił George. - Piat widział ją, gdy udał się po poradę do doktora Dee.

Wymieniliśmy z Matthew spojrzenia.

- To niemożliwe, Matthew - szepnęłam. - Elias Ashmole po śmierci Dee odszukał wszystko, co zostało z jego biblioteki, a księgami alchemicznymi interesował się wyjątkowo.

- Śmierć Dee. A jakże nasz dobry doktor zakończył życie, pani Roydon? - zapytał cicho Marlowe, wbijając we mnie spojrzenie brązowych oczu.

Henry, który nie dosłyszał pytania Marlowe'a, odezwał się, nim zdążyłam odpowiedzieć.

- Poproszę, by mi ją pokazał - stanowczo pokiwał głową. - Mogę to zrobić w drodze do Richmond i królowej.

- Możesz jej nie poznać, Hal - stwierdził Matthew; postanowił zignorować Kita, mimo że dosłyszał jego pytanie. - Pójdę z tobą.

- Ty też jej nie widziałeś - potrząsnęłam głową, licząc, że Marlowe przestanie się we mnie tak wpatrywać. - Poza tym, jeśli zamierzacie złożyć wizytę Johnowi Dee, to ja do was dołączę.

- Nie musisz patrzeć na mnie tak groźnie, *ma lionne*. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie zostawisz mnie z tym samego. Nie, jeśli jest mowa o książkach i alchemiku. -Matthew uniósł znacząco palec. - Ale żadnych pytań. Jasne?

Widział już, do jakiego magicznego bałaganu jestem zdolna.

Skinęłam głową, ale w fałdach sukni skryłam palce skrzyżowane w tym prastarym uroku, mającym za zadanie odegnać złe następstwa gmatwania prawdy.

- Żadnych pytań pani Roydon? - wyszeptał Walter. -Życzę szczęścia, Matt.

Mortlake było małą miejsciną nad Tamizą, między Londynem a królewskim pałacem w Richmond. Podróżowaliśmy barką hrabiego Northumberland, wspaniałą łodzią z sześcioma wioślarzami, wyściełanymi siedzeniami i zasłonami chroniącymi przed przeciągami. Była to znacznie wygodniejsza, a także spokojniejsza podróż niż ta, którą zafundował nam Gallowglass.

Wysłaliśmy umyślnego z listem informującym Dee o naszym przybyciu. Pani Dee, jak wyjaśnił nam Henry, nie przepadała za niezapowiedzianymi wizytami. Rozumiałam ją, ale było to nietypowe zachowanie w czasach wszechobecnej gościnności.

- Ich dom jest dość... nietypowy, w związku z badaniami doktora Dee - wyjaśnił Henry, czerwieniąc się lekko. - No i mają mnóstwo dzieci. Często panuje tam... chaos.

- Tak wielki, że sługom zdarzało się rzucać do studni.

- Tak. To bardzo nieszczęśliwy wypadek. Nie sądzę, aby coś takiego zdarzyło się podczas naszej wizyty.

Nie obchodziło mnie, w jakim stanie będzie ich dom. Byliśmy o krok od rozwiązania tylu zagadek - czemu tak szukano tej książki, czy jej zawartość mogła wyjaśnić, jak pojawiły się na świecie stworzenia takie jak my. A może nawet znaleźlibyśmy tam wytłumaczenie, jak sądził Matthew, dlaczego w obecnych czasach niezmiernym stworzeniom wkrótce grozi wyginięcie.

Czy to ze względu na dobre wychowanie, czy też by uniknąć wyczynów swojego niesfornego stadka, doktor Dee przechadzał się w ogrodzonym ceglany murem ogrodzie, zupełnie jakby była pełnia lata, a nie koniec stycznia. Ubrany był w czarne szaty uczonego, na głowę naciągnął ciasny kaptur i płaską czapkę. Miał długą białą brodę. Ręce splótł za plecami.

- Doktorze Dee? - zawołał zza murku Henry.

- Lord Northumberland! Oby w dobrym zdrowiu? - Dee miał cichy, zachrypnięty głos, mimo to podniósł go trochę, by Henry lepiej słyszał. Zdjął czapkę i uklonił się.

- Jak na tę porę roku, nie najgorszym, doktorze. Ale nie jesteśmy tu z powodu mojego zdrowia. Jak wyjaśniłem w liście, przybyli ze mną przyjaciele. Pozwól, że ich przedstawię.

- Znamy się już z doktorem - Matthew posłał Dee drapieżny uśmiech i nisko się uklonił. Znał wszystkie niezwykle istoty tych czasów, czemu więc nie miałby znać doktora?

- Panie Roydon - odezwał się ostrożnie Dee.

- To moja żona Diana - Matthew pochylił przede mną głowę. - Jest przyjaciółką hrabiny Pembroke i pomaga jej w pracach alchemicznych.

- Hrabina Pembroke korespondowała ze mną w sprawach alchemii. - Dee od razu zapomniał o mnie i skupił się na własnych kontaktach z wielkimi tego świata. - Lordzie Northumberland, sugerował pan w liście, że pragnie zobaczyć jedną z moich książek. Czy to z polecenia lady Pembroke?

Nim Henry zdążył odpowiedzieć, z domu wyszła kobieta o szerokich biodrach i ostrych rysach, ubrana w ciemnobrązową suknię obszytą futrem, które widziało już lepsze czasy. Wyglądała na poirytowaną, ale na widok hrabiego Northumberland natychmiast się rozchmurzyła.

- A to moja droga żona - wyjaśnił nerwowo Dee. - Jane, przybyli lord Northumberland i pan Roydon.

- Czemu nie zaprosiłeś ich do środka? - prychnęła Jane, wykręcając z niepokojem ręce. - Pomyślą, że nie jesteśmy gotowi na przyjęcie gości, a to nieprawda, zawsze jesteśmy. Wielu przybywa tu prosić o radę mojego męża, panie.

- Tak. Z tego samego powodu i my przybyliśmy. Widzę, że zdrowie pani służy, pani Dee. I słyszałem od pana Roydona, że niedawno królowa zaszczyciła wasz dom swoimi odwiedzinami.

Jane napuszyła się z zadowolenia.

- To prawda. Od listopada John widział Jej Wysokość trzy razy. A dwa ostatnie przy naszej drugiej bramie, gdy królowa przejeżdżała drogą do Richmond.

- Jej Wysokość była dla nas bardzo szczodra w te święta - dodał Dee. Ścisnął czapkę w dłoniach. Jane spojrzała na niego kwaśno. - Sądziliśmy... ale to bez znaczenia.

- Cudownie, cudownie - zawołał Henry, ratując Dee z opresji. - Ale dość gadania. Chcielibyśmy zobaczyć pewną książkę...

- Biblioteka mojego męża cieszy się większym szacunkiem niż on sam! - ponuro stwierdziła Jane. - Wydatki podczas naszej wizyty u cesarza były olbrzymie, a mamy mnóstwo dzieci do wykarmienia. Królowa powiedziała, że nam pomoże. Dała nam niewielką nagrodę, ale obiecywała więcej.

- Na pewno królową zajęły poważniejsze sprawy - Matthew wyciągnął niewielką, ciężką sakiewkę. - Mam tu naddatek do jej daru. I cenię pani męża, pani Dee, nie tylko

jego książki. Dorzuciłem coś do kiesy Jej Wysokości przez wzgląd na kłopoty, jakie mu sprawiamy.

- Och... dziękuję, panie Roydon - wyjąkał Dee, wymieniając spojrzenia z żoną. - Jakże miło, że zainteresował się pan tą sprawą, gdy królowa jest zajęta. Oczywiście losy królestwa zawsze stawiamy ponad nasze własne.

- Jej Wysokość nie zapomina o tych, którzy służą jej dobrą radą - odparł Matthew.

Kłamał jak z nut i wiedzieli to wszyscy, ale nikt nawet słowa nie pisnął.

- Musicie wejść do środka i zasiąść przy ogniu - odezwała się Jane, nagle zdecydowanie bardziej gościnna. -Przyniosę wino i dopilnuję, by nikt wam nie przeszkadzał.

Ukloniła się Henry'emu, a potem Matthew, po czym ruszyła do drzwi.

- John, chodźcie. Jeśli jeszcze chwilę ich tam potrzymasz, to zamarzną.

Dwadzieścia minut spędzonych w domu państwa Dee pokazało, że mamy do czynienia z tym typem małżeństwa, które nieustannie sobie docina i kłóci się, pozostając zarazem oddanymi małżonkami. Wymieniali riposty, gdy podziwialiśmy nowe gobeliny - dar lady Walsingham, nowy dzban na wino - dar sir Christophera Hattona i nową srebrną solnicę, dar od markizy Northampton. Gdy przebrnęliśmy przez kłótnie i obejrzelśmy wytworne dary, dotarliśmy w końcu do biblioteki.

- Nie wiem, jak ja cię stąd wyciągnę - wyszeptał Matthew, uśmiechając się szeroko na widok zachwyty na mojej twarzy.

Biblioteka Johna Dee wyglądała zupełnie inaczej, niż ją sobie wyobrażałam. Sądziłam, nie wiedzieć czemu, że będzie przypominała przestronną bibliotekę dziewiętnastowiecznego dżentelmena. Ale nie był to też salonik, w którym można

się rozsiaść z książką, pałac fajkę przy kominku. Pokój, oświetlany zazwyczaj tylko świecami, był tego zimowego dnia zaskakująco ciemny. Wzdłuż przeszklonej południowej ściany stał stół i kilka krzeseł. Pozostałe ściany pokrywały mapy ziemi i nieba, diagramy anatomiczne i mnóstwo kartek z almanachów, do nabycia za grosze w każdej aptece i księgarni w Londynie. Pochodziły z kolejnych lat, zapewne wywieszane tu jako pomoc dla Dee, gdy stawiał horoskopy lub kreślił ruchy gwiazd.

Dee posiadał więcej książek niż którykolwiek z oksfordzkich i Cambridge'owskich college'ow, i potrzebował biblioteki do pracy, a nie na pokaz. Trudno się więc dziwić, że najcenniejsze były nie światło czy miejsca do siedzenia, ale przestrzeń na książki. By maksymalnie ją wykorzystać, regały stały prostopadle do ścian, tak by był do nich dostęp z obu stron. Proste dębowe półki na różnych wysokościach mieściły różnej wielkości księgi. Na górze miały dwa pochyłe blaty, by móc na nich kłaść księgi do lektury, a potem bez problemów je odłożyć.

- Mój Boże - wyszeptałam. Dee odwrócił się, zaskoczony.

- Panie Dee, moja żona jest zszokowana - wyjaśnił Matthew. - Nigdy jeszcze nie była w tak wspaniałej bibliotece.

- Wiele jest bibliotek znacznie większych i zawierających więcej skarbów niż moja, pani Roydon.

I wtedy pojawiła się Jane Dee, i skierowała rozmowę na problem braku funduszy.

- Biblioteka cesarza Rudolfa jest wspaniała. - Jane minęła nas, niosąc tacę z winem i zakąskami. - A mimo to zniżył się on do kradzieży jednej z najlepszych ksiąg Johna. Wykorzystał szczodrość mojego męża, a teraz mamy nikłe szanse na pokrycie tych strat.

- Ależ Jane - syknął John. - Jego Wysokość podarował nam w zamian inną książkę.

- Jaką? - zapytał ostrożnie Matthew.

- Rzadki tekst - mruknął ponuro Dee, patrząc, jak jego żona podchodzi do stołu.

- Same bzdury! - parsknęła Jane.

To był *Ashmole 782*. To musiał być on!

- Pan Piat mówił właśnie o takiej książce. Dlatego tu jesteśmy. Czy moglibyśmy najpierw skorzystać z gościnności pańskiej żony, a potem obejrzeć księgę cesarza? - zapytał swobodnie Matthew. Wyciągnął do mnie rękę, a ja ujęłam ją i ścisnęłam lekko.

Podczas gdy Jane krzątała się, nalewała napoje i narzekała na cenę orzechów w czasie świąt, opowiadając, jak to sklepikarze prawie doprowadzili ją do ruiny, doktor udał się na poszukiwanie *Ashmole 782*. Stanął przed jednym z regałów i przyglądał się półkom. W końcu wyciągnął jakiś tom.

- To nie to - szepnęłam do Matthew. Książka była za mała.

Dee położył ją przed Matthew i uniósł zwiotczałą welinową okładkę.

- Widzicie? To tylko nic nieznaczące słowa i prostackie obrazki kobiet w kąpielach. - Jane wybiegła z pokoju, kręcąc głową i mrużąc coś pod nosem.

Nie byt to *Ashmole 782*, ale wiedziałam, co to za księga - manuskrypt Voynicha, znany też jako Beinecke MS 408 z Uniwersytetu Yale. Zawartość manuskryptu pozostawała tajemnicą. Żaden łamacz kodów ani lingwista nie zdołał ustalić przesłania tekstu, natomiast botanicy nie umieli zidentyfikować przedstawionych w nim roślin. Powstało mnóstwo teorii wyjaśniających jej zagadki. Jedna sugerowała nawet, że księgę napisali nieziemianie. Westchnęłam rozczarowana.

- Nie? - zapytał Matthew.

Pokręciłam głową i sfrustrowana przygryzłam wargę.



Doktor uznał, że krzywię się z niechęci do jego żony.

- Proszę, wybaczyć mojej żonie - powiedział. - Jane bardzo denerwuje ta książka, bo to właśnie ona odkryła ją wśród naszych rzeczy, gdy wróciliśmy z ziem cesarza. Zabrałem w podróż inną księgę, bezcenne dzieło alchemiczne, które należało kiedyś do wielkiego angielskiego maga, Rogera Bacona. Była większa od tej i zawierała wiele tajemnic.

Nachyliłam się do niego.

- Mój asystent, Edward, z bożą pomocą mógł zrozumieć jej treść, chociaż ja tego nie potrafiłem - ciągnął Dee. - Nim opuściliśmy Pragę, cesarz Rudolf wyraził zainteresowanie tą księgą. Edward zdradził mi część sekretów, które się w niej kryły: o tworzeniu metali i tajemnej metodzie zdobycia nieśmiertelności.

A więc Dee kiedyś posiadał *Ashmole 782*. A jego demoniczny pomocnik, Edward Kelley, potrafił go przeczytać. Ręce tak mi się trzęsły z wrażenia, że aż ukryłam je w fałdach sukni.

- Gdy wezwano nas do powrotu, Edward pomagał Jane pakować księgi. Jane uważa, że ukradł księgę i zastąpił ją tym tomem z biblioteki Jego Wysokości. - Dee zawahał się i spojrzał na nas ze smutkiem. - Nie chcę źle mówić o Edwardzie, był moim zaufanym towarzyszem i spędziliśmy razem sporo czasu. Nigdy nie dogadywał się z Jane, a ja na początku nie chciałem wierzyć w jej teorię.

- Ale teraz uważasz, że ma jednak sens - stwierdził Matthew.

- Przemyślałem wydarzenia ostatnich dni, panie Roydon, próbując przypomnieć sobie coś, co mogłoby oczyścić z zarzutów mojego przyjaciela. Ale wszystko, co pamiętam, tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że to jednak on - westchnął Dee. - Może przynajmniej ten tekst okaże się cenny.

Matthew przejrzał manuskrypt.

- To chimery - oświadczył, przyglądając się ilustracjom roślin. - Liście, łodygi i kwiaty nie pasują do siebie, należą do różnych roślin.

- A co sądzisz o tym? - zapytałam, przerzucając kartki i wskazując astrologiczne tarcze. Przypatrzyłam się tekstowi w środku. Zabawne. Wielokrotnie widziałam ten manuskrypt i nigdy nie zwróciłam uwagi na notatki.

- Ten tekst został napisany w starooksytańskim - odezwał się cicho Matthew. - Znałem kiedyś kogoś, kto miał bardzo podobne pismo. Czy podczas swojego pobytu na dworze cesarza spotkał pan mężczyznę z Aurillac?

Czyżby miał na myśli Gerberta? Najpierw podekscytowana, teraz zaczęłam się niepokoić. Czyżby Gerbert pomylił manuskrypt Voynicha z tajemniczą księgą początków? Na to pytanie odręcznie napisany tekst w środku astrologicznego diagramu zaczął dziwnie drżeć. Zamknęłam szybko książkę, by nie zdążył z niej uciec.

- Nie, panie Roydon. - Dee zmarszczył brwi. - Gdybym go spotkał, zapytałbym o tamtejszego słynnego maga, który został papieżem. Wiele prawd kryje się w starych bajkach opowiadanych przy ognisku.

- Owszem - zgodził się Matthew. - Jeśli tylko jesteśmy dość mądrzy, by je rozpoznać.

- Dlatego właśnie tak żałuję, że straciłem tę księgę. Należała kiedyś do Rogera Bacona, a staruszka, która mi ją sprzedała, mówiła, że bardzo ją cenił, gdyż kryła boskie przesłania. Bacon nazywał ją *Verum Secretum Secretorum*. - Dee spojrział z niechęcią na manuskrypt Voynicha. - Jakże pragnąłbym, by do mnie wróciła.

- Może zdołam w tym pomóc - odezwał się Matthew.

- Pan, panie Roydon?

- Jeśli pozwoli mi pan wziąć tę księgę, mógłbym spróbować oddać ją tam, gdzie jej miejsce, i przywrócić pańską

książkę prawowitemu właścicielowi. - Matthew przysunął do siebie manuskrypt.

- Byłbym panu bezgranicznie wdzięczny - odparł Dee, bez dalszych dyskusji zgadzając się na ten układ.

Gdy tylko odbiliśmy od brzegu w Mortlake, zapytałam Matthew:

- O czym myślisz? Nie możesz tak po prostu spakować manuskryptu Voynicha i wysłać go Rudolfowi z karteczką, że posądzasz go o podmianę. Musiałbyś znaleźć kogoś na tyle szalonego, by zaryzykował życie, włamując się do biblioteki Rudolfa i kradnąc *Ashmole 782*.

- Jeśli Rudolf ma *Ashmole 782*, to nie w bibliotece, lecz w gabinecie osobliwości - odparł z roztargnieniem Matthew.

- A więc ten... Voynich nie był księżą, której szukacie? - Henry przysłuchiwał się naszej wymianie zdań z grzecznym zainteresowaniem. - George będzie bardzo zawiedziony, że nie zdołał rozwiązać waszej zagadki.

- Może i nie rozwiązał, ale rzucił na całą sprawę nowe światło. Dzięki agentom mojego ojca i moim własnym odzyskamy zgubę Dee - oświadczył Matthew.

Wracając, trafiliśmy na odpływ, a on przyspieszył nasz powrót do miasta. Na Water Lane w oczekiwaniu na nas rozpalono pochodnie, ale nim dobiliśmy do nabrzeża, zwróciło naszą uwagę dwóch ludzi w liberjach hrabiny Pembroke.

- Panie Roydon, proszę kierować się do zamku Beynard! - krzyknął jeden z nich.

- Coś musiało się wydarzyć - stwierdził Matthew, stając na dziobie barki. Henry nakazał wioślarzom zmienić kurs i skierował nas na nabrzeże przy zamku, równie intensywnie rozświetlone pochodniami i lampami.

- Czy coś się stało któremuś z chłopców? - po wejściu do zamku zapytałam Mary, która wybiegła nam na spotkanie.

- Nie. Mają się dobrze. Chodźcie do laboratorium. Natychmiast - rzuciła przez ramię, zawracając do wieży.

Aż jęknęliśmy na widok tego, co na nas czekało.

- To kolejne niespodziewane *arbor Diana* - odezwała się Mary, kucając, by mieć na wysokości oczu bańkę alembiku, w której znajdowały się korzenie czarnego drzewa. Nie wyglądało jak pierwsze *arbor Diana*, srebrne i znacznie od niego delikatniejsze. To miało gruby, ciemny pień i bezlistne gałęzie, przez co przypominało dąb w Madison, gdzie skryliśmy się po ataku Julietty. Wydobyłam z niego życie, by ratować Matthew.

- Czemu nie jest srebrne? - zapytał, oplatając palcami delikatny alembik hrabiny.

- Użyłam krwi Diany - odparła Mary.

Matthew wyprostował się i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Popatrz na ścianę. - Wskazałam krwawiącą wiwernę.

- To zielony smok, symbol *aqua regia* albo *aqua fortis* - odparł, rzuciwszy nań okiem.

- Nie, Matthew. Przyjrzyj się. Nie myśl już o tym, co przedstawia, i spróbuj spojrzeć nań tak, jakbyś widział to po raz pierwszy.

- *Dieu* - bąknął zszokowany. - Czy to moje emblematy?

- Tak. A zauważyłeś, że smok trzyma w paszczy swój ogon? I że wcale nie jest smokiem? Smoki mają cztery łapy. A to jest wiwerna.

- Wiwerna? Jak... - Matthew zaklął.

- Wymyślono dziesiątki teorii na temat tego, jakiej substancji trzeba użyć, by powstał kamień filozoficzny. Roger Bacon, do którego należał zaginiony manuskrypt doktora Dee, uważał, że to krew. - Wiedziałam, że te słowa skupią uwagę Matthew. Ukucnęłam, by przypatrzeć się drzewu.

- A ty ujrzałaś fresk i po prostu zrobiłaś, co ci podpowiadał instynkt.

Zamilkł na chwilę, po czym przeciął paznokciem pieczęć na naczyniu. Mary jęknęła z przerażenia, widząc, że niszczy jej pracę.

- Co robisz? - zapytałam wzburzona.

- Kieruję się własnym przeczuciem i dodaję coś do alembiku.

Matthew uniósł nadgarstek do ust, wgrzył się weń i nadstawił nad wąską szyjkę butelki. Ciemna, gęsta krew skapnęła do naczynia i spłynęła na dno. Patrzyliśmy na to z zapartym tchem.

Gdy uznałam, że już nic się nie wydarzy, u dołu pnia zaczęły się pojawiać czerwone plamki i wspinać w górę. A potem z gałęzi wystrzeliły złote liście.

- Spójrzcie na to - zawołałam oszołomiona. Matthew uśmiechnął się do mnie. Widać po nim było żal, ale także trochę nadziei.

Wśród liści pojawiły się czerwone owoce, niczym małe rubiny. Mary obserwowała to, co się działo, wybałuszonymi oczami i zaczęła się po cichu modlić.

- Moja krew stworzyła szkielet drzewa, a twoja sprawiła, że urodziło owoce - wykrztusiłam i położyłam dłoń na moim pustym brzuchu.

- Tak. Ale czemu? - spytał Matthew.

Jeśli cokolwiek mogło powiedzieć nam coś na temat tajemniczej zamiany, która następowała po połączeniu krwi czarownicy i wampiera, były to dziwne ilustracje i tajemniczy tekst *Ashmole 782*.

- Ile czasu potrzebujesz, by odzyskać księgę doktora? - zapytałam Matthew.

- Och, nie sądzę, żeby dużo — odszepnął. - Kiedy już się do tego zabiorę.

- Im szybciej, tym lepiej - odparłam cicho, splatając moje palce z jego palcami i obserwując cud, który stworzyła nasza krew.

## ROZDZIAŁ 5

Dziwne drzewo rosło wciąż przez kolejne dwa dni - jego owoce dojrzewały i spadały między korzenie jako rtęć i *prima materia*. Pojawiały się nowe pąki, pęczniały i rozkwitały. Raz dziennie liście zmieniały kolor na zielony, by potem znów przybrać złoty. Czasami drzewko wypuszczało nowe gałęzie albo pojawiał się nowy korzeń.

- Jeszcze nie znalazłam na to dobrego wyjaśnienia - odezwała się Mary, wskazując na sterty książek, które Joan wyciągała z półek. - Zupełnie jakbyśmy stworzyli coś zupełnie nowego.

Mimo tych alchemicznych rewelacji nie zapomniałam o moich zajęciach czarownicy. Tkałam wciąż na nowo mój niewidzialny szary płaszcz, a za każdym razem robiłam to szybciej, lepiej i porządniej. Marjorie obiecała, że już wkrótce zdołam moje tkackie dzieło przerobić na słowa, by inne czarownice także mogły dokonywać tego czaru.

Kilka dni później, po powrocie z St. James Garlickhythe, wspinałam się po schodach do naszych pokoi Pod Łanią i Koroną, równocześnie zrzucając z siebie mój okrywający czar. Annie poszła na drugą stronę podwórka po świeżą bieliznę od praczek. Jack był z Pierre'em i Matthew. Zastanawiałam się, co też Françoise przygotowała na obiad. Byłam głodna jak wilk.

- Jeśli w ciągu najbliższych pięciu minut nikt mnie nie nakarmi, to zacznę krzyczeć - rzuciłam, przechodząc przez próg, a moje słowa przerywał dźwięk spadających na podłogę szpilek, gdy zdejmowałam sztywny, wyszywany przód mojej sukni. Rzuciłam napierśnik na stół i sięgnęłam do tasemek, które przytrzymały stanik sukienki.

Przy kominku ktoś cicho zakaszłał.

Obróciłam się gwałtownie, zaciskając palce na materiale osłaniającym moje piersi.

- Obawiam się, że krzyk na niewiele się zda. - Z głębi przyciągniętego do kominka fotela rozległ się głos szorstki jak piasek przesypywany w butelce. - Posłałem twoją służącą po wino, a moje stare kości nie są tak sprawne, by dogodzić twoim potrzebom.

Powoli obeszłam fotel. Obcy w moim domu uniósł jedną szarą brew i zmierzył mnie wzrokiem. Zmarszczyłam brwi na taką impertynencję.

- Kim jesteś? - Mężczyzna nie był demonem, czarownikiem ani wampirem, lecz zwykłym starym człowiekiem.

- Z tego, co wiem, twój mąż i jego przyjaciele nazywają mnie Starym Lisem. A za swoje grzechy pokutuję też, będąc Lordem Wielkim Skarbnikiem. - Najsprytniejszy, a także jeden z najbezwzględniejszych mężczyzn w Anglii zaczął, aż dotrą do mnie jego słowa. Popatrzył na mnie z pogodną miną, a jednocześnie ostro.

W moim pokoju siedział William Cecil! Byłam zbyt zaskoczona, by odpowiednio dygnać, i tylko gapiłam się na niego bezmyślnie.

- A więc trochę mnie znasz. Nie sądziłem, że moja reputacja sięga aż tak daleko, bo oczywiste jest tak dla mnie, jak i dla wielu innych, że ty jesteś tu obca. - Gdy otworzyłam usta, by odpowiedzieć, Cecil uniósł rękę. - Rozsądek nakazuje, by nie mówić mi za wiele.

- Co mogę dla pana zrobić, sir Williamie? - Czułam się jak uczennica w gabinecie dyrektora szkoły.

- Moja reputacja mnie wyprzedza, ale tytuły już nie. *Vanitatis uanitatum, omnis vanitas* - odparł sucho Cecil. - Zważ mnie teraz lordem Burghley, pani Roydon. Królowa jest hojną panią.

Zakłęłam w myślach. Nigdy nie interesowały mnie szczegółowe daty kolejnych awansów arystokratów. Je-

śli potrzebowałam takich informacji, to sprawdzałam je w *Słowniku Biograficznym*. A teraz obraziłam szefa Matthew. Postanowiłam udobruchać go łaciną.

- *Honor virtutis praemium* - wyszeptałam, już skupiona. „Zaszczyt nagrodą cnoty”. Jeden z moich sąsiadów w Oxfordzie skończył Arnold School. Grał w rugby i wszystkie zwycięstwa New College kwitował, wykrzykując te słowa na całe gardło, ku radości swoich kolegów z drużyny.

- Ach, motto rodziny Shirleyów. Czyżby pani do niej należała? - Lord Burghley splótł palce i przyjrzał mi się bardzo zaciekawiony. - Znani są ze swoich skłonności do błędów.

- Nie - odparłam. - Jestem Bishop... to znaczy, nie jestem prawdziwym biskupem.

Lord Burghley skinął głową na moje oczywiste stwierdzenie. Poczulałam idiotyczne pragnienie opowiedzenia mu o wszystkim... albo natychmiastowej ucieczki jak najdalej.

- Jej Wysokość zgadza się na śluby duchowieństwa, ale, Bogu niech będą dzięki, pomysł kobiety biskupa jeszcze się jej nie zrodził w wyobraźni.

- Tak. Nie. Czy mogę coś dla pana zrobić, milordzie? - W moim głosie dało się słyszeć nutkę rozpacz. Zacisnęłam zęby.

- Nie sądzę, pani Roydon. Ale może ja mógłbym zrobić coś dla pani. Sugeruję, aby wróciła pani do Woodstock. I to natychmiast.

- Czemu, milordzie? - Ogarnął mnie lęk.

- Bo jest zima, a królowa ma w tej chwili mniej zajęć niż zwykle. - Burghley spojrzał na moją lewą dłoń. - A ty jesteś żoną pana Roydona. Jej Wysokość potrafi wynagradzać, ale nie pochwała, gdy jeden z jej faworytów żeni się bez jej zgody.

- Matthew nie jest faworytem królowej, tylko jej szpiegiem. - Zacisnęłam dłoń na ustach, już jednak za późno, by cofnąć moje słowa.



- Faworyci i szpiedzy się wzajemnie nie wykluczają... poza Walsinghamem. Królowa nie mogła znieść jego skwaszonej miny, a jego moralność doprowadzała ją do szału. Ale jej Wysokość lubi Matthew Roydona. Niektórzy powiedzieliby, że nawet za bardzo. A twój mąż ma wiele tajemnic. -Cecil wstał z fotela, podpierając się laską. Jęknął. - Wracaj do Woodstock, moja pani. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

- Nie opuszczę męża. - Może i Elżbieta zjadała dworzan na śniadanie, jak mówił Matthew, ale nie zmusi mnie do ucieczki z miasta. Nie, kiedy wreszcie zaczynałam się tu czuć jak u siebie, znajdować przyjaciół i uczyć się magii. A już na pewno nie, gdy Matthew codziennie wracał do domu ledwie żywy z wyczerpania po to, by przez całą noc odpowiadać na listy przesyłane mu przez informatorów królowej, jego ojca i Kongregację.

- Powiedz Matthew, że tu byłem. - Lord Burghley podszedł powoli do drzwi, gdzie natknął się na niezadowoloną Françoise z dużym dzbanem wina. Na mój widok zdziwiona otworzyła szeroko oczy. Nie spodobało jej się, że jestem w domu, zabawiam gościa, a do tego mam rozsznurowaną suknię.

- Dziękuję za rozmowę, pani Roydon... niezwykle interesująca. - Ruszył powoli po schodach.

Był za stary, by późnym popołudniem samotnie wędrować przez Londyn i to o tej porze roku. Podążyłam za nim aż do podestu i przyglądałam mu się z niepokojem.

- Idź z nim, Françoise - nakazałam. - I upewnij się, że lord Burghley dotrze do swoich sług.

Pewnie siedzieli Pod Kapeluszem Kardynała i upijali się z Kitem i Willem albo czekali na Water Lane przy powozie. Nie chciałam być ostatnią osobą, która widzi głównego doradcę królowej Elżbiety żywego.

- Nie ma potrzeby, naprawdę - rzucił przez ramię Burghley. - Jestem starym człowiekiem z łaską. Złodzieje będą woleli kogoś z kolczykiem i w modnym kaftanie. Żebraków w razie potrzeby przepędzę. A moi ludzie są niedaleko. Pamiętaj, co ci radziłem, pani.

I zniknął w mroku.

- *Dieu* - Françoise przeżegnała się, a potem dla pewności przesądnie skrzyżowała jeszcze palce. - To stary człowiek. Nie podobał mi się sposób, w jaki na panią patrzył. Dobrze, że milorda nie ma jeszcze w domu. Jemu też by się to nie spodobało.

- William Cecil jest tak stary, że mógłby być moim dziadkiem, Françoise - odparłam, wracając do ciepłego pokoju i w końcu rozluźniając tasiemki. Jęknęłam, gdy suknia wreszcie przestała mnie obciskać.

- Lord Burghley nie patrzył na panią tak, jakby chciał ją zaciągnąć do łóżka. - Françoise spojrzała znacząco na moją suknię.

- Nie? To w takim razie jak na mnie patrzył? - Nalałam sobie trochę wina i opadłam na krzesło.

Co za dzień!

- Jakbyś była jagnięciem przeznaczonym na rzeź, a on rozważał, jaką cenę za ciebie weźmie.

- Kto grozi, że zje Dianę na obiad? - Matthew przybył cicho jak kot i właśnie zdejmował rękawiczki.

- Twój gość. Wszedł przed chwilą. - Pociągnęłam łyk wina. Gdy tylko przełknęłam, Matthew zabrał mi puchar. Prychnęłam niezadowolona. - Nie mógłbyś machać albo jakoś inaczej dawać znać, co zamierzasz? To twoje pojawianie się znikąd jest denerwujące.

- Jak byłaś łaskawa zauważyć, wygląkanie przez okno zdradza mnie, natomiast ja mam zaszczyt poinformować cię, że ciebie zdradza zmiana tematu. - Matthew pociągnął

łyk wina i odstawił kielich na stół. Zmęczony, potarł twarz. -Jaki gość?

- Gdy wróciłam do domu, przy kominku czekał Wiliam Cecil. Matthew znieruchomiał.

- Był najstraszniejszym dziaduniem, jakiego w życiu spotkałam - ciągnęłam, sięgając znów po wino. - Może i wygląda jak Święty Mikołaj, z tymi siwymi włosami i brodą, ale nie odwracałabym się do niego plecami.

- Bardzo mądrze - powiedział cicho Matthew. Spojrzał na Françoise. - Czego chciał?

Służąca wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Był tu, gdy przyszłam do domu z mięsnym pierogiem dla madame. Zażyczył sobie wina. Ten demon wypił wcześniej wszystko, co byto w domu. Musiałam wyjść po więcej.

Matthew gdzieś poszedł. Wrócił już spokojniejszy, wyraźnie mu ulżyło. Poderwałam się na nogi. Strych! I ukryte tam sekrety.

- Czy on?...

- Nie - przerwał mi Matthew. - Wszystko jest tak, jak było. Czy William mówił, po co przyszedł?

- Lord Burghley kazał ci przekazać, że przybył z wizytą - zaważałam się. -I powiedział, że mam opuścić miasto.

Do pokoju weszła Annie, a za nią rozgadany Jack i uśmiechnięty szeroko Pierre, ale jeden rzut oka na twarz Matthew sprawił, że spoważniał. Wzięłam od Annie bieliznę.

- Françoise, może weźmiesz dzieci do Kapelusza Kardynała? - zaproponowałam. - Pierre pójdzie z wami.

- Hurra! - zawołał Jack, zachwycony wizją wieczornych atrakcji. - Pan Szekspir uczy mnie żonglować.

- Nie mam nic przeciwko temu, dopóki nie zechce poprawiać twojego charakteru pisma. - Złapałam kapelusz, który podrzucił Jack. Źle by się stało, gdyby chłopiec na

uczył się fałszować pisma. - Idź i zjedz kolację. I spróbuj zapamiętać, do czego służy chustka do nosa.

- Tak jest - odparł Jack, wycierając nos rękawem.

- Czemu lord Burghley przybył aż do Blackfriars, by się z tobą spotkać? - zapytałam, gdy zostaliśmy sami.

- Ponieważ dostałem dziś informacje ze Szkocji.

- Co tym razem? - Gardło mi się ścisnęło. Nie pierwszy raz poruszano przy mnie temat czarownic z Berwick, ale obecność Burghleya jakoś spowodowała, że zło zdawało mi się bardziej groźne.

- Król Jakub nadal przesłuchuje czarownice. William chciał omówić ze mną, co, jeśli w ogóle, powinna w odpowiedzi zrobić królowa. - Zmarszczył brwi, czując zmianę w moim zapachu, wywołaną ogarniającym mnie strachem. - Nie powinnaś przejmować się tym, co się dzieje w Szkocji.

- Niewiedza nie sprawi, że to się nie stanie.

- Nie - przyznał Matthew, rozmasowując mi kark. - Świadomość też nie.

Następnego dnia wróciłam od Mateczki Alsop z niewielką drewnianą skrzyneczką na czary - moje zapisane czary miały w niej dojrzewać, nim będą gotowe do użycia przez inne czarownice. Znalazienie sposobu na przenoszenie czarów na papier było kolejnym krokiem w mojej tkackiej edukacji. Na razie w skrzyneczce znajdowały się tylko moje tkackie sznureczki. Marjorie uważała, że moim czarem ukrycia nie powinnam jeszcze dzielić się z innymi czarownicami.

Czarownik z ulicy Thames zrobił tę skrzyneczkę z gałęzi jarzębiny, którą przyniosła mi wiwerna w dniu, gdy rzuciłam mój preczar. Na wieczku wyrzeźbił drzewo; jego gałęzie i korzenie skręcały się ze sobą tak, że nie dało się ustalić, co jest czym. Części skrzyneczki połączone były wyłącznie kołeczkami, bez jednego gwoźdźca. Czarownik

był dumny ze swojego dzieła, a ja nie mogłam się doczekać, by pokazać to cudo Matthew.

Pod Łanią i Koroną było dziwnie cicho. W korytarzu nie palił się ani ogień na kominku, ani świece. Matthew pracował w swoim gabinecie, sam. Na stole przed nim stały trzy dzbany do wina. Dwa z nich przypuszczalnie puste. Zwykle Matthew nie pił tak dużo.

- Co się stało?

Uniósł jakąś kartkę. Z jej brzegów zwisały kawałki czerwonego wosku. Pęknięta w połowie pieczęć.

- Zostaliśmy wezwani na dwór. Osunęłam się na krzesło naprzeciwko.

- Kiedy?

- Jej Wysokość łaskawie pozwoliła nam poczekać do jutra - prychnął Matthew. - Jej ojciec nie był tak wyrozumiały. Kiedy Henryk pragnął kogoś wezwać, posyłał po niego nawet, jeśli trzeba go było wyciągnąć z łóżka i lał deszcz.

Jeszcze w Madison pragnęłam poznać królową Anglii. Jednak po spotkaniu z najbystrzejszym mężczyzną królestwa, jakoś nie paliłam się do poznania najprzebieglejszej z kobiet.

- Czy musimy iść? - zapytałam z nadzieją, że Matthew odrzuci zaproszenie królowej.

- Królowa w swoim liście pozwoliła sobie przypomnieć mi o jej ustawie przeciw czarom, magii i czarnoksięstwu. -Matthew rzucił kartkę na stół. - Wygląda na to, że pan Danforth napisał list do swojego biskupa. Burghley ukrył skargę, ale i tak wyszła na jaw. - Zaklął.

- Więc czemu idziemy na dwór? - Zacisnęłam palce na skrzyneczce. Znajdujące się w środku sznureczki zaczęły pełzać, pragnąc pomóc mi w znalezieniu odpowiedzi na to pytanie.

- Bo jeśli nie pojawimy się jutro o drugiej po południu w sali audiencji w pałacu w Richmond, Elżbieta każe

nas aresztować. - Oczy Matthew wyglądały jak kawałki matowego szkła. - A wtedy Kongregacja szybko odkryje prawdę o nas.

Na tę wieść całe domostwo aż się zatrzęsło. Podniecenie udzieliło się też sąsiadom, gdy następnego ranka tuż po wschodzie słońca pojawiła się u nas hrabina Pembroke z taką ilością ubrań, że mogłaby obdarować całą gminę. Przybyła rzeką, na barce z Blackfriars, chociaż mieszkaliśmy tak blisko siebie. Jej pojawienie się na nabrzeżu Water Lane zostało przez ludność uznane za spektakl o niezwykłym znaczeniu i przez kilka chwil na przeważnie hałaśliwej uliczce panowała kompletna cisza.

Mary weszła do salonu spokojnie, z pogodną miną i pozwoliła, aby Joan i cała grupa podrzędnych sług wsunęła się za nią.

- Henry powiedział, że oczekują was tego popołudnia na dworze. Nie masz nic odpowiedniego do ubrania. - Władczym gestem nakazała służącym iść do naszej sypialni.

- Zamierzałam włożyć suknię, w której brałam ślub - zaprotestowałam.

- Ależ ona jest francuska! - zawołała zszokowana Mary. - Nie możesz tak się ubrać.

Ujrzałam haftowane atłasy, pyszne aksamity, lśniące jedwabie przetykane złotymi i srebrnymi niciami i sterty przezroczystych materiałów niewiadomego użytku.

- Aż tyle, Mary?! Co ci przyszło do głowy? - zawołałam, z trudem unikając zderzenia z kolejnym sługą.

- Do boju trzeba iść w odpowiedniej zbroi - odparła Mary, jak to ona: cierpko i zarazem z nonszalancją. - A Jej Wysokość, niech Bóg ma ją w opiece, jest potężnym przeciwnikiem. Będiesz potrzebowała całej ochrony, jaką zapewnić ci może moja garderoba.

Zaczęłyśmy przeglądać ubrania. Nie miałam pojęcia, jak miałybyśmy dokonać poprawek niezbędnych, by rzeczy Mary

pasowały na mnie, ale nawet nie próbowałam o to pytać. Byłam Kopcuszką, a hrabina Pembroke mogła zawezwać nawet leśne ptaki i skrzaty, jeśli uznałyby to za konieczne.

W końcu zdecydowałyśmy się na czarną suknię, gęsto wyszywaną liliami i różami. Mary stwierdziła, że to zeszłoroczny wzór, przestarzały, bo obecnie w modzie były suknie okrągłe jak młyńskie koła. Królowa Elżbieta powinna docenić moją skromność i niechęć do ulegania modzie.

- A srebro i czerń to kolory królowej. Dlatego Walter zawsze je nosi - wyjaśniła Mary, wygładzając bufiaste rękawy.

Ale mnie najbardziej podobała się atlasowa halka, widoczna z przodu plisowanych spódnic. Ona także była wyszywana, ale głównie w roślinne i zwierzęce wzory, a także elementy architektury klasycznej, instrumentów naukowych i żeńskich personifikacji sztuk i nauk. Rozpoznałam tę samą rękę, która stworzyła buty Mary. Na wszelki wypadek nie dotykałam haftu, nie chcąc, by lady Alchemia zeskoczyła z halki, nim zdążę ją włożyć.

Wystrojenie mnie zajęło czterem kobietom aż dwie godziny. Najpierw zasznurowano na mnie suknie wywatowane i napuszone do niesamowitych rozmiarów, grubo pikowane i z szerokim fortugalem, tak niewygodnym, jak myślałam. Miałam odpowiednio dużą, pretensjonalną kryzę, choć nie tak szeroką jak kryza królowej, zapewniła mnie Mary. Hrabina przypięła mi też do pasa składany wachlarz ze strusich piór, który zwisał niczym wahadło i huśtał się przy każdym moim kroku. Ten drobiazg o pięknych piórach i wysadzanej perłami i rubinami rączce musiał kosztować dziesięć razy tyle, co moja pułapka na myszy, i naprawdę cieszyłam się, że jest zawieszony u mojego pasa.

Z trudem porozumiałyśmy się w kwestii biżuterii. Mary miała ze sobą swoją szkatułę, z której wyciągała najróżniejsze bezcenne precjoza, ale ja uparłam się na kolczyki Ysabeau zamiast jej ozdobnych brylantowych łezek. Wyjął-

kowo dobrze pasowały do sznura pereł, którym moją szyję otoczyła Joan. Ku mojemu przerażeniu Mary rozdzieliła łańcuch kwiatów żarnowca - prezent ślubny od Philippe'a - i przypięła jeden z nich pośrodku mojej halki, po czym zebrała perły czerwoną wstążką i przypięła do kwiatu. Po dłuższej dyskusji Mary i Françoise ustaliły, że szyję otoczą mi obrozą z pereł. Annie kolejną ozdobną szpilką przypięła złotą strzałę do mojej kryzy, a Françoise ułożyła mi włosy tak, by okalały moją twarz, tworząc kształt serca. Na koniec Mary nasunęła mi na tył głowy wysadzany perłami czepek, skrywając zaplecione przez Françoise włosy.

Matthew, którego nastrój robił się z każdą godziną gorszy, zmusił się do uśmiechu i zdawał się być pod wrażeniem.

- Czuję się jak w kostiumie teatralnym - jęknęłam żałośnie.

- Wyglądasz pięknie, wręcz olśniewająco - zapewnił. Sam także wyglądał doskonale w idealnie czarnym

aksamitnym stroju, z odrobiną bieli przy nadgarstkach i kołnierzu. A na szyi miał mój portrecik. Długi łańcuszek zahaczył o guzik tak, by na zewnątrz było widać księżyc, a mój wizerunek spoczywał na jego sercu.

Z pałacu w Richmond ujrzałam najpierw szczyt beżowej, kamiennej wieży, na której łopotał królewski sztandar. Chwilę potem dostrzegłam kolejne wieże, lśniące w rześkim zimowym powietrzu niczym z bajki. Następnie ukazał nam się szeroki kompleks pałacowy - dziwna prostokątna arkada na południowym wschodzie, otoczony szeroką fosą trzypiętrowy główny budynek na południowym zachodzie, a za nim okolony murem sad.

Za głównym budynkiem też wznosiły się wieże i wieżyczki, a nawet dwa budynki przypominające college Eton. Za sadem stał potężny żuraw - wokół niego uwijali się ludzie, wyładowując pudła i paczki do pałacowych kuchni i spiżarni. Zamek Baynard, który wydawał mi się zawsze



potężny, jako poprzednia królewska rezydencja, nagle jakoś stracił w moich oczach.

Wioślarze skierowali barkę do brzegu. Matthew zignorował zainteresowane spojrzenia i pytania, pozwalając, aby odpowiedzieli za niego Pierre albo Gallowglass. Postronny obserwator uznałby, że Matthew jest trochę znudzony. Ale ja siedziałam na tyle blisko niego, że widziałam, jak lustruje wzrokiem brzeg rzeki, czujny i gotów do działania.

Spojrzałam za fosę, na piętrowe arkady: na parterze były otwarte, ale na piętrze wstawiono okna w ołowianych ramkach. Zaciekawieni dworzanie wyglądali przez nie, licząc na to, że ujrzą nowo przybyłych i zyskają nowe tematy do plotek. Matthew szybko mnie sobą zasłonił.

Ubrani w liberie służący, uzbrojeni w piki i miecze, poprowadzili nas przez wartownię do głównej części pałacu. W labiryncie pokoi na parterze było równie tłoczno i nerwowo, jak w jakimś współczesnym biurowcu - służba i urzędnicy biegali z rozkazami i sprawunkami. Matthew skręcił w prawo, a wtedy strażnicy zagrodzili mu drogę.

- Nie spotka się z tobą na osobności, dopóki nie podręczy cię na oczach wszystkich - wyszeptał Gallowglass.

Matthew zaklął.

Podążyliśmy więc za naszą eskortą do głównych schodów. Aż roiło się tam od ludzi, a ich zapach, pomieszany z wonią kwiatów i ziół, odurzał. Wszyscy się perfumowali, chcąc ukryć nieprzyjemne zapachy, ale nie byłam pewna, czy nie z gorszym efektem. Gdy tłum dostrzegł Matthew, zaczęto szeptać i rozstąpiono się na boki. Mój mąż był wyższy od wielu zebranych i sprawiał równie groźne wrażenie jak większość arystokratów, których poznałam. Różnica? Matthew naprawdę był zabójczo niebezpieczny, a ciepłokrwisci jakoś to wyczuwali.

Po przejściu przez trzy przedpokoje, pełne wypchnionych i wystrojonych dworzan obu płci i w najróżniej-

szym wieku, dotarliśmy wreszcie do zamkniętych drzwi. I tam musieliśmy zaczekać. Szepty wokół zamieniły się w szum. Jakiś człowiek rzucił żart, a jego towarzysze zachichotali.

Matthew zacisnął zęby.

- Dlaczego czekamy? - zapytałam tak cicho, że usłyszeć mnie mogli tylko Matthew i Gallowglass.

- By zabawić królową, a także by pokazać dworowi, że jestem tylko sługą.

W końcu wpuszczono nas przed oblicze Jej Wysokości i ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że w pokoju także jest pełno ludzi. „Prywatność” to było określenie względne na dworze Elżbiety. Rozejrzałam się za królową, ale nigdzie jej nie dostrzegłam. Jęknęłam w duchu na myśl o dalszym czekaniu.

- Jak to możliwe, że ja z każdym rokiem staję się starsza, a Matthew Roydon zdaje się młodnieć o dwa lata? - dobiegł nas zaskakująco wesoły głos od strony kominka.

Najwspanialej ubrane, najmocniej uperfumowane i najbardziej wymalowane istoty w sali odwróciły się lekko, by nam się przyjrzeć, odsłaniając przy tym Elżbietę, królową pszczół w centrum swojego ula. Serce zamarło mi na moment. Oto legenda za życia.

- Nie widzę jakiś specjalnych zmian, Wasza Wysokość - odezwał się Matthew i lekko się uklonił. - Jak to mówią: *Semper eadem*.

Takie słowa były wymalowane na wstędze pod królewskim herbem zdobiącym kominek. „Zawsze taka sama”.

- Nawet mój lord skarbnik potrafi się głębiej uklonić, a cierpi na reumatyzm. - Spod maski pudru i różu zalśniły czarne oczy. Poniżej haczykowatego nosa wąskie wargi królowej zacisnęły się w ostrą linię.

- Poza tym wolę teraz inną maksymę: *Video et taceo*. „Widzę i milczę”.

Mieliśmy kłopoty.

Matthew zdawał się tego nie zauważać. Stał z wysoko uniesioną głową, niczym udzielny książę, a nie szpieg królowej. Teraz od razu było widać, że jest najwyższym mężczyzną w sali. Tylko dwóch ludzi choć trochę dorównywało mu wzrostem - Henry Percy, który przygnębiony stał pod ścianą, i długonogi mężczyzna, mniej więcej w wieku hrabiego, z grzywą kręconych włosów i bezczelnym wyrazem twarzy, tkwiący u boku królowej.

- Ostrożnie - wyszeptał Burghley, przechodząc obok Matthew. Stukał laską, by nikt więcej go nie usłyszał. - Wasza Wysokość mnie wzywa?

- Duch i Cień w jednym miejscu. Powiedz, Raleigh, czy to przypadkiem nie pozostaje w sprzeczności z jakąś mroczną zasadą filozofii? - zapytał z przewrotnym śmiechem towarzysz królowej.

Jego przyjaciele wskazali na lorda Burghleya i Matthew i wybuchnęli śmiechem.

- Esseksie, gdybyś uczęszczał na Uniwersytet Oksfordzki, a nie Cambridge, to znałbyś odpowiedź i nie musiałbyś się upokarzać, zadając takie pytania. - Raleigh od niechcienia zmienił pozycję i przybliżył dłoń do rękojeści miecza.

- Robinie - królowa poklepała go pobłaźliwie po rękę. - Wiesz, że nie lubię, jak inni używają przydomków, które im nadałam. Tym razem jednak lord Burghley i pan Roydon ci to wybaczą.

- Jak rozumiem, pani u twego boku to twoja żona, Roydonie. - Lord Essex spojrział na mnie swoimi brązowymi oczami. - Nie wiedzieliśmy, że się ożeniłeś.

- Kim są ci „my”? - prychnęła królowa, tym razem dając mu kuksańca. - To nie twoja sprawa, lordzie Essex.

- Matt przynajmniej nie wstydy się pokazywać ze swoją żoną na mieście. - Walter podrapał się po brodzie. - Ty także się niedawno ożeniłeś, panie. A gdzie twoja żona w ten piękny zimowy dzień?

Zaczyna się, pomyślałam, gdy Walter i Essex zaczęli walczyć o swoją pozycję na dworze.

- Lady Essex jest na Hart Street, w domu swojej matki, z nowo narodzonym dziedzicem hrabiego u boku - odpowiedział w imieniu Esseksa Matthew. - Gratuluję, mój panie. Gdy odwiedziłem hrabinę, powiedziała, że nada mu twoje imię.

- Tak. Robert został wczoraj ochrzczony - odparł sztywno Essex. Wyglądał na lekko zaniepokojonego tym, że Matthew był u jego żony i dziecka.

- Oczywiście. - Matthew posiał hrabiemu groźny uśmiech.

- To dziwne. Nie widziałem pana na ceremonii.

- Dość tych sprzeczek! - krzyknęła Elżbieta, zła, że rozmowa wymknęła jej się spod kontroli. Zabębniła długimi palcami o tapicerowany podłokietnik fotela. - Żadnemu z was nie dałam pozwolenia na ślub. Obaj jesteście niewdzięcznymi, pazernymi łotrami. Przeprowadzić do mnie dziewczynę.

Zdenerwowana wygładziłam suknie i wzięłam Matthew pod ramię. Tuzin kroków dzielących mnie od królowej zdawał się nie mieć końca. Gdy wreszcie do niej dotarłam, Walter spojrzał znacząco na podłogę. Dygnęłam głęboko i tak już pozostałam.

- Przynajmniej jest dobrze wychowana - przyznała Elżbieta. - Niech wstanie.

Gdy spojrzałam jej w oczy, uświadomiłam sobie, że jest krótkowidzem. Mimo że stałam od niej w odległości jakiś trzech stóp, mrużyła oczy, jakby nie mogła dostrzec wyraźnie mojej twarzy.

- Hmm. Ma grubo ciosane rysy - stwierdziła w końcu.

- W takim razie dobrze się składa, że nie ty za nią wyszłaś, skoro tak uważasz - odparł krótko Matthew.

Królowa znów zaczęła mi się przyglądać.

- Na jej palcach widzę atrament.

Ukryłam ręce za pożyczonym wachlarzem. Plamy z atramentu zrobionego z dębu były praktycznie niezmywalne.

- A ileż to ja ci muszę płacić, Cieniu, skoro twoja żona może sobie pozwolić na taki wachlarz? - zaczęła się dąsać królowa.

- Jeśli zamierzamy omawiać królewskie finanse, to może pozwolimy pozostałym zebrany wyjść? - zaproponował lord Burghley.

- No dobrze - prychnęła Elżbieta. - Ty zostajesz, William, Walter też.

- I ja - dodał Essex.

- Ty nie, Robinie. Zajmij się bankietem. Chcę się dziś dobrze bawić. Dość mam tych wszystkich kazań i lekcji historii. Traktujecie mnie jak uczennicę. Koniec z opowieściami o królu Janie i o przygodach pasterczek usychających z miłości za swymi pasterzami. Dość też Symonsa. Jeśli już musicie coś wystawiać, niech to będzie sztuka o nekromancie i mosiężnej głowie, która przepowiada przyszłość. - Elżbieta zabębniła palcami w stół. - „Czas jest, czas był, czas minął”. Uwielbiam to zdanie.

Wymieniliśmy z Matthew spojrzenia.

- Wasza Wysokość, tytuł tej sztuki to chyba *Brat Bacon i brat Bungay* - wyszeptała do ucha królowej młoda dziewczyna.

- O właśnie, Bess. Dopilnuj tego, Robinie, a usiądziesz obok mnie. - Królowa była niezłą aktorką. Potrafiła w mgnieniu oka przejść od furii przez dąsy do pochlebstwa.

Udobruchany hrabia Essex wyszedł, ale na odchodnym spojrzał jeszcze groźnie na Waltera. Za nim podążyli pozostali. Teraz to on był najważniejszą osobą i Ignęli do niego jak ćmy do światła. Tylko Henry nie miał ochoty wychodzić, ale nie mógł sprzeciwić się życzeniu królowej. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, odezwała się:

- Czy podobała ci się wizyta u doktora Dee, pani Roydon? - zapytała ostro. Koniec z przymilaniem. Pora na interesy.

- Owszem, Wasza Wysokość - odpowiedział Matthew.

- Dobrze wiem, że twoja żona może mówić sama za siebie, panie Roydon. Więc jej na to pozwól.

Matthew spochmurniał, ale nie protestował.

- Była bardzo ciekawa, Wasza Wysokość. - Właśnie odezwałam się do królowej Elżbiety Pierwszej! Próbując zapanować nad niedowierzaniem, mówiłam dalej: - Studiuję alchemię i bardzo interesuję się książkami i nauką.

- Wiem, kim jesteś.

Wokół mnie rozbłysło niebezpieczeństwo, czarne nitki pękały z jękiem.

- Jestem twoją unizoną poddaną, Wasza Wysokość, jak mój mąż.

- Wpatrzyłam się w pantofle królowej Anglii. Na szczęście nie były zbyt oryginalne i nie ożyły.

- Mam dość dworzan i głupców, pani Roydon. Tymi słowami nie zyskasz pośród nich miejsca. - Jej oczy załśniły groźnie. - Nie wszyscy moi informatorzy kontaktują się z twoim mężem. Powiedz mi, Cieniu, co sprowadziło cię do doktora Dee?

- Sprawa prywatna. - Matthew z trudem panował nad gniewem.

- Coś takiego nie istnieje. Nie w moim królestwie. - Elżbieta przyglądała się twarzy Matthew. - Powiedziałeś mi, żebym nie powierzała moich sekretów tym, których lojalności jeszcze nie sprawdziłeś - ciągnęła. - Chyba nie podajesz w wątpliwość mojej lojalności.

- To była sprawa prywatna, dotycząca doktora i mnie, pani. - Matthew trwał przy swojej wersji.

- Dobrze, panie Roydon. Skoro upierasz się dotrzymać swojej tajemnicy, powiem ci, jak wyglądają sprawy między mną a doktorem Dee i może to rozwiąże ci język. Chcę, by Edward Kelley wrócił do Anglii.

- Z tego, co wiem, to teraz sir Edward, Wasza Wysokość - poprawił ją Burghley.

- A skąd o tym wiesz? - zapytała.

- Ja mu powiedziałem - wtrącił spokojnie Matthew. -W końcu do moich obowiązków należy badanie takich spraw. Do czego potrzebujesz Kelleya?

- Umie stworzyć kamień filozoficzny. I nie życzę sobie, by coś takiego trafiło do rąk Habsburgów.

- I tego właśnie się boisz? - Matthew ulżyło.

- Boję się umrzeć i zostawić królestwo na pastwę Hiszpanii, Francji i Szkocji, które zaczęłyby o nie walczyć niczym psy o kość. - Królowa wstała i skierowała się w jego stronę. Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniejsza stawała się różnica w ich wzroście i sile. Była wyjątkowo drobną kobietą, a jednak wbrew wszystkiemu żyła już tyle lat. - Boję się tego, co stanie się z ludźmi, gdy odejdę. Codziennie modłę się, by Bóg uchronił Anglię przed katastrofą.

- Amen - zakończył Burghley.

- Zapewniam, że Bóg nie wybrał Edwarda Kelleya do tego zadania.

- Władca, który wejdzie w posiadanie kamienia filozoficznego, będzie dysponował niewyczerpalnymi zasobami bogactw - oczy Elżbiety zalśniły. - Gdybym dysponowała większą ilością złota, mogłabym zniszczyć Hiszpanów.

- A gdyby marzenia zamieniały się w ptaki, żebracy jadaliby drób - odparł Matthew.

- Uważaj, co mówisz, Roydon - ostrzegł Burghley.

- Jej Wysokość pragnie wpłynąć na niebezpieczne wody, mój panie. A moim obowiązkiem jest ostrzegać ją przed tym. - Matthew utrzymywał oficjalny ton. - Edward Kelley to demon. Jego praca alchemiczna niebezpiecznie ociera się o magię, Walter może to potwierdzić. Kongregacja robi wszystko, by fascynacja Rudolfa II okultyzmem nie przyjęła równie niebezpiecznej formy jak w przypadku króla Jakuba.

- Jakub miał prawo aresztować te czarownice! - zawołała Elżbieta. - Tak samo jak ja mam prawo czerpać korzyści z tego, że jeden z moich poddanych stworzył kamień filozoficzny.

- Czy Walter też otrzymał taki nakaz, gdy został wysłany do Nowego Świata? - zapytał Matthew. - Czy gdyby znalazł w Wirginii złoto, nakazałabyś, by całe ci oddał?

- Z tego, co wiem, dokładnie to stanowiła nasza umowa - odezwał się sucho Walter, po czym dodał szybko: - Choć bardzo bym się cieszył, mogąc przekazać je Jej Wysokości.

- Wiedziałam, że nie można ci ufać, Cieniu. Jesteś w Anglii, by mi służyć, a mimo to wstawiasz się za tą swoją Kongregacją, jakby jej życzenia były ważniejsze od moich.

- Pragnę tego samego co Wasza Wysokość: uratować Anglię przed katastrofą. Jeśli pójdziesz śladem króla Jakuba i zaczniesz prześladować żyjące wśród twoich poddanych demony, czarownice i wampiry, zgubi cię to, a wraz z tobą królestwo.

- A więc co sugerujesz? - zapytała Elżbieta.

- Proponuję układ podobny do tego, jaki zawarłaś z Raleighem. Ja dopilnuję, żeby Edward Kelley powrócił do Anglii, abyś mogła go zamknąć w Tower i zmusić, by stworzył kamień filozoficzny... jeśli potrafi to zrobić.

- A w zamian? - Elżbieta była jednak nieodrodną córką swojego ojca i doskonale wiedziała, że w życiu nic nie ma za darmo.

- W zamian weźmiesz pod opiekę tyle czarownic z Berwick, ile zdołam wyciągnąć z Edynburga, dopóki król Jakub nie przestanie ich prześladować.

- Wykluczone! - zawołał Burghley. - Pomyśl, pani, jak to wpłynie na nasze kontakty z północnymi sąsiadami, jeśli pozwolisz przekroczyć granicę tylu szkockim czarownicom!



- W Szkocji nie zostało już tak wiele czarownic - stwierdził ponuro Matthew - gdyż nie wysłuchałaś moich wcześniejszych próśb.

- Cieniu, wydawało mi się, że jednym z twoich zadań w Anglii jest czuwać, aby twoi ludzie nie mieszały się do naszej polityki. A co, jeśli to zostanie wykryte? Jak miałabym wyjaśnić twoje zachowanie? - Królowa zmierzyła go wzrokiem.

- Powiedziałbym, że bieda dziwnych daje nieraz człowiekowi kompanów, Wasza Wysokość.

Elżbieta roześmiała się cicho.

- Na pewno w przypadku kobiet - sapnęła. - Dobrze. Umowa stoi. Pojedziesz do Pragi po Kelleya. Pani Roydon zostanie przy mnie, na dworze, byś nie marnował czasu.

- Mojej żony nie obejmuje nasza umowa, ponadto nie ma potrzeby, bym jechał do Czech w styczniu. Pragniesz odzyskać Kelleya. Dopilnuję, aby się tu pojawił.

- Nie jesteś tu królem! - Elżbieta dźgnęła go palcem w klatkę piersiową. - Pojedziesz tam, gdzie cię wyślę. A jeśli nie, to wtrącę cię i twoją czarownicę do Tower pod zarzutem zdrady. Albo zrobię coś jeszcze gorszego. - Oczy jej lśniły.

Ktoś zaskrobał do drzwi.

- Wejść! - huknęła Elżbieta.

- Wasza Wysokość, hrabina Pembroke prosi o widzenie - odezwał się przeproszającym tonem strażnik.

- Na boskie zęby - zaklęła królowa. - Czy ja nie mogę mieć chwili spokoju? Niech wejdzie.

Mary Sidney wpłynęła do sali, a jej welon i kryza aż się wydeły, gdy przeszła z zimnego przedpokoju do przegrzanej sali królewskiej. Dygnęła elegancko, po czym przepłynęła w głąb pomieszczenia i znów złożyła idealny ukłon.

- Wasza Wysokość - odezwała się z pochyloną głową.

- Cóż cię sprowadza na dwór, lady Pembroke?

- Wasza Wysokość zapewniła mi kiedyś łaskę: ochronę na przyszłość.

- Tak, tak - prychnęła Elżbieta. - Co też znowu zrobił twój mąż?

- Zupełnie nic. - Mary wyprostowała się. - Przychodzę prosić o pozwolenie, bym mogła wysłać panią Roydon z ważną sprawą.

- Nie rozumiem po co - odparła Elżbieta. - Nie wygląda ani na przydatną, ani zaradną.

- Potrzebuję do eksperymentów specjalnych szklanych naczyń, które można zdobyć tylko w warsztatach cesarza Rudolfa. Żona mojego brata, proszę o wybaczenie: po śmierci Filipa ponownie wyszła za mąż i zwie się teraz hrabiną Essex, przekazała mi, że pan Roydon wybiera się do Pragi. Pani Roydon mogłaby pojechać z nim, z twoim błogosławieństwem, i przywieźć mi to, czego potrzebuję.

- Cóż za próżny głupiec! Hrabia Essex nie potrafi ugryźć się w język, przed całym światem rozpowiada wszystko, czego się tylko dowie! - Elżbieta zakręciła się jak fryga. - Gaduła! Zapłaci mi za to głową!

- Wasza Wysokość obiecała mi tę łaskę, gdy mój brat zginął, broniąc twojego królestwa. - Mary uśmiechnęła się łagodnie do mnie i Matthew.

- I marnujesz tak cenny dar dla tych dwojga? - Elżbieta nie dowierzała.

- Matthew uratował kiedyś życie Filipowi. Jest dla mnie jak brat!

- Mary mrugnęła do królowej niewinnie.

- Bywasz przebiegła jak lis, hrabino Pembroke. Chcę cię częściej widzieć na dworze. - Elżbieta zacisnęła ręce. - Niech będzie. Dotrzymam słowa. Ale żądam, by Edward Kelley pojawił się przy mnie przed Świętym Janem. I to bez problemów. Nie życzę też sobie, aby dowiedziało się o moich planach pół Europy. Czy to jasne, panie Roydon?

- Tak, Wasza Wysokość - wycedził Matthew przez zęby.

- No to ruszaj do Pragi. I weź ze sobą żonę, aby sprawić przyjemność lady Pembroke.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Matthew wyglądał tak, jakby raczej miał ochotę urwać królowej głowę.

- Precz z moich oczu, wszyscy, zanim zmienię zdanie. - Elżbieta usiadła z impetem na swoim rzeźbionym fotelu.

Lord Burghley dał znak głową, abyśmy wykonali rozkaz królowej. Ale Matthew nie mógł tak od razu odejść.

- Wasza Wysokość, proszę uważać. Nie ufaj hrabiemu Essex.

- Nie lubisz go, panie Roydon. Tak jak William i Walter. Ale on sprawia, że znów czuję się młoda. - Elżbieta spojrzała na niego czarnymi oczami. - Swego czasu to ty pełniłeś tę rolę i przypominałeś mi o szczęśliwszych czasach. A teraz znalazłeś kogo innego i zostałam sama.

- „Mój opiekun jest niczym mój cień w słońcu ./Gna za mną, gdy idę, ucieka, gdy go gonię./Staje i kładzie się przy mnie, gdy to czynię" - odparł cicho Matthew. - A ja jestem takim twoim cieniem, Wasza Wysokość, i nie mam wyjścia, jak tylko podążać tam, gdzie mnie poprowadzisz.

- A ja jestem zmęczona. - Elżbieta odwróciła głowę. - I odechciało mi się poezji. Zostawcie mnie.

- Nie jedziemy do Pragi - odezwał się Matthew, gdy dotarliśmy do barki Henry'ego i ruszyliśmy w stronę Londynu. - Musimy wrócić do domu.

- Królowa nie da ci spokoju tylko dlatego, że uciekniesz do Woodstock, Matthew - zauważyła rozsądnie Mary, okrywając się szczelniej futrem.

- On nie ma na myśli Woodstock, Mary - sprostowałam. - Chodzi mu o... miejsce znacznie dalej.

- Ach tak? - Mary zmarszczyła brwi. - Och. Jej twarz stężała.

- Ale byliśmy tak blisko zdobycia tego, czego potrzebujemy - jęknęłam. - Wiemy, gdzie jest manuskrypt. Mógłby nam tyle wyjaśnić.

- Równie dobrze może być czymś zupełnie innym niż manuskrypt w domu doktora Dee - odezwał się gwałtownie Matthew. - Znajdziemy inny sposób.

Później Walter przekonywał Matthew, że królowa mówiła poważnie i jeśli jej odmówimy, wtrąci nas do Tower. A gdy powiedziałam o tym Mateczce Alsop, była równie niechętna wyprawie do Pragi jak Matthew.

- Powinnaś wracać do własnych czasów, a nie jechać do dalekiej Pragi. Nawet jeśli tu zostaniesz, miną całe tygodnie, nim zdołasz stworzyć czar, który zabierze cię do domu. Magia rządzi się swoimi zasadami, musisz je sobie jeszcze przyswoić. Na razie masz tylko krnąbrną wiwerę, prawie oślepiający blask i tendencję do zadawania pytań, które dają przeróżne odpowiedzi. Nie posiadasz dość wiedzy na temat tej sztuki, by zrealizować swój plan.

- Będę się dalej uczyć w Pradze, obiecuję - wzięłam ją za rękę. - Matthew zawarł z królową umowę, która może uratować dziesiątki czarownic. Nie wolno nam się rozdzielić. To zbyt niebezpieczne. Nie pozwolę mu samemu jechać na cesarski dwór.

- Pewnie - uśmiechnęła się smutno. - Póki starczy ci tchu. Dobrze. Jedź ze swoim wampierzem. Ale wiedz, Diano Roydon, że wyznaczasz nowy kierunek i nie zdajesz sobie sprawy, do czego to doprowadzi.

- Duch Bridget Bishop powiedział mi, że nie ma przede mną żadnej drogi, w której by jego nie było. Gdy czuję, że tracę kontrolę nad swoim życiem, dla odwagi powtarzam sobie te słowa - powiedziałam, próbując ją pocieszyć. - Tak długo, jak jesteśmy razem, Mateczko, kierunek nie ma wielkiego znaczenia.

Trzy dni później, w dniu świętej Brygidy, ruszyliśmy w długą podróż na spotkanie Cesarza Rzymskiego, by odnaleźć angielskiego demona-zdrajcę i, na koniec, rzucić okiem na *Ashmole 782*.

## ROZDZIAŁ 6

Vérin de Clermont siedziała u siebie w domu w Berlinie i z niedowierzaniem wpatrywała się w gazetę „The Independent”.

1 lutego 2010

Kobieta w Surrey odkryła manuskrypt należący do Mary Sidney, słynnej elżbietańskiej poetki i siostry sir Filipa Sidneya.

- Był w szafce do przesuszania bielizny mojej matki, u szczytu schodów - powiedziała „The Independent” Henrietta Barber (62 l.). Pani Barber porządkowała mieszkanie matki przed wysłaniem jej do domu spokojnej starości. - Wyglądał jak paczka jakichś starych papierów.

Manuskrypt, jak sądzą badacze, to notes alchemiczny hrabiny Pembroke z zimy 1590/1591. Do tej pory uważano, że naukowe notatki hrabiny zostały zniszczone podczas pożaru w Wilton House w XVII wieku. Nie wiadomo, jak zabytek trafił do rodziny Barberów.

- Gdy wspominamy Mary Sidney, na myśl przychodzi nam głównie jej poezja - mówi przedstawiciel domu aukcyjnego Sotheby, który w maju ma wystawić pamiętnik na aukcję. - Ale w jej czasach znano ją głównie jako wielką entuzjastkę alchemii.

Manuskrypt jest wyjątkowo interesujący, gdyż wskazuje, że hrabina miała w laboratorium pomocnika. Przy jednym z eksperymentów, opisanym jako „tworzenie *arbor Diana*”, podaje inicjały asystenta: DR.

- Pewnie nigdy nie ustalimy, kim był człowiek, który pomagał hrabinie Pembroke - uważa historyk Nigel Warminster z uniwersytetu w Cambridge. - Ten manuskrypt dowodzi wszakże niesamowitego wzrostu znaczenia eksperymentów podczas rewolucji naukowej.

- O co chodzi, Schatz? - Ernst Neumann postawił przed żoną kieliszek wina. Wyglądała na zdecydowanie zbyt poważną jak na poniedziałkowy wieczór. Taką minę miewała w piątki.

- Nic - wyszeptała, wciąż wpatrując się w gazetę. - Pewne niedokończone sprawy rodzinne.

- Dotyczą Baldwina? Stracił dziś milion euro? - Jego szwagier zdawał się całkiem miły, ale Ernst nie bardzo mu ufał. Baldwin szkolił go w meandrach międzynarodowego handlu, gdy Ernst był jeszcze młodym człowiekiem. Teraz miał sześćdziesiąt lat i znajomi zazdrościli mu tak młodej żony. Ich zdjęcia ślubne, ukazujące taką samą Vérin jak dziś i dwudziestopięcioletnią wersję Ernsta, były głęboko ukryte.

- Baldwin nigdy nie stracił żadnego miliona. - Ernst zauważył, że Vérin właściwie nie odpowiedziała mu na pytanie.

Wziął gazetę i przeczytał artykuł.

- Czemu interesuje cię ta stara książka?

- Pozwól, że najpierw zadzwonię.

Ręka na słuchawce jej nie zadrżała, ale Ernst znał ten wyraz jej przedziwnych, srebrnych oczu. Była zła, przestraszona i myślała o przeszłości. Taki sam wyraz oczu miała tuż przed tym, nim uratowała mu życie, wyrywając go z rąk swojej macochy.

- Dzwonisz do Mélisande?

- Ysabeau - poprawiła go odruchowo Vérin, wystukując numer.
- Oczywiście, Ysabeau - odparł Ernst.

Trudno było mu myśleć o macosze Vérin inaczej niż jak o Mélisande - tego imienia używała matka rodu de Clermont, gdy zabiła po wojnie ojca Ernsta.

Vérin zaskakująco długo nie mogła się połączyć. Ernst słyszał dziwne kliknięcia, zupełnie jakby rozmowę co chwilę przerywano. W końcu się połączyła. Rozległ się sygnał.

- Kto mówi? - zapytał młody głos. Chyba Amerykanina albo Anglika, ale prawie bez akcentu.

Vérin natychmiast się rozłączyła. Upuściła słuchawkę na stół i ukryła twarz w dłoniach.

- O Boże! To się dzieje naprawdę, tak, jak mówił ojciec.
- Przerażasz mnie, Schatz - zawołał Ernst.

W życiu widział już wiele strasznych rzeczy, ale nic nie mogło się równać z tym, co męczyło Vérin, gdy zdarzało jej się przysnąć. Koszmary o Philippie sprawiały, że jego zwykle spokojna żona traciła nad sobą panowanie.

- Kto odebrał?

- Nie ten, co trzeba - odparła Vérin zduszonym głosem. Uniosła wzrok. - Powinien odebrać Matthew, ale nie może. Bo go tu nie ma. Jest tam.

Spojrzała na gazetę.

- Vérin, nie rozumiem z tego ani słowa - stwierdził surowo Ernst.

Nigdy nie spotkał tego dziwnego przyrodniego brata Vérin, intelektualisty i czarnej owcy rodziny. Ale Vérin sięgnęła już znów po telefon. Tym razem połączyła się od razu.

- A więc przeczytałaś już dzisiejsze gazety, cioteczko Vérin. Od kilku godzin czekam na twój telefon.

- Gdzie jesteś, Gallowglass? - Jej siostrzeniec nie potrafił nigdzie zagrzać miejsca. W przeszłości przysyłał jej kartki pocztowe z samym numerem telefonu z jakiejś trasy,

którą akurat podróżował - autostrady w Niemczech, Route 66 w Stanach, Trollstigen w Norwegii, Guoliang Tunnel Road w Chinach. Od kiedy pojawiły się telefony komórkowe, dostawała coraz mniej tych lapidarnych informacji. Dzięki GPS-owi i Internetowi zawsze mogła odnaleźć Gallowglassa. Mimo to tęskniła za pocztówkami.

- Gdzieś za Warrnambool - odparł niejasno Gallowglass.

- Gdzie u licha jest Warrnambool? - zawołała Vérin.

- W Australii - odpowiedzieli jednocześnie Ernst i Gallowglass.

- Czyżbym słyszał niemiecki akcent? Znalazłaś nowego chłopaka? - zakpił Gallowglass.

- Uważaj, szczeniaku - warknęła Vérin. - Może i należysz do rodziny, ale nie zmienia to faktu, że mogę ci rozerwać gardło. To mój mąż, Ernst.

Ernst pochylił się na krzesło i potrząsnął ostrzegawczo głową. Nie lubił, gdy jego żona ścierała się z wampirem płci męskiej - nawet jeśli była od większości z nich silniejsza. Vérin machnęła tylko ręką, widząc jego niepokój.

Gallowglass roześmiał się, a Ernst uznał, że może ten obcy wampir nie jest taki zły.

- Nie ma to jak straszliwa ciocia Vérin. Dobrze cię słyszeć po tych wszystkich latach. I nie udawaj, że jesteś bardziej zaskoczona tą historią niż ja twoim telefonem.

- Jakaś część mnie miała nadzieję, że on tylko majaczył - wyznała Vérin, wspominając noc, kiedy siedzieli wraz z Gallowglassem przy łóżku Philippe'a i go słuchali.

- Sądziłaś, że to zaraźliwe i że ja też majaczę? - prychnął Gallowglass.

Vérin zauważyła, że jej bratanek ostatnio coraz bardziej przypomina Philippe'a.

- Prawdę mówiąc, owszem. - Łatwiej było uwierzyć w to, niż w szaloną opowieść jej ojca o wędrującej w czasie czarownicy.



- A czy mimo to spełnisz obietnicę? - zapytał cicho Gallowglass.

Vérin zawahała się. Trwało to ułamek sekundy, ale Ernst zauważył. Vérin zawsze spełniała obietnice. Gdy był przerażonym, kulącym się ze strachu chłopcem, Vérin obiecała mu, że wyrośnie na mężczyznę. Ernst wierzył w to, gdy miał sześć lat, tak samo jak we wszystko inne, co zapowiedziała potem Vérin.

- Nie widziałas przy niej Matthew. Gdy...

- Uznam, że mój przyrodni brat jest jeszcze większym utrapieniem? To niemożliwe.

- Daj jej szansę, Vérin. Ona także jest córką Philippe'a. A on zawsze miał doskonały gust, jeśli chodzi o kobiety.

- Ta czarownica nie jest jego prawdziwą córką - odparła szybko Vérin.

Gdzieś na trasie nieopodal Warnambool Gallowglass zacisnął usta i nie odpowiedział. Vérin mogła wiedzieć o Dianie i Matthew więcej niż ktokolwiek z rodziny, ale nie tyle, co on. Gdy wróca, będzie mnóstwo czasu, by porozmawiać o wampirach i dzieciach. Teraz nie było sensu się o to kłócić.

- Poza tym Matthew tu nie ma. - Vérin spojrzała na gazetę. - Zadzwoiłam pod ten numer. Odpowiedział ktoś inny i to nie był Baldwin.

To dlatego tak szybko się rozłączyła. Jeśli to nie Matthew przewodził braciom, to numer powinien zostać przekazany ostatniemu pełnej krwi synowi Philippe'a. „Ten numer” został stworzony na samym początku istnienia telefonów. Wybrał go Philippe - 917, na cześć urodzin Ysabeau we wrześniu. Wraz z rozwojem technologii i rewolucją w systemach telefonicznych, numer przechodził kolejne zmiany.

- Dodzwoniłaś się do Marcusa. - Gallowglass też zatelefonował pod ten numer.

- Marcusa? - Vérin była zszokowana. - Przyszłość de Clermontów zależy od Marcusa?

- Jemu też daj szansę, cioteczko. To dobry chłopak. -Gallowglass zamilkł. - A co do przyszłości rodziny, to zależy ona od nas wszystkich. Philippe o tym wiedział i dlatego kazał nam obiecać, że wrócimy do Sept-Tours.

Philippe de Clermont powiedział dokładnie, co mają robić jego córka i wnuk: wypatrywać znaków - opowieści o młodej amerykańskiej czarownicy o wielkiej mocy, nazwiska Bishop, alchemii, a potem serii zaskakujących odkryć historycznych.

Wtedy i tylko wtedy Gallowglass i Vérin mieli wrócić do siedziby de Clermontów. Philippe nie mówił jasno, czemu to tak ważne, by rodzina znów się połączyła, ale Gallowglass wiedział. Czekał całymi latami. A potem usłyszał o czarownicy z Massachusetts, imieniem Rebecca, jednej z ostatnich potomkiń Bridget Bishop z Salem. Opowieści o jej mocy rozniosły się daleko, tak samo jak wieść o jej tragicznej śmierci. Gallowglass odnalazł jej córkę w północnej części stanu Nowy Jork. A później co jakiś czas sprawdzał, co się u niej dzieje. Obserwował, jak Diana Bishop bawi się na placu zabaw, chodzi na przyjęcia urodzinowe i kończy szkołę średnią. Dumny jak pozostali rodzice, śledził jej studia na Oksfordzie. A potem często stał pod kurantami wieży Harkness w Yale, a jego ciało drżało od bicia dzwonnów, podczas gdy młoda pani profesor wędrowała przez kampus. Nosiła inne ubrania, ale nie dało się pomylić tego stanowczego kroku czy zarysu sylwetki, bez względu na to, czy miała na sobie fortugał i kryzę, spodnie czy nietwa-rzową męską kurtkę.

Gallowglass starał się trzymać na dystans, ale czasem musiał działać - jak tego dnia, gdy energia Diany zwabiła do niej demona, który zaczął ją śledzić. Mimo to Gallowglass był z siebie dumny, że zdołał tyle razy opanować się i nie zbiec po schodach dzwonnicy Yale, by uściskać profesor Bishop i powiedzieć, jak bardzo cieszy go jej widok po tylu latach.

Gdy Gallowglass dowiedział się, że Baldwin został wezwany przez Ysabeau do Sept-Tours w związku z jakimś nagłym wypadkiem Matthew, był pewien, że to tylko kwestia czasu, nim zaczną się pojawiać anomalie historyczne. Widział informację o odkryciu nieznanymi miniatur z epoki elżbietańskiej. Nim zdołał dotrzeć do Sotheby, zostały już sprzedane. Spanikował, sądząc, że wpadły w niepowołane ręce. Ale nie docenił Ysabeau. Gdy rozmawiał tego ranka z Marcusem, syn Matthew zapewnił go, że leżą bezpiecznie na biurku Ysabeau, w Sept-Tours. Minęło ponad czterysta lat, od kiedy Gallowglass ukrył te obrazki w domu w Shropshire. Dobrze byłoby je znów zobaczyć, a także osoby, które przedstawiały.

Tymczasem przygotowywał się na nadchodzącą burzę -podróżując tak daleko i tak szybko, jak to tylko możliwe. Kiedyś pływał po morzach, potem jeździł koleją, ale teraz przerzucił się na drogi, mknąc motocyklem po tyłu szosach i zboczach gór, do ilu tylko zdołał dotrzeć. A gdy wiatr rozwiewał jego splątane włosy, w skórzanej kurtce zapiętej pod samą szyję, by ukryć, iż nigdy się nie opalał, sposobił się do spełnienia obietnicy, którą złożył dawno temu -chronienia de Clermontów bez względu na cenę.

- Gallowglass? Jesteś tam? - Głos Verin zazgrzytał w słuchawce, przerywając mu rozmyślenia.

- Tak, cioteczko.

- Kiedy jedziesz? - Verin westchnęła i oparła głowę na rękę.

Nie mogła jeszcze spojrzeć na Ernsta. Biedny Ernst, świadomie ożenił się z wampirzycą i przez to wpadł w skomplikowaną historię krwi i pożądania, która ciągnęła się przez wieki. Ale obiecała to ojcu i choć Philippe już nie żył, nie zamierzała go teraz zawieść po raz pierwszy w życiu.

- Powiedziałem Marcusowi, żeby oczekiwali mnie pojutrze. - Nie zamierzał mówić, że ulżyło mu, iż ciotka

podjęła taką decyzję, tak samo jak Verin nie przyznałaby się, że rozważała złamanie obietnicy.

- W takim razie do zobaczenia. - Dzięki temu będzie miała trochę czasu, by przekazać Ernstowi, że znajdzie się pod tym samym dachem, co jej macocha. Nie będzie tym zachwycony.

- Bezpiecznej podróży, cioteczko - dodał Gallowglass jeszcze, nim się rozłączyła.

Schował telefon do kieszeni i zapatrzył się w morze. Kiedyś rozbił się nieopodal wybrzeża Australii. Lubił miejsca, gdzie wyrzuciło go morze; był jak tryton, który w burzy trafiał na ziemię, by dowiedzieć się, że jednak może na niej żyć. Sięgnął po papierosy. Podobnie jak jazda na motocyklu bez kasku, palenie było jego sposobem na okazywanie lekceważenia światu, który z jednej strony dał mu nieśmiertelność, a z drugiej odebrał wszystkie istoty, które kochał.

- Ich też mi odbierzesz, prawda? - zapytał wiatru. A on tylko westchnął.

Matthew i Marcus mieli bardzo stanowcze zdanie na temat biernego palenia. Według nich sam fakt, że palenie ich nie zabija, nie oznacza, iż mają wykańczać innych.

- Jeśli zabijemy ich wszystkich, to czym będziemy się żywić? - zauważył z zabójczą logiką Marcus.

Osobliwe to pytanie jak na wampira, ale Marcus z takich pytań był znany, Matthew zresztą też. Gallowglass uważał, że to z powodu przesadnej edukacji.

Dopalił papierosa i sięgnął do kieszeni po niewielką skórzaną sakiewkę. Zawierała dwadzieścia cztery krążki, szerokie na cztery i grube na pół cala. Zostały wycięte z gałęzi jesionu, który rósł przy jego rodzinnym domu. Każdy miał wypalony na korze znak alfabetu, którego językiem już nikt nie mówił.

Zawsze czuł respekt dla magii, jeszcze zanim poznał Dianę Bishop. Były takie moce na ziemi i morzu, których nie

rozumiały żadne istoty, a Gallowglass był na tyle rozsądny, by ich unikać. Ale nie mógł się oprzeć runom. Pomagały mu nawigować po zdradliwych wodach jego losu.

Przesunął palcami po gładkich drewnianych krążkach, pozwalając im przesypywać się niczym piasek. Chciał wiedzieć, w którą stronę kierują się pływy - ku de Clermontom czy przeciw nim?

Następnie sięgnął po runy: miały mu powiedzieć, jak sprawy wyglądają teraz. *Nyd*, znak nieobecności i dążeń. Gallowglass znów zanurzył rękę w woreczku, by lepiej zrozumieć, co zgotuje mu przyszłość. *Odal*, znak domu, rodziny i dziedzictwa. Wyciągnął trzeci - miał mu pokazać, jak spełnić jego nieustanne pragnienie odnalezienia na świecie miejsca dla siebie.

*Rad*. Trudny do interpretacji; ten run oznaczał zarówno przybycie, jak i odjazd, początek i koniec podróży, pierwsze, ale też dawno oczekiwane spotkanie po latach. Gallowglass zacisnął pięść na kawałku drewna. Tym razem doskonale rozumiał przesłanie.

- Ty też podróżuj bezpiecznie, cioteczko Diano. I przywieź ze sobą mojego wuja. - Zwrócił się do morza i nieba, po czym wsiadł na motocykl i ruszył na spotkanie z przyszłością, której nie mógł już dalej sobie wyobrazić ani jej lekceważyć.

## CZEŚĆ II

### CESARSTWO: PRAGA

## ROZDZIAŁ 7

Gdzie są moje czerwone pończochy? - Matthew zbiegł na dół i rozzłoszczony przyglądał się paczkom na parterze.

Jego nastrój pogorszył się wyraźnie jakoś w połowie naszej czterotygodniowej podróży, gdy rozstaliśmy się w Hamburgu z Pierre'em i dziećmi. No i straciliśmy jeszcze dziesięć dni z powodu różnic w kalendarzu angielskim i katolickich krajów z kontynentu. W Pradze był teraz jedenasty marca, a dzieci wraz z Pierre'em miały dopiero do nas dołączyć.

- Nigdy ich nie znajdę w tym bałaganie! - wrzasnął Matthew, wyzywając się na jednej z moich halek.

Po tym, jak całymi tygodniami dysponowaliśmy tylko jukami przy siodłach i jednym kufrem, nasze rzeczy dotarły wreszcie trzy dni po naszym przybyciu do wysokiego, wąskiego domu przy stromej uliczce Sporrengasse, prowadzącej do praskiego zamku.

- Nie wiedziałam, że masz czerwone pończochy -stwierdziłam, prostując się.

- Owszem. - Matthew znów zaczął grzebać w mojej bieliźnie.

- No to na pewno ich tam nie znajdziesz - zauważyłam odkrywczco.

Zgrzytnął zębami.

- Sprawdzałem wszędzie.

- Znajdę je. - Spojrzałam na jego całkiem przyzwoite czarne pończochy. - A czemu czerwone?

- Bo chcę skupić na sobie uwagę Cesarza Rzymskiego Narodu Niemieckiego! - Matthew zaczął przetrząsać następną paczkę z moimi ubraniami.

Krwistoczerwone pończochy na pewno przyciągnęłyby wzrok każdego, zwłaszcza że mierzący sześć stóp i trzy cale mężczyzna, który zamierzał je włożyć, miał bardzo długie nogi. Matthew postanowił w pełni poświęcić się realizacji planu. Skupiłam się, poprosiłam, by pończochy mi się objawiły, po czym podążyłam za czerwonymi sznureczkami. Możliwość odnajdowania ludzi i przedmiotów była kolejną zaletą prządki i już kilkakrotnie wykorzystałam ją podczas naszej podróży.

- Dotarła wiadomość od mojego ojca? - Matthew dorzucił kolejną halkę do śnieżnobiałej góry między nami i szukał dalej.

- Tak. Paczka, czy cokolwiek to jest, leży przy drzwiach. -Przeglądałam zawartość przegapionego przez mojego męża kufra. W środku znalazłam kolczugę, tarczę z dwugłowym orłem i bogato grawerowaną miseczkę z patykiem.

- A oto one! - Zaczęłam tryumfalnie wymachiwać nad głową pończochami.

Ale Matthew zapomniał już o nich. Skupił się teraz wyłącznie na paczce od ojca. Spojrzałam na nią, zaciekawiona, co tak przykuło jego uwagę.

- Czy to... Bosch? - Znałam prace Hieronima Boscha, gdyż używał dziwnych alchemicznych urządzeń i symboli. Malował latające ryby, owady, potężne narzędzia domowego użytku i symbolizujące erotyzm owoce. Bosch ukazywał świat w intensywnych kolorach; dokonywał zaskakujących skojarzeń na długo, zanim psychodelizm stał się modny.

Podobnie jak Holbein, którego Matthew miał w Old Lodge, ta praca też była mi nieznaną: tryptyk z trzech dREW-



nianych paneli połączonych zawiasami. Tryptyki stawiano na ołtarzach i otwierano je tylko na specjalne religijne okazje. We współczesnych muzeach rzadko widać ich zewnętrzną stronę. Zaczęłam się zastanawiać, czego jeszcze nie widziałam.

Artysta pomalował zewnętrzne strony paneli aksamitnie czarnym kolorem. Na dwóch przednich panelach lśniło w świetle księżycy suche drzewo. W jego korzeniach przysiadł malutki wilk, a na jednej z wyższych gałęzi - sowa. Oba zwierzęta patrzyły uważnie wprost przed siebie. W ciemnościach wokół drzewa połyskiwało wiele bezcielesnych oczu. Za dębem widniała kępa niby to zwykłych drzew o bladych pniach i opalizująco zielonych gałęziach. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się można było zobaczyć, że wyrastały z nich uszy, zupełnie jakby wsłuchiwały się w głosy nocy.

- A to co? - zapytałam, wpatrując się zdziwiona w pracę Boscha. Matthew zaczął się bawić tasiemkami przy kaftanie.

- Malowidło obrazuje stare flamandzkie powiedzenie: las ma oczy, a drzewa uszy, dlatego będę patrzył, milczał i słuchał.

Słowa te doskonale pasowały do skrytego życia, jakie prowadził Matthew, i przypomniały mi motto królowej Elżbiety.

Wnętrze tryptyku stanowiły trzy powiązane ze sobą sceny: jeden z paneli ukazywał upadłe anioły na aksamitnie czarnym tle. Na pierwszy rzut oka przypominały ważki o lśniących podwójnych skrzydełkach, ale miały ludzkie ciała, a ich głowy i nogi wiły się w cierpieniu w drodze przez niebiosy. Na przeciwległym panelu zmarli powstawali na Sąd Ostateczny w znacznie upiorniejszym przedstawieniu niż to z Sept-Tours. Rozdziawione paszcze ryb i wilków stanowiły wejście do piekieł, wciągały potępionych, skazując ich na wieczny ból i utrapienie.

Środkowy panel ukazywał zupełnie inny obraz śmierci - wskrzeszony Łazarz, z poważnym wyrazem twarzy, spokojnie powstawał z trumny. Miał długie nogi i ciemne włosy. Przypominał mi Matthew. Brzegi deski pokrywały zwiędłe winorośle, które rodziły dziwne owoce i kwiaty. Z niektórych ciekła krew. Inne wydawały na świat ludzi i zwierzęta. Nigdzie nie było widać Jezusa.

- Łazarz jest do ciebie podobny. Nie dziwię się, że nie chcesz tego dać Rudolfowi. - Podałam Matthew pończochy. - Bosch także musiał wiedzieć, że jesteś wampirem.

- Jeroen, czyli Hieronim, zobaczył coś, czego zobaczyć nie powinien - odparł ponuro Matthew. - Nie wiedziałem, że widział, jak się pożywiam, dopóki nie zobaczyłem jego szkiców przedstawiających mnie z ciepłokrwistym. Od tamtej pory wierzył, że wszystkie stworzenia mają dwoistą naturę: ludzką i zwierzęcą.

- A czasami roślinną - dodałam, przyglądając się nagiej kobiecie z truskawką zamiast głowy i wiśniami zamiast rąk, która uciekała przed diabłem z widłami i w bocianim kapeluszu. Matthew roześmiał się cicho.

- Czy Rudolf wie, że jesteś wampirem? Tak jak Elżbieta i Bosch?  
- Coraz bardziej niepokoiło mnie, że tylu ludzi zna ten sekret.

- Tak. Cesarz wie także, że jestem członkiem Kongregacji. - Związał czerwone pończochy w węzeł. - Dziękuję, że je znalazłaś.

- Od razu się przyznaj, jeśli masz zwyczaj gubienia kluczyków do samochodu, bo nie zamierzam znosić takich wybuchów paniki każdego ranka, gdy będziesz się spieszył do pracy. - Objęłam go w pasie i oparłam policzek o jego pierś, na wysokości serca, którego powolny, równy rytm mnie uspokajał.

- A co zrobisz, rozwiedziesz się ze mną? - Matthew też mnie objął, opierając swoją głowę na mojej, tak że tworzyliśmy idealną parę.

- Zapewniłeś, że wampiry się nie rozwodzą - uścisnęłam go. - W tych pończochach będziesz wyglądał jak z kreskówki. Na twoim miejscu zostałabym przy czarnych. I tak będziesz się wyróżniał.

- Czarownica - prychnął Matthew i mnie pocałował. Ruszył do zamku w porządnym czarnym pończochach;

niósł długą, zawiałą wiadomość, częściowo rymowaną, z propozycją uzupełnienia cesarskiej kolekcji o wspaniałą książkę. Wrócił cztery godziny później, z pustymi rękami, a wiadomość przekazał cesarskiemu służącemu. Nie został przyjęty na audiencji, choć musiał czekać z innymi ambasadorami ubiegającymi się o spotkanie.

- Czuję się, jakbym siedział w ciężarówce z bydłem, wciśnięty między nagrzane ciała. Próbowałem znaleźć jakieś miejsce, gdzie można by odetchnąć świeżym powietrzem, ale wokół roило się od czarownic.

- Czarownic? - Zeszłam ze stołu, na który wspięłam się, by ukryć miecz Matthew na górze kredensu z bielizną, nim przybędzie Jack.

- Były ich dziesiątki. Narzekały na to, co dzieje się w Niemczech. Gdzie Gallowglass?

- Twój bratanek kupuje jaja i stara się znaleźć nam gospodynię i kucharkę. - Françoise ostentacyjnie odmówiła wyjazdu do Europy Centralnej, którą uznawała za bezbożną krainę luteranów. Wróciła do Old Lodge i zajęła się rozpieszczaniem Charlesa. Tymczasem Gallowglass służył mi za pazia i chłopca na posyłki. Doskonale władał niemieckim i hiszpańskim, co sprawiało, że idealnie nadawał się do roli zaopatrzeniowca.

- Opowiedz mi więcej o czarownicach.

- To miasto to bezpieczna przystań dla wszelkich stworzeń z tej części Europy, które boją się o swoje bezpieczeństwo: demonów, wampirów i czarownic. Zwłaszcza czarownice są wyjątkowo mile widziane na dworze Rudolfa, gdyż on pragnie ich wiedzy. I mocy.

- Coś takiego - powiedziałam. Gdy tylko zaczęłam się zastanawiać, kim one są, moje trzecie oko ujrzało kilka twarzy. - Kto zacz ten czarownik o rudej brodzie? I czarownica z jednym niebieskim i jednym zielonym okiem?

- Nie będziemy tu na tyle długo, by to miało jakieś znaczenie - odparł ponuro Matthew, kierując się do drzwi.

Gdy tylko wywiązał się z zadania zleconego mu przez królową Elżbietę, ruszył na drugą stronę rzeki, na Stare Miasto, w imieniu Kongregacji.

- Do zobaczenia przed zmrokiem. Zostań tu, dopóki nie wróci Gallowglass. Nie chciałbym, abyś się zgubiła. -Raczej nie chciał, żebym natknęła się na czarownice.

Gallowglass wrócił na Sporrengasee z dwoma wampirami i przesyłką. Podał mi list i przedstawił nowe służące. Karolina kucharka i Tereza gospodyni należały do olbrzymiego klanu czeskich wampirów, który zajmował się obsługą arystokracji i ważnych zagranicznych gości. Podobnie jak służący de Clermontów, zawdzięczali oni reputację i zaskakująco wysokie pensje nadnaturalnej długowieczności i niezwyklej lojalności. Za odpowiednią cenę zapewniliśmy sobie także gwarancję dyskrecji od starszego klanu, który wynajął kobiety z domu ambasadora papieskiego. Ambasador łaskawie zgodził się na to przez szacunek dla rodziny de Clermont, która, tak czy inaczej, zdecydowanie wpłynęła na wynik ostatniego konklawe, a ambasador wiedział, kto zapewnia mu wikt. Dla mnie ważne było tylko, czy Karolina potrafi robić omlety.

Zaczęliśmy się zadomawiać. Matthew każdego ranka ruszał do zamku, podczas gdy ja rozpakowywałam się i spo-

tykałam z sąsiadami w Malej Stranie, dzielnicy pod zamkiem, i wyczekiwałam pozostałych mieszkańców naszego domostwa. Tęskniłam za wesołością i ciekawością świata Annie, a także niesamowitą umiejętnością pakowania się w kłopoty Jacka. W naszej krętej uliczce roiło się od dzieci różnych narodowości i w różnym wieku, bo mieszkało tu wielu ambasadorów. Jak się okazało, Matthew nie był jedynym cudzoziemcem, którego cesarz trzymał na dystans. Wszyscy, których spotkaliśmy, opowiadali Gallowglassowi o tym, jak Rudolf lekceważy ważne osoby, a spędza całe godziny z jakimś antykwariuszem z Włoch albo skromnym górnikiem z Saksonii.

Było popołudnie pierwszego dnia wiosny; dom wypełniał smakowity zapach pieczeni wieprzowej i klusek, gdy dopadł mnie zadziorny ośmiolatek.

- Pani Roydon! - zawołał, wtulając się w moją suknię i obejmując mnie mocno. - Wiedziała pani, że Praga to tak naprawdę aż cztery miasta? Londyn to tylko jedno. I mają zamek i rzekę. Pierre pokaże mi jutro młyn wodny.

- Witaj, Jack - powiedziałam, głaszcząc go po głowie. Mimo zimna i wyczerpującej podróży do Pragi zdołał trochę podrosnąć. Pierre musiał go niezłe karmić. Uniosłam wzrok i uśmiechnęłam się do Annie i Pierre'a.

- Matthew bardzo się ucieszy na wasz widok. Tęsknił za wami.

- My też za nim tęskniliśmy - odparł Jack, podnosząc głowę, by na mnie spojrzeć. Miał podkrążone oczy i mimo że podrosł, nie wyglądał dobrze.

- Byłeś chory? - zapytałam, dotykając jego czoła.

W tym ostrym klimacie przeziębienie mogło się zakończyć tragicznie, a na Starym Mieście mówiło się o jakiejś epidemii, którą Matthew uznał za odmianę grypy.

- Ma problemy ze snem - odezwał się cicho Pierre. Jego poważny ton sugerował, że chodziło o coś więcej, ale o tym później.

- Dziś sobie pośpisz. W twoim pokoju jest olbrzymie łóżko. Idź z Terezą, Jack. Pokaże ci, gdzie co jest. No i umyj się przed kolacją. - By zadośćuczynić wampirzym zasadom dobrego wychowania, ciepłokrwieńcy mieli spać z Matthew i ze mną na drugim piętrze, gdyż budynek był tak wąski, że na parterze mieściły się tylko pokój dzienny i kuchnia. To oznaczało, że pierwsze piętro było przeznaczone dla oficjalnych gości. A poddasze upodobały sobie pozostałe wampiry ze względu na wspaniałe widoki z okien.

- Pan Roydon! - wrzasnął Jack i rzucił się do drzwi, by je otworzyć, nim Tereza zdążyła go powstrzymać. Zagadką było dla mnie, jak wyczuł, że zbliża się Matthew, biorąc pod uwagę zapadające ciemności i ubiór mojego męża, cały w odcieniach szarości.

- Spokojnie - powiedział Matthew; chwycił Jacka, nim chłopiec zdążył zrobić sobie krzywdę, wpadając na twarde wampirze nogi.

Gallowglass strąci! Jackowi czapkę i zmierzwił mu włosy.

- Omal nie zamarziłyśmy. W rzece. I sanie się raz przewróciły, ale psu nic się nie stało. Jadłem pieczonego dzika. A Annie zahaczyła sukienką o koło wozu i prawie wypadła. - Jack błyskawicznie opowiadał kolejne przygody. - Widziałem spadającą gwiazdę. Nieduża, ale Pierre powiedział, że muszę ją pokazać panu Harriotowi, jak wrócimy do domu. Narysowałem mu obrazek. - Jack wsunął rękę pod swój brudny kaftan i wyciągnął równie brudną kartkę. Podał ją Matthew z szacunkiem, jakby to była relikwia.

- Całkiem niezły - Matthew przyglądał się obrazkowi z zainteresowaniem. - Podoba mi się, jak przedstawiłeś wygięcie ogona spadającej gwiazdy. I narysowałeś też inne gwiazdy. Bardzo rozsądnie, Jack. Pan Harriot na pewno ucieszy się, widząc, że doskonale potrafisz obserwować świat.

Jack się zaczerwienił.

- To był mój ostatni kawałek papieru. Czy w Pradze sprzedają papier?

W Londynie Matthew każdego ranka dostarczał Jackowi papierowe ścinki. Co dalej się z nimi działo, pozostawało niewiadomą.

- W tym mieście niemal wszędzie - odparł Matthew. - Jutro Pierre zabierze cię do sklepu na Malej Stranie.

Po tym, jak dzieci usłyszały taką obietnicę, trudno było je zagonić na górę, Tereza okazała się jednak równie dobra, co stanowcza, by tego dokonać. Dzięki temu dorośli mogli spokojnie porozmawiać.

- Czy Jack był chory? - zapytał Matthew Pierre'a, marszcząc brwi.

- Nie, milordzie. Po prostu od kiedy się rozstaliśmy, miał problemy ze snem. - Pierre zawahał się. - Sądzę, że nawiedzają go strachy z przeszłości.

Czoło Matthew wygładziło się, ale nadal się niepokoił.

- A poza tym podróż przebiegała bez niespodzianek? - Spytał nie wprost, czy nie natknęli się na bandytów ani żadne nadnaturalne stworzenia.

- Była długa - odparł krótko Pierre. - A dzieci marzły i były wciąż głodne.

Gallowglass roześmiał się głośno.

- To chyba nic niezwykłego.

- A pan, milordzie? - Pierre zerknął na Matthew. - Czy Praga jest taka, jak się pan spodziewał?

- Rudolf się ze mną nie widział. Plotki głoszą, że na najwyższym piętrze Wieży Prochowej Kelley wysadza w powietrze alembiki i Bóg wie co jeszcze - odparł Matthew.

- A Stare Miasto? - zapytał ostrożnie Pierre.

- Takie jak zawsze - rzucił od niechcienia Matthew, zdradzając w ten sposób, że czymś się martwi.

- Jeśli nie zwracać uwagi na plotki z żydowskiej dzielnicy. Jeden z tamtejszych czarowników stworzył podobno

z gliny istotę, która nocami włóczy się po mieście. - Gallowglass spojrział niewinnie na swojego wuja. - Poza tym właściwie nic się nie zmieniło, od kiedy byliśmy tu w 1547 roku i pomagaliśmy cesarzowi Ferdynandowi ochronić miasto.

- Dziękuję, Gallowglass - uciał Matthew tonem tak lodowatym jak wiatr znad rzeki.

Stworzenie istoty z błota i ożywienie jej wymagało na pewno znacznie więcej niż tylko zwykłego czaru. Taka plotka mogła zaś oznaczać jedno - gdzieś w Pradze był tkacz, taki jak ja, który mógł przenosić się pomiędzy światem żywych i umarłych. Ale nie musiałam wypytywać o to Matthew. Zrobił to jego bratanek.

- Nie sądziłeś chyba, że zdołasz ukryć przed cioteczka wieści o glinianym stworze? - Gallowglass potrząsnął z niedowierzaniem głową. - Za mało czasu spędzasz na rynku. Kobiety z Malej Strany wiedzą wszystko, także to, co cesarz zjadł na śniadanie... i że odmówił ci audiencji.

Matthew przesunął dłonią po zewnętrznym malowidle tryptyku i westchnął.

- Pierre, będziesz to musiał zanieść do pałacu.

- Ale to nastawa ołtarzowa z Sept-Tours - zaprotestował Pierre. - Cesarz znany jest z ostrożności. Na pewno za jakiś czas cię przyjmie.

- Tyle że czasu najbardziej nam brakuje, a rodzina de Clermont dysponuje wieloma nastawami - odparł smutno Matthew. - Napiszę tylko list do cesarza i będziesz mógł ruszać w drogę.

Niewiele później Pierre podążył do pałacu. Wrócił, tak jak Matthew, z pustymi rękami, bez obietnicy spotkania.

Wokół mnie wszystkie wątki, które spajały światy, napinały się i przesuwały, tworząc wzór zbyt duży, bym go mogła ogarnąć w całości i zrozumieć. Ale w Pradze coś się działo. Czułam to. Tej nocy obudziłam się, słysząc szepty



w pokoju przylegającym do naszej sypialni. Matthew, który czytał przy mnie, gdy zasypiałam, zniknął. Podeszłam do drzwi sprawdzić, z kim rozmawia.

- Powiedz, co się dzieje, gdy zacięniuję twarz potwora. -Matthew przesunął ręką nad dużą kartą papieru.

- Wygląda, jakby był dalej! - wyszeptał zdziwiony Jack.

- Sam spróbuj - Matthew podał mu swoje pióro.

Jack złapał je mocno, wysuwając język. Matthew położył chłopcu rękę na karku i masował mięśnie opinające szczupłe ciało. Jack nie siedział mu co prawda na kolanach, ale wtulał się w niego, by poczuć się bezpiecznie.

- Tyle potworów - wyszeptał Matthew, patrząc mi w oczy.

- Chcesz narysować swoje? - Jack podsunął papier wampirowi. - Wtedy też będzie ci łatwiej zasnąć.

- Twoje potwory wystraszyły już moje - odparł Matthew z ponurą miną, znów skupiając się na Jacku.

Zrobiło mi się żal tego biednego dziecka, które już tyle przeżyło.

Matthew znów spojrzał mi w oczy i delikatnym skinieniem głowy dał do zrozumienia, że panuje nad sytuacją. Posłałam mu całusa i wróciłam do ciepłego, miękkiego łóżka.

Następnego dnia otrzymaliśmy list od cesarza, zapieczętowany grubo woskiem i wstążkami.

- Obraz zrobił jednak swoje, milordzie - przyznał przepaszająco Pierre.

- Jak widać. Kochałem ten tryptyk. Teraz będę musiał się nieźle wysilić, by go odzyskać - odparł Matthew.

Usiadł na krześle z takim impetem, że aż pod nim zgrzytnęło, i sięgnął po list. Pismo było bardzo wymyślne, z tyloma zawijasami i pętelkami, że prawie nie dało się rozróżnić liter.

- Czemu to pismo jest tak ozdobne? - zapytałam.

- Hoefnagelowie przybyli z Wiednia i nie mają czym zabijać czasu. A zdaniem cesarza im bardziej ozdobne pismo, tym lepiej - wyjaśnił mętnie Pierre.

- Mam dziś po południu udać się na spotkanie z Rudolfem - uśmiechnął się Matthew, składając list. - Ojciec będzie zadowolony. Przysłał mi też pieniądze i klejnoty, ale wygląda na to, że tym razem wyszliśmy z tego obronną ręką.

Pierre wyciągnął drugi, mniejszy list, o mniej zamaszystym piśmie.

- Cesarz dodał postscriptum, własnoręczne. Spojrzałam Matthew przez ramię i przeczytałam: *Bringen das Buch. Und die Hexe.*

Poniżej cesarz złożył swój wymyślny podpis, ze skomplikowanym r, zapętłającymi się d i l i podwójnym f. Nie znałam dobrze niemieckiego, ale zrozumiałam wiadomość.

- Dostarcz książkę. I czarownicę.

- Pospieszyłem się - wyszeptał Matthew.

- Mówiłem, żebyś go złapał na tycjanowskie płótno z Wenus, które dziadek przejął od króla Filipa, gdy nie spodobało się jego żonie - stwierdził Gallowglass. - Rudolfa, zupełnie jak jego wuja, zawsze ciągnęło do rudowłosych. Uwielbiał też pikantne obrazki.

- No i ciągnęło go do czarownic - mruknął mój mąż. Rzucił list na stół. - To nie obraz go zainteresował, lecz Diana. Może powinienem odmówić.

- Wuju, to rozkaz - Gallowglass zmarszczył brwi.

- A Rudolf ma *Ashmole 782* - dodałam. - Ta książka nie pojawi się sama Pod Trzema Krukami na Sporrengasse. Musimy ją odnaleźć.

- Nazywasz nas krukami, cioteczko? - Gallowglass udał oburzenie.

- Mówię o znaku na domu, głuptasie.

Jak wszystkie domy na naszej ulicy, i nasz miał nad drzwiami emblemat, a nie numer. Po tym, jak w połowie

wieku wybuchł w tej okolicy wielki pożar, dziadek cesarza uznał, że domy muszą się odróżniać od siebie czymś więcej, niż tylko dekoracjami wydrapanymi na kolorowym tynku. Gallowglass uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Doskonale wiem, o czym mówiłaś. Ale uwielbiam patrzeć, jak cała zaczynasz lśnić, gdy się denerwujesz.

Odchrząknęłam i otuliłam się moim czarem kryjącym, tłumiąc blask do poziomu bardziej naturalnego dla ludzi.

- Poza tym - ciągnął Gallowglass - w moim otoczeniu porównanie do kruka to wielki komplement. Będę Muninnem, Matthew nazwiemy Huginnem, a ciebie, cioteczko, Góndul. Byłaby z ciebie niezła Walkiria.

- O czym on mówi? - zapytałam Matthew.

- O krukach Odyna. I jego córkach.

- Och, dziękuję, Gallowglass - powiedziałam zakłopotana. Porównanie do córki boga nie mogło być chyba złe.

- Nawet jeśli książka Rudolfa to rzeczywiście *Ashmole 782*, i tak nie wiemy, czy znajdziemy w niej odpowiedzi na nasze pytania. - Doświadczenia z manuskryptem Voynicha bardzo Matthew zniechęciły.

- Historycy nigdy nie wiedzą, czy jakiś tekst da im oczekiwane odpowiedzi. Ale nawet jeśli nie, to przynajmniej będziemy mogli zadać trafniejsze pytania - odparłam.

- Rozumiem. - Matthew zadrżały wargi. - Nie zdołam spotkać się z cesarzem i zajrzeć do jego biblioteki bez ciebie, a ty nie opuścisz Pragi bez księgi, więc nie mam wyboru. Pójdziemy do pałacu we dwójkę.

- Dałeś się złapać we własne sidła, wujaszku - odezwał się wesoło Gallowglass i puścił do mnie oko.

W porównaniu z naszą wyprawą do Richmond spacer w górę ulicy na spotkanie z cesarzem był jak wdepnięcie do sąsiadów po szklankę cukru, choć wymagał bardziej eleganckiego stroju. Kochanka papieskiego ambasadora była mniej więcej mojej postury, więc skorzystałam z jej

garderoby, by ubrać się odpowiednio dostojnie i bogato, jak przystało na żonę angielskiego dygnitarza - albo de Clermonta, jak szybko dodała. Stroje noszone przez zamożne prażanki bardzo mi odpowiadały - proste suknie o wysokich kołnierzykach, spódnice-dzwony i wyszywane żakiety z opadającymi rękawami, obszytymi futrem. Małe kryzy dodatkowo chroniły przed chłodem.

Matthew na szczęście zrezygnował z czerwonych pończoch na rzecz tradycyjnych szarości i czerni, z ciemnozielonymi akcentami, które nadawały mu wyjątkowo atrakcyjny wygląd. Tego popołudnia zieleń przezieriała przez nacięcia na jego bufiastych pumpach i wokół rozpiętego kołnierza kaftana.

- Wyglądasz doskonale - stwierdziłam, obrzucając go spojrzeniem.

- A ty jak prawdziwa czeska arystokratka - odpowiedział, całując mnie w policzek.

- Możemy ruszać? - Jack nie mógł się tego doczekać. Ktoś znalazł dla niego srebrno-czarną liberię, a na rękawie naszył krzyż i półksiężyc.

- A więc idziemy jako de Clermont, nie Roydon - zauważyłam.

- Nie. Jesteśmy Matthew i Dianą Roydonami - odparł Matthew. - Po prostu podróżujemy ze służbą rodziny de Clermont.

- To powinno wszystkich zmylić - rzuciłam, gdy wychodziliśmy z domu.

- Otóż to - przyznał z uśmiechem Matthew. Gdybyśmy byli zwykłymi mieszczanami, moglibyśmy się

wspiąć po nowych, zapewniających bezpieczeństwo pieszym schodach pałacowych przy obwarowaniach zamku. Jednakże jako przedstawiciele królowej Anglii przybyliśmy konno i musieliśmy przejechać przez całą Sporrengasse, co pozwoliło mi przyjrzeć się domom o pochyłych fundamentach,

kolorowym emblematom i malowanym znakom. Minęliśmy domy Pod Czerwonym Lwem, Żółtą Gwiazdą, Łabędziem i Dwoma Słońcami. Na szczycie wzgórza skręciliśmy ostro na Hradczany, w dzielnicę domów arystokracji i dworzan.

Miałam już okazję przyjrzeć się zamkowi, gdy przyjeżdżaliśmy do Pragi, a z naszych okien widać było fortyfikacje, ale jeszcze nigdy nie widziałam go z tak bliska. Był jeszcze większy i rozleglejszy, niż sądziłam, zupełnie jak odrębne miasto, z własnym handlem i przemysłem. Na wprost wznosiła się gotycka bryła katedry Świętego Wita. Wieże nad murami zaprojektowano co prawda do obrony, ale teraz znajdowały się w nich liczne warsztaty setek rzemieślników, obsługujących dwór Rudolfa.

Straż pałacowa wpuściła nas przez zachodnią bramę na zamknięty dziedziniec. Pierre i Jack zajęli się końmi, a nas poprowadzono w stronę budynków pod zamkowymi murami. Zbudowano je niedawno z kamienia, który nie zdążył jeszcze zmatowieć pod wpływem pogody. Wyglądały na budynki biurowe, ale za nimi widziałam wysokie dachy i średniowieczne konstrukcje budowlane.

- Co się dzieje? - szepnęłam do Matthew. - Czemu nie prowadzą nas do pałacu?

- Bo tam nie ma nikogo ważnego - odparł Gallowglass. Trzymał w rękach manuskrypt Voynicha, zawinięty w skórę i opięty pasami, by uchronić go przed wilgocią.

- Rudolf uznał, że stary pałac królewski jest mroczny i hulają w nim przeciągi - wyjaśnił Matthew, podtrzymując mnie na śliskim bruku. - Jego nowy pałac wychodzi na południe, z widokiem na prywatne ogrody. Dzięki temu jest dalej od katedry... i księży.

W korytarzach pałacu roilo się od ludzi, wykrzykujących coś po niemiecku, czesku, hiszpańsku czy łacinie, zależnie od tego, z jakiej części imperium przybyli. Im bliżej byliśmy cesarza, tym bardziej ciżba gęstniała. Przeszliśmy przez salę,

w której debatowano nad jakimiś rysunkami architektonicznymi. W kolejnej dyskutowano o wartości oryginalnej czary w kształcie muszli ze złota i kamienia. W końcu strażnicy wprowadzili nas do eleganckiego salonu z ciężkimi krzesłami i z dużym piecem kaflowym, ogrzewającym swym ciepłem cały pokój. Stojący tam mężczyźni odwrócili się do nas.

- Witaj, stary przyjacielu - odezwał się ciepło po angielsku miło wyglądający sześćdziesięciolatek.

- Tadeaś. - Matthew uściskał mu dłoń. - Wyglądasz świetnie.

- A ty młodo - odparł z błyskiem w oku. Jego wzrok nie wywołał na mojej skórze żadnej reakcji. - A to kobieta, o której wszyscy mówią. Jestem Tadeaś Hajek. - Ukłonił mi się, a ja w odpowiedzi dygnęłam.

Podszedł do nas szczupły mężczyzna o oliwkowej cerze i włosach prawie tak ciemnych jak czupryna Matthew.

- Panie Strada. - Matthew ukłonił się. To spotkanie nie ucieszyło go tak, jak poprzednie.

- Ona naprawdę jest czarownicą? - Strada przyjrzał mi się z ciekawością. - Jeśli tak, moja siostra, Katharina, chciałaby ją poznać. Oczekuje dziecka, a ciąża jej nie służy.

- Myślę, że Tadeaś, królewski medyk, lepiej będzie czuwał nad narodzinami cesarskiego dziecka - odparł Matthew. - A może sytuacja twojej siostry się zmieniła?

- Cesarz wciąż ceni sobie moją siostrę - odparł lodowato Strada. -1 choćby z tego powodu należałoby ulegać jej woli.

- Widziałeś Jorisa? Od kiedy Jego Wysokość rozpakował twój tryptyk, nie mówi o niczym innym - wtrącił Tadeaś, zmieniając temat.

- Jeszcze nie. - Matthew spojrzął na drzwi. - Czy zastaliśmy cesarza?

- Tak. Ogląda właśnie nowy obraz mistrza Sprangera. Jest bardzo duży i... hmm... szczegółowy.

- Kolejny portret Wenus - sapnął Strada.

- Ta Wenus bardzo przypomina pańską siostrę - uśmiechnął się Hájek.

- *Ist das Matthäus höre ich?* - dobiegł nosowy głos z drugiej części pokoju.

Wszyscy odwrócili się i pochylili w ukłonie. Ja odruchowo dygnęłam. Wyglądało na to, że mogę nie zrozumieć, o czym rozmawiają. Spodziewałam się, że Rudolf będzie mówił po łacinie, a nie po niemiecku.

- *Und sie das Buch Und die Hexe gebracht, ich verstehe. Und die norwegische Wolf.*

Rudolf był niewysokim mężczyzną o wyjątkowo długim podbródku i wystającej żuchwie. Pełne, mięsiste wargi, typowe dla rodu Habsburgów podkreślały jeszcze dolną część twarzy, choć ich zarys łagodziły blade, wybałuszone oczy i gruby, spłaszczony nos. Lata dostatku i dobrych trunków przydały mu tuszy, ale nogi wciąż miał patykowane. Podszedł do nas chwiejnie w butach na obcasach, czerwonych ze złotymi klamerkami.

- Zgodnie z rozkazem przyprowadziłem moją żonę, Wasza Wysokość - odezwał się Matthew, podkreślając delikatnie słowo „żona”.

Gallowglass przetłumaczył słowa Matthew z angielskiego na idealną niemczyznę, zupełnie jakby mój mąż nie znał niemieckiego, chociaż wiedziałam, że tak nie jest po tym, jak odbyliśmy podróż saniami z Hamburga przez Wittenberg do Pragi.

- *Y su talento para los juegos también* - odparł Rudolf, przechodząc bez trudu na hiszpański, zupełnie jakby chciał przekonać Matthew, by rozmawiali bez tłumacza. Cesarz zmierzył mnie wzrokiem, skupiając się na moim biuście z taką uwagą, że zapragnęłam wziąć prysznic. - *Es una lástima que se caso en absoluto, pero aún más lamentable que ella est casada con usted.*

- To bardzo przykre, Wasza Wysokość - odparł ostro Matthew, wciąż ograniczając się do angielskiego. - Ale zapewniam, że jesteśmy prawowicie poślubieni. Mój ojciec nalegał. Ona też.

Te słowa sprawiły tylko, że Rudolf przyglądał mi się z jeszcze większą ciekawością.

Zlitował się nade mną Gallowglass, rzucając księgę na stół.

- *Das Buch.*

To skupiło ich uwagę. Strada zaczął odwijać ją ze skóry, a Hajek i Rudolf dyskutowali, co też zyska cesarska biblioteka. Kiedy jednak książka została rozpakowana, rozległ się jęk zawodu.

- Cóż to za żart? - warknął po niemiecku Rudolf.

- Chyba nie rozumiem, co Wasza Wysokość ma na myśli - odparł Matthew i zaczął, aż Gallowglass przetłumaczy jego słowa.

- Chodzi mi o to, że wiem, co to za książka - wycedził Rudolf.

- Nie dziwi mnie to, Wasza Wysokość, gdyż, jak mi powiedziano, dałeś ją Johnowi Dee przez pomyłkę.

- Cesarz nie popełnia pomyłek! - Strada odepchnął z obrzydzeniem wolumin.

- Wszyscy popełniamy błędy, signor Strada - odezwał się spokojnie Hajek. - Jestem jednak przekonany, że ta księga z innego powodu wraca do cesarza. Może doktor Dee odkrył jej tajemnicę.

- To tylko dziecinne obrazki - prychnął Stada.

- Czy dlatego ta książka znalazła się w bagażu doktora Dee? W nadziei, że on odkryje coś, czego sam odkryć nie zdołałeś? - Słowa Matthew rozdrażniły Stradę, który poczerwieniał ze złości.

- A może pożyczyłeś księgę doktora, signor Strada, tę z alchemicznymi ilustracjami z biblioteki Rogera Baco-



na, w nadziei, że pomoże ci rozszyfrować tę tutaj? To na pewno znacznie lepsze wytłumaczenie niż podejrzenie, że oszukałeś doktora Dee, by zdobyć jego skarb. Oczywiście Jego Wysokość na pewno nie mógł wiedzieć o tak niecznych praktykach. - Uśmiech Matthew mroził krew w żyłach.

- Sugerujesz, że pragniesz zabrać mój skarb do Anglii? - zapytał ostro Rudolf. - A może zachciewa ci się też moich laboratoriów?

- Jeśli Wasza Wysokość ma na myśli Edwarda Kelleya, to królowa potrzebuje tylko zapewnienia, że jest tutaj z własnej woli. Nic ponadto - skłamał Mathew, po czym skierował rozmowę na bezpieczniejsze tory. - Czy podoba się Waszej Wysokości tryptyk?

Matthew dał cesarzowi szansę, by zmienić temat i wyjść z rozmowy z twarzą.

- Ten Bosch jest niezwykły. Mój wuj będzie wściekły, gdy dowie się, że go zdobyłem. - Rudolf rozejrzał się wokół. - Niestety, nie da się go odpowiednio wyeksponować w tym pokoju. Chciałem go zaprezentować hiszpańskiemu ambasadorowi, ale tutaj nie można wystarczająco daleko odejść od obrazu, by odpowiednio go zobaczyć. Należy się do niego zbliżać wolno, pozwalając, by kolejne detale ukazywały się naturalnie. Chodź. Zobacz, gdzie go umieściłem.

Matthew i Gallowglass stanęli tak, by Rudolf nie mógł się do mnie zbliżyć, gdy przeszliśmy do następnej sali, która przypominała raczej składzik przepelnionego muzeum z niedostatkami personelu. Na półkach i w gablotach znajdowało się mnóstwo muszli, książek i skamieniałości. Potężne płótna, włącznie z nowym obrazem Wenus, nie tyle namalowanym ze szczegółami, co po prostu erotycznym, stały oparte o posągi z brązu. To musiał być ten słynny gabinet osobliwości Rudolfa, jego zbiór cudów i dziwów.

- Wasza Wysokość potrzebuje więcej miejsca... albo mniej eksponatów - stwierdził Matthew, łapiąc porcelanowe naczynie, nim zdążyło roztrzaskać się o podłogę.

- Zawsze znajduję miejsce na nowe skarby. - Cesarz znów zawiesił na mnie wzrok. - Powstają właśnie cztery nowe sale, bym miał je gdzie umieścić. Widać stąd budowę.

Wskazał za oknem dwie wieże i długi budynek, który miał je połączyć z apartamentami cesarskimi, a także kolejny gmach po drugiej stronie.

- Do tego czasu Ottavio i Tadeaś mają skatalogować kolekcję i na bieżąco informować architektów, czego oczekują. Nie chcę przenosić wszystkiego do nowej kunstkamery tylko po to, by zaraz konieczna była następna przeprowadzka.

Rudolf poprowadził nas labiryntem mniejszych składzików do galerii z oknami po obu stronach. Po wędrówce przez ponure i zakurzone sale, wchodząc do tego jasnego pomieszczenia, odnosiło się wrażenie, jakby wyszło się na świeże powietrze.

To, co ujrzałam na środku sali, zaparło mi dech. Tryptyk Matthew stał na długim stole, przykrytym grubym zielonym filcem. Cesarz miał rację: pełna percepcja kolorów mogła dokonać się tylko w pewnej odległości od dzieła.

- Jest piękny, doña Diana. - Rudolf wykorzystał moje zaskoczenie i wziął mnie za rękę. - Spójrz, jak z każdym krokiem następują zmiany. Tylko pospolite przedmioty można ogarnąć jednym spojrzeniem, gdyż nie kryją w sobie żadnych tajemnic.

Strada spoglądał na mnie z jawną niechęcią, Hajek ze współczuciem. Matthew nie patrzył na mnie wcale, on wpatrywał się w cesarza.

- Skoro już o tym mówimy, to czy mógłbym zobaczyć księżę Dee, Wasza Wysokość? - Mój mąż miał niewinną minę, ale nikogo nią nie zwiódł. Wilk ruszył na łowy.

- A kto wie, gdzie ona może być? - Rudolf musiał puścić swoją dłoń, by móc machnąć od niechcienia w stronę komnat, które przed chwilą opuściliśmy.

- Signor Strada zaniedbuje swoje obowiązki, jeśli nie potrafi dostarczyć tak cennego manuskryptu na życzenie cesarza - powiedział cicho Matthew.

- Ottavio jest w tej chwili bardzo zajęty ważnymi sprawami! - Rudolf zmierzył Matthew złym spojrzeniem. - Nie ufam doktorowi Dee. Twoja królowa powinna ostrożnie traktować jego puste obietnice.

- Ale wierzy Wasza Wysokość Kelleyowi. Może on wie, gdzie znaleźć księgę?

Na te słowa cesarz wyraźnie się zaniepokoił.

- Nie chcę, by przeszkadzano Edwardowi. Prowadzi teraz bardzo skomplikowane prace alchemiczne.

- Praga ma wiele do zaoferowania, a Diana musi nabyć szklane naczynia alchemiczne dla hrabiny Pembroke. Zajmiemy się tym w oczekiwaniu na moment, gdy sir Edward będzie skłonny przyjmować gości. Może do tego czasu signor Strada zdoła odnaleźć zaginioną księgę.

- Ta hrabina Pembroke jest siostrą ulubieńca królowej, sir Philipa Sidneya? - zapytał zaciekawiony Rudolf.

Gdy Matthew otworzył usta, by odpowiedzieć, Rudolf powstrzymał go uniesieniem dłoni.

- Pozwólmy odpowiedzieć doñi Dianie.

- Tak, Wasza Wysokość - odparłam po hiszpańsku. Moja wymowa była okropna. Liczyłam, że to go zniechęci.

- Uroczo - wyszeptał Rudolf. Cholera. - Dobrze więc, doña Diana musi odwiedzić moje warsztaty. Lubię spełniać życzenia dam.

O jakie damy mu chodziło?

- A co do Kelleya i książki, to zobaczymy. Zobaczymy. - Rudolf odwrócił się w stronę tryptyku. - Będę patrzył, milczał i słuchał. To chyba przysłowie?

## ROZDZIAŁ 8

Widziała pani wilkołaka, frau Roydon? Jest leśniczym cesarza, a moja sąsiadka, frau Habermel, słyszała, jak wyje w nocy. Podobno żywi się cesarskimi jeleniami w Fosie Jeleniej.

Frau Huber sięgnęła dłonią w rękawiczce po kapustę i powąchała ją podejrzliwie. Herr Huber był swego czasu kupcem w Londynie i chociaż nie lubiła tego miasta, doskonale władała angielskim.

- Phi. Nie ma żadnego wilkołaka - odezwała się signorina Rossi, krzywiąc się na cenę cebuli. - Natomiast mój Stefano twierdzi, że w pałacu roi się od demonów. Biskupi z katedry chcą je wyegzorcyzmować, ale cesarz na to nie pozwala.

Podobnie jak frau Huber, Rossi spędziła trochę czasu w Londynie. Potem była kochanką włoskiego artysty, który chciał wprowadzić w Anglii manieryzm. Następnie została kochanką innego włoskiego artysty, który chciał wprowadzić w Pradze sztukę cięcia szkła.

- Nie widziałam żadnych wilkołaków ani demonów - oświadczyłam. Obu kobietom zrzędyłszy miny. - Za to widziałam jeden z nowych obrazów cesarza - ściszyłam głos. - Przedstawiał Wenus. Wychodzącą z kąpieli.

Spojrzałam na nie znacząco. Z braku plotek o nadprzyrodzonych istotach musiały starczyć perwersje arystokracji. Frau Huber wyprostowała się gwałtownie.

- Cesarz Rudolf potrzebuje żony. Porządnej Austriaczki, która będzie mu gotować. - Raczyła w końcu kupić kapustę od wdzięcznego sprzedawcy, który przez pół godziny wysłuchiwał krytyki swoich towarów. - Opowiedz nam jeszcze raz o rogu jednorożca. Podobno ma cudowne właściwości lecznicze.

Już po raz czwarty w ciągu dwóch dni proszono mnie o opisywanie cudów cesarskiego gabinetu osobliwości. Wieści o naszej audiencji w prywatnych pokojach Rudolfa wyprzedziły nawet nasz powrót Pod Trzy Kruki, a już następnego ranka panie z Malej Strany czekały, by wysłuchać moich emocjonujących relacji.

Od tamtej pory wizyty cesarskich posłańców i służących licznych czeskich arystokratów i zagranicznych dygnitarzy w naszym domu tylko podsycaly ich ciekawość. Teraz, gdy Matthew był przyjmowany na dworze, jego gwiazda tak jasno i spokojnie świeciła na cesarskich niebiosach, że starzy przyjaciele postanowili wreszcie przyjąć do wiadomości jego przyjazd... i prosić go o pomoc. Pierre wyciągnął księgi i niewiele później praski oddział banku de Clermont został otwarty; niewiele pieniędzy wpłacano, natomiast spore sumy zostały wypłacone na rzecz zaległych opłat dla kupców ze Starego Miasta.

- Otrzymałaś paczkę od cesarza - zwrócił się do mnie Matthew, gdy przyszedłam z targu. Wskazał piórem pękaty worek. - Jeśli to otworzysz, Rudolf będzie oczekiwał osobistych podziękowań.

- Co to może być? - Obmacalam przedmiot przez opakowanie. Na pewno nie książka.

- Zapewniam, że cokolwiek to jest, pożałujemy, że to dostałaś. - Matthew wbił pióro w kałamarz z taką siłą, że aż wychlapał atrament na biurko. - Rudolf jest kolekcjonerem, Diano. I nie interesuje się tylko kłami narwali czy bezoarami. Ludzie pociągają go w tym samym stopniu, co przedmioty i trudno mu się z nimi rozstać, gdy znajdują się w jego posiadaniu.

- Jak Kelley. - Zaczęłam rozpakowywać przesyłkę. -Ale ja nie jestem na sprzedaż.

- Wszyscy jesteście. Dobry Boże! - Matthew osłupiał.

Z worka wyjęłam wykonany ze złota i srebra, wysoki na dwie stopy posążek bogini Diany, nagiej, jeśli nie liczyć kołczanu, dosiadającej po damsku jelenia, z nogami skromnie skrzyżowanymi w kostkach. U jej stóp siedziały dwa myśliwskie psy.

Gallowglass zagwizdał.

- No to już wiemy, czego cesarz pragnie tym razem. Byłam zbyt zajęta oglądaniem posążka, by skupić się na

jego słowach. Z podstawy figurki wystawał mały kluczyk. Przekręciłam go, a jeleni ruszył po podłodze.

- Spójrz, Matthew! Widzisz?

- Wujaszek jest w pełni skupiony na tobie - zapewnił mnie Gallowglass.

Rzeczywiście, Matthew przyglądał się ze złością posążkowi.

- Hej, chłopcze! - Gallowglass złapał Jacka za kołnierz, gdy dzieciak wpadł do pokoju. Jack był jednak profesjonalnym złodziejem i takie próby powstrzymania go na niewiele mogły się zdać, gdy wypatrzył coś cennego. Opadł na ziemię niczym szmatka, pozostawiając kurtkę w rękach Gallowglassa, i ruszył za jeleniem.

- Czy to zabawka? Dla mnie? Czemu ta pani nie ma na sobie żadnych ubrań? Nie jest jej zimno? - Pytania posypały się jak grad.

Tereza, równie zainteresowana wydarzeniami, jak wszystkie inne kobiety z Malej Strany, przyszła zobaczyć, co się dzieje. Jęknęła na widok nagiej kobiety w gabinecie jej pracodawcy i zasłoniła oczy Jackowi.

Gallowglass spojrział na piersi figurki.

- Tak, Jack. Myślę, że jej zimno.

Za te słowa dostał w ucho od Terezy, która wciąż mocno trzymała wyrywającego się chłopca.

- To automat, Jack. - Matthew podniósł figurkę.

Gdy to zrobił, głowa jelenia odgięła się, ukazując puste wnętrze.

- Ten ma za zadanie biegać po stole cesarza. Gdy się zatrzyma, najbliższej siedząca osoba musi wypić z jego szyi. Może pokażesz to Annie?

Wyprostował łeb zwierzęcia, podał bezcenny przedmiot Gallowglassowi i spojrzał na mnie poważnie.

- Musimy porozmawiać.

Gallowglass zabrał Jacka i Terezę z pokoju, obiecując im prele i słodycze.

- Wpływasz na niebezpieczne wody, kochanie. - Matthew przeczesał palcami włosy, co zawsze sprawiało, że wyglądał jeszcze przystojniej. - Powiedziałem Kongregacji, że podaję cię za moją żonę, by uchronić przed oskarżeniami o czary i ograniczyć do Szkocji polowania na czarownice z Barwick.

- Ale nasi przyjaciele i twoje znajome wampiry wiedzą, że to coś więcej - odparłam. Węchu wampirów nie dało się oszukać, a ja byłam przesiąknięta charakterystycznym zapachem Matthew. - A czarownice są przekonane, że w naszym związku jest coś więcej, niż widać na pierwszy rzut nawet trzeciego oka.

- Możliwe, lecz Rudolf nie jest ani wampirem, ani czarownicą. Na pewno Kongregacja zapewniła go, że tak naprawdę nic nas nie łączy. Wniosek? Nic nie powstrzymuje go przed polowaniem na ciebie. - Matthew dotknął mojego policzka. - Ja się nie dzielę, Diano. Jeśli Rudolf posunie się za daleko...

- Zapanujesz nad sobą. - Położyłam dłoń na jego dłoni. - Wiesz, skoro już o tym mowa, nie pozwolę Cesarzowi Narodu Niemieckiego ani nikomu innemu, by mnie uwiódł. Potrzebujemy *Ashmole 782*. Kto by się przejmował tym, że Rudolf gapi się na moje piersi.

- To jeszcze zniosę. - Pocałował mnie. - Musisz coś wiedzieć, nim ruszysz z podziękowaniami do cesarza. Aby

zapewnić sobie współpracę Rudolfa, od jakiegoś czasu Kongregacja ofiarowuje mu kobiety i różne eksponaty do jego gabinetu osobliwości. Jeśli cesarz postanowi cię zdobyć i zwróci się z tym do pozostałych ośmiu członków Kongregacji, to ich decyzja ci się nie spodoba. Wydadzą cię Rudolfowi, bo nie mogą sobie pozwolić, by Praga trafiła w ręce kogoś takiego jak arcybiskup Trewiru i jego jezuicki przyjaciele. Nie chcą też, by Rudolf stał się kolejnym królem Jakubem, żadnym krwi nadnaturalnych stworzeń. Praga może się wydawać oazą dla takich jak my. Ale, jak wszystkie oazy, jest tylko mirażem.

- Rozumiem.

Czemu wszystko, co wiązało się z Matthew, musiało być tak skomplikowane? Nasze życie przypominało mi poplątane sznureczki z mojego pudełka na czary. Bez względu na to, ile razy je rozsupływałam, po chwili znów były poplątane.

Matthew wysunął dłoń spod mojej dłoni.

- Weź Gallowglassa ze sobą do pałacu.

- Nie idziesz ze mną? - Biorąc pod uwagę jego obawy, zaskoczyło mnie, że zgodził się spuścić mnie z oka.

- Nie. Im częściej Rudolf będzie nas widział razem, tym silniej zadziała jego wyobraźnia i będzie cię bardziej pragnął. A Gallowglassowi może uda się dostać do laboratorium Kelleya. Mój bratanek jest znacznie bardziej czarujący niż ja. - Matthew uśmiechnął się szeroko, ale w jego oczach wciąż czaił się mrok.

Gallowglass twierdził, że ma plan, dzięki któremu nie będę musiała rozmawiać z Rudolfem na osobności, natomiast publicznie okażę swoją wdzięczność. Zaczęłam podejrzewać, na czym ten plan polega, dopiero gdy zegar wybił trzecią. Tłum, jaki próbował wejść do katedry Świętego Wita poprzez łukową boczną bramę, tylko potwierdził moje podejrzenia.

- To Zygmunt - nachylił mi się do ucha Gallowglass.



Dzwony były ogłuszająco i ledwie go słyszałam. Gdy spojrzałam na niego zaskoczona, wskazał złotą kratę na wieży obok.

- Zygmun. Wielki dzwon. Stąd wiadomo, że jest się w Pradze.

Katedra Świętego Wita była książkowym przykładem gotyku, z łukami przyporowymi i spiczastymi wieżami. Chmurne zimowe popołudnie tylko podkreślało ten charakter. We wnętrzu rozpalono dziesiątki świec, ale olbrzymia przestrzeń katedry sprawiała, że wyglądały jak złote kropeczki w mroku. Na zewnątrz zapadły ciemności, więc kolorowe witraże i bogate freski nie rozświetlały już ponurej atmosfery w środku. Gallowglass poprowadził nas pod skupisko pochodni.

- Zrzuć z siebie ten czar ochronny - zasugerował. - Jest tak ciemno, że Rudolf może cię nie zauważyć.

- Mówisz, że mam rozbłysnąć? - Posłałam mu najbardziej potępiające spojrzenie z mojego zestawu nauczycielskiego. W odpowiedzi tylko szeroko się uśmiechnął.

Oczekiwaliśmy na rozpoczęcie mszy w towarzystwie pałacowych sług, królewskich urzędników i arystokracji. Ubrania niektórych rzemieślników poplamione były po pracy, a większość wyglądała na wyczerpanych. Gdy już obejrzałam zebranych, podniosłam głowę, by przyjrzeć się katedrze.

- Ale potężne sklepienie - szepnęłam. Żebrowanie było znacznie bardziej skomplikowane niż w większości gotyckich kościołów w Anglii.

- Tak to już jest, gdy Matthew coś sobie wymyśli - rzucił Gallowglass.

- Matthew? - jęknęłam.

- Dawno temu przejeżdżał akurat przez Pragę, a Peter Parler, nowy architekt, nie podołałby sam tak skomplikowanemu zadaniu. A że pierwsza fala zarazy zabiła większość

mistrzów kamieniarskich, nie miał innego wyjścia, jak tylko się do tego zabrać. Matthew wziął go pod swoje skrzydła i we dwojkę trochę zaszaleli. Nie mam pojęcia, co chcieli osiągnąć z młodym Peterem, ale na pewno ich dzieło robi wrażenie. Zaczekaj, aż zobaczysz, czego dokonali w Wielkiej Sali.

Otworzyłam usta, by zadać kolejne pytanie, gdy wokół zapadła cisza. Przybył Rudolf. Stałam na palcach, próbując go dostrzec.

- Tam jest - wyszeptał Gallowglass, wskazując głową w prawo i w górę.

Rudolf wszedł na pierwsze piętro katedry przez zadaszony pasaż prowadzący z pałacu. Stał na balkonie ozdobionym kolorowymi tarczami herbowymi ku jego chwale. Podobnie jak sklepienie, również balkon podtrzymywały niezwykle bogato zdobione żebrowania, tutaj przypominające powyginane gałęzie drzewa. Biorąc pod uwagę prostotę pozostałych podpór architektonicznych w katedrze, uznałam, że to nie mogła być robota Matthew.

Rudolf usiadł tak, by mieć widok na nawę główną. Tłum kłaniał mu się i dygał. Ku mojemu zaskoczeniu Rudolf zdawał się skrepowany tymi hołdami. W swoich prywatnych pokojach był rozluźniony, tutaj - zmieszany i onieśmielony. Odwrócił się, gdy jego towarzysz wyszeptał mu coś do ucha, i mnie zauważył. Skłonił łaskawie głowę i uśmiechnął się. Tłum odwrócił się, by sprawdzić, kogo cesarz obdarzył swoim błogosławieństwem.

- Dygnij - syknął Gallowglass, co też natychmiast uczyniłam.

Zupełnie nieźle przetrwaliśmy całą mszę. Ulżyło mi, gdy okazało się, że nikt, nawet cesarz, nie zamierza przyjmować sakramentu, więc uroczystość zakończyła się w miarę szybko. W pewnym momencie Rudolf umknął do swoich apartamentów, zapewne by podziwiać swoje skarby.

Gdy cesarz i duchowni wyszli, nawa zamieniła się w wesołe miejsce spotkań, gdzie przyjaciele wymieniali się wiadomościami i ploteczkami. Zauważyłam w oddali Ottavio Stradę, pochłoniętego rozmową z rumianym mężczyzną w bogatym wełnianym stroju. Był tam również doktor Hajek. Śmiał się, dyskutując z parą młodych ludzi, wyraźnie w sobie zakochanych. Uśmiechnęłam się do niego, a on uklonił się lekko. Strada mnie nie interesował, ale cesarskiego lekarza lubiłam.

- Gallowglass? Nie powinieneś teraz spać jak niedźwiedzie?

Podszedł do nas szczupły mężczyzna o głęboko osadzonych oczach i kpiarskim uśmiechu. Miał na sobie proste, ale bogate ubranie, a złoty pierścień świadczył o jego zamożności.

- W taką pogodę wszyscy powinniśmy spać. Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu, Joris. - Gallowglass uściskał mu dłoń i poklepał go po plecach tak mocno, że mężczyźni oczy wyszły na wierzch.

- Powiedziałbym ci to samo, ale biorąc pod uwagę, że zawsze jesteś zdrowy, daruję sobie ten pusty komplement. - Joris odwrócił się do mnie. - A to La Diosa.

- Diana - odparłam, chyląc głowę na powitanie.

- Tutaj nie nosisz takiego imienia. Rudolf nazywa cię La Diosa de la Caza. To po hiszpańsku Bogini Łowów. Nakazał biednemu mistrzowi Sprangerowi porzucić najnowsze szkice Wenus w kąpieli na rzecz nowego projektu: Diany zaskoczonej w czasie toalety. Bardzo jesteśmy ciekawi, czy Spranger zdoła wprowadzić tak poważną zmianę w tak krótkim czasie. - Uklonił się. - Joris Hoefnagel.

- Kaligraf - odparłam, przypominając sobie słowa Pierre'a o bogato zdobionym liternictwie na oficjalnych listach z dworu Rudolfa. Nazwisko było znajome.

- Artysta - poprawił delikatnie Gallowglass.

- La Diosa! - jakiś chudy mężczyzna zdjął kapelusz spracowanymi dłońmi. - Jestem Erasmus Habermel. Czy byłabyś tak miła i przyszła do mojego warsztatu w najbliższym możliwym terminie? Jego Wysokość pragnie ci podarować kompendium astronomiczne, dzięki któremu łatwiej będzie ci śledzić zmiany kapryśnego księżyca, ale musi być zrobione dokładnie tak, jak sobie tego zażyczysz.

Habermel też brzmiało znajomo...

- Jutro przychodzi do mnie - przez tłum przepchnął się tęgi mężczyzna po trzydziestce. Mówił z wyraźnym włoskim akcentem. - La Diosa ma pozować do portretu. Jego Wysokość pragnie, by uwieczniono ją w kamieniu na znak stałości jego uczuć. - Na górną wargę wystąpił mu pot.

- Signor Miseroni! - zawołał inny Wioch, przyciskając melodramatycznie ręce do piersi. - Sądziłem, że się rozumiemy. La Diosa musi poćwiczyć taniec, jeśli ma brać udział w rozrywkach w przyszłym tygodniu, jak życzy sobie tego cesarz. - Ukłonił mi się. - Jestem Alfonso Pasetti, La Diosa, mistrz tańca Jego Cesarskiej Mości.

- Ale moja żona nie lubi tańczyć - odezwał się zza moich pleców lodowaty głos. Długie ramię objęło mnie i sięgnęło po moją dłoń. - Prawda, *mon cceur*?

Ostatnie słowa podkreślił, całując moje palce i delikatnie szczypiąc skórę.

- Matthew jak zawsze pojawia się w samą porę. - Joris roześmiał się serdecznie. - Jak się masz?

- Zawiedziony, że nie zastałem Diany w domu - odparł niezadowolonym tonem Matthew. - Ale nawet oddany mąż musi ustąpić pola Bogu, gdy chodzi o miłość żony.

Hoefnagel przyglądał się Matthew, obserwował wyraz jego twarzy. Nagle zrozumiałam, kim on jest - wspaniałym artystą o takich zdolnościach percepcji, że jego ilustracje flory i fauny wyglądały, podobnie jak stworzenia na butach Mary, jakby zaraz miały ożyć.

- Cóż, Bogu nie jest już dziś potrzebna. Myślę, że możesz spokojnie zabrać żonę do domu - powiedział cicho. - Wygląda na to, La Diosa, że ożywisz nam wiosnę, która zapowiadała się w tym roku bardzo nieciekawie. I za to jesteśmy ci wszyscy wdzięczni.

Mężczyźni rozeszli się, gdy Gallowglass zapewnił ich, że dopilnuje moich rozlicznych spotkań. Hoefnagel odszedł ostatni.

- Będę miał oko na twoją żonę, Schaduw. Może ty też powinieneś.

- Moja uwaga zawsze się skupia na mojej żonie, tak trzeba. Jak inaczej wiedziałbym, że znajdę ją tutaj?

- Oczywiście. Wybacz. Las ma uszy, a pola oczy. - Hoefnagel uklonił się. - Do zobaczenia na dworze, La Diosa.

- Na imię jej Diana - syknął Matthew. - Może być również madame de Clermont.

- A ja sądziłem, że Roydon. Mój błąd. - Hoefnagel cofnął się. - Dobranoc, Matthew.

Jego kroki odbijały się echem od kamiennej posadzki, aż w końcu ucichły.

- Schaduw? - zapytałam. - Czy dobrze rozumiem, co to znaczy?

- „Cień” po holendersku. Nie tylko Elżbieta mnie tak nazywa. - Matthew spojrzał na Gallowglassa. - O jakiej rozrywce mówił signor Pasetti?

- Och, nic nadzwyczajnego. Na pewno będzie utrzymana w mitologicznym stylu, z okropną muzyką i jeszcze gorszymi tańcami. Na koniec, po nadużyciu alkoholu, dworzanie rozejdą się do różnych sypialni. Dziewięć miesięcy później pojawi się mnóstwo arystokratycznych dzieciątek o nieznanym ojcostwie. Jak zwykle.

- *Sic transit gloria mundi* - wyszeptał Matthew i uklonił mi się. - Wrócimy do domu, La Diosa? - przydomek ten w ustach obcych sprawiał, że czułam się nieswojo, ale gdy

użył go Matthew, był prawie nie do zniesienia. - Jack mówi, że dzisiejszy gulasz jest wyjątkowo smaczny.

Matthew, przez cały wieczór nieobecny duchem, wpatrywał się we mnie ponuro, gdy słuchałam opowieści dzieci o tym, jak spędziły dzień, i gdy Pierre informował go o najnowszych wydarzeniach w Pradze. Wymieniane nazwiska były mi obce, a opowieść tak skomplikowana, że porzuciłam ich towarzystwo i położyłam się spać.

Obudziły mnie krzyki Jacka. Pobiełam do jego łóżka, Matthew już przy nim był. Chłopiec, przerażony, rzucał się i prosił o pomoc.

- Kości mi odpadają! - wołał. - Boli! Boli! Matthew przytulił go do piersi tak mocno, że dzieciak nie mógł się ruszać.

- Ciii. Jestem przy tobie. - Trzymał go, dopóki chłopcem nie przestały wstrząsać dreszcze.

- Panie Roydon, dzisiaj wszystkie potwory wyglądały jak normalni ludzie. - Jack, wyczerpany, wtulił się głębiej w ramiona mojego męża. Mocno podkrążone oczy sprawiały, że zdawał się znacznie starszy niż w rzeczywistości.

- Tak często bywa, Jack - odparł Matthew. - Za często. Kolejne tygodnie upływały mi na licznych spotkaniach -

z cesarskim złotnikiem, cesarskim lutnikiem i cesarskim mistrzem tańca. Z każdą kolejną wizytą zagłębiałam się bardziej w labirynt budynków tworzących cesarski pałac, wśród warsztatów i rezydencji cenionych artystów i naukowców Rudolfa.

W przerwach Gallowglass zabierał mnie do części pałacu, których jeszcze nie znałam. Do menażerii, gdzie Rudolf trzymał leopardy i lwy, podobnie jak trzymał iluminatorów i muzyków w wąskich uliczkach na wschód od katedry. Do Fosy Jeleniej, przerobionej tak, by Rudolf mógł uprawiać w niej sporty. Do ozdobnej sali sportowej, w której ćwiczyli cesarscy dworzanie. Ale było miejsce, gdzie nawet Gallow-

glass nie potrafił się dostać: Wieża Prochowa, w której pracował Edward Kelley, próbując stworzyć kamień filozoficzny. Staliśmy przed nią i próbowaliśmy przekonać strażników, by nas wpuścili. Gallowglass posunął się nawet do tego, by wykrzyknąć do Kelleya powitanie, ale uzyskał jedynie tyle, że zbiegli się sąsiedzi, myśląc, że się pali, a były asystent doktora Dee nie raczył nawet zareagować.

- Zupełnie jakby był więźniem - powiedziałam Matthew, gdy sprzątnięto po kolacji, a Jack i Annie leżeli już grzecznie w łózkach. Spędzili kolejny wyczerpujący dzień: jeździli na łyżwach, sankach i objadali się preclami. Przestaliśmy udawać, że są naszymi sługami. Miałam nadzieję, że Jack poradzi sobie z koszmarami, jeśli będzie się zachowywał jak każdy normalny ośmiolatek. Nie mogłam ich jednak zabierać do pałacu. Bałam się, że odejdą ode mnie i zgubią się na zawsze, bez znajomości języka i umiejętności określenia, do kogo należą.

- Kelley jest więźniem - odparł Matthew, bawiąc się nóżką kielicha z ciężkiego, lśniącego w świetle kominka srebra.

- Podobno niekiedy wychodzi do domu, zwykle w środku nocy, kiedy nikt nie może go zobaczyć. Przynajmniej od czasu do czasu może odetchnąć, gdy cesarz wciąż coś od niego wymaga.

- Nie poznałaś pani Kelley - odparł sucho Matthew. To prawda, co wydawało mi się tym dziwniejsze, im

dłużej się nad tym zastanawiałam. Może źle podeszłam do sprawy spotkania z alchemikiem. Dałam się wciągnąć w nurt dworskiego życia, licząc, że któregoś dnia po prostu zapukam do drzwi laboratorium Kelleya i zażyczę sobie *Ashmole 782*. Ale biorąc pod uwagę to, co wiedziałam już o życiu dworu, nie powinnam na to liczyć.

Następnego ranka wybrałam się z Terezą po zakupy. Mróz trząsał, wiatr przeszywał na wskroś, ale mimo to poszliśmy na targ.

- Znasz moją rodaczkę, panią Kelley? - zapytałam frau Huber, gdy czekałyśmy, aż piekarz zapakuje nasze zakupy. Niepracujące żony z Malej Strany były równie zainteresowane ciekawostkami i dziwołagami jak Rudolf. - Jej mąż jest jednym z cesarskich sług.

- Raczej jednym z alchemików pod kluczem - prychnęła frau Huber. - W ich domu zawsze dzieje się coś dziwnego. A było jeszcze gorzej, gdy mieszkał tam doktor Dee z rodziną. Herr Kelley zawsze pożądliwie patrzył na frau Dee.

- A pani Kelley? - pociągnęłam ją za język.

- Rzadko wychodzi. Zakupy robi jej kucharka. - Frau Huber uważała, że to obowiązek pani domu, i czegoś takiego nie pochwaliała, twierdząc, że prowadzi to do licznych nadużyć, włącznie z - jak stwierdziła - anabaptyzmem i rozwojem czarnego rynku kradzionych produktów żywnościowych. Wyraziła tę opinię podczas naszego pierwszego spotkania i był to jeden z głównych powodów, dla których należało kupować kapustę bez względu na pogodę.

- Rozmawiamy o żonie alchemika? - zapytała signorina Rossi, ślizgając się po oblodzonym bruku, tak że omal nie wpadła na taczki z węglem. - To Angielka, więc jest bardzo dziwna. A jej rachunki za wino są znacznie wyższe, niż być powinny.

- Skąd to wszystko wiecie? - zapytałam, gdy zdusiłam śmiech.

- Mamy tę samą praczkę - stwierdziła zaskoczona frau Huber.

- Nasze praczki wszystko wiedzą - oświadczyła signorina Rossi. - Robiła też pranie Dee. Ale signora Dee zwolniła ją, gdy zażyczyła sobie zbyt wiele za pranie pieluch.

- Jane Dee to trudna kobieta, ale nie można jej odmówić gospodarności - przyznała z westchnieniem frau Huber.

- Chciałabym spotkać się z mężem pani Kelley. Interesuję się alchemią i mam do niego kilka pytań.



- Zapłacisz? - zapytała frau Huber, trąc palce w uniwersalnym i najwyraźniej ponadczasowym geście.

- Za co? - zapytałam zaskoczona.

- Za jego odpowiedzi.

- Tak - zapewniłam, zastanawiając się, jaki to chytry plan zrodził się w jej głowie.

- Zostaw to mnie - odparła frau Huber. - Mam ochotę na sznycel, a Austriak, który prowadzi tawernę nieopodal twojego domu, frau Roydon, wie doskonale, jaki powinien być sznycel.

Okazało się, że nastoletnia córka austriackiego magika od sznycli uczęszczała do tego samego nauczyciela, co dziesięcioletnia pasierbica Kelleya, Elizabeth. Jego kucharz zaś ożenił się z ciotką praczki, której bratowa służyła w domu Kelleyów.

To właśnie dzięki temu magicznemu łańcuchowi znajomości stworzonemu przez kobiety, a nie kontaktem Gallowglassa udało nam się z Matthew dotrzeć o północy do salonu na pierwszym piętrze domu Kelleyów, gdzie czekaliśmy na gwiazdę wieczoru.

- Powinien się lada chwila zjawić - zapewniła nas Joanna Kelley.

Wokół oczu miała czerwone obwódki, białka przekrwione, ale nie wiedziałam, czy od nadmiaru wina, czy też z wszechogarniającego zimna w mieszkaniu.

- Proszę się nami nie przejmować, pani Kelley. Zwykliśmy późno chodzi spać - odezwał się gładko Matthew i posłał jej zabójczy uśmiech. - Jak się pani podoba nowy dom?

Po przeprowadzeniu śledztwa w austriackich i włoskich społecznościach udało nam się ustalić, że Kelleyowie nabyli niedawno dom rzut kamieniem od Trzech Kruków, pod dość oryginalnym znakiem. Ktoś przeciął na pół pozostałe po szopce bożonarodzeniowej drewniane figurki i przymocował

je do deski, no i zastąpił w żłobku dzieciątko Jezus głową osła Maryi.

- Osioł i żłobek odpowiadają naszym potrzebom, panie Roydon. - Pani Kelley kichnęła potężnie i pociągnęła łyk wina. - Sądziłem, że cesarz udostępni nam pomieszczenia w samym pałacu, biorąc pod uwagę pracę Edwarda, ale to nam wystarcza.

Z kręconych schodów dobiegło głośnie szuranie.

- To Edward.

Najpierw ujrzeliśmy łaskę, potem poplamioną dłoń, następnie równie poplamiony rękaw. Cały Edward Kelley wyglądał równie niechlujnie. Długa broda była zaniedbana, a brudne włosy sterczały spod mycki. Nie nosił też kapelusza. Sądząc jednak po posturze, na pewno lubił dobrze zjeść. Wkuśtykał do pokoju, pogwizdując, ale na widok Matthew zamarł.

- Edwardzie! - Matthew znów uśmiechnął się zabójczo, ale Kelley nie był tym uśmiechem równie zachwycony jak jego żona. - Kto by pomyślał, że znów się spotkamy tak daleko od domu.

- Jak żeś?... - sapnął Edward.

Rozejrzał się po pokoju. Wbił we mnie wzrok, tak zagadkowy, jak tylko mogłam się spodziewać po demonie. Ale było też coś więcej - zakłócenia w otaczających go wątkach, jakaś nieregularność w splocie, która sugerowała, że Kelley nie tylko był demoniczny, ale też niezrównoważony.

Wykrzywił usta.

- Czarownica.

- Cesarz nadał jej wyższą rangę, tak jak i tobie. Jest teraz La Diosa, boginią - oświadczył Matthew. - Usiądź i daj odpocząć swojej nodze. Jak pamiętam, doskwiera ci w chłodzie.

- Co cię do mnie sprowadza, Roydon? - Kelley zacisnął ręce na lasce.

- Jest tu z rozkazu królowej, Edwardzie. Leżałam w łóżku - odezwała się płaczliwie Joanna. - Tak mało mam czasu na odpoczynek, a z powodu tej okropnej febry nie miałam jeszcze okazji poznać sąsiadów. Nie mówiłeś, że tak blisko mieszkają Anglicy. A przecież dom pani Roydon widać z wieży. Ty jesteś w zamku, a ja tutaj sama, chciałabym porozmawiać w ojczystym języku, a mimo to...

- Wróć do łóżka, kochanie. - Kelley odesłał Joannę. - Weź ze sobą wino.

Pani Kelley pociągnęła smutno nosem i usłuchała. Na pewno ciężko było w Pradze Angielce bez rodziny i przyjaciół, ale jeszcze gorsza musiała być niemożność odwiedzania miejsc, do których wpuszczano jej męża. Gdy odeszła, Kelley pokuśtykał wokół stołu i opadł na jej fotel. Krzywiąc się, uniósł nogę. A potem wbił ciemne, wrogie spojrzenie w Matthew.

- Powiedz, co mam zrobić, żeby się ciebie pozbyć - rzucił.

Może i był równie przebiegły jak Kit, ale brakowało mu uroku Marlowe'a.

- Królowa chce ciebie - odparł krótko Matthew. - A my chcemy księżę doktora Dee.

- Którą? - spytał szybko Edward. Za szybko.

- Jak na szarlatana jesteś nędznym kłamcą, Kelley. Jak udaje ci się ich wszystkich nabierać? - Matthew oparł swoje długie nogi o stół. Kelley skulił się, gdy obcasy uderzyły o blat.

- Jeśli doktor Dee oskarża mnie o kradzież, to tę rozmowę trzeba przeprowadzić w obecności cesarza - wybuchnął Kelley. - Nie chciałby, aby tak mnie traktowano, by w moim własnym domu podawano w wątpliwość mój honor.

- Gdzie ona jest, Kelley? W laboratorium? W sypialni Rudolfa? Znajdę ją, tak czy inaczej. Ale jeśli zdradzisz mi ten sekret, to może ci pomogę. - Matthew strzepnął kłaczek z pumpów. - Kongregacja ostatnio nie jest z ciebie zadowolona.

Laska Kelleya upadła na podłogę. Matthew podniósł ją i przytknął koniec do jego szyi.

- Czy to tutaj dotknąłeś oberżystę, gdy mu groziłeś? To było nierozsądne, Edwardzie. Cały ten przepych i zaszczyty uderzyły ci do głowy. - Laska opadła na potężny brzuch Kelleya.

- Nie mogę nic dla ciebie zrobić! - Kelley skrzywił się, gdy Matthew mocniej przycisnął laskę. - Mówię prawdę! Cesarz odebrał mi księgę, gdy... - zamilkł. Ocierał twarz, jakby próbował zetrzeć siedzącego naprzeciwko wampira.

- Gdy co? - zapytałam, nachylając się. Gdy dotknęłam *Ashmole 782* w Bibliotece Bodlejańskiej, od razu wiedziałam, że to niepowtarzalna księga.

- Wiesz o tej księdze więcej niż ja! - wrzasnął Kelley. Jego oczy ciskały błyskawice. - Wy, czarownice, nie zdziwiłyście się, że ona istnieje, chociaż potrzeba było demona, by ją rozpoznać!

- Tracę cierpliwość, Edwardzie. - Drewniana laska świsnęła w rękach Matthew. - Moja żona zadała ci pytanie. Odpowiedz.

Kelley posłał Matthew triumfalne spojrzenie i zepchnął laskę z brzucha.

- Nienawidzisz czarownic, a przynajmniej wszyscy tak sądzą. Widzę jednak, że podzielasz słabość Gerberta do tych stworzeń. Jesteś w tej zakochany, powiedziałem o tym Rudolfowi.

- Gerbert - powtórzył beznamiętnym tonem Matthew. Kelley skinął głową.

- Pojawił się, gdy Dee wciąż jeszcze był w Pradze. Pytał o księgę i wtykał nos w moje sprawy. Rudolf pozwolił mu się zabawić z jedną z czarownic ze Starego Miasta: siedemnastoletnią dziewczyną, bardzo ładną, o jasnych włosach i oczach niebieskich jak oczy twojej żony. Od tej pory nikt jej nie widział. Ale w Noc Walpurgi było wspaniałe ogni-

sko. To Gerbert miał zaszczyt je rozpalić. - Kelley spojrzał na mnie. - Ciekaw jestem, czy w tym roku znów będziemy mieli ognisko?

Przywołanie starodawnej tradycji palenia czarownicy, by uczcić nadejście wiosny, było kroplą, która przepełniła czarę. Nim zdążyłam się zorientować, Matthew wywiesił Kelleya do połowy za okno.

- Spójrz w dół, Edwardzie. To nie będzie zwykły upadek. Obawiam się, że mógłbyś przeżyć, choć pewnie złamiesz sobie to i owo. Pozbieram cię i zaniosę do twojej sypialni, a tam też jest okno. W końcu znajdę na tyle wysokie miejsce, że przełamie twoje żalosne cielsko na dwoje. Do tego czasu będziesz miał pogruchotane wszystkie kości i powiesz mi to, co chcę wiedzieć. - Gdy wstałam, Matthew zmierzył mnie spojrzeniem czarnych oczu. - Usiądź. - Odetchnął głęboko. - Proszę.

Uśluhałam.

-Księga Dee aż lśniła od mocy. Wyczułem to w chwili, gdy zdjąłem ją z półki w Mortlake. Nie był świadom jej znaczenia, w przeciwieństwie do mnie. - Kelley wyrzucał z siebie słowa jak karabin maszynowy naboje. Gdy zamilkł dla nabrania tchu, Matthew potrząsnął nim. - Należała do czarownika Rogera Bacona, który bardzo ją cenił. Na stronie tytułowej jest jego nazwisko, a także napis *Verum Secretum Secretorum*.

- Ale to nie ma nic wspólnego z *Secretum* - odparłam, myśląc o znanym średniowiecznym traktacie. - To encyklopedia. Zawiera alchemiczne ilustracje.

- One są tylko przykrywką - stwierdził zdyszany Kelley. -Właśnie dlatego Bacon nazwał to „prawdziwą tajemnicą tajemnic”.

- O czym on mówi? - Aż poderwałam się z podniecenia. Tym razem Matthew mnie nie powstrzymywał. A nawet wciągnął Kelleya do środka. - Udało ci się odgadnąć słowa?

- Możliwe - odparł Kelley, wygładzając szatę.
- On też nie zdołał odczytać księgi - Matthew z obrzydzeniem puścił Kelleya. - Czuję, że pod tym strachem kryje się fałsz.
- Jest napisana w obcym języku. Nawet rabin Loew nie potrafił tego odszyfrować.
- Maharal widział księgę? - Matthew znieruchomiał, czujny jak zwykle tuż przed atakiem.
- Ach, więc nie spytałeś o to rabina Loewa, gdy udałeś się do żydowskiej dzielnicy szukać czarownika, który ulepił glinianego stwora, Golema. Nie zdołałeś też znaleźć sprawcy i jego dzieła. - Kelley spojrział na Matthew z obrzydzeniem. - To tyle, jeśli chodzi o twoje wpływy i potęgę. Nie potrafisz nawet przestraszyć Żydów.
- Nie sądzę, aby te słowa były po hebrajsku - stwierdziłam, przypominając sobie szybko przesuwane się po palimpseście wyrazy.
- Bo nie są. Cesarz nakazał rabinowi Loewowi przybyć do pałacu, by to wyjaśnić. - Kelley powiedział więcej, niż zamierzał. Spojrzał na laskę, a wątki wokół niego skręciły się niepokojąco. Ukazał mi się Kelley unoszący laskę, by kogoś uderzyć. Co on planował? Nagle sobie uświadomiłam: chciał zaatakować mnie. Z moich ust wydobył się jakiś niezrozumiały dźwięk, a gdy wyciągnęłam dłoń, laska Kelleya natychmiast do niej przywarła. Moja ręka zamieniła się na moment w gałąź, po czym odzyskała swój zwykły kształt. Miałam nadzieję, że wszystko to nastąpiło zbyt szybko, by Kelley coś zauważył, ale wyraz jego twarzy mówił niestety co innego.
- Lepiej, żeby cesarz tego nie zobaczył - zachichotał - bo zamknie cię w swoim gabinecie jako kolejnego dziwoląga w kolekcji. Powiedziałem ci to, co chciałeś wiedzieć, Roydon. Odwołaj psy Kongregacji.
- Chyba nie mogę - odparł Matthew, biorąc ode mnie laskę. - Wbrew temu, co sądzi Gerbert, jesteś niebezpieczny.

Ale dam ci spokój, na razie. Jeśli nie zrobisz nic, co by mnie zaniepokoiło, może dożyjesz lata. Rzucił laskę w kąt pokoju.

- Dobranoc, mistrzu Kelley - otuliłam się płaszczem, pragnąc jak najszybciej znaleźć się daleko od tego demona.

- Ciesz się tą chwilą w blasku słońca, czarownico. Nie ma go wiele w Pradze.

Kelley nawet nie drgnął, gdy podeszliśmy z Matthew do drzwi. Jeszcze na ulicy czułam na sobie jego wzrok. A gdy spojrzałam w stronę osła i żłobka, poplątane i porwane wątki, które łączyły Kelleya z tym światem, lśniły złowrogo.

## ROZDZIAŁ 9

Po wielu dniach trudnych rozmów Matthew udało się umówić z rabinem Judą Loewem. Aby móc do niego dotrzeć, Gallowglass musiał odwołać moje spotkania na cesarskim dworze, mówiąc, że jestem chora.

Niestety słowa te zwróciły uwagę cesarza, który przysłał natychmiast mnóstwo leków: *terra sigillata*, glinę o cudownych właściwościach leczniczych, bezoary pochodzące z żołądków kóz, przeciw truciznom, czarkę z rogu jednoroźca wraz z rodzinną receptą na specjalną maść. Aby ją zrobić, należało upiec jajo z szafranem, następnie zemleć je z gorzycą, arcydzięglem, jagodami jałowca, kamforą i jeszcze kilkoma tajemniczymi substancjami, a potem dodać melasę i sok z cytryny, by uzyskać pastę. Rudolf przysłał też doktora Hajka, by mi ją podał. Nie zamierzałam łykać tej podejrzanej substancji, o czym poinformowałam królewskiego medyka.

- Zapewnię cesarza, że wydobrzejesz - oświadczył sucho. - Na szczęście Jego Wysokość jest zbyt przejęty własnym zdrowiem, by ryzykować wyprawę na Sporrengasse w celu potwierdzenia moich rokowań.

Podziękowaliśmy mu wylewnie za dyskrecję i odesłaliśmy do domu z pieczonym kurczakiem, które otrzymałam z pałacu na zaostrenie apetytu. Dołączony liścik: *Ich verspreche Sie werden nicht hungern. Ich halte euch zufrieden. Rudolff*, spaliłam, gdy Matthew wyjaśnił, że sformułowanie pozostawia pole do interpretacji w kwestii tego, czy Rudolf na pewno mówił o kurczaku, obiecując, że zaspokoi mój głód.

W drodze do Starego Miasta, po drugiej stronie Weławy, po raz pierwszy zauważyłam, jak gwarne jest centrum. To tutaj zamożni kupcy handlowali pod arkadami trzy- i czteropiętrowych domów, ciągnących się wzdłuż krętych uliczek. Gdy udaliśmy się na północ, zmienił się charakter miasta. Tu domy były mniejsze, mieszkańcy gorzej ubrani, a kramy biedniejsze. Minęliśmy szeroką ulicę i przez bramę weszliśmy do dzielnicy żydowskiej. W tej niewielkiej enklawie wciśniętej między przemysłowe nabrzeże, rynek Starego Miasta i klasztor mieszkało ponad pięć tysięcy Żydów.

Żydowska dzielnica była zapchana, i to niewyobrażalnie, nawet jak na standardy londyńskie, domami, które nie tyle były budowane, co rosły - każdy następny wyrastał ze ścian poprzedniego, zupełnie jak komory ślimaczej muszli.

Trafiliśmy do rabina Loewa, klucząc po krętych uliczkach; żałowałam, że nie zabrałam torby okruszków, by zaznaczyć drogę powrotną. Mieszkańcy przyglądali nam się uważnie, ale niewielu odważyło się nas powitać. Ci, którzy się na to decydowali, zwracali się do Matthew per „Gabriel”. Było to jedno z jego wielu imion, a fakt, że je tutaj usłyszałam, sugerował, iż trafiłam do kolejnej króliczej nory Matthew i miałam poznać jeszcze jedno z jego wcieleń.



Gdy stanęłam przed miłym jegomościem znanym jako Maharal, zrozumiałam, czemu Matthew mówił o nim ściszym głosem. Rabin Loew promieniował taką samą mocą jak Philippe. Jego powaga sprawiała, że wzniosłe gesty Rudolfa i humory Elżbiety zdawały się śmieszne. Wrażenie było tym większe, że w tych czasach to zwykle siła stanowiła o hierarchii, natomiast Maharal swoją pozycję zawdzięczał potędze wiedzy, a nie brutalności.

- Maharal jest jednym z najwspanialszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na ziemi - powiedział Matthew, gdy zapytałam go o Judę Loewa. Biorąc pod uwagę, od jak dawna po ziemi wędrował Matthew, było to zaszczytne określenie.

- Gabrielu, sądziłem, że wyczerpaliśmy temat - oświadczył chłodno po łacinie rabin Loew.

Wyglądem i wymową przypominał mi dyrektora szkoły.

- Do tej pory nie podałem ci imienia czarownika, który stworzył Golema, i nie zamierzam tego uczynić teraz. - Rabin Loew odwrócił się do mnie. - Przepraszam, frau Roydon. Przez złość na twojego męża zapomniałem się. Miło mi cię poznać.

- Nie przychodzę w sprawie Golema, ale tym razem w sprawie osobistej. Chodzi o księgę - odparł Matthew.

- Jaką? - Choć Maharal nawet nie mrugnął, jakaś zmiana w powietrzu powiedziała mi, że słowa te wywarły na nim wrażenie. Zauważyłam, że od spotkania z Kelleyem moja magia iskrzyła, jakby podłączona do niewidzialnego gniazdka. Moja wiwerna kręciła się. Otaczające mnie wątki co chwila wybuchały feerią kolorów, ukazując wyraźnie jakieś przedmioty, ludzi czy ulice, jakby próbowały mi coś powiedzieć.

- To księga, którą moja żona odnalazła na uniwersytecie z dala od tego miejsca - wyjaśnił Matthew. Zaskoczył mnie tą szczerością. Podobnie jak rabina Loewa.

- Ach, czyli dziś stawiamy na szczerość. Pragnę napawać się tym faktem w spokoju. Chodźmy do mojego gabinetu.

Poprowadził nas do jednego z niedużych pokoi na parterze. Odrapane biurko i sterty książek nadawały mu swojski wygląd. Rozpoznałam woń atramentu i coś, co kojarzyło mi się z zapachem kalafonii ze szkółki tanecznej, do której chodziłam jako dziecko. Żelazny garnek przy drzwiach zawierał coś, co przypominało brązowe jabłuszka, unoszące się w równie brunatnej wodzie. Wszystko to wyglądało diabolicznie i zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze może się kryć w tym podejrzanym kociołku.

- Czy ten atrament jest naprawdę taki dobry? - zapyta! Matthew, dziobiąc palcem jedną z tajemniczych piłeczek.

- O, tak. Oddałeś mi przysługę, mówiąc, że mam wrzucić gwoździe do garnka. Teraz nie potrzebuję tak dużo sadzy, by był czarny, a konsystencja też jest lepsza. - Rabin Loew wskazał mi krzesło. - Usiądź, proszę.

Zaczekał, aż to zrobię, po czym sięgnął po jedyne pozostałe siedzisko w pokoju: trójnóg.

- Gabriel postoi. Nie jest młody, ale nogi ma silne.

- Jestem na tyle młody, by zasiąść u twych stóp, jak twoi uczniowie, Maharalu. - Matthew uśmiechnął się szeroko i zgrabnie usiadł po turecku.

- Moi uczniowie są wystarczająco rozsądni, by przy takiej pogodzie nie siadać na podłodze. - Rabin Loew zmierzył mnie wzrokiem. - A teraz przejdźmy do interesów. Czemu żona Gabriela Ben Ariela przebyła tak daleką drogę w poszukiwaniu książki?

Miałam dziwne wrażenie, że nie chodziło mu o przepłynięcie rzeki ani nawet podróż przez całą Europę. Skąd mógł wiedzieć, że nie jestem z tych czasów?

Gdy tylko zaczęłam się nad tym zastanawiać, nad ramieniem rabina pojawiła się twarz mężczyzny. I chociaż była młoda, w głęboko osadzonych, szarych oczach rysował się już niepokój, a ciemnobrązowa broda siwiała na podbródku.

- Powiedział ci o mnie pewien czarownik - stwierdziłam cicho.

Rabin Loew skinął głową.

- Praga to cudowne miejsce, jeśli chodzi o zdobywanie informacji. Niestety, połowa z nich okazuje się niezgodna z prawdą. - Zamilkł na chwilę. - Księga... - przypomniał.

- Sądźmy, że może nam powiedzieć, skąd wzięły się takie istoty jak Matthew i ja - wyjaśniłam.

- To żadna tajemnica. Stworzył was Bóg, tak jak mnie i cesarza Rudolfa - odparł Maharal, sadowiac się głębiej na krześle. Przyjął postawę nauczyciela, typową dla tych z długim stażem, pozwalającą uczniom na mierzenie się z nowymi wyzwaniem. Poczułam znajomy niepokój, gdy zastanawiałam się nad odpowiedzią. Nie chciałam zawieść rabina Loewa.

- Możliwe, ale Bóg dał nam pewne dodatkowe zdolności. Ty nie możesz przywrócić martwego do życia, rabinie Loew - odpowiedziałam, jakbym zwracała się do wykładowcy w Oksfordzie.

- Ani sprawić, by w odpowiedzi na pytanie pojawiła się przed tobą czyjaś twarz.

- To prawda. Ale ty nie władasz Czechami, a niemiecki twojego męża jest lepszy niż mój, mimo że ja w tym języku mówię od dziecka. Każde z nas ma wyjątkowe zdolności, frau Roydon. W całym panującym na świecie chaosie wciąż widać ślad boskiego planu.

- Z takim przekonaniem mówisz o boskim planie, gdyż znasz swoje pochodzenie z Tory - odparłam. - *Bereishit*, „Na początku”: Jak nazywacie księgę, którą chrześcijanie określają tytułem *Genesis*? Czyi nie tak, rabinie Loew?

- Wygląda na to, że dyskutowałam o teologii nie z tym członkiem rodziny Ariela, co należało - uciał sucho rabin Loew, ale oczy lśniły mu figlarnie.

- Kim jest Ariel? - zapytałam.

- Ludzie rabina Loewa znają mojego ojca pod imieniem Ariel - wyjaśni! Matthew.

- Anioł Gniewu? - zmarszczyłam brwi. To nie pasowało do Philippe'a, którego znałam.

- Pan władający ziemią. Niektórzy zwać go Lwem z Jeruzalem. Ostatnimi czasy moi pobratymcy mieli powody do wdzięczności Lwu, ale Żydzi nie zapomnieli i nigdy nie zapomną licznych krzywd, które nam wyrządził. Ariel stara się je odkupić. A osąd należy do Boga. - Rabin Loew zamyślił się i w końcu podjął decyzję. - Cesarz pokazał mi taką książkę. Niestety Jego Wysokość nie dał mi wiele czasu, by ją zbadać.

- Przyda nam się wszystko, co potrafisz o niej powiedzieć - odezwał się podekscytowany Matthew.

Nachylił się i otoczył rękami kolana, zupełnie jak Jack, gdy wsłuchiwał się w opowieści Pierre'a. Przez chwilę mogłam zobaczyć w moim mężu chłopca, który uczył się zawodu cieśli.

- Cesarz Rudolf wezwał mnie do pałacu, licząc, że zdołam odczytać tekst. Alchemik, którego zwać Meshuggener Edward, wziął księgę z biblioteki swojego mistrza, Anglika Johna Dee. - Rabin Loew westchnął i potrząsnął głową. - Trudno zrozumieć, czemu Bóg sprawił, by Dee był uczonym, ale głupcem, natomiast Edward kimś nieokrzesanym, a przebiegłym. - Meshuggener Edward powiedział cesarzowi, że ta starodawna księga zawiera tajemnice nieśmiertelności - ciągnął Loew. - A wieczne życie jest marzeniem wszystkich potężnych ludzi. Ale tekst napisany był w języku, którego nie rozumiał nikt poza alchemikiem.

- Rudolf wezwał cię, sądząc, że to jakaś starodawna forma hebrajskiego - kiwnęłam głową.

- Może i starodawna, ale nie hebrajskiego. Były też ilustracje. Nie rozumiałem ich znaczenia, ale Edward twierdził, że dotyczą alchemii. Możliwe, że słowa opisywały obrazki.

- Rabinie Loew, czy słowa poruszały się, kiedy na nie patrzyłeś? - zapytałam, przypominając sobie zdania, które przesuwają się pod ilustracjami.

- Jak mogłyby się poruszać? - Loew zmarszczył brwi. - Były zwykłymi znakami, napisanymi atramentem na papierze.

- A więc nie jest uszkodzona... jeszcze nie - odetchnęłam z ulgą. - Ktoś usunął z niej kilka stron, zanim trafiła do mnie w Oksfordzie. Nie dało się zrozumieć tekstu, gdyż słowa biegły po kartkach, szukając zagubionych sióstr i braci.

- Brzmi to tak, jakby księga była żywa - stwierdził rabin.

- I chyba jest - odparłam. Matthew spojrzał na mnie zaskoczony. - Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie. Ale gdy myślę o owym wieczorze i o tym, co się stało, gdy dotknęłam księgi, tylko w ten sposób potrafię to opisać. Ta księga mnie rozpoznała. I... cierpiała, zupełnie jakby straciła coś ważnego.

- Pośród moich ludzi krążą opowieści o księgach pisanych żywym ogniem; ich słowa poruszają się i skręcają tak, że tylko boski wybraniec może je przeczytać. - Rabin Loew znów poddawał mnie próbie. Jak nauczyciel przepytujący ucznia.

- Słyszałam te opowieści - przyznałam. - I historie o innych zaginionych księgach, o tablicach, które zniszczył Mojżesz, o księdze Adama, w której zapisał prawdziwe imię wszystkiego, co zostało stworzone.

- Jeśli twoja księga jest równie ważna jak tamte, to może Bóg pragnie, aby pozostała ukryta. - Rabin Loew znów rozsiadł się na krześle i czekał.

- Ale ona nie jest ukryta. Rudolf wie, gdzie się znajduje, choć nie potrafi jej przeczytać. Komu powierzyłbyś tak ważny przedmiot: Matthew czy cesarzowi?

- Znam wielu mędrców, którzy powiedzieliby, że wybór między Gabrielem Ben Arielem a Jego Wysokością oznacza tylko wybór mniejszego zła. - Rabin skoncentrował się na

Matthew. - Na szczęście nie zaliczam się do nich. Mimo to nie potrafię ci pomóc. Widziałem tę księgę, ale nie wiem, gdzie się teraz znajduje.

- Jest w rękach Rudolfa, a przynajmniej była. Dopóki tego nie potwierdziłeś, nasza wiedza opierała się na podejrzaniach doktora Dee i zapewnieniach człowieka trafnie nazywanego Szalonym Edwardem - odezwał się ponuro Matthew.

- Szaleńcy bywają niebezpieczni - zauważył rabin Loew. - Powinieneś bardziej uważać, kogo wywieszasz za okno, Gabrielu.

- Słyszalesz o tym? - Matthew zmieszał się.

- Całe miasto aż kipi od plotek, jak to Meshuggener Edward latał z diabłem po Malej Stranie. Oczywiście musiałem założyć, że masz z tym coś wspólnego. - Tym razem w głosie rabina słyhać było delikatną naganę. - Gabrielu, Gabrielu! Co powie na to twój ojciec?

- Ze należało go upuścić. Mojego ojca irytują takie stworzenia jak Edward Kelley.

- Masz na myśli szaleńców.

- Miałem na myśli to, co powiedziałem, Maharalu - odparł spokojnie Mathew.

- Mężczyzna, o którego zabiciu mówisz tak lekko, jest niestety jedyną osobą, która może pomóc ci znaleźć księgę twojej żony. - Rabin Loew zamilkł i zamyślił się. - Ale czy naprawdę chcesz znać jej tajemnice? Życie i śmierć wymagają wielkiej odpowiedzialności.

- Biorąc pod uwagę to, kim jestem, raczej nie będziesz zaskoczony, gdy powiem, że te akurat kwestie nie są mi obce - Matthew uśmiechnął się gorzko.

- Możliwe. Ale czy twoja żona też temu sprostą? Może się zdarzyć, że nie będzie cię przy niej, Gabrielu. Ci, którzy podzieliliby się swoją wiedzą z czarownicą, mogą nie chcieć podzielić się nią z tobą.

- A więc w Żydowskiej Dzielnicy jest twórca czarów - odezwałam się. - Zastanawiałam się nad tym, gdy usłyszałam o Golemie.

- Czekaj, aż go odnajdziesz. Niestety, spotka się tylko z czarownicą. Mój przyjaciel boi się Kongregacji Gabriela i ma ku temu powody - wyjaśnił rabin.

- Chciałabym go spotkać, rabinie Loew. - Na świecie było tak mało tkaczy. Nie mogłam stracić takiej okazji.

Matthew poruszył się, gotów zaprotestować.

- To ważne, Matthew. - Położyłam mu rękę na ramieniu. - Obiecałam Mateczce Alsop, że podczas tego wyjazdu nie zapomnę o tej części mojej osoby.

- Gabrielu, w małżeństwie powinno się odnaleźć pełnię, ale nie może ono być więzieniem dla żadnej ze stron -zauważy! rabin.

- Nie chodzi o nasze małżeństwo ani o fakt, że jesteś czarownicą. - Matthew wstał, a jego potężna postać wypełniła pokój. - Spotkanie chrześcijanki z żydem może być niebezpieczne.

Gdy otworzyłam usta, by zaprotestować, Matthew potrząsnął głową.

- Nie dla ciebie. Dla niego. Musisz wykonywać polecenia rabina Loewa. Nie chcę, aby jemu ani komukolwiek innemu w Żydowskiej Dzielnicy coś się stało, nie z naszej winy.

- Nie zrobię nic, co ściągnęłoby na mnie czyjąś uwagę... ani na rabina Loewa - obiecałam.

- A więc idź i poznaj tego tkacza. Będę czekał w Ungelt. -Matthew musnął wargami mój policzek i zniknął, nim zdążyłam się rozmyślić. Rabin Loew zamrugał.

- Jak na kogoś tak dużego, Gabriel jest niesamowicie szybki - powiedzia i wstał. - Przypomina mi cesarskiego tygrysa.

- Koty uważają Matthew za swojego - stwierdziłam, myśląc o kocie Sary, Tabicie.

- Wyszłaś za zwierzę i to cię jakoś nie niepokoi. Gabriel ma szczęście, że wybrał sobie taką żonę. - Rabin Loew sięgnął po ciemną szatę i poinformował służbę, że wychodzimy.

Wyruszyliśmy, jak mi się zdawało, w inną stronę, ale nie miałam pewności, bo moją uwagę przykuła świeżo wybrukowana ulica, pierwsza, jaką widziałam, od kiedy przybyliśmy w te czasy. Zapytałam rabina, kto o to zadbał.

- Zapłacił za nią herr Maisel, podobnie jak za łaźnię dla kobiet. Pomaga cesarzowi w drobnych kwestiach finansowych, na przykład w krucjacie przeciw Turkom. - Rabin Loew obszedł kałużę. Właśnie wtedy zauważyłam, że do materiału na jego piersi przytwierdzony jest złoty pierścień.

- Co to? - zapytałam, wskazując go głową.

- Ostrzega niczego niepodważających chrześcijan, że jestem żydem - wyjaśnił cierpko rabin. - Od dawna uważam, że nawet największy głupiec w końcu to odkryje, bez względu na znaki. Ale władze upierają się, że nie można budzić wątpliwości. - Zniżył głos. - I jest to znacznie lepsze rozwiązanie niż kapelusze, które kiedyś musieli nosić żydzi. Żółte, w kształcie figury szachowej. Spróbuj tego nie zauważyć na targu.

- Mnie i Matthew skrzywdziliby ludzie, gdyby wiedzieli, że żyjemy pośród nich. - Zadrżałam. - Czasem lepiej się ukrywać.

- Czy tym właśnie zajmuje się Kongregacja Gabriela? Ukrywa was?

- Jeśli tak, to z marnym skutkiem - roześmiałam się. -Frau Huber myśli, że w Fosie Jeleniej grasuje wilkołak. Twój sąsiedzi w Pradze uważają, że Edward Kelley umie latać. Ludzie w Niemczech i Szkocji polują na czarownice. A Elżbieta z Anglii i Rudolf z Austrii wiedzą o nas wszystko. Chyba powinniśmy być wdzięczni, że niektórzy władcy w ogóle nas tolerują.



- Tolerancja to czasem za mało. Żydzi są w Pradze tolerowani, na razie, ale ta sytuacja może się w każdej chwili zmienić. A wtedy zostaniemy wygnani na wieś, by zginąć z głodu w śniegu. - Rabin Loew skręcił w wąską uliczkę i wszedł do jednego z domów, podobnego do większości tych, które już minęliśmy. W środku, przy stole z matematycznymi instrumentami, książkami, papierami i świecami siedziało dwóch mężczyzn.

- Astronomia da nam wspólną płaszczyznę porozumienia z chrześcijanami! - zawołał jeden z mężczyzn po niemiecku, podając koledze jakąś kartkę. Miał około pięćdziesięciu lat, gęstą siwą brodę i grube łuki brwiowe, rzucające cień na oczy. Był przygarbiony, jak wielu uczonych.

- Starczy, Dawidzie! - wybuchnął drugi. - Może ta wspólna płaszczyzna nie jest ziemią obiecaną, której oczekujemy.

- Abrahamie, ta pani chciałaby z tobą porozmawiać - odezwał się rabin Loew, przerywając dyskusję.

- Wszystkie kobiety w Pradze chcą się spotkać z Abrahamem. - Uczony Dawid wstał. - Czyja córka tym razem potrzebuje miłosnych czarów?

- To nie jej ojciec powinien cię zainteresować, a jej mąż. Oto frau Roydon, żona Anglika.

- Ta, którą cesarz nazywa La Diosa? - Dawid roześmiał się i klepnął Abrahama po ramieniu. - Szczęście się odwróciło, przyjacielu. Wpadłeś między króla, boginię i *nachzehrer*.

Mój skąpy niemiecki podpowiadał mi, że to obce słowo oznacza „pożeracza zmarłych”,

Sądząc z krzywej miny rabina Loewa, Abraham powiedział coś niegrzecznego po hebrajsku, po czym wreszcie się do mnie odwrócił. Patrzyliśmy na siebie, ale nie mogliśmy długo tego wytrzymać. Odwróciłam się z jękiem, a on skrzywił się i zacisnął palce na powiekach. Mrowiła mnie cała skóra, nie tylko to miejsce, na które spojrzał.

A powietrze wokół nas kłębiło się od najróżniejszych lśniących barw.

- Czy to na nią czekałeś, Abrahamie Ben Elijahu? -zapytał rabin Loew.

- Tak - odparł Abraham. Odwrócił się ode mnie i oparł ręce na stole. - Ale moje sny nie powiedziały, że jest żoną *alukah*.

- *Alukah*? - Spojrzałam pytająco na rabina Loewa. Jeśli było to niemieckie słowo, to go nie znałam.

- Krwiopijca. Tak Żydzi nazywają stworzenia takie, jak twój mąż - odpowiedział.

- Abrahamie, wiedz, że Gabriel zgodził się na to spotkanie.

- Myślisz, że zaufam potworowi, który sędzi moich ludzi ze swego miejsca w Kahał, a nie dostrzega tych, którzy ich mordują? - zawołał Abraham.

Chciałam zaprotestować, powiedzieć, że to nie ten sam Gabriel, nie ten sam Matthew, ale się pohamowałam. Moje słowa mogły sprowadzić na ludzi w tym pokoju śmierć, gdy szesnastowieczny Matthew wróci na swoje prawowite miejsce.

- Nie jestem tu dla mojego męża ani dla Kongregacji -oświadczyłam, podchodząc do Abrahama. - Jestem tu dla siebie.

- Czemu? - zapytał.

- Bo ja także tworzę czary. A przątek czasu nie zostało już wiele.

- Było ich więcej, nim Kahai, Kongregacja, stworzyła swoje zasady - zaatakował Abraham. - Jeśli Bóg da, ujrzymy jeszcze dzieci z tymi darami.

- Skoro już mówimy o dzieciach, to gdzie twój Golem? - zapytałam.

Dawid zachichotał.

- Abrahamie, co by na to powiedziała twoja rodzina w Chełmie?

- Powiedziałyby, że zaprzyjaźniłem się z osłem, który w głowie nie ma nic poza gwiazdami i pustymi zabawami, Dawidzie Gans! - Abraham, wzburzony, aż poczerwieniał.

Moja wiwerna, już od ładnych kilku dni niespokojna, podskoczyła na te słowa. Wyfrunęła, nim zdołałam ją powstrzymać. Rabin Loew i jego przyjaciele wpatrywali się w nią z otwartymi ustami.

- Czasami tak robi. Nie ma się czym martwić. - Mój głos zmienił się z przepaszającego w stanowczy, gdy próbowałam zapanować nad stworzeniem. - Złaż stamtąd!

Wiwerna tylko mocniej wbiła szpony w ścianę i zaryczała. Stary tynk nie mógł utrzymać istoty o tak wielkiej rozpiętości skrzydeł, a gdy spory kawałek odpadł, smoczyca zapiszczała zaniepokojona. Machnęła ogonem i przywarła do drugiej ściany, po czym zahuczała triumfalnie.

- Jeśli nie przestaniesz, powiem Gallowglassowi, żeby nadał ci jakieś wyjątkowo brzydkie imię - wymamrotałam. - Czy ktoś widzi jej smycz? Przypomina półprzezroczysty łańcuch.

Rozejrzałam się po deskach podłogi i zauważyłam go za koszem na podpałkę. Był wciąż ze mną połączony.

- Czy ktoś mógłby przytrzymać łańcuch, jak będę ją ściągać? - Odwróciłam się, ściskając smycz.

Żaden mężczyzna się na to nie zdecydował.

- Typowe - syknęłam. - Trzech dorosłych mężczyzn i kobieta, i kto musi zмагаć się ze smokiem?

Rozległy się ciężkie kroki. Odwróciłam się, by zobaczyć, kto przyszedł. Nieduże, rudoszare stworzenie w ciemnym stroju i czarnej czapce na łysej głowie wpatrywało się w moją wiwernę.

- Nie, Josef! - Abraham stanął między mną a tą istotą, unosząc rękę tak, jakby próbował do czegoś ją przekonać. Ale Golem, bo nim właśnie musiało być to legendarne

stworzenie, zrobione z błota Wełtawy i ożywione czarem, ani myślał się zatrzymać.

- Josef jest zafascynowany smokiem czarownicy - odezwał się Dawid.

- Sądzę, że Golem podziela upodobanie swego pana do pięknych kobiet - stwierdził rabin Loew. - Z tego, co czytałem, wynika, że **Chowaniec czarownika** czy czarownicy posiada część ich cech.

- Golem jest chowańcem Abrahama? - Byłam zaskoczona.

- Tak. Nie pojawił się, gdy tworzyłem swój pierwszy czar. Już sądziłem, że nie mam chowańca. - Abraham pomachał do Josefa, ale ten wpatrywał się w przyczajoną na ścianie wiwernę. A ona, jakby zdawała sobie sprawę z tego, że ma wielbiciela, rozpostarła skrzydła tak, by słońce lepiej je oświetlało.

Uniosłam łańcuch.

- Czy on też ma coś takiego?

- Ten łańcuch chyba niewiele ci pomaga - zauważył Abraham.

- Muszę się jeszcze dużo nauczyć! - zawołałam oburzona. - Wiwerna pojawiła się przy moim pierwszym czarze. Z czego zrobiłeś Josefa?

Abraham wyciągnął z kieszeni kłębek sznurków.

- Z takich linek jak te.

- Ja też mam sznurki. - Sięgnęłam po schowane w sakiewce nici.

- Czy kolory pomagają ci wybrać odpowiednie wątki i skuteczniej je stosować? - Abraham podszedł bliżej, zaintrygowany innym oryginalnym sposobem tkania.

- Tak. Każdy kolor ma swoje znaczenie, a żeby stworzyć nowy czar, używam sznurków, dzięki nim skupiam się na odpowiednim pytaniu. - Spojrzałam zdziwiona na Golema.

Wciąż wpatrywał się w smoczycę. - Ale jak udało ci się poznać sznurki prowadzące do tego stworzenia?

- Przyszła do mnie kobieta, prosiła o nowy czar, który pomógłby jej zajść w ciążę. Zacząłem robić węzły, rozmyślając o jej prośbie, i stworzyłem coś, co wyglądało jak szkielet człowieka - Abraham podszedł do biurka, wziął kartkę papieru i mimo protestów Dawida narysował na niej to, o czym mówił.

- Zupełnie jak pacynka - zauważyłam, patrząc na obrazek.

Dziewięć węzłów łączyły proste kawałki sznurka - węzeł na głowę, węzeł na serce, dwa jako ręce, kolejny jako miednica, dwa kolejne na kolana i ostatnie dwa jako stopy.

- Wymieszałem glinę z odrobiną własnej krwi i obłożyłem tym sznurki. A następnego ranka przy kominku siedział Josef.

- Sprawileś, że glina ożyła - stwierdziłam, spoglądając na oczarowanego Golema.

Abraham skinął głową.

- On ma w ustach czar z tajemnym imieniem Boga. Dopóki tam się znajduje, Josef słucha moich rozkazów. Zazwyczaj.

- Josef nie potrafi podejmować własnych decyzji - wyjaśnił rabin Loew. - Ożywienie gliny i krew nie wystarczą, by istocie dać duszę. A więc Abraham nie może spuścić Golema z oczu, bo ten mógłby zrobić coś złego.

- Któregoś piątku, gdy nadszedł czas modlitwy, zapomniałem wyjąć mu z ust czar - przyznał z zakłopotaniem Abraham. - A ponieważ nie było nikogo, kto powiedziałby mu, co ma robić, Josef wyszedł z Żydowskiej Dzielnicy i przestraszył naszych chrześcijańskich sąsiadów. I teraz Żydzi myślą, że Josef ma nas chronić.

- Praca matki nigdy się nie kończy - wyszeptałam z uśmiechem. - A teraz...

Moja wiwerna zasnęła i pochrapywała cicho z głową przytuloną do ściany. Pociągnęłam delikatnie za łańcuch, tak by jej nie zdenerwować, aż go puściła. Rozpostarła sennie skrzydła, stała się przezroczysta, po czym rozplynęła się powoli, kryjąc się w moim ciele.

- Szkoda, że Josef tak nie umie - stwierdził z zazdrością Abraham.

- A ja chciałabym, żeby dało się nad nią zapanować, wyciągając jej z pyska zwitek papieru - odparłam.

Chwilę później poczułam na plecach lodowate spojrzenie.

- Kto to? - rozległ się cichy głos.

Nowy przybysz nie był ani duży, ani fizycznie przerażający, był jednak wampirem o ciemnoniebieskich oczach, długiej bladej twarzy i ciemnych włosach. Jego spojrzenie coś nakazywało, aż instynktownie odsunęłam się od niego.

- To ciebie nie dotyczy, herr Fuchs - burknął Abraham.

- Abrahamie, więcej kultury. - Rabin Loew skupił się na wampirze. - Herr Fuchs, to frau Roydon. Przybyła z Malej Strany, by obejrzeć Żydowską Dzielnicę.

Wampir wbił we mnie wzrok, rozszerzając nozdrza tak, jak to robił Matthew, gdy wyczuł trop. Przymknął oczy, a ja się cofnęłam.

- Co pan tu robi, herr Fuchs? Mówiłem, że spotkamy się przed synagogą. - Abraham był wyraźnie rozzłoszczony.

- Spóźniałeś się. - Herr Fuchs otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie. - Ale teraz, gdy wiem, z jakich powodów, nie mam ci tego za złe.

- Herr Fuss przybył z Polski, gdzie poznał Abrahama -dokończył prezentację rabin Loew.

Na ulicy ktoś krzyknął coś na powitanie.

- Przybył herr Maisel - oznajmił Abraham. Wyglądało na to, że ulżyło mu tak bardzo jak mnie.

Herr Maisel, cesarski mecenas, demonstrował swój dostatek przez idealnie skrojony wełniany strój, obszytą

futrem czapę i intensywnie żółty krążek - informujący, że jest Żydem - przymocowany do jego peleryny złotą nicią, co sprawiało, że wyglądał raczej na arystokratyczny emblemat niż oznakę odmienności.

- Ach, tu jesteś, herr Fuchs. - Herr Maisel wręczył wampirovi woreczek. - Oto twój klejnot.

Maisel uklonił się rabinowi Loewowi i mnie.

Wampir wziął woreczek i wyjął z niego ciężki łańcuch z wisiosem. Nie widziałam wyraźnie wzoru, tylko zieloną i czerwoną emalię. Wampir wyszczerzył zęby.

- Dziękuję, herr Maisel. - Fuchs uniósł klejnot tak, że kolory zaślniły w słońcu. - Ten łańcuch symbolizuje moją przysięgę: zabijać smoki, bez względu na to, gdzie je znajdę. Brakowało mi go. Miasto jest ostatnio pełne niebezpiecznych stworzeń.

Herr Maisel prychnął.

- Nie bardziej niż zwykle. I zostaw w spokoju politykę miasta, herr Fuchs. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Jest pani gotowa na spotkanie z mężem, frau Roydon? Nie należy on do zbyt cierpliwych.

- Herr Maisel odprowadzi cię bezpiecznie do Ugelt - obiecał rabin Loew i zmierzył wzrokiem herr Fuchsa. - Abrahamie, będziesz towarzyszył Dianie do wyjścia. A pan, herr Fuchs, zostanie ze mną i opowie mi o Polsce.

- Dziękuję, rabinie Loew - dygnęłam na pożegnanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, frau Roydon. - Rabin Loew zamilkł na moment. - A w wolnej chwili proszę się zastanowić nad tym, co mówiłem wcześniej. Nikt z nas nie może się wiecznie ukrywać.

- To prawda.

Biorąc pod uwagę, jaki horror czekał praskich Żydów w następnych stuleciach, pragnęłam, aby się jednak mylił. Pożegnałam jeszcze raz herr Fuchsa i opuściłam dom z herr Maislem i Abrahamem.

- Chwileczkę, herr Maisel - odezwał się Abraham, gdy odeszliśmy na tyle daleko, by nikt z jego domu nie mógł nas usłyszeć.

- Pośpiesz się, Abrahamie - odparł herr Maisel i odszedł kilka kroków.

- Jak rozumiem, szukasz czegoś w Pradze, frau Roydon. Księgi.

- Skąd wiesz? - zaniepokoiłam się.

- Wie o tym większość czarownic w mieście, ale ja widzę, że jesteś z nią połączona. Księga jest dobrze strzeżona i nie da się jej pozyskać siłą. - Mina Abrahama wyrażała powagę. - Księga musi do ciebie przyjść albo stracisz ją na zawsze.

- Abrahamie, to tylko książka. Jeśli nie wyrosną jej nogi, będziemy musieli iść do pałacu Rudolfa i ją zabrać.

- Wiem, co widzę - stwierdził stanowczo Abraham. - Księga do ciebie przyjdzie, jeśli tylko o to poprosisz. Nie zapomnij.

- Dobrze - obiecałam. Herr Maisel spojrzał na mnie z naciskiem. - Muszę iść. Dziękuję za spotkanie i za to, że poznałam Josefa.

- Niech Bóg ma cię w opiece, Diano Roydon - życzył mi z powagą Abraham.

Herr Maisel przeprowadził mnie z Żydowskiej Dzielnicy na Stare Miasto. Na wielkim rynku aż roiło się od ludzi. Na lewo wznosiły się dwie wieże Kościoła Najświętszej Marii Panny przed Tynem, a z prawej strony stał potężny gmach ratusza.

- Gdybyśmy nie spieszyli się na spotkanie z herr Roydonem, moglibyśmy zatrzymać się i zobaczyć, jak zegar wybija godziny - odezwał się przeproszającym tonem herr Maisel. - Musi go pani poprosić, aby przyprowadził ją tutaj w drodze do mostu. Powinien to zobaczyć każdy, kto odwiedza Pragę.



W Ungelt, gdzie pod czujnym okiem celnika handlowali zagraniczni kupcy, Maisel nie spotkał się z miłym przyjęciem.

- Oto pańska żona, herr Roydon. Pokazałem jej najlepsze sklepy. W razie potrzeby nie będzie już miała problemu ze znalezieniem najbardziej cenionych rzemieślników w Pradze. - Maisel uśmiechnął się do Matthew.

- Dziękuję, herr Maisel. Jestem wdzięczny za pomoc i nie zapomnę wspomnieć Jego Wysokości o twojej dobroci.

- Herr Roydon, moim zadaniem jest dbać o dobrobyt poddanych Jego Wysokości. Była to także przyjemność - stwierdził. - Pozwoliłem sobie wynająć na podróż powrotną konie dla państwa. Czekają pod wieżą zegarową. - Maisel dotknął nosa i puścił do mnie porozumiewawczo oko.

- Myśli pan o wszystkim, herr Maisel - przyznał cicho Matthew.

- Ktoś musi, herr Roydon - odparł Maisel. Wróciliśmy do Trzech Kruków. Zdejmowałam właśnie

plaszcz, gdy ośmiolatek i latający mop prawie zbili mnie z nóg. Mop był przymocowany do ruchliwego różowego języka i zimnego czarnego nosa.

- Co to? - huknął Matthew, przytrzymując mnie, abym znalazła rączkę mopa.

- Ma na imię Lobero. Gallowglass mówi, że wyrośnie na wielkiego zwierza i można go siodłać, zamiast prowadzić na smyczy. Annie też go kocha. Mówi, że on będzie z nią spał, ale ja uważam, że powinniśmy się dzielić. Jak myślisz? - Jack aż podskakiwał z podniecenia.

- Mały mop przybył z liścikiem - odezwał się Gallowglass. Podeszedł do Matthew i wręczył mu kartkę.

- Nie muszę chyba pytać, kto przystał tego potwora?

- Raczej nie. - Gallowglass zmarszczył brwi. - Czy coś się stało podczas waszej wędrówki, cioteczko? Wyglądasz na wyczerpaną.

- Jestem po prostu zmęczona - machnęłam ręką.

Okazało się, że mop ma nie tylko język, ale i zęby, bo złapał mnie za palce.

- Aj!

- To się musi skończyć. - Matthew zgniótł kartkę i rzucił na ziemię. Mop skoczył za nią, szczekając radośnie.

- Co tam napisano? - Byłam prawie pewna, kto przysłał tego szczeniaka.

*Ich bin Lobem. Ich will euch aus den Schatten der Nacht zu schiitzen* - wyrecytował zimno Matthew. Prychnęłam niezadowolona.

- Czemu Rudolf wciąż pisze do mnie po niemiecku? Przecież doskonale wie, że niewiele rozumiem.

- Jego Wysokość na pewno czerpie olbrzymią przyjemność z faktu, że ja muszę ci jego wyznania tłumaczyć.

- Och - zamilkłam na chwilę. - A co napisał w tym liście?

- „Jestem Lobero. Będę cię chronił przed cieniem nocy”.

- A co znaczy „Lobero”? - Kiedyś, wiele miesięcy temu, Ysabeau zwróciła moją uwagę na to, że imiona mają znaczenie.

- Po hiszpańsku „łowca wilków”, cioteczko. - Gallowglass podniósł mopa. - To kudłate stworzonko jest węgierskim psem stróżującym. Jak wyrośnie, będzie umiał pokonać niedźwiedzia. Komondory są psami obronnymi.

- Niedźwiedzia! Jak wrócimy z nim do Londynu, zawiążę mu wstążkę na szyi i zabiorę na walkę niedźwiedzia z psami, żeby się nauczył, jak to się robi - odezwał się Jack z makabrycznym dziecięcym poczuciem humoru. - Lobero to wyjątkowe imię, prawda? Mistrz Szekspir na pewno będzie chciał go użyć w następnej sztuce.

Jack wyciągnął ręce do szczeniaka, a Gallowglass podał mu wijącą się masę białego futerka.

- Annie! Teraz ja nakarmię Lobero! - Jack pognał na górę, ściskając mocno psa.

- Mam ich zabrać stąd na kilka godzin? - zapytał Gallowglass, spoglądając na pochmurną twarz Matthew.

- Dom Baldwina jest pusty?

- Jeśli pytasz o to, czy są w nim jacyś dzierżawcy, to nie.

- Zabierz wszystkich. - Matthew zdjął mi płaszcz z ramion.

- Nawet Lobero?

- Zwłaszcza Lobero.

Przez całą kolację Jack gadał jak nakręcony, kłócił się z Annie i w jakiś tajemniczy sposób nieustannie dokarmiał Lobero. Posiłek z dziećmi i psem sprawił, że prawie zapomniałam o planach na wieczór. Z jednej strony mój mąż był zwierzęciem stadnym i coś w nim cieszyło się z tego, że ma wokół siebie tyle ludzi, którymi może się opiekować, z drugiej był drapieżnikiem, a ja czułam z niepokojem, że tego wieczora to ja mam być ofiarą. W końcu wygrał drapieżnik. Nawet Tereza i Karolina musiały wyjść z domu.

- Dlaczego wszystkich odesłałeś? - Wciąż siedzieliśmy przy kominku w głównym salonie, na pierwszym piętrze, a w powietrzu unosił się jeszcze miły zapach obiadu.

- Co się wydarzyło tego popołudnia? - zapytał.

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

- Nie naciskaj. Nie dziś - ostrzegł Matthew.

- A tobie się wydaje, że mój dzień był taki łatwy? - Powietrze między nami aż trzeszczało od niebieskich i czarnych wątków. Wyglądało to złowieszczo, a wróżyło jeszcze gorzej.

- Nie. - Matthew odsunął krzesło. - Ale coś przede mną ukrywasz, Diano. Co się stało u czarownika?

Wpatrywałam się w niego.

- Czekam.

- Możesz czekać do końca świata, Matthew. Nie jestem twoją służącą. Zadałam ci pytanie. - Wątki przybrały fioletowy kolor, zaczęły się skręcać i odkształcać.

- Odesłałem wszystkich, by nie byli świadkami naszej rozmowy.  
A teraz, co się stało?

Woń goździków aż dusiła.

- Spotkałam Golema. I jego twórcę, żydowskiego tkacza o imieniu Abraham. On też potrafi dawać życie.

- Mówiłem, że nie lubię, gdy igrasz z życiem i śmiercią. - Matthew nalał sobie wina.

- Ty igrasz z nimi non stop, a ja to akceptuję jako część tego, kim jesteś. Ty też musisz zaakceptować tę część mnie.

- A ten Abraham, kto to taki? - zapytał Matthew.

- Boże, Matthew. Nie możesz być zazdrosny o to, że spotkałam innego tkacza.

- Zazdrość? To ciepłokrwiste uczucie dawno się już we mnie wypaliło. - Pociągną! łyk wina.

- Czym to popołudnie różni się od innych, które spędzamy oddzielnie, gdy ty pracujesz dla Kongregacji i swojego ojca?

- Różni się, bo wyczuwam zapachy wszystkich istot, z którymi się dziś spotkałaś. Wystarczy mi, że nieustannie masz na sobie zapach Annie i Jacka. Gallowglass i Pierre starają się ciebie nie dotykać, ale nic na to nie poradzą, po prostu zbyt dużo z tobą przebywają. A jak dodamy do tego zapachy Maharala, herr Maisela i co najmniej jeszcze dwóch innych mężczyzn... Jedyne zapach, jaki na tobie znoszę, to mój, ale nie mogę trzymać cię w klatce, więc staram się nad sobą panować. - Matthew odstawił kielich i poderwał się; chciał być jak najdalej ode mnie.

- Dla mnie tak wygląda zazdrość.

- Ale nią nie jest. Z zazdrością bym sobie poradził -zawołał wściekły. - To, co teraz czuję... to dotkliwe uczucie straty i wściekłości, gdy w tym chaosie twojego życia nie widzę już wyraźnie siebie... mnie paraliżuje.

Żrenice rozszerzały mu się coraz bardziej.

- To dlatego, że jesteś wampirem. Zaborczym wampirem. Taka twoja natura - stwierdziłam beznamiętnie, zbliżając się do niego mimo jego złości. - A ja jestem czarownicą. Obiecałeś zaakceptować mnie taką, jaką jestem: moją jasną i ciemną stroną, kobietę i czarownicę, indywidualistkę, ale też twoją żonę.

A co, jeśli zmienił zdanie? Co, jeśli nie chce w swoim życiu kogoś tak nieprzewidywalnego?

- Akceptuję cię. - Matthew wyciągnął dłoń i dotknął mojego policzka.

- Nie, Matthew. Tolerujesz mnie, bo uważasz, że pewnego dnia zapanuję nad swoją magią. Rabin Loew ostrzegł mnie, że tolerancja w pewnym momencie może się skończyć. Moja magia nie jest czymś, czym można rządzić. To ja. A ja nie zamierzam się przed tobą chować. Nie na tym polega miłość.

- Dobrze. Koniec z chowaniem się.

- Świetnie - odetchnęłam, ale tylko na moment.

Matthew jednym ruchem porwał mnie z krzesła i przyparł do ściany, wsuwając swoje udo pomiędzy moje. Pasma włosów wysunęło mi się z koka i opadło na pierś. Nie wypuszczając mnie, Matthew pochylił głowę i przycisnął usta do rąbka mojego stanika. Zadrżałam. Nie całował mnie tam już od jakiegoś czasu, a nasze życie miłosne właściwie nie istniało od dnia, kiedy poroniłam. Wargi Matthew przesunęły się po mojej brodzie i szyi.

Złapałam go za włosy i odciągnęłam jego głowę.

- Nie. Nie rób tak, jeśli nie zamierzasz dokończyć tego, co zacząłeś. Dość mam tych pełnych żalu pocałunków i zwątpienia.

Kilkoma niesamowicie szybkimi, wampirzymi ruchami Matthew rozwiązał rozporek swoich pludrów, podciągnął mi spódnicę na biodra i wbił się we mnie. Nie po raz pierwszy

brano mnie w takiej pozycji, po to, by kilka chwil zapomnieć o problemach. Zdarzało się nawet, że to ja byłam agresorem.

- Tu chodzi tylko o ciebie i o mnie. Nikogo innego. Nie dzieci. Nie cholerną książkę. Nie cesarza i jego podarunki. Dziś tylko nasze zapachy będą wypełniać ten dom.

Silne ręce Matthew złapały mnie za pośladki i tylko jego palce chroniły mnie przed uderzeniami o ścianę, gdy jego potężne pchnięcia mnie na nią rzucały. Splotłam mu ręce na szyi i przyciągnęłam, pragnąc go skosztować. Ale Matthew nie zamierzał pozwolić mi panować nad pocałunkiem. Jego usta były twarde i pożądlive, a gdy próbowałam przejąć kontrolę, ukąsił mnie delikatnie w dolną wargę.

- O Boże - wyjąkałam, gdy miarowy rytm doprowadzał mnie do oblędu. - Och...

- Dziś nie zamierzam się tobą dzielić nawet z Nim. - Matthew zagłuszył mój krzyk pocałunkiem. Jedną ręką wciąż przytrzymał mój pośladek, a drugą wsunął mi między uda.

- Kto ma twoje serce, Diano? - zapytał, a ruch jego kciuka niemal doprowadzał mnie do orgazmu. Poruszył się jeszcze raz, i jeszcze. Czekał na moją odpowiedź.

- Kto? - warknął.

- Przecież wiesz. Ty masz moje serce.

- Tylko ja - odparł i poruszył się znów, sprawiając, że oboje osiągnęliśmy szczyt.

- Na zawsze... tylko... ty - jęknęłam, a nogi, którymi obejmowałam jego biodra, drżały. Opuściłam je na podłogę.

Matthew oddychał ciężko. Przyłożył czoło do mojego czoła. Gdy wyglądał moje suknie, w jego oczach ujrzałam żal. Pocałował mnie delikatnie, wręcz powściągliwie.

Bez względu na to, jak szaleńczo się kochaliśmy, nie zaspokajało to potrzeby zdobywania mnie, chociaż Matthew

wiedział, że należę do niego. Zaczynałam się martwić, że nic go o tym nie przekona.

W końcu moja frustracja wzięła górę, przybierając kształt fali powietrza, która otoczyła go i porwała aż pod drugą ścianę. Oczy mu pociemniały.

- I jak ci się to podobało, kochanie? - zapytałam cicho.

Na jego twarzy ujrzałam zaskoczenie. Strzeliłam palcami, puszczając go. Mięśnie mu zadrżały, gdy odzyskał nad nimi władzę. Otworzył usta, by coś powiedzieć.

- Nawet nie waż się przeproszać - syknęłam. - Gdybyś dotknął mnie w sposób, który by mi się nie spodobał, odepchnęłabym cię.

Matthew zacisnął usta.

- Przychodzi mi na myśl twój przyjaciel, Giordano Bruno: „Pragnienie gna mnie naprzód, a strach powstrzymuje”. Nie boję się twojej mocy, siły czy czegokolwiek innego -oznajmiłam. - A ty, czego się boisz, Matthew?

Pocałował mnie smutno, bez słowa, i odszedł. Wolał więc uciec, niż mi odpowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 10

Był tu mistrz Habermel. Twoje kompendium jest na stole. - Matthew nie podniósł wzroku znad planów praskiego zamku, które uzyskał w jakiś tajemniczy sposób od architektów cesarza.

W ciągu ostatnich kilku dni dawał mi dużo wolności, a swoją energię skupił na zgłębianiu tajemnic pałacowych straży, by poznać słabe punkty w ochronie Rudolfa. Mimo

radę Abrahama, którą oczywiście przekazałam, Matthew wolał działać. Chciał, byśmy wyjechali z Pragi. Natychmiast.

Podeszłam do niego, a on spojrzał na mnie niespokojnym, zgłodniałym wzrokiem.

- To tylko prezent. - Odłożyłam rękawiczki i pocałowałam go mocno. - Moje serce należy do ciebie, pamiętasz?

- To nie tylko prezent. Dołączono do niego zaproszenie na jutrzejsze polowanie. - Matthew objął mnie w pasie. - Gallowglass poinformował mnie, że je przyjęliśmy. Dostał się do apartamentów cesarza, nakłaniając jakąś biedną służącą, by pokazała mu kolekcję erotycznych obrazów Rudolfa. Straż pałacowa ma być z nami na polowaniu albo spać gdzieś po kątach. Gallowglas uważa, że to dobra okazja, by poszukać księgi.

Spojrzałam na biurko Matthew - leżała na nim jeszcze jedna niewielka paczuszka.

- Pewnie wiesz także, co to takiego? Skinął głową i sięgnął po nią.

- Wciąż dostajesz prezenty od innych mężczyzn. Ten jest ode mnie. Wyciągnij rękę.

Zaintrygowana zrobiłam, o co prosił.

Położył mi na dłoni coś okrągłego i gładkiego, wielkości niedużego jaja, na które spłynął ciężki, chłodny metal. Moją dłoń wypełniły małe salamandry ze srebra i złota, z brylantami na grzbietach. Uniosłam jedno stworzonko, a za nim pociągnęłam cały łańcuch salamander stykających się nosami i splątanymi ogonami. W rękę trzymałam rubin. Bardzo duży i bardzo czerwony rubin.

- Jakież to piękne! - Spojrzałam na Matthew. - Kiedy zdążyłeś mi to kupić?

Takich łańcuchów złotnicy nie przechowywali dla pierwszego lepszego klienta.



- Mam go od jakiegoś czasu - przyznał Matthew. - Mój ojciec przesłał go wraz z tryptykiem. Nie byłem pewien, czy ci się spodoba.

- Oczywiście, że mi się podoba. Wiesz, salamandry są związane z alchemią - powiedziałam, znów go całując. - Poza tym jaka kobieta nie chciałaby dostać złota, srebra i diamentowych salamander, z rubinem wielkości jaja?

- Te salamandry dostałem od króla, gdy wróciłem do Francji pod koniec 1541 roku. Król Franciszek wybrał na swój herb salamandrę w płomieniach, a jego motto brzmiało: „Żywię się i spalam się”. - Matthew roześmiał się. - Kitowi myśl tak się spodobała, że przerobił ją na własne powiedzenie: „To, czym się żywię, niszczy mnie”.

- Kit zdecydowanie należy do demonów, dla których szklanka zawsze jest w połowie pusta - też się roześmiałam.

Dotknęłam jednej z salamander, w której odbiło się światło świecy. Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, i zamarłam.

- Co się stało? - spytał Matthew.

- Czy dawałeś to już... komuś? - Po ostatniej nocy moja nagła niepewność była wręcz żenująca.

- Nie - odparł, chwytając mnie za rękę.

- Przepraszam. To głupie, wiem, zwłaszcza biorąc pod uwagę zachowanie Rudolfa. Po prostu nie chcę się nad tym zastanawiać. Jeśli dasz mi coś, co kiedyś wręczyłeś innej kochance, po prostu mi powiedz.

- Nie ofiarowałbym ci czegoś, co podarowałem wcześniej komuś innemu, *mon cœur*. - Matthew zaczął, aż spojrzę mu w oczy. - Twoja wiwerna przypomniała mi o tym prezencie od Franciszka, więc poprosiłem ojca, by wyjął łańcuch ze schowka. Kiedyś go nosiłem, a potem, aż do tej pory, leżał w szkatule.

- Takiego klejnotu nie nosi się na co dzień - spróbowałam się roześmiać, ale zabrzmiało to sztucznie. - Nie wiem, co jest ze mną nie tak.

Matthew przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

- Moje serce należy do ciebie w takim samym stopniu, jak twoje do mnie. Nigdy w to nie wątp.

- Postaram się.

- To dobrze. Bo Rudolf zrobi wszystko, by nas skłócić. Musimy być czujni. I jak najszybciej wynieść się z Pragi.

Słowa Matthew prześladowały mnie przez całe następne popołudnie, gdy przyłączyliśmy się do najbliższych dworzan Rudolfa, by zażyć sportu. Według planu mieliśmy pojechać do domku myśliwskiego cesarza w Białej Górze, by polować na jelenie, ale zachmurzone niebo sprawiło, że postanowiliśmy nie oddalać się od pałacu. Był już drugi tydzień kwietnia, ale wiosna w Pradze budziła się powoli i wciąż mógł spaść śnieg.

Rudolf przywołał Matthew do siebie, ja zaś zostałam wystawiona na ciekawość dam dworu, które zupełnie nie wiedziały, co o mnie sądzić.

Cesarz i jego towarzysze popijali wino, które roznosiła służba. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim zwykle odbywały się gonitwy, żałowałam, że nie ma żadnych ograniczeń w kwestii tego, ile można wypić, jeżdżąc konno. Nie, żebym musiała się bardzo martwić o Matthew. Pił wstrzemięźliwie, zresztą raczej trudno się było spodziewać, by się zabił, nawet jeśli koń wpadłby na drzewo.

Dołączyło do nas dwóch mężczyzn z długą żerdzią na ramionach, na których siedziały najróżniejsze ptaki łowne; tego dnia one miały zapewniać rozrywkę. Dwóch kolejnych mężczyzn przyniosło jeszcze jednego ptaka, w kapturze, o potężnym, zakrzywionym dziobie i brązowych opierzonych nogach, które z daleka przypominały buty. Był olbrzymi.

- Ach! - Rudolf zatarł ręce z radości. - Oto moja sokolica, Augusta. Chciałem ją pokazać La Diosie, ale nie możemy

jej tutaj wypuścić. Na łowy potrzebuje więcej miejsca niż jest go w Fosie Jeleniej.

Imię Augusta doskonale pasowało do tej dumnej istoty. Sokół, bardzo duży, chociaż był w kapturze, głowę trzymał wyniośle podniesioną.

- Czuje, że ją obserwujemy - wyszeptałam.

Ktoś przetłumaczył to cesarzowi, a on uśmiechnął się do mnie z uznaniem.

- Jedna łowczyni rozumie drugą. Zdejmijcie jej kaptur. Niech Augusta zapozna się z La Diosą.

Do sokoła podszedł ostrożnie staruszek o krzywych nogach. Rozwiązał rzemyki przytrzymujące kaptur i delikatnie zsunął go z głowy Augusty. Wiatr wzwał złote pióra na jej szyi. Augusta, wyczuwając zarówno niebezpieczeństwo, jak i obietnicę wolności, rozpostarła skrzydła - szykowała się do lotu, czy też ostrzegała?

Ale to nie mnie chciała zobaczyć. Nieomylny instynkt nakazał jej zwrócić głowę do jedyne go w tym gronie drapieżnika groźniejszego od niej. Matthew popatrzył na nią poważnie, smutno. Augusta zaskrzeczała, dziękując za współczucie.

- Nie sprowadziłem tu Augusty, by zabawiała herr Roydona, ale by poznała La Diosę - burknął Rudolf.

- Dziękuję za przedstawienie mi jej, Wasza Wysokość - odparłam, pragnąc skupić na sobie uwagę naburmuszonego władcy.

- Wiedz, że Augusta powaliła dwa wilki. - Rudolf spojrzał wymownie na Matthew. Wyraźnie poczuł się dotknięty. - Krwawe to były boje.

- Gdybym był wilkiem, położyłbym się po prostu i pozwolił jej robić, co zechce - stwierdził Matthew.

Tego popołudnia pod każdym względem wyglądał na dworzanina - w zielonoszarym stroju, z czarnymi włosami wsuniętymi pod zawadiacki kapelusik, który co prawda nie

chronił przed niepogodą, ale doskonale eksponował przypiętą do niego spinkę z uroborosem de Clermontów, by Rudolf nie zapomniał, z kim ma do czynienia.

Dworzanie zachichotali na tę beczelność. Rudolf, gdy się upewnił, że nie śmieją się z niego, też się roześmiał.

- W tym także jesteśmy podobni, herr Roydon - poklepał Matthew po ramieniu, mierząc mnie wzrokiem. - Żaden z nas nie boi się silnych kobiet.

Napięcie spadło; sokolnik z ulgą zapytał cesarza, z którym ptakiem chciałby tego popołudnia polować. Rudolf długo się zastanawiał. Gdy wreszcie zdecydował się na dużego sokoła norweskiego, inne ptaki zaczęli wybierać austriaccy i niemieccy książęta. W końcu na żerdzi pozostał tylko jeden. Był mały i drżał z chłodu. Matthew sięgnął po niego.

- To kobiecy ptak - prychnął Rudolf, dosiadając konia. - Kazałem go przynieść dla La Diosy.

- Wbrew temu, co można by sądzić po jej imieniu, Diana nie lubi polować. Ale to nieważne. Ja wezmę drzemlika - oświadczył Matthew.

Przełożył pęta ptaka przez palce, wyciągnął dłoń w rękawicy, a drzemlik na nią wskoczył.

- Witaj, piękna - wyszeptał Matthew, gdy ptak się sadowił, przy każdym ruchu podzwaniając dzwoneczkami.

- Ma na imię Sarka - wyszeptał z uśmiechem sokolnik.

- Czy jest tak mądra jak jej imienniczka? - zapytał go Matthew.

- Nawet mądrzejsza - roześmiał się starzec.

Matthew nachylił się i chwycił zębami rzemień przytrzymujący kaptur Śarki. Usta miał tak blisko ptaka, że wyglądało to tak, jakby go całował. Pociągnął rzemień, po czym drugą ręką zsunął kaptur i schował go do kieszeni.

Sarka zamrugła, rozglądając się wokół. Mrugnęła jeszcze raz i przyjrzała się mnie, a potem mężczyźnie, który ją trzymał.

- Mogę jej dotknąć? - Zachwyciły mnie jej delikatne brązowo-białe pióra.

- Lepiej nie. Jest głodna. Wydaje mi się, że nie poluje dość często  
- odparł Matthew.

Znów zdawał się smutny, jakby stęskniony. Sarka zaskrzeczała cicho, nie odrywając od niego wzroku.

- Lubi cię.

Nic dziwnego. Oboje byli łowcami. I oboje zostali skrepowani tak, że nie mogli się poddać instynktowi tropienia i zabijania.

Zjechaliśmy krętą ścieżką do parowu, niegdyś pałacowej fosy. Nie było w niej wody, została natomiast ogrodzona, by należąca do cesarza zwierzyna nie uciekała do miasta. Żyły tu jelenie, sarny i dziki. Zdarzały się także lwy i inne duże koty, zgodnie z upodobaniami Rudolfa.

Spodziewałam się kompletnego chaosu, ale okazało się, że sokolnictwo miało choreografię opracowaną niczym balet. Gdy tylko Rudolf wypuścił swojego sokoła, siedzące na drzewach ptaki zerwały się do lotu, pragnąc uciec przed drapieżcą. Sokół zapikował i przeleciał nad krzakami, a wiatr świstał w dzwoneczkach przyczepionych do jego nóg. Przerażone kuropatwy uciekały, rozbiegając się na wszystkie strony i trzepocząc skrzydłami. W końcu wzbity się w powietrze. Sokół zawisł na chwilę nieruchomo, wybrał cel i zanurkował, by uderzyć weń szponami i dziobem. Kuropatwa spadła na ziemię, a sokół podleciał, by ją dobić. Myśliwi spuścili psy i pobiegli za nimi po zaśnieżonej ziemi. Jeźdźcy nie dali na siebie czekać; triumfalne krzyki ludzi zagłuszało gwałtowne ujadanie.

Gdy dotarliśmy do celu, sokół stał nad swoją ofiarą i osłaniał ją na wpół rozłożonymi skrzydłami. Podobnie wyglądał Matthew w Bibliotece Bodlejańskiej; poczułam na sobie jego wzrok, gdy upewniał się, że jestem blisko.

Teraz, gdy cesarz rozpoczął polowanie, mogli się przyłączyć inni. Ostatecznie upolowano ponad sto ptaków, dość, by nakarmić sporą liczbę dworzan. Doszło do jednej tylko sprzeczki: między wspaniałym srebrnym sokołem Rudolfa i malutkim drzemlikiem Matthew. Nikogo to nie zaskoczyło.

Matthew trzymał się z dala od grupy mężczyzn. Wypuścił drzemlika dużo później niż inni swoje ptaki i nie śpieszył się, by podnieść zdobycz, którą upolował. Jako jedyny zeskoczył z konia i odciągnął Sarkę od zdobyczy ciepłym słowem i kawałkiem mięsa innej ofiary.

Zdarzyło się, że Sarka nie zdołała dopaść kuropatwy, którą ścigała, gdyż ta umknęła jej wprost na sokoła Rudolfa. Jednak Sarka nie chciała się poddać. Sokół był od niej znacznie większy, ale ona była bardziej zwinna i zaciorna - w pogoni za kuropatwą przeleciała tuż nad moją głową, tak że aż poczułam podmuch skrzydeł. Była taka malutka, mniejsza nawet niż kuropatwa, a już na pewno nie mogła się równać z cesarskim sokołem. Kuropatwa podleciała wyżej, ale nie miała szans uciec. Sarka szybko zmieniła kierunek lotu i wbiła zakrzywione szpony w ofiarę, a jej ciężar sprawił, że obie spadły na ziemię. Rozdrażniony sokół zaskrzeczał, a Rudolf sekundował mu, głośno protestując.

- Twój ptak przeszkodził mojemu - zawołał rozwścieczony, gdy Matthew spiął konia, by złapać drzemlika.

- To nie mój ptak, Wasza Wysokość - odparł Matthew. Sarka, która nastroszyła się i rozpostarła skrzydła, by wyglądać na jak największą i jak najgroźniejszą, wydała na widok Matthew cienki pisk. Matthew wyszeptał do niej coś, co brzmiało znajomo i słodko, a ptak od razu się uspokoił.

- Sarka należy do Waszej Wysokości. A dziś dowiodła, że jest warta swojej imienniczki, wielkiej czeskiej bohaterki.

Matthew podniósł drzemlika i kuropatwę tak, by wszyscy je widzieli. Pęta ptaka zwisały luźno, a dzwoneczki brzdąkały cicho, gdy pokazywał go wokół. Dworzanie, nie

wiedząc, jak powinni zareagować, czekali, co zrobi Rudolf. Postanowiłam interweniować.

- Czyżby to była kobieta-wojownik, mężu? Matthew uśmiechnął się szeroko.

- I owszem, żono. Prawdziwa Sarka też była nieduża i zadziorna, tak jak ptak cesarza. Wiedziała też, że najskuteczniejsza broń wojownika leży między jego uszami. - Popukał się w głowę, by upewnić się, że wszyscy zrozumieli przekaz. Rudolf nie dość, że go zrozumiał, to jeszcze się zmieszał.

- To mi przypomina panie z Malej Strany - powiedziałam. -A co takiego zrobiła Śarka dzięki swojej inteligencji?

Nim Matthew zdążył się odezwać, rozległ się głos nieznannej mi młodej kobiety.

- Sarka pokonała oddział żołnierzy - wyjaśniła płynną łaciną z silnym czeskim akcentem.

Siwobrody mężczyzna, którego uznałam za jej ojca, spojrzał na nią z uznaniem, aż się zaczerwieniła.

- Naprawdę? - zapytałam zaciekawiona. - Jak?

- Udając, że potrzebuje ratunku, a potem zapraszając, by uczcili z nią jej uwolnienie wielką ilością wina - prychnęła z niesmakiem inna kobieta, starsza, o nosie równie zakrzywionym jak dziób Augusty. - Mężczyźni zawsze się na to nabierają.

Wybuchnęłam śmiechem. Wyraźnie zaskoczona, zawtórowała mi starsza dama.

- Obawiam się, cesarzu, że panie nie pozwolą przypisywać swojej bohaterce błędów innych. - Matthew sięgnął do kieszeni po kaptur i nasunął go delikatnie na dumną głowę Śarki. Nachylił się i zacisnął rzemień zębami. Wśród okrzyków radości łowczy wziął od niego drzemlika.

Przenieśliśmy się na posiłek do stojącego na skraju łąki pałacyku w stylu włoskim, o czerwono-białym dachu. Ja co prawda wolałabym pobyc w ogrodach, gdzie rozkwitały

właśnie narcyzy i tulipany. Przyłączyli się do nas inni dworzanie, w tym Strada z kwaśną miną, mistrz Hoefnagel i twórca instrumentów Erasmus Habermel, któremu podziękowałam za moje kompendium.

- Teraz, gdy post ma się już ku końcowi, potrzeba nam wiosennej zabawy, by rozwiać nudę - odezwał się głośno jeden z młodych dworzan. - A co sądzi Wasza Wysokość?

- Bal maskowy? - Rudolf pociągnął łyk wina i wbił we mnie spojrzenie. - W takim razie tematem przewodnim powinna być Diana i Akteon.

- To taki popularny temat, Wasza Wysokość, i raczej angielski - odezwał się ponuro Matthew, a Rudolf aż spurpurowiał. - Może lepiej wybrać wątek Demeter i Persefony? Bardziej pasuje do tej pory roku.

- Albo historię Odyseusza - zaproponował Strada, patrząc na mnie krzywo. - Frau Roydon mogłaby zagrać Kirke i pozamieniać nas wszystkich w świniaki.

- Ciekawy pomysł, Ottavio. - Rudolf popukał się palcem w wystającą dolną wargę. - Myślę, że z przyjemnością zagrałbym Odyseusza.

Po moim trupie, pomyślałam. Nie z obowiązkową sceną łóżkową, w której Odyseusz przekonuje Kirke, by go nie zatrzymywała.

- Jeśli mogłabym coś zaproponować... - zabrałam głos, pragnąc zapobiec katastrofie.

- Oczywiście, oczywiście - zawołał z zapalem Rudolf, biorąc mnie za rękę i klepiąc ją delikatnie.

- Pomyślałam o historii, w której ktoś musiałby podjąć się roli Zeusa, króla bogów - zwróciłam się do cesarza, delikatnie cofając rękę.

- Doskonale nadawałbym się na Zeusa - zapewnił gorąco i uśmiechnął się szeroko. - A ty zagrasz Kallisto?

Nie ma mowy. Nie zamierzałam pozwolić, by Rudolf odegrał rolę tego, kto mnie uwodzi i zapładnia.



- Nie, Wasza Wysokość. Jeśli nalegasz, bym wzięła udział w zabawie, zagram boginię księżycy. - Wzięłam Matthew pod ramię. - A Matthew, by odpokutować to, co wcześniej powiedział, zagra rolę Endymiona.

- Endymiona? - Uśmiech Rudolfa zgasł.

- Biedny Rudolf. Znow wywieziony w pole - wyszeptał Matthew tak cicho, że usłyszałam to tylko ja.

- Endymion, Wasza Wysokość. Piękny młodzieniec, na którego zostaje zesłany wieczny sen, by dać mu nieśmiertelność i uchronić czystość Diany - Matthew tym razem mówił głośno.

- Znam tę legendę, herr Roydon! - warknął Rudolf.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. - Matthew złożył piękny, choć dość płytki ukłon. - Diana będzie doskonale wyglądać, nadjeżdżając w swoim rydwanie, by patrzeć tęsknie na mężczyznę, którego kocha.

W tym momencie Rudolf spurpurowiał. Odesłano nas sprzed jego oblicza; wróciliśmy szybko do Trzech Kruków.

- Mam tylko jedną prośbę - odezwał się Matthew, gdy weszliśmy do domu. - Może i jestem wampirem, ale kwiecień w Pradze do upalnych nie należy, dlatego kostiumy, jakie zaprojektujesz dla Diany i Endymiona, powinny składać się z czegoś więcej, niż tylko z opaski z półksiężycem dla ciebie i szmatki, którą miałbym się opasać.

- Ledwie cię obsadziłam w tej roli, a już masz artystyczne wymagania - uniosłam ręce w udawanej rozpacz. - Aktorzy!

- Tak to się kończy, gdy pracuje się z amatorami - odparł z uśmiechem Matthew. - Wiem nawet, jak powinno się zaczynać to przedstawienie:

„I nagle rozstąpiły się wieczorne chmury A na nieboskłon wdzięcznie uleciała Luna Śliczna i srebrna, muszla dla czary Neptuna”

- Nie możesz odwołać się do Keatsa! - roześmiałam się. - Jest poetą romantyzmu, nie te czasy.

„Tak żarliwa i jasna wzniosła się do góry Ze dusza ma cudowną poświatą olśniona Wzleciała na orbitę, aby ją okrążyć Poprzez niebo czyste i chmury podążać Za nią, by wpaść w jej mroczne wilgotne ramiona” -wyrecytował teatralnie i pociągnął mnie w swoje ramiona.

- Pewnie jeszcze będziecie chcieli, żebym wam znalazł tę muszlę? - zawołał Gallowglass, zbiegając ze schodów.

- I kilka owiec. Albo astrolabium. Endymion może być pasterzem albo astronomem - zaczął rozważać Matthew.

- Łowczy Rudolfa nie rozstanie się z żadną ze swoich dziwnych owiec - stwierdził ponuro Gallowglass.

- Matthew może użyć mojego kompendium - rozejrzałam się. Powinno leżeć nad kominkiem, poza zasięgiem Jacka. - Gdzie się podziało?

- Annie i Jack pokazują je Mopowi. Uważają, że jest zaczarowane.

Dopiero w tym momencie zauważyłam, że od kominka w górę schodów biegną wątki - srebrny, złoty i szary. Pragnąc jak najszybciej dotrzeć do dzieci i sprawdzić, co dzieje się z kompendium, przydeptałam sobie rąbek sukni. Nim dotarłam do Annie i Jacka, jej dół zmienił kształt.

Annie i Jack otworzyli mosiężno-srebrne kompendium astronomiczne niczym książkę i rozłożyli wszystkie jego wkładki. Rudolf pragnął obdarować mnie czymś, co pozwoli mi śledzić ruchy ciał niebieskich, a Habermel przeszedł samego siebie. Kompendium składało się z zegara słonecznego, kompasu, urządzenia do obliczania długości godzin o różnych porach roku, skomplikowanej księżycowej tabeli kołowej, której koła można było ustawiać tak, by ustalić datę, godzinę, właściwy znak zodiaku i fazę księżyca, a także z tabeli szerokości geograficznych wybranych miast,

w tym - na moje życzenie - Roanoke, Londynu, Lyonu, Pragi i Jerozolimy. W ostatnią z wkładek dawało się wsunąć jeden z najnowszych wynalazków - zmywalną tabliczkę ze specjalnie spreparowanego papieru, na którym można było pisać, a potem delikatnie ścierać tekst, by móc pisać na nowo.

- Zobacz, Jack, znów to robi! - Annie wpatrywała się w instrument.

Mop - już nikt poza Jackiem nie nazywał go Lobero -zaszczekał i zamachał radośnie ogonem, gdy tabela księżycowa zaczęła się sama z siebie obracać.

- Założę się o pensa, że jak się zatrzyma, to w okienku będzie księżyc w pełni - odezwał się Jack, spluwając na rękę, którą wyciągnął do Annie.

- Żadnych zakładów - zaprotestowałam odruchowo, klękając przy chłopcu.

- Kiedy to się zaczęło, Jack? - zapytał Matthew, odpędzając psa. Dzieciak wzruszył ramionami.

- Tak się dzieje, od kiedy herr Habermel to przysłał -powiedziała Annie.

- Kręci się tak przez cały dzień czy tylko czasami? -zapytałam.

- Tylko raz albo dwa. A kompas obracał się tylko raz. -Annie wyglądała na przygnębioną. - Powinnam pani powiedzieć. Wiedziałam, że jest magiczny.

- Nie szkodzi - uśmiechnęłam się do niej. - Nic się nie stało.

Mówiąc to, dotknęłam palcem środka tablicy i nakazałam jej się zatrzymać. Tak też się stało i w tej samej chwili rozplynęły się otaczające kompendium srebrne i złote wątki. Pozostał tylko szary, a i on szybko zniknął między wieloma innymi wypełniającymi nasz dom.

- Co to znaczy? - zapytał mnie później Matthew, gdy w domu zrobiło się cicho, a ja miałam wreszcie okazję

schować gdzieś kompendium. Postanowiłam ukryć je na baldachimie naszego łoża.

- Przecież wszyscy chowają tam różne rzeczy. Jack właśnie od tego miejsca zacznie szukać.

- Ktoś szuka nas. - Zdjęłam kompendium i zaczęłam się rozglądać za jakąś inną kryjówką.

- W Pradze? - Matthew wyciągnął rękę po instrument, a gdy mu go podałam, wsunął go do kieszeni kaftana.

- Nie. W czasie.

Usiadł gwałtownie na łóżku i zaklął.

- To moja wina - spojrzałam na niego zawstydzona. -Próbowałam utkać taki czar, by kompendium ostrzegało mnie, gdy ktoś postanowi je skraść. Ten czar miał ustrzec Jacka przed wpackowaniem się w kłopoty. Zdaje się, że muszę zacząć tworzyć go od początku.

- Skąd wiesz, że chodzi o kogoś w innym czasie? -zapytał Matthew.

- Bo tablica księżycowa to wieczny kalendarz. Koła kręcą się, próbując przekazać informacje, które wykraczają poza ich możliwości. Przypomina to trochę słowa krążące po stronach *Ashmole 782*.

- Może obroty kompasu oznaczają, że ten ktoś, kto nas szuka, jest także w innym miejscu? Podobnie jak tablice księżycowe, kompas nie może wskazać prawdziwej północy, ponieważ każe mu się pokazywać dwa kierunki: jeden dla nas, w Pradze, i jeden dla kogoś innego.

- Myślisz, że to Ysabeau albo Sara? Że potrzebują naszej pomocy? - To Ysabeau przysłała Matthew egzemplarz *Doktora Fausta*, by pomóc nam dotrzeć do 1590 roku. Wiedziała, gdzie się kierujemy.

- Nie - odparł stanowczo Matthew. - Nie zdradziłyby nas. To ktoś inny.

Spojrzał na mnie. W jego oczach znów pojawił się ten niespokojny, pełen żalu wyraz.

- Patrzysz na mnie tak, jakbym to ja cię zdradziła. -Usiadłam obok niego na łóżku. - Jeśli nie chcesz, żebym brała udział w przedstawieniu, to nie wezmę.

- Nie w tym rzecz. - Matthew wstał i odszedł kilka kroków. - Wciąż coś przede mną ukrywasz.

- Zawsze coś ukrywamy, Matthew - odparłam. - Drobiazgi, które nie mają znaczenia. Czasami coś poważniejszego, jak choćby uczestnictwo w zgromadzeniach Kongregacji.

Jego oskarżenia mnie bolały, biorąc pod uwagę, jak wiele jeszcze o nim nie wiedziałam. Nagle Matthew chwycił mnie za ramiona i uniósł.

- Nigdy mi tego nie wybaczysz? - Jego oczy przybrały czarną barwę, a palce wbijały mi się boleśnie w skórę.

- Obiecałeś, że będziesz tolerował moje sekrety - stwierdziłam. - Rabin Loew miał rację. Tolerancja to za mało.

Matthew puścił mnie i zaklął. Usłyszałam kroki Gallowglassa i senne słowa Jacka.

- Zabieram Jacka i Annie do domu Baldwina - odezwał się od drzwi Gallowglass. - Tereza i Karolina już wyszły. Pierre pójdzie ze mną, pies także. - Ściszył głos. - Kiedy się kłócicie, straszycie chłopca, a on już dość strachu zaznał w swoim krótkim życiu. Wyjaśnijcie to między sobą albo zabiorę ich do Londynu, a wy dwoje zostanieie tu sami. -Oczy Gallowglassa lśniły groźnie.

Matthew usiadł bez słowa przy kominku. Z kielichem wina w dłoni i ponurą miną wpatrywał się w ogień. Poderwał się na nogi, gdy tylko reszta domowników wyszła.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wypuściłam moją wiwerkę. Zatrzymaj go, rozkazałam. Smoczyca podleciała, otuliła go szarą mgłą, po czym przybrała bardziej materialną postać w drzwiach, gdzie wbiła kolce skrzydeł w futrynę. Gdy Matthew podszedł zbyt blisko, ostrzegawczo zionęła ogniem.

- Nigdzie nie idziesz - odezwałam się.

Z trudem zdołałam zapanować nad głosem. Matthew mógł mnie pokonać, ale nie wierzyłam, by dał sobie radę z moją smoczyką.

- Moja wiwerna jest podobna do Śarki: mała, ale stanowcza. Na twoim miejscu bym jej nie wkurzała.

Matthew odwrócił się i zmierzył mnie zimnym wzrokiem.

- Powiedz, jeśli jesteś na mnie zły. Powiedz, jeśli zrobiłam coś, co ci się nie spodobało. Jeśli chcesz skończyć to małżeństwo, miej dość odwagi, by zrobić to szlachetnie, tak, abym miała szansę, przynajmniej szansę, jakoś się z tego otrząsnąć. Bo jeśli dalej będziesz na mnie patrzył tak, jakbyś żałował, że się ze mną ożeniłeś, to mnie zniszczysz.

- Nie chcę kończyć naszego małżeństwa - wykrztusił.

- Więc bądź moim mężem. - Podeszłam do niego. - Wiesz, o czym pomyślałam, gdy dziś obserwowałam lot tych pięknych ptaków? Tak właśnie wyglądałby Matthew, gdyby tylko mógł być sobą. A potem zobaczyłam, jak wkładasz Śarce kaptur, aby nie mogła polować tak, jak podpowiada jej instynkt, i w jej oczach był ten sam żal, który widzę w twoich od dnia, w którym straciłam dziecko.

- Nie chodzi o dziecko. - Popatrzył na mnie groźnie.

- Nie. Chodzi o mnie. I o ciebie. I o coś tak przerażającego, że nie potrafisz tego nawet przyznać: o to, że mimo twojej mocy nad życiem i śmiercią nie możesz kontrolować wszystkiego, nie możesz chronić mnie ani innych ludzi, których kochasz.

- I sądzisz, że utrata dziecka mi to uświadomiła?

- A tak nie jest? Poczucie winy wobec Blanki i Lucasa omal cię nie zniszczyło.

- Mylisz się. - Matthew wsunął dłonie w moje włosy, rozplątując warkocze i uwalniając zapach rumiankowo-miętowego mydła, którego używałam. Źrenice miał wielkie i czarne. Gdy wchłonął mój zapach, znów pojawiła się w nich odrobina zieleni.

- Więc powiedz mi, o co chodzi.

- O to - sięgnął do stanika mojej sukni i rozdarł go, po czym rozwiązał tasiemkę, która przytrzymywała na ramionach szeroki dekolt mojej sukni, i odsłonił mi piersi. Przesunął palcem po błękitnej żyłę, w tym miejscu, gdzie biegła dalej, pod ubranie.

- Każdego dnia życia walczę o kontrolę. Walczę z moim gniewem i chorobą po nim. Walczę z głodem i pragnieniem, bo uważam, że nie mam prawa brać krwi innych stworzeń, nawet zwierząt, chociaż znoszę to lepiej niż branie jej od kogoś, kogo mogę potem spotkać na ulicy. - Spojrzał mi w oczy. - I toczę ze sobą bój, żeby pokonać to niewymowne pragnienie zdobycia twojego ciała i duszy w sposób niewyobrażalny dla kogokolwiek ciepłokrwistego.

- Chcesz mojej krwi - zrozumiałam nagle. - Okłamałeś mnie.

- Okłamywałem samego siebie.

- Mówiłam ci już wielokrotnie, że możesz ją wziąć. - Złapałam za stanik i rozerwałam go bardziej, odchylając głowę i odsłaniając żyłę szyjną. - Weź ją. Nie dbam o to. Chcę cię tylko odzyskać - zdusiłam łzy.

- Jesteś moją drugą połową, moją parą. Nigdy świadomie nie wziąłbym krwi z twojej szyi. - Poczułam chłodne palce Matthew, gdy zasłonił stanikiem mój dekolt. - Zrobiłem to w Madison tylko dlatego, że byłem zbyt słaby, by się powstrzymać.

- A co jest nie tak z moją szyją? - zapytałam zdziwiona.

- Wampiry gryzą w to miejsce tylko obcych i podwładnych. Nigdy kochanków. A już na pewno nie swoją parę.

- Dominacja - stwierdziłam, przypominając sobie nasze rozmowy o wampirach, krwi i seksie. - I pożywanie się. A więc zwykle ludzi się tam gryzie? W legendach o wampirach jest ziarno prawdy.

- Wampiry gryzą swoje pary w miejsce tuż obok serca  
-powiedział Matthew.

Przycisnął wargi do mojego ciała tuż nad brzegiem sukni. To właśnie tam pocałował mnie w naszą noc poślubną, gdy emocje wzięły nad nim górę.

- Sądziłam, że chciałeś mnie tam pocałować ze zwykłej żądy.

- Nie ma nic zwykłego w wampirzym pragnieniu, by czerpać krew z tej żyły. - Przesunął ustami niżej wzdłuż niebieskiej linii i znów je mocno przycisnął.

- Ale skoro nie chodzi o pożywanie się ani o dominację, to o co?

- O szczerość. - Gdy Matthew spojrział mi w oczy, zobaczyłam, że jego tęczywki wciąż są bardziej czarne niż zielone. - Wampiry mają zbyt wiele sekretów, by kiedykolwiek pozwolić sobie na szczerość. Nie zdołalibyśmy nigdy przekazać ich słowami, a większość jest na to po prostu zbyt skomplikowana. Poza tym w moim świecie panują zakazy dotyczące dzielenia się tajemnicami.

- Niczego nowego nie wymyśliłeś - odparłam. - Już to kilka razy słyszałam.

- Napicie się krwi kochanka oznacza, że nie ma nic do ukrycia. - Matthew wpatrywał się w moją pierś i znów dotknął żyły. - Nazywamy ją żyłą serca. Tutaj krew jest słodsza. Daje poczucie pełnego zdobycia i oddania, ale wymaga też pełnej kontroli, by nie dać się porwać silnym emocjom, kiedy się pojawiają. - W jego głosie był smutek.

- A ty nie ufasz sobie z powodu krwawego szau.

- Widziałaś, jak na mnie działa. Wynika z instynktu opiekuńczego. A kto zagraża ci bardziej niż ja?

Zsunęłam suknię z ramion i wyciągnęłam ręce z rękawów tak, że do pasa byłam naga. Rozwiązałam tasiemki spódnicy.

- Nie! - oczy Matthew znów pociemniały. - Nikogo tu nie ma, gdybym...



- Gdybyś wypił moją krew? - Odrzuciłam spódnicę. - Jeśli nie mogłeś się na to zdobyć, gdy Philippe był w zasięgu mojego głosu, to raczej nie zrobisz tego, gdy w pobliżu znajdują się Gallowglass i Pierre.

- Nie czas na żarty.

- Nie. - Wzięłam go za rękę. - Tylko na mężów i żony. To kwestia szczerości i zaufania. Nie mam przed tobą nic do ukrycia. Jeśli napicie się krwi z mojej żyły serca zakończy twoją nieustanną pogoń za wyimaginowanymi tajemnicami, jakie podobno przed tobą kryję, to proszę zrób to.

- Tego wampir nie robi tylko raz - ostrzegł Matthew, próbując się odsunąć.

- A jakże mogłoby być inaczej? - Zagłębiłam palce w jego włosach, tuż przy szyi. - Weź moją krew. Weź moje tajemnice. Zrób to, co każe ci twój instynkt. Tutaj nikt nie nakłada ci kaptura. W moich ramionach powinieneś być wolny, nawet jeśli nigdzie indziej nie możesz sobie na to pozwolić.

Przywarłam ustami do jego ust. Na początku się opierał, zaciskając palce na moich nadgarstkach, jakby liczył, że zdoła mi się wyrwać. Ale jego instynkt był silny, a pragnienie oczywiste. Wątki, które scalały świat, przemknęły obok, jakby robiły miejsce na tak potężne uczucia. Odsunęłam się ostrożnie, a głęboki oddech unosił moje piersi.

Matthew był tak przerażony, że aż krajało mi się serce. Ale czuł też pragnienie. Strach i pragnienie. Trudno się dziwić, że pojawiały się w jego eseju na temat wszystkich dusz, gdy zdobył swoje stanowisko. Kto lepiej niż wampir mógłby zrozumieć toczącą się między nimi wojnę?

- Kocham cię - wyszeptałam, opuszczając rękę. Musiał to zrobić sam. Nie mogłam sprawić, by przyłożył usta do mojej żyły.

Oczekiwanie było nieznośne, ale w końcu pochylił głowę. Serce waliło mi mocno; usłyszałam, jak odetchnął głęboko.

- Miód. Zawsze pachniesz miodem - wydusii zdziwiony, nim jego ostre zęby rozdarły moją skórę.

Gdy wcześniej brał moją krew, starannie znieczulał miejsce dotknięciem swojej krwi. Tym razem tego nie zrobił, ale skóra szybko straciła czucie pod naciskiem jego ust. Objął mnie, kładąc na łóżku. Czekałam, aż nasyci się tym, że naszej miłości nic nie dzieli.

Jakieś pół minuty później przerwał. Spojrzał na mnie zaskoczony, zupełnie jakby odkrył coś, czego się nie spodziewał. Oczy znów mu pociemniały i przez moment bałam się, że szal jednak zaatakuję.

- Już dobrze, kochanie - szepnęłam.

Matthew opuścił głowę i pił dalej, aż odkrył wszystko, czego potrzebował. Zajęło mu to nieco ponad minutę. Ucałował miejsce nad moim sercem z tym samym wyrazem czci, jaki miał w naszą noc poślubną, w Sept-Tours, i popatrzył na mnie nieśmiało.

- I co odkryłeś? - zapytałam.

- Ciebie. Tylko ciebie.

Gdy mnie pocałował, jego nieśmiałość przeszła w żądzę i po chwili byliśmy już spleceni. Jeśli nie liczyć naszej krótkiej przygody pod ścianą, nie kochaliśmy się już od dawna i na początku, dopóki nie przypomnieliśmy sobie siebie wzajemnie, nie mogliśmy się zgrać. Moje ciało wiło się coraz mocniej. Jeszcze jeden szybki ruch, głęboki pocałunek, i odleczę. Ale Matthew zwolnił. Spojrzał mi w oczy. Nigdy nie widziałam go takiego, jak w tamtym momencie - bezbronny, pełnego nadziei, pięknego i wolnego. Między nami nie było tajemnic, żadnych skrytych emocji, nawet, gdyby stało się nieszczęście i wpadlibyśmy w głębie, gdzie nie ma nadziei.

- Czujesz mnie? - Matthew tkwił teraz we mnie nieruchomo. Skinęłam głową. Uśmiechnął się i poruszył delikatnie. - Jestem w tobie, Diano, daję ci życie.

To samo powiedziałam mu, gdy pił moją krew i powrócił z przedśmionką śmierci na ten świat. Nie sądziłam, że był tego świadom.

Znów się we mnie poruszył, powtarzając te słowa niczym zaklęcie. To była najprostsza, najczystsza forma magii na świecie. Matthew wplótł się już w moją duszę. Teraz wplótł się w moje ciało, tak jak ja w jego. Moje serce, które przez ostatnie miesiące wciąż pękało, przy każdym jego smutnym dotyku, rozżalonym spojrzeniu, zaczęło się znów zrastać. O świcie wyciągnęłam rękę i dotknęłam czoła Matthew.

- Ciekawe, czy też mogłabym czytać twoje myśli.

- Już to robiłaś. - Matthew ucałował moje palce. -W Oksfordzie, gdy dostałaś zdjęcie swoich rodziców. Nie byłaś świadoma tego, co robisz. Ale odpowiadałaś na pytania, których nie mogłem zadać na głos.

- Mogę spróbować jeszcze raz? - zapytałam, spodziewając się, że odmówi.

- Oczywiście. Gdybyś była wampirem, już bym ci zaproponował moją krew. - Położył się.

Zawahałam się, uspokoiłam myśli i skupiłam na jednym prostym pytaniu: Jak mogę poznać, co ma w sercu Matthew?

Pomiędzy moim sercem i punktem na czole Matthew, gdzie miałby trzecie oko, gdyby był czarownikiem, pojawił się pojedynczy srebrny wątek. Zaczął się skracać, przyciągając mnie coraz bliżej, aż dotknęłam ustami skóry mojego męża.

Najróżniejsze widoki i dźwięki wybuchły w mojej głowie jak fajerwerki. Zobaczyłam Jacka i Annie, Philippe'a i Ysa-beau. Gallowglassa i ludzi, których nie znałam, a którzy zajmowali istotne miejsce we wspomnieniach Matthew. Ujrzałam Eleanor i Lucasa. Było tam uczucie triumfu, gdy rozwiązał jakąś naukową tajemnicę, okrzyk radości, gdy wyjeżdżał do lasu na polowanie, by zabijać, tak jak to miał w naturze. Zobaczyłam siebie, jak się do niego uśmiecham.

A potem dostrzegłam twarz herr Fuchsa, wampira, którego widziałam w Żydowskiej Dzielnicy, i usłyszałam wyraźnie słowa: „Mój syn, Benjamin”.

Odsunęłam się gwałtownie i dotknęłam palcami drżących warg.

- Co się stało? - Matthew usiadł zaniepokojony.

- Herr Fuchs! - Spojrzałam na niego przerażona, bojąc się, że pomyślał o najgorszym. - Nie wiedziałam, że to jest twój syn, że to Benjamin.

W tym stworzeniu nie czuło się ani krztyny krwawego szału.

- To nie twoja wina. Nie jesteś wampirem, a Benjamin okazuje tylko to, co chce - pociesza! mnie Matthew. - Musiałem wyczuć przy tobie jego obecność, może zapach, coś, co powiedziało mi, że jest blisko. To dlatego myślałem, że coś przede mną ukrywasz. Myliłem się. Przepraszam, że w ciebie wątpiłem, *mon cœur*.

- Ale Benjamin musiał wiedzieć, kim jestem. Na pewno przesiąknęłam twoim zapachem.

- Oczywiście, że wiedział - stwierdził obojętnie Matthew. - Poszukam go jutro, ale gdy Benjamin nie zechce, by go znaleziono, nie pozostanie mi nic innego, jak ostrzec Gallowglassa i Philippe'a. Poinformują resztę rodziny, że Benjamin znów się pojawił.

- Ostrzegą ich? - Gdy skinął głową, przeszły mnie dreszcze.

- Jedyne, co może być gorsze od Benjaminą w krwawym szale, to Benjamin o jasnym umyśle, tak jak wtedy, gdy byłaś z rabinem Loewem. Jak to mówił Jack: najbardziej przerażające potwory wyglądają jak zwykli ludzie - odparł Matthew.

## ROZDZIAŁ 11

To był prawdziwy początek naszego małżeństwa. Matthew stał się bardziej skupiony niż kiedykolwiek. Minał czas ostrych ripost, gwałtownych zmian kierunku i impulsywnych decyzji, którymi do tej pory charakteryzował się nasz związek. Teraz Matthew był metodyczny, zrównoważony, ale nie mniej groźny. Zaczął się regularnie odżywiać, polując na mięście i w okolicznych wsiach. Gdy nabrał trochę ciała, zrozumiałam, co zauważył Philippe - chociaż mogło się to wydawać zaskakujące, jego syn rzeczywiście marniał z braku porządnego pożywienia.

Na mojej piersi pojawił się srebrzysty półksiężyc w miejscu, z którego pił Matthew. Nie przypominał żadnej z blizn na moim ciele - nie miał zgrubiałej, ochronnej tkanki, która tworzy się na większości ran. Matthew powiedział, że to wpływ jego śliny, która pozwala zasklepić się ugryzieniu, nie gojąc go przy tym całkowicie.

Rytuał Matthew picia krwi z żyły w okolicach serca i mój nowy rytuał czarodziejskiego pocałunku, który pozwalał mi dotrzeć do jego myśli, zbliżyły nas do siebie. Nie kochaliśmy się za każdym razem, gdy przychodził do mnie do łóżka, ale gdy to się dokonywało, zawsze przed i po akcie spełniały się oba te rytuały pełnej szczerości, które rozwiewały nie tylko obawy Matthew, ale i moje - że nasze sekrety w jakiś sposób nas zniszczą. A nawet gdy nie uprawialiśmy seksu, rozmawialiśmy otwarcie, bez oporów, tak jak pragną wszyscy kochankowie.

Następnego ranka Matthew powiedział Gallowglassowi i Pierre'owi o Benjaminie. Wściekłość Gallowglassa minęła szybciej niż strach Pierre'a, który pojawiał się za każdym razem, gdy ktoś zastukał do drzwi albo podchodził do mnie

na targu. Wampiry szukały go dzień i noc, a Matthew planował te eskapady.

Ale Benamina nie można było znaleźć. Po prostu zniknął.

Wielkanoc nadeszła i minęła, a nasze plany dotyczące wiosennego przyjęcia u Rudolfa, które miało się odbyć następnego soboty, zostały już niemal całkowicie zrealizowane. Wraz z mistrzem Hoefnaglem za pomocą donic z tulipanami przemieniłam Wielką Salę pałacową w kwitnący ogród. To miejsce, z przepięknymi rzeźbionymi sklepieniami łukowymi, podpierającymi dach niczym gałęzie wierzby, zachwycało mnie.

- Przeniesiemy tu również cesarskie drzewka pomarańczowe. - Oczy Hoefnagela aż lśniły na myśl o różnych możliwościach. - I pawie.

W dniu przedstawienia służący zabrali wszystkie świeczniki z pałacu i katedry i ustawili w tej potężnej kamiennej sali, by wywołać wrażenie gwiazdzistego nieba, a na podłodze rozsypali świeże sitowie. Za scenę służyła podstawa schodów prowadzących do królewskiej kaplicy. Na ten pomysł wpadł mistrz Hoefnagel. Dzięki niemu mogłam pojawiać się u szczytu schodów, niczym księżyc, a Matthew mógł zaznaczać moją zmieniającą się pozycję na jednym z astrolabiów mistrza Habérmela.

- Nie sądzisz, że zbyt filozofujemy? - zaczęłam się głośno zastanawiać.

- To dwór Rudolfa II - odparł sucho Hoefnagel. - Tutaj nie ma czegoś takiego jak zbyt filozofowanie.

Gdy dworzanie zaczęli się zbierać na bankiet, aż jęknęli z zachwytem nad scenografią.

- Podoba im się - szepnęłam do Matthew zza kurtyny, która oddzielała nas od tłumu.

Nasze wejście zaplanowaliśmy na moment, kiedy zostanie podany deser, a tymczasem mieliśmy siedzieć na scho-

dach rycerskich. Matthew zajął moją uwagę opowieściami o dawnych czasach, kiedy to wjeżdżał na szerokie kamienne schody konno, by stoczyć pojedynek. Gdy zapytałam, czy jest przekonany, że to pomieszczenie nadaje się do takich celów, uniósł tylko brew.

- A jak sądzisz, czemu zbudowaliśmy taką wielką salę z tak wysokim sufitem? Zimy w Pradze bywają bardzo długie, a znudzeni młodzieńcy z bronią są niebezpieczni. Lepiej, żeby potykali się w szrankach ze sobą, niż wszczynali wojny z sąsiadami.

Lejące się strumieniami wino i bogate menu sprawiły, że w sali szybko zapanował ogłuszający harmider. Gdy pojawiły się desery, zajęliśmy z Matthew nasze miejsca. Mistrz Hoefnagel namalował piękną sielankową scenerię dla Matthew i niechętnie oddał mu jedno z drzewek pomarańczowych, by mógł pod nim usiąść na okrytym filcem stołku, imitacji kamienia. Ja miałam czekać na swoją kolej, a potem wyjść z kaplicy i stanąć za starymi drewnianymi drzwiami, które zostały pomalowane tak, by przypominały rydwan.

- Nawet nie próbuj mnie rozśmieszać - ostrzegłam Matthew, gdy pocałował mnie w policzek na szczęście.

- Uwielbiam wyzwania - szepnął.

Gdy w sali rozległa się muzyka, dworzanie zaczęli milknąć. Kiedy wreszcie zrobiło się cicho, Matthew uniósł astrolabium i przedstawienie się rozpoczęło.

Uznałam, że najlepiej, by w sztuce było jak najmniej dialogów, a jak najwięcej tańca. Kto po obfitym obiedzie chciałby siedzieć i słuchać przemówień? Byłam na tylu spotkaniach akademickich, że wiedziałam, iż nie jest to dobry pomysł. Signor Pasetti z radością nauczył część dworek „tańca błędzących gwiazd”, by Matthew miał jakieś ciała niebieskie do obserwacji, gdy oczekiwał na swój ukochany księżyc. A że role gwiazd przyjęły znane dworskie piękności, ubrane w niezwykle zdobne i przystrojone drogimi

kamieniami suknie, występ zaczął przypominać szkolne przedstawienie, włącznie z podziwającymi rodzicami. Matthew robił miny, jakby nie był pewien, czy dotrwa do końca spektaklu.

Gdy taniec się skończył, muzykanci zapowiedzieli moje przybycie dudnieniem bębnów i fanfarami. Mistrz Hoefnagel podciągnął kurtynę zasłaniającą drzwi do kaplicy, a ja musiałam tylko przejść przez nie jak bogini - nie zaplądając przy tym księżycy, który miałam na głowie, w zasłonę, jak to wydarzyło się podczas próby - i wpatrywać się tęsknie w Matthew. A on, jeśli bogini pozwoli, miał spojrzeć na mnie, nie robiąc przy tym zeza ani nie gapiąc się na moje piersi.

Skupiłam się chwilę, by wypaść przekonująco, odetchnęłam głęboko i minęłam zasłonę, próbując płynąć niczym księżyc. Dworzanie aż jęknęli z zachwytu.

Zadowolona, że udało mi się tak wiarygodnie wkroczyć na scenę, spojrzałam w dół na Matthew. Miał oczy jak spodki.

O, nie! Spróbowałam dotknąć stopą podłogi, ale tak jak podejrzewałam, byłam już nad nią i wznosiłam się dalej. Wyciągnęłam rękę, by przytrzymać się mojego rydwanu, i zobaczyłam, że moja skóra lśni perłowo. Matthew kiwnął głową w stronę mojej tiary i przymocowanego do niej małego księżycy. Bez lustra nie miałam pojęcia, co się z nim działo, ale bałam się najgorszego.

- La Diosa! - Rudolf wstał, klaszcząc. - Cudownie! Co za efekt!

Dworzanie przyłączyli się niepewnie do aplauzu. Kilka osób najpierw się przeżegnało. Skupiwszy na sobie uwagę wszystkich, przyłożyłam dłonie do piersi i zatrzepotałam rzęsami do Matthew, który w odpowiedzi uśmiechnął się do mnie krzywo. Skoncentrowałam się na tym, żeby opaść na ziemię, bym mogła podejść do tronu Rudolfa. Jako Zeus zasiadał na najwspanialszym fotelu, jaki udało nam się zna-



leżąc na pałacowym strychu. Niezwykle szkaradnym, ale na pewno odpowiednim na tę okazję.

Na szczęście gdy podeszłam do cesarza, nie świeciłam już tak mocno, a widownia przestała się wpatrywać w moją głowę, jakby strzelały z niej fajerwerki. Dygnęłam.

- Witaj, La Diosa - zagrział Rudolf tonem, który miał przypominać władczy, a był tylko typowym przykładem słabego aktorstwa.

- Kocham pięknego Endymiona - odezwałam się, wskazując na schody, gdzie Matthew ułożył się i udawał, że śpi. Sama napisałam tekst. (Matthew sugerował, bym powiedziała: „Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, to Endymion rozerwie ci gardło”, ale odrzuciłam ten pomysł, podobnie jak Keatsa). - Wygląda tak łagodnie. Ja jestem boginią i nigdy się nie zestarzeję, podczas gdy piękny Endymion niedługo zestarzeje się i umrze. Błagam, spraw, by był nieśmiertelny i mógł ze mną zostać na zawsze.

- Pod jednym warunkiem! - wrzasnął Rudolf, nie dbając już o utrzymanie wtadczości głosu. - Po kres czasu musi spać, nigdy się nie budząc. Tylko wtedy pozostanie młody.

- Dziękuję, o potężny Zeusie - odparłam, próbując nie przypominać za bardzo członka brytyjskiej trupy komediowej. - Teraz będę mogła patrzeć na mego ukochanego po wsze czasy.

Rudolf skrzywił się. Na szczęście nie miał okazji zatwierdzić tekstu. Wróciłam do mojego rydwanu i powoli wycofałam się za kurtynę, podczas gdy dworki odtańczyły ostatni taniec. Kiedy przedstawienie dobiegło końca, Rudolf jako pierwszy zaczął klaskać, a za nim cały dwór tak głośno bił brawa i tupał, że omal nie zawalił się dach. Natomiast nie zbudziło to Endymiona.

- Wstawaj! - syknęłam, przechodząc obok, by podziękować cesarzowi za możliwość zabawienia go. W odpowiedzi usłyszałam tylko teatralne chrapnięcie.

Nie pozostało mi nic innego, jak samej złożyć pokłon Rudolfowi i wygłosić przemówienie pochwalne na cześć astrolabium mistrza Habermela, scenografii, efektów specjalnych mistrza i doskonałej muzyki.

- Wspaniale się bawiłem, La Diosa. Dużo lepiej, niż mogłem przypuszczać. Możesz prosić Zeusa o nagrodę -odezwał się Rudolf, błędząc wzrokiem po moich ramionach i piersiach. - Powiedz tylko, czego sobie życzysz, a to otrzymasz.

W sali ucichły rozmowy. Przypomniałam sobie słowa Abrahama: „Księga do ciebie przyjdzie, jeśli tylko o to poprosisz”. Czy to mogło być takie proste? Endymion poruszył się na łożu. Nie chcąc, aby mi przeszkodził, złożyłam ręce za plecami, nakazując mu, by wrócił do swoich snów. Dworzanie wstrzymali oddech, czekając, aż poproszę o znakomity tytuł, ziemię albo złoto.

- Chciałabym zobaczyć alchemiczną księgę Rogera Bacona, Wasza Wysokość.

- Masz jaja z żelaza, cioteczko - skwitował z podziwem Gallowglass w drodze do domu. - Nie mówiąc już o biegłości w mowie.

- Dziękuję - odparłam zadowolona. - A tak właściwie to co się działo na mojej głowie podczas przedstawienia? Ludzie się na nią gapili.

- Malutkie gwiazdki wzniosły się nad księżycem, a potem pobladyły. Nie martwiłbym się tym. Wyglądało to tak prawdziwie, że wszyscy uznają, że to była iluzja. W końcu większość arystokratów Rudolfa to ludzie.

Matthew odpowiedział bardziej powściągliwie:

- Nie ciesz się za bardzo, *mon cœur*. W zaistniałej sytuacji Rudolf nie mógł nie zgodzić się na twoją prośbę, ale nie pokazał też manuskryptu. Prowadzisz bardzo trud-

ną rozgrywkę. I bądź pewna, że cesarz zechce coś dostać w zamian za rzut oka na jego księgę.

- W takim razie będziemy musieli być daleko, nim zdąży tego zażądać - stwierdziłam.

Okazało się, że Matthew miał rację, nakazując ostrożność. Wyobrażałam sobie, że następnego dnia zostaniemy zaproszeni na pokaz skarbów, na osobności. Ale nic takiego się nie stało. Dopiero po kilku dniach otrzymaliśmy oficjalne zaproszenie na obiad w pałacu z kilkoma dobrze zapowiadającymi się teologami. List informował, że po posiłku wybrane osoby zostaną zaproszone na pokoje Rudolfa, by podziwiać wybrane z kolekcji cesarza przedmioty o wyjątkowym znaczeniu mistycznym i religijnym. Wśród zaproszonych był Johannes Pistorius, w młodości luteranin, który przeszedł na kalwinizm, a w najbliższym czasie miał zostać księdzem katolickim.

- Wrabiają nas. - Matthew zaczął przeczesywać palcami włosy. - Pistorius to niebezpieczny człowiek, bezwzględny przeciwnik i czarownik. Za dziesięć lat wróci tu, by zostać spowiednikiem Rudolfa.

- Czy to prawda, że Kongregacja szykuje go na to miejsce? - zapytał cicho Gallowglass.

- Tak. Jest typem intelektualnego drania, który idealnie pasuje czarownicom na reprezentanta. Nie obraż się, Diano. To po prostu trudne czasy dla czarownic - stwierdził.

- Rozumiem - odpowiedziałam spokojnie. - Ale on jeszcze nie jest członkiem Kongregacji, a ty tak. Biorąc pod uwagę jego aspiracje, jakie jest prawdopodobieństwo, że będzie chciał zrobić coś złego na twoich oczach?

- Olbrzymie, bo inaczej Rudolf nie zaprosiłby go na ten sam obiad co nas. Cesarz wyznacza pozycje i przegrupowuje oddziały.

- A o co dokładnie chce walczyć?

- O manuskrypt. I o ciebie. Nie zrezygnuje ani z jednego, ani z drugiego.

- Mówiłam ci już, że nie jestem na sprzedaż. Nie zamierzam też stać się zdobyczą wojenną.

- Nie, ale o ile wie Rudolf, jeszcze do nikogo nie należysz. Rudolf jest arcyksięciem Austrii, królem Węgier, Chorwacji i Czech, margrabią Moraw i Cesarzem Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. A do tego bratankiem Filipa II z Hiszpanii. Habsburgowie są bardzo zachłanną i ambitną rodziną i nie powstrzymają się przed niczym, by zdobyć to, czego pragną.

- Matthew nie żartuje, cioteczko - ponuro odpowiedział na moje protesty Gallowglass. - Gdybyś była moją żoną, wyjechałabyś z Pragi w dniu, w którym pojawił się pierwszy prezent.

W związku z delikatną sytuacją do pałacu towarzyszyli nam Pierre i Gallowglass. Pojawienie się w Wielkiej Sali, którą swego czasu pomagał zaprojektować Matthew, trzech wampirów i czarownicy wzbudziło spodziewane zainteresowanie.

Rudolf posadził mnie blisko siebie, a Gallowglass stanął za moim krzesłem, jak dobrze wychowany służący. Matthew otrzymał miejsce na drugim końcu stołu biesiadnego razem z czujnym Pierre'em. Postronny obserwator uznałby, że Matthew doskonale się bawi w hałaśliwej grupie dam i młodych kawalerów, którzy pragnęli bardziej szykownego wzoru do naśladowania niż cesarski. Wybuchy śmiechu, które dobiegały nas czasem z tamtej strony, nie poprawiały ponurego nastroju władcy.

- Dlaczego musi być tyle rozlewu krwi, ojciec Johannesie? - Rudolf zwrócił się do pulchnego medyka siedzącego po jego lewej ręce. Pistorius miał zostać wyświęcony dopiero za kilka miesięcy, ale z żarliwością typową dla neofity nie protestował, gdy określano go tym tytułem.

- Ponieważ herezję i nieortodoksyjność należy całkowicie wypłenić, Wasza Wysokość. Inaczej odrodzą się w nowym miejscu. - Pistorius posłał mi badawcze spojrzenie spod ciężkich powiek.

Otworzyło się moje czarownicze oko, oburzone tak niegrzecznymi próbami zwrócenia na siebie mojej uwagi, zaskakująco podobnymi do metod Champiera, gdy próbował wykraść moje tajemnice. Zaczynałam odczuwać niechęć do czarowników, którzy skończyli uniwersytety. Odłożyłam nóż i też popatrzyłam mu w oczy. Pierwszy odwrócił wzrok.

- Mój ojciec uważał, że tolerancja jest rozsądniejszą metodą - oświadczył Rudolf.

- A Wasza Wysokość studiował żydowską naukę kabały. Niektórzy słudzy Boga uznaliby to za herezję.

Doskonały słuch Matthew pozwalał mu śledzić naszą rozmowę z uwagą równą tej, z jaką Śarka ścigała swoją zdobycz. Zmarszczył brwi.

- Mój mąż powiedział mi, że jest pan medykiem, herr Pistorius. - Nie była to zbyt dyskretna zmiana tematu, ale odniosła skutek.

- Owszem, frau Roydon. A raczej byłem, nim skupiłem się na ratowaniu dusz zamiast ciał.

- Reputacja ojca Johannesesa bierze się z jego leczenia zarazy - odezwał się Rudolf.

- Byłem tylko narzędziem w rękach Pana. To On jest jedynym prawdziwym uzdrowicielem - powiedział skromnie Pistorius. - Z miłości do nas stworzył wiele naturalnych lekarstw, skutecznych dla naszych niedoskonałych ciał.

- A, tak. Pamiętam twoje słowa o bezoarach jako panaceum na wszelkie choroby. Posłałem jeden z moich kamieni La Diosie, gdy ostatnio chorowała - Rudolf uśmiechnął się do niego z uznaniem.

Pistorius przyjrzał mi się uważnie.

- Lekarstwo Waszej Wysokości wyraźnie zadziałało.

- Tak. La Diosa jest w pełni zdrowa. Doskonale wygląda - odparł Rudolf, a jego dolna warga wysunęła się jeszcze bardziej, gdy mi się przyglądał.

Miałam na sobie prostą czarną suknię wyszywaną białą nicią, a na niej czarną aksamitną pelerynkę. Miękka kreza odchyłała się od mojej twarzy, a w zagłębieniu szyi spoczywał czerwony rubin z salamandrowego naszyjnika Matthew, jedyny kolorowy akcent mojego raczej ponurego stroju. Rudolf skupił się na nim. Zmarszczył brwi i przywołał służącego.

- Trudno powiedzieć, czy bezoar, czy też maść cesarza Maksymiliana była skuteczniejsza - odezwałam się, patrząc z nadzieją na doktora Hajku. Zjadał właśnie trzecie danie z dziczyzny i gwałtownie się rozkaszał, odkrztuszając kawałek sarniny.

Hajek stanął na wysokości zadania.

- Moim zdaniem to zasługa maści, doktorze Pistorius - oświadczył. - Zrobiłem ją w naczyniu z rogu jednoroźca. Cesarz Rudolf uznał, że to zwiększy jej skuteczność.

- La Diosa używała do niej również łyżeczki z rogu jednoroźca - dodał Rudolf, wpatrując się w moje usta. - Dla pewności.

- Czy to naczynie i łyżeczka są wśród okazów, które ujrzymy dziś w gabinecie cudów, Wasza Wysokość? - zapytał Pistorius.

Powietrze pomiędzy mną a czarownikiem nagle zadrzało. Wątki otaczające księdza-medyka przybrały ostre barwy czerwieni i pomarańczy, ostrzegając mnie przed niebezpieczeństwem.

Nie ufam ci, czarownico, wyszeptał jego głos w moich myślach. Tak samo jak twój potencjalny kochanek, cesarz Rudolf.

Dzik, którego właśnie jadłam - doskonale przyprawiony rozmarynem i czarnym pieprzem, które, zdaniem cesarza, miały rozgrzewać krew - zamienił się w moich ustach w popiół, dając odwrotny efekt i przyprawiając mnie o dreszcze.

- Coś się stało? - wyszeptał Gallowglass, pochylając się nad moim ramieniem.

Podał mi szal, o który nie prosiłam i nawet nie wiedziałam, że go wziął.

- Pistorius został zaproszony na górne piętro, by obejrzyć księgę - odparłam, odwracając się do niego i mówiąc szybko po angielsku, by zmniejszyć szanse, że ktoś nas podsłucha.

Gallowglass pachniał solą morską i miętą, orzeźwiająca to i dobra mieszanka. Opanowałam się.

- Zostaw to mnie. - Ścisnął delikatnie moje ramię. -A tak przy okazji, cioteczko, trochę błyszczysz. Dobrze by było, gdyby dziś nikt nie widział gwiazd.

Posławszy mi ostrzegawczą strzałę, Pistorius skupił się na innych tematach i wdał z doktorem Hajkiem w gorącą dyskusję na temat właściwości medycznych teriaku. Rudolf na zmianę posyłał mi melancholijne spojrzenia i mierzył złym wzrokiem Matthew. Wkrótce mieliśmy zobaczyć *Ashmole 782*, a że odechciało mi się jeść, skupiłam się na rozmowie z arystokratką siedzącą obok. Dopiero po kolejnych pięciu daniach - w tym paradzie złożonych paw i zaaranżowanej scenie z pieczoną wieprzowiną i ssącymi prosiakami - bankiet dobiegł końca.

- Zbladłaś - odezwał się Matthew, odciągając mnie od stołu.

- Pistorius mnie podejrzewa. - Ten człowiek przypominał mi Petera Knoksa i Champiera, i to z tych samych powodów. Określenie „intelektualny drań” doskonale do nich pasowało. - Gallowglass powiedział, że się tym zajmie.

- W takim razie nie dziwię się, że Pierre poszedł za nim.

- Co zrobi Pierre?

- Dopilnuje, aby Pistorius wyszedł stąd żywy - odparł wesoło Matthew. - Gallowglass pozostawiony sam sobie zadusiłby go i wrzucił do Fosi Jeleniej, na przekąskę lwom. Mój bratanek jest wobec ciebie prawie tak opiekuńczy jak ja.

Wybrani przez Rudolfa goście towarzyszyli mu do jego azylu - prywatnej galerii, w której widzieliśmy z Matthew tryptyk Boscha. Tam wyszedł nam na spotkanie Ottavio Strada, by pokazać kolekcję i odpowiadać na wszystkie nasze pytania.

Gdy weszliśmy do sali, tryptyk Matthew wciąż stał pośrodku, na okrytym zieloną tkaniną stole. Wokół niego zebrano inne przedmioty godne naszego zainteresowania. Kiedy goście zachwycali się dziełem Boscha, ja rozglądałam się po sali. Były zachwycające kielichy zrobione z półszlachetnych kamieni, emaliowany łańcuch jakiegoś dygnitarza, długi róg, rzekomo jednorożca, jakieś rzeźby i rzeźbiony orzech palmy seszelskiej - ciekawe zestawienie cennych, medycznych i egzotycznych przedmiotów. Ale nigdzie nie widziałam manuskryptu.

- Gdzie on jest? - wysyczałam do Matthew. Nim zdążył odpowiedzieć, poczułam na ramieniu ciepłą dłoń. Matthew zesztywniał.

- Mam dla ciebie prezent, *querida diosa*. - Oddech Rudolfa śmierdzał cebulą i czerwonym winem, aż mi się żołądek skręcił.

Odwróciłam się, spodziewając się ujrzeć *Ashmole 782*, ale okazało się, że cesarz trzyma w ręku emaliowany łańcuch. Nim zdążyłam zaprotestować, przerzucił mi go przez głowę i ułożył na ramionach. Spojrzałam w dół i ujrzałam zielonego uroborosa zwisającego z koła czerwonych krzyży, bogato inkrustowanych szmaragdami, rubinami, brylantami i perłami. Kolory przypominały mi klejnot, który herr Maisel dał Benjaminowi.

- To dziwny dar dla mojej żony, Wasza Wysokość - odezwał się cicho Matthew.

Stał tuż za cesarzem i patrzył z niesmakiem na naszyjnik. Był to już trzeci łańcuch, jaki dostałam, i wiedziałam,



że musi coś symbolizować. Uniosłam uroborosa, by móc mu się przyjrzeć. Właściwie nie był to uroboros, bo miał łapy. Przypominał raczej jaszczurkę, salamandrę. Z rozdartej na grzbiecie skóry wyrastał jaszczurce krwście czerwony krzyż. Co więcej, zwierzak nie trzymał w paszczy ogona, lecz owijał nim szyję, jakby się dusił.

- To dowód szacunku, herr Roydon. Kiedyś miał go król Władysław i w spadku trafił do mojej babki. Emblemata należy do grupy odważnych węgierskich rycerzy, znanych jako Zakon Pokonanego Smoka.

- Smoka? - szepnęłam, patrząc na Matthew.

Z tymi grubymi łapami mógł być to smok. Ale poza tym był bardzo podobny do symbolu rodziny de Clermont - tyle że ten uroboros umierał powolną, okrutną śmiercią. Przypomniałam sobie przysięgę herr Fuchsa - Benjamina - o zabijaniu smoków wszędzie tam, gdzie na nie trafi.

- Smok symbolizuje naszych wrogów, zwłaszcza tych, którzy zagrażają cesarskim przywilejom - stwierdził Rudolf spokojnie, ale było to ciche wypowiedzenie wojny całemu klanowi de Clermontów. - Chciałbym, abyś włożyła go, gdy znów pojawisz się na dworze - dotknął delikatnie smoka na mojej piersi i przytrzymał tam chwilę palec. - A swoje małe francuskie salamandry możesz zostawić w domu.

Spojrzenie Matthew przywarło do smoka i cesarskiego palca; na obraźliwe słowa Rudolfa oczy mu pociemniały. Spróbowałam myśleć jak Mary Sidney i wymyśliłam odpowiedź, która była stosowna do tych czasów, a także mogła uspokoić wampira. Później się zajmę moim pogwałconym poczuciem feminizmu.

- Od mego męża zależy, czy będę to nosić, Wasza Wysokość - odparłam chłodno, zmuszając się, by nie drżeć z obrzydzenia.

Usłyszałam głosy zaskoczenia. Ale interesowała mnie tylko reakcja Matthew.

- Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś nosić tego przez resztę wieczoru, *mon cœur* - oświadczył spokojnie. Przestał się przejmować tym, że ambasador królowej Anglii brzmi jak francuski arystokrata. - Wszak salamandry i smoki są spokrewnione. Jedne i drugie potrafią strawić ogień, byle tylko chronić tych, których kochają. A cesarz jest na tyle miły, że zgodził się pokazać ci swoją księgę.

Matthew rozejrzył się wokół.

- Zaraz, zaraz... wygląda na to, że mamy kolejny przykład niekompetencji signora Strady, gdyż książki tu nie ma.

Spaliliśmy za sobą kolejny most.

- Jeszcze nie, jeszcze nie - burknął Rudolf. - Najpierw chcę pokazać La Diosie coś innego. Spójrz na mój rzeźbiony orzech z Malediwów. Jest jedyny w swoim rodzaju. - Wszyscy poza Matthew grzecznie powędrowali w stronę, którą wskazał palec Strady. - Ty także, herr Roydon.

- Oczywiście - powiedział Matthew, idealnie naśladowując ton swojej matki. Powoli podążył za tłumem.

- Jest tu coś, o co specjalnie prosiłem. Ojciec Johannes pomógł mi zdobyć ten skarb. - Rudolf rozejrzył się, ale nie dostrzegł Pistoriusa. Zmarszczył brwi. - Gdzie on się podział, senior Strada?

- Nie widziałem go od chwili, gdy opuściliśmy Wielką Salę, Wasza Wysokość - odparł Strada.

- Ty! - Rudolf wskazał sługę. - Idź i go znajdź! Sługa natychmiast się oddalił. Cesarz opanował się

i znów skupił na dziwnym eksponacie przed nami. Wyglądało to jak prymitywna rzeźba nagiego mężczyzny.

- Oto, La Diosia, legendarny korzeń z Eppendorfu. Sto lat temu kobieta skradła z kościoła poświęconą hostię i podczas pełni księżyca zakopała w swoim ogrodzie, by go użyźnić. Następnego ranka ujrzała w nim olbrzymią kapustę.

- Wyrosła z hostii? - Trochę orientowałam się w kwestiach chrześcijańskiej eucharystii, stwierdziłam więc, że

w tej opowieści coś zostało pokręcone. *Arbor Diana* to jedno, *arbor brassica* to zupełnie co innego.

- Tak. To był cud. Wykopano kapustę... jej korzeń przypominał ciało Chrystusa. - Rudolf pokazał mi korzeń, miał maluteńki diadem wysadzany perłami. Zapewne dodany później.

- Fascynujące - starałam się, by w moim głosie słychać było zainteresowanie.

- Chciałem ci to pokazać między innymi dlatego, że ten korzeń jest podobny do obrazka z książki, o którą prosiłaś. Ottavio, zawołaj Edwarda.

Wszedł Edward Kelley, przyciskając do piersi księgę. Gdy tylko ją zobaczyłam, wiedziałam. Choć była po drugiej stronie sali, mrowiło mnie całe ciało. Ewidentnie miała moc - zdecydowanie wyraźniejszą, niż w ten wrześnieowy wieczór w Bibliotece Bodlejańskiej, gdy zmieniło się całe moje życie. Oto był manuskrypt Ashmole'a - zanim należał do Eliasa Ashmole'a i zanim zaginął.

- Usiądziesz tu przy mnie i obejrzymy ją razem. - Rudolf wskazał stół z dwoma krzesłami ustawionymi obok siebie. - Daj mi księgę, Edwardzie - wyciągnął rękę, a Kelley z niechęcią podał mu wolumin.

Spojrzałam na Matthew pytająco. A co, jeśli manuskrypt zacznie lśnić, tak jak w Bibliotece Bodlejańskiej, albo zachowa się jakoś dziwnie? A jeśli nie zdołam powstrzymać swojego umysłu przed zadawaniem pytań o sekrety tej księgi? W takiej chwili wybuch magii byłby katastrofą.

Po to tu jesteśmy, mówiło jego stanowcze skinienie głową.

Usiadłam obok cesarza, a Strada poprowadził zebranych do rogu jednorożca. Matthew podszedł bliżej. Wpatrywałam się w księgę przede mną, nie mogąc uwierzyć, że wreszcie nadeszła ta chwila, w której zobaczę nienaruszony manuskrypt *Ashmole 782*.

- No? - zawołał Rudolf. - Otworzysz go czy nie?

- Oczywiście - przyciągnęłam do siebie księgę.

Nie rozświetliła się. Dla porównania położyłam na okładce dłoń, tak jak wtedy, gdy wzięłam ją z magazynu.

Wtedy odetchnęła, rozpoznając mnie, zupełnie jakby czekała, aż się pojawię. Tym razem leżała nieruchomo.

Pod obciążoną skórą drewnianą okładką była pusta pergaminowa karta. Przypomniałam sobie, jak wyglądała kilka miesięcy temu. To właśnie na tej stronie Ashmole i mój ojciec pewnego dnia zapisali tytuł tej księgi.

Przewróciłam stronę i znów ogarnęło mnie to samo poczucie przedziwnego ciężaru. Aż jęknęłam, gdy ujrzałam kolejną stronę.

Na pierwszej, zaginionej stronie *Ashmole 782* widniała iluminacja przedstawiająca drzewo. Pień był sękaty, gruby i poskręcany. Gałęzie wiły się po karcie, ozdobione liśćmi, intensywnie czerwonymi owocami i kwiatami. Zupełnie jak *arbor Diana*, które Mary zrobiła z krwi mojej i Matthew.

Gdy nachyliłam się niżej, zaparło mi dech w piersi. Pień drzewa nie składał się z drewna i kory, lecz z setek przeróżnych ciał - wyginających się i przeżących z bólu, spokojnie owiniętych wokół siebie, a także przerażonych i samotnych.

U dołu strony, wypisany stylem z końca XIII wieku, widniał tytuł, który nadał księdze Roger Bacon: *Prawdziwa tajemnica tajemnic*.

Nozdrza Matthew zadrzały, zupełnie jakby próbował zidentyfikować dziwną woń, ten sam zatechły zapach, który wyczułam w Oksfordzie.

Przerzuciłam stronę i ujrzałam ilustrację, którą wysłano do moich rodziców, a którą przez wiele lat chronił dom Bishopów - feniksa oplatającego skrzydłami chemiczne zaślubiny. Mityczne i alchemiczne stworzenia przyglądały się związkowi Sol i Luny, Słońca i Księżyca.

Matthew, wpatrzony w książkę, wyglądał na zszokowanego. Zmarszczyłam brwi. Wciąż był zbyt daleko, by móc ją dokładnie zobaczyć. Co go tak zbulwersowało? Szybko przewróciłam kolejną stronę. Na trzeciej zaginionej karcie widniały dwa alchemiczne smoki ze skręconymi razem ogonami, splecione w walce lub uścisku - nie dało się tego określić. Z ich ran spływał deszcz krwi, zbierając się w misie, z której wyskakiwały dziesiątki nagich, białych postaci. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej alchemicznej ilustracji.

Matthew stał za plecami cesarza; sądziłam, że jego zaskoczenie przerodzi się w ciekawość na widok tych nowych ilustracji i w radość, że zbliżamy się do rozwiązania tajemnicy księgi. Ale on wyglądał, jakby zobaczył ducha. Zasłaniał nos i usta bladą dłonią. Gdy zmarszczyłam pytająco brwi, skinął głową, dając mi znak, żebym dalej przeglądała manuskrypt.

Odetchnęłam głęboko i otwarłam stronę, na której miała być pierwsza z dziwnych alchemicznych ilustracji, które widziałam w Oksfordzie. Tak jak się spodziewałam, ujrzałam dziewczynkę z dwiema różami. Nie spodziewałam się natomiast, że cała przestrzeń wokół niej będzie pokryta tekstem, dziwną mieszanką symboli i nielicznych liter. W Bibliotece Bodlejańskiej ten tekst spowity był czarem, który zamienił księgę w magiczny palimpsest. Teraz, gdy była nienaruszona, widać było cały tajny tekst. Chociaż jednak mogłam go zobaczyć, nadał nie potrafiłam go odczytać.

Przesunęłam palcami po papierze. Mój dotyk przemieniał słowa w twarz, sylwetkę, imię. Zupełnie jakby tekst próbował mi opowiedzieć historię tysięcy stworzeń.

- Dałbym ci wszystko, o co byś poprosiła. - Poczulałam gorący oddech Rudolfa na policzku. Znów załatywał cebulą i winem, w przeciwieństwie do czystego, świeżego zapachu Matthew. A ciepło Rudolfa odrzucało mnie, od kiedy przyzwyczaiałam się do chłodu, niskiej temperatury

wampira. - Czemu wybrałaś akurat to? Nie pojmuję. Co prawda Edward wierzy, że księga kryje jakiś wielki sekret. Pomiędzy nami pojawiło się długie ramię i dotknęło karty.

- Ależ to jest tak samo bez sensu, jak manuskrypt, który podrzuciłeś biednemu doktorowi Dee. - Twarz Matthèw przeczyła jego słowom.

Rudolf zapewne nie dostrzegł mięśnia pulsującego na szczęce Matthew ani drobnych zmarszczek wokół oczu, które zawsze się pogłębiały, gdy się nad czymś skupiał.

- Niekoniecznie - odezwałam się z wahaniem. - Teksty alchemiczne wymagają badań i kontemplacji, jeśli chce się je w pełni zrozumieć. Może gdybym spędziła nad nim więcej czasu...

- Nawet wtedy trzeba mieć boskie błogosławieństwo. - Rudolf obrzucił Matthew złym spojrzeniem. - Bóg dotknął Edwarda w sposób, który ciebie ominął, herr Roydon.

- Och, na pewno - Matthew zmierzył wzrokiem Kelleya. Angielski alchemik zachowywał się dziwnie, od kiedy

wypuścił księgę z rąk. Łączyły go z nią jakieś więzy. Ale dlaczego właśnie z *Ashmole 782*?

Gdy tylko o tym pomyślałam, delikatne żółte i białe wątki wiążące Kelleya z księgą przeobraziły się. Zamiast typowego związku dwóch kolorów albo splotu pionowych i poziomych nici te owinęły się wokół niewidzialnego środka, zupełnie jak skrócone wstążki na prezencie urodzinowym. Krótkie, poziome wątki nie pozwalały się zetknąć zwojom. Wyglądało to jak...

Podwójna spirala. Uniosłam dłoń do ust i spojrzałam na manuskrypt. Odkąd go dotknęłam, miałam jego stęchły zapach na palcach. Zapach silny, przykry, zupełnie jak...

Krew i ciało. Spojrzałam na Matthew świadoma, że wyraz mojej twarzy go zaszokował.

- Nie wyglądasz dobrze, *mon cœur* - odezwał się z troską, pomagając mi wstać. - Pozwól, że zabiorę cię do domu.

W tym momencie Edward Kelley stracił panowanie nad sobą.

- Słyszę ich głosy. Mówią językami, których me rozumiem. Słyszycie je?

Jęknął zrozpaczony i zacisnął ręce na uszach.

- O czym ty gadasz? - zawołał Rudolf. - Doktorze Hajek, coś złego dzieje się z Edwardem.

- Znajdziesz tam także swoje imię! - Edward podniósł głos, jakby próbował kogoś przekrzyczeć. - Wiedziałem to od chwili, kiedy cię ujrzałem.

Spojrzałam w dół. Mnie także łączyły z księgą poskręcane wątki, tyle że moje były białe i lawendowe. A Matthew czerwone i białe.

Nagle pojawił się Gallowglass, bez zapowiedzi i zaproszenia. Za nim szedł krzepki strażnik, przyciskając do boku bezwładną rękę.

- Konie gotowe - poinformował Gallowglass wskazując drzwi.

- Nie masz prawa tu być! - krzyknął Rudolf, którego złość wzrastała w miarę, jak jego plany się sypały. - A ty, La Diosa, nie masz prawa wyjść.

Matthew nie zwracał na niego uwagi. Po prostu wziął mnie pod ramię i poprowadził do drzwi. Czułam, jak manuskrypt przyzywa mnie do siebie, a wątki rozciągają się, próbując sprowadzić mnie z powrotem.

- Nie możemy zostawić księgi. To...

- Wiem, co to jest - uciał ponuro Matthew.

- Zatrzymać ich! - krzyknął Rudolf.

Ale strażnik ze złamaną ręką tego wieczoru już raz stanął na drodze rozzłoszczonego wampira. Nie zamierzał ryzykować, przeciwstawiając się Matthew; osunął się zemdlony na podłogę.

Gdy biegliśmy po schodach, Gallowglass zarzucił mi płaszcz na ramiona. Dwóch kolejnych strażników, nieprzytomnych, leżało na dole.

- Wróc i zabierz książkę! - nakazałam Gallowglassowi, z trudem łapiąc powietrze: uciskał mnie gorset i zatykało tempo, w jakim biegliśmy przez dziedziniec. - Nie możemy pozwolić, żeby została u Rudolfa, skoro wiemy już, co to jest.

Matthew zatrzymał się, a jego palce wbiły się w moje ramię.

- Nie opuścimy Pragi bez manuskryptu. Odzyskam go, przysięgam. Ale najpierw musimy dotrzeć do domu. Przygotuj dzieci, by były gotowe do ucieczki w chwili, gdy wrócę.

- Spaliliśmy za sobą mosty, cioteczko - odezwał się ponuro Gallowglass. - Pistorius jest zamknięty w Białej Wieży. Zabiłem jednego strażnika i zraniłem trzech. Rudolf dotknął cię w bardzo nieodpowiedni sposób i mam wielką ochotę jego też zabić.

- Nie rozumiesz, Gallowglass. Ta księga może być odpowiedzią na wszystko - zdołałam wykrztusić, nim Matthew znów poderwał mnie do biegu.

- Och, rozumiem więcej, niż sądzisz - usłyszałam jeszcze głos Gallowglassa. - Wyczułem jej zapach z dołu, gdy ogłuszałem strażników. W tej księdze są martwe wampiry. Wampiry i demony też, zapewniam. Kto by pomyślał, że zaginiona Księga Życia będzie na odległość cuchnęła śmiercią?

## ROZDZIAŁ 12

Kto mógł coś takiego zrobić? - Dwadzieścia minut później siedziałam przy kominku w naszym salonie na pierwszym piętrze, ściskając kubek ziołowej herbaty. Drżałam.- To przerażające.



Jak większość manuskryptów, *Ashmole 782* został wykonany z welinu - specjalnie preparowanej skóry, wymoczonej w wapnie w celu usunięcia włosów, oskrobanej z resztek tłuszczu i mięsa, a następnie ponownie namoczonej, naciągniętej na ramę i znów oskrobanej.

Tyle że ten welin nie został zrobiony ze skór owiec, cieląt czy kóz, ale demonów, wampirów i czarownic.

- Musiał być zachowany jako świadectwo. - Matthew wciąż próbował dojść do siebie po tym, co zobaczył.

- Ma setki stron - odezwałam się z niedowierzaniem. Myśl o tym, że ktoś obdarł ze skóry tyle demonów,

wampirów i czarownic, a potem zrobił z nich welin, była nie do pojęcia. Nie sądziłam, bym zdołała jeszcze kiedyś przespać spokojnie noc.

- Co oznacza, że zawiera setki różnych DNA. - Matthew przeczesywał palcami włosy tak często, że zaczął przypominać jeżozwierza.

- Wątki skręcające się pomiędzy nami a *Ashmole 782* wyglądały jak podwójne spirale - zauważyłam.

Musieliśmy też objaśnić współczesną genetykę Gallowglassowi, który starał się za wszystkim nadać mimo braków w wiedzy obejmujących ponad cztery wieki badań z zakresu biologii i chemii.

- A więc D-N-A jest jak drzewo genealogiczne, ale jego gałęzie obejmują więcej niż jedną rodzinę? - Gallowglass wypowiedział „DNA” powoli, literując.

- Tak. Mniej więcej o to chodzi - potwierdził cicho Matthew.

- Widziałeś drzewo na pierwszej stronie? - zapytałam go. - Pień składał się z ciał, a drzewo kwitło, owocowało i wypuszczało liście, zupełnie jak *arbor Diana*, które stworzyliśmy w laboratorium Mary.

- Nie, ale widziałem stworzenie z ogonem w pysku - odparł Matthew.

Próbowałam sobie przypomnieć, co ujrzałam, ale moja fotograficzna pamięć zawiodła mnie akurat wtedy, gdy najbardziej jej potrzebowałam. Było zbyt wiele nowych informacji.

- Ilustracja ukazywała dwie istoty splecione w walce albo uścisku, nie wiem. Nie zdążyłam policzyć ich nóg. Kapiąca z nich krew tworzyła setki bytów. Ale jeśli jedno z nich nie było smokiem o czterech łapach, lecz wężem...

- A drugie dwunogą wiwerną, to te alchemiczne smoki mogłyby symbolizować nas. - Matthew zaklął, krótko, ale siarczyście.

Gallowglass słuchał cierpliwie, aż skończyliśmy, a potem wrócił do swojego tematu:

- A to D-N-A żyje w naszej skórze?

- Nie tylko w skórze, ale i w krwi, kościach, włosach, paznokciach, w całym ciele - wytłumaczył Matthew.

- Hmm... - Gallowglass podrapał się po brodzie. - A co dokładnie macie na myśli, gdy mówicie, że księga może zawierać wszystkie odpowiedzi?

- Chodzi nam o to, dlaczego różnimy się od ludzi. I czemu czarownica taka jak Diana mogła nosić dziecko wampira - wyjaśnił Matthew.

Gallowglass posłał nam promienny uśmiech.

- Chciałeś powiedzieć twoje dziecko, Matthew. Doskonale wiedziałem, że cioteczka była do tego zdolna w Londynie. Nie pachniała niczym innym niż ona sama... i ty. Czy Philippe wiedział?

- Niewielu wiedziało - odparłam szybko.

- Hancock wiedział. Tak jak Françoise i Pierre. Podejrzewam, że Philippe został o tym poinformowany. - Gallowglass wstał. - W takim razie pójdę po prostu po książkę dla cioteczki. Jeśli mówi coś o dzieciach de Clermontów, to musimy ją mieć.

- Rudolf na pewno gdzieś ją starannie zamknął albo śpi z nią pod poduszką - stwierdził Matthew. - Niełatwo będzie ją wykraść z pałacu, zwłaszcza jeśli odnaleźli Pistoriusa, a ten teraz biega w kółko, rzuca czary i utrudnia to zadanie na wszelkie inne sposoby.

- Skoro już mówimy o cesarzu Rudolfie, to moglibyśmy zdjąć z barków cioteczki ten naszyjnik? Nienawidzę tego cholernego emblematu.

- Z chęcią - odparłam, rzucając łańcuch na stół. -A co właściwie Zakon Pokonanego Smoka ma wspólnego z de Clermontami? Zakładam, że nie są w przyjacielskich stosunkach z Rycerzami Łazarza, sądząc z tego, że biedny uroboros został częściowo obdarty ze skóry i sam siebie dusi.

- Nienawidzą nas i pragną naszej śmierci - odpowiedział obojętnie Matthew. Dráculesti nie pochwalają liberalnego podejścia mojego ojca do islamu i Osmanów i przysięgli nas zniszczyć. W ten sposób mogliby realizować swoje polityczne plany bez żadnego nadzoru.

- I chcą pieniędzy de Clermontów - dodał Gallowglass.

- Dráculesti? - powtórzyłam cicho. - Ale Drakula to legenda ludzi, stworzona, by szerzyć strach przed wampirami.

To była najsłynniejsza ludzka legenda o wampirach.

- Ciekawe, co by na to powiedział patriarcha klanu, Vlad Smok. Pewnie ucieszyłby się, że dalej będzie przerażał ludzi - zastanawiał się Gallowglass.

- Drakula, o którym mówią ludzkie legendy, syn Smoka, znany jako Palownik, był tylko jednym z synów Viada -wyjaśnił Matthew.

- Palownik był obrzydliwym bydlakiem. Na szczęście już nie żyje i pozostało nam martwić się jego ojcem, braćmi i ich sojusznikami od Batorych. - Gallowglass był wyraźnie rozweselony.

- Według relacji ludzi, Drakula żył setki lat, a może żyje do dziś. Jesteś pewny, że naprawdę zmarł? - zapytałam.

- Widziałem, jak Baldwin urwał mu głowę i zakopał ją trzydzieści mil od reszty ciała. Wtedy nie żył i teraz też nie żyje. - Gallowglass spojrzał na mnie z dezaprobatą. - Nie powinnaś wierzyć w te ludzkie bajki, cioteczko. Nigdy nie ma w nich więcej niż ziarnka prawdy.

- Wydaje mi się, że Benjamin miał taki smoczy emblemat. Dostał go od herr Maisela. Uświadomiłam to sobie, gdy cesarz pokazywał mi łańcuch.

- Mówiłeś, że Benjamin opuścił Węgry - Matthew zwrócił się z wyrzutem do swojego bratanka.

- Tak zrobił. Przysięgam. Baldwin nakazał mu wyjechać pod groźbą podzielenia losu Palownika. Powinieneś być widzieć minę Baldwina. Sam diabeł nie sprzeciwiłby się twojemu bratu.

- Musimy wyjechać z Pragi, i to jak najdalej, jeszcze przed wschodem słońca - oznajmił ponuro Matthew. - Coś jest nie tak. Czuję to.

- To nie najlepszy pomysł. Wiesz, jaką mamy dziś noc? -zapytał Gallowglass. Matthew pokręcił głową. - Noc Walpurgi. Wszędzie wokół miasta zapalają ogniska i palą kukły czarownic, no, chyba że znajdą jakąś prawdziwą.

- Chryste. - Matthew przeczesał palcami włosy, mierzwiąc je jeszcze bardziej. - Ogniska wykorzystamy jako zasłonę dymną. Musimy ustalić, jak ominąć strażników Rudolfa, dostać się do jego prywatnych komnat i znaleźć księgę. A potem, z ogniskami czy bez, wynosimy się z tego miasta.

- Jesteśmy wampierzami, Matthew. Jeśli ktokolwiek może ją ukraść, to właśnie my - oświadczył Gallowglass.

- To nie będzie takie proste, jak ci się zdaje. Zdołamy wejść, ale czy uda nam się wyjść?

- Panie Roydon, ja mogę pomóc. - W porównaniu z dudniącym basem Gallowglassa i barytonem Matthew głos Jacka brzmiał jak piszczałka.

Matthew odwrócił się i zmierzył chłopca wzrokiem.

- Nie, Jack - powiedział stanowczo. - Nie wolno ci niczego kraść, pamiętasz? Poza tym byłeś tylko w pałacowych stajniach. Nie wiedziałbyś nawet, gdzie szukać.

- Eee... to niezupełnie prawda. - Gallowglass zdawał się zmieszany. - Zabrałem go raz do katedry. I Wielkiej Sali, żeby zobaczył rysunki, które zrobiłeś kiedyś na Rycerskich Schodach. I był w kuchniach. Och... - dodał po chwili zastanowienia. - Był też oczywiście w menażerii. Przecież okrucieństwem byłoby nie pokazać mu zwierzątek.

- Ze mną też był w zamku - odezwał się od drzwi Pierre. - Nie chciałem, żeby któregoś dnia sam tam poszedł i się zgubił.

- A ty gdzie go zabrałeś, Pierre? - Głos Matthew był lodowaty. - Do sali tronowej, żeby mógł sobie poskakać po cesarskim siedzisku?

- Nie, milordzie. Do kowala i na spotkanie z mistrzem Hoefnagem. - Pierre wyprostował się na całą, raczej skromną, wysokość i spojrzał na swojego pana. - Pomyślałem, że powinien pokazać swoje rysunki komuś, kto się na tym zna. Mistrz Hoefnagel był pod wrażeniem i w nagrodę naszkicował atramentem jego portret.

- Pierre zabrał mnie też do strażnicy - wtrącił cicho Jack. - Stamtąd mam to - uniósł pęk kluczy. - Chciałem tylko obejrzeć jednorożca, bo nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak jednorożec mógł wejść po schodach; stwierdziłem, że musiał mieć skrzydła. A potem pan Gallowglass pokazał mi Rycerskie Schody. Podoba mi się bardzo pański obrazek biegnącego jelenia, panie Roydon. Strażnicy rozmawiali. Nie rozumiałem wszystkiego, ale dosłyszałem *einhorn*, i pomyślałem, że może oni wiedzą, gdzie on jest i...

Matthew chwycił Jacka za ramiona i ukląkł, by spojrzeć mu w oczy.

- Wiesz, co by ci zrobili, gdyby cię złapali? - Mój mąż wyglądał na równie przestraszonego jak chłopiec.

Jack skinął głową.

- Zobaczyć jednorożca było warte bicia?

- Już mnie bito. Ale nigdy nie widziałem magicznego stwora, poza lwem w menażerii cesarza. I smokiem pani Roydon. - Jack zrobił przerażoną minę i zacisnął rękę na ustach.

- A więc i to widziałeś? Praga nas wszystkich zmusiła do myślenia. - Matthew wstał i wyciągnął rękę. - Daj klucze.

Jack oddał je z niechęcią. Matthew uklonił się chłopcu.

- Jestem twoim dłużnikiem, Jack.

- Przecież byłem niegrzeczny - wyszeptał Jack. Potarł pupę, jakby już czuł razy, jakie na pewno dostanie od Matthew.

- Ja jestem ciągle niegrzeczny - przyznał się Matthew. - I czasem wychodzi z tego coś dobrego.

- Ale pana nikt nie bije! - odparł Jack, wciąż próbując zrozumieć ten dziwny świat, w którym dorośli mężczyźni są dłużnikami małych chłopców, a jego bohater okazał się nie tak idealny, jak sądził.

- Ojciec Matthew zbił go kiedyś mieczem. Widziałam. - Wiwerna zatrzepotała w mojej klatce piersiowej, przyznając mi rację. - A potem go przewrócił i na nim stanął.

- Chyba musi być wielki jak cesarski niedźwiedź Sixtus - stwierdził Jack, zdziwiony, że ktoś mógłby pokonać Matthew.

- O tak - zgodził się Matthew i zawarczał jak wspomniany niedźwiedź. - Wracaj do łóżka. Już!

- Ale ja jestem zwinny... i szybki - zaprotestował Jack. - Mogę zabrać książkę pani Roydon i nikt mnie nie zobaczy.

- Ja też, Jack - zapewnił go Matthew.

Matthew i Gallowglass wrócili z pałacu ubrudzeni krwią i sadzą... i z *Ashmole 782* w rękę.

- Zdobyliście go! - zawołałam.

Czekałam z Annie na pierwszym piętrze. Miałyśmy spakowane niewielkie torby z niezbędnymi rzeczami. Matthew otworzył okładkę.

- Brakuje pierwszych trzech stron.

Księga, jeszcze kilka godzin temu cała, teraz była wybrakowana, a tekst przesuwiał się po jej kartach. Planowałam, że gdy odzyskamy manuskrypt, przebiegnę palcami po literach i symbolach, aby ustalić ich znaczenie. Teraz to było niemożliwe. Gdy tylko dotknęłam strony, słowa uciekały na boki.

- Znaleźliśmy Kelleya z książką. Nachylał się nad nią i gadał do niej jak szaleniec. - Matthew zamilkł na chwilę. -A księga odpowiadała.

- Mówi prawdę, cioteczko. Słyszałem głosy, ale nie mogłem nic zrozumieć.

- A więc ta księga jest naprawdę żywa - wyszeptałam.

- I naprawdę martwa. - Gallowglass dotknął okładki. -Jest równie zła jak potężna.

- Gdy Kelley nas zobaczył, zaczął wrzeszczeć i wyrywać kartki. Strażnicy pojawili się, nim zdążyłem go dopaść. Musiałem wybierać między księgą i Kelleyem. - Matthew zawahał się. - Czy dobrze zrobiłem?

- Chyba tak - odparłam. - Księga, gdy znalazłam ją w Anglii, była już wybrakowana. Możliwe, że łatwiej będzie znaleźć utracone strony w przyszłości niż teraz.

Nowoczesne wyszukiwarki i katalogi biblioteczne na pewno mogły pomóc, od chwili, gdy wiedziałam, czego szukam.

- O ile nikt ich nie zniszczył - mruknął Matthew. - Bo jeśli tak...

- To nigdy nie poznamy wszystkich tajemnic tej księgi. Ale mimo to twoje współczesne laboratorium zdota odkryć więcej tajemnic z tego, co zostało, niż sądziliśmy, gdy wyruszyliśmy na tę wyprawę.

- A więc jesteś gotowa wrócić? - zapytał Matthew. W jego oczach coś zabłysło, ale szybko zgasło. Czy było to podniecenie? Żal?

Skinęłam głową.

- Już czas.

Uciekliśmy z Pragi w świetle ognisk. Inne, podobne do nas stworzenia kryły się w Noc Walpurgi, w obawie że świętujący zaciągną je na stos.

Po Morzu Północnym dało się już żeglować, a wiosenna odwilż połamała lód w portach. Statki wypływały w kierunku Anglii i bez zwłoki udało nam się na jeden zaokrętować. Ale odbijaliśmy od europejskich brzegów w sztormowy dzień.

Matthew siedział nad księgą w naszej kabinie pod pokładem. Ustalił, że została zszyta długimi pasmami włosów.

- *Dieu* - wyszeptał. - Ile jeszcze informacji genetycznych może zawierać?

Nim zdołałam go powstrzymać, dotkną! czubkiem małego palca języka, a potem kropli krwi spływających z włosów dziecka na pierwszej ocalałej stronie.

- Matthew! - krzyknęłam przerażona.

- Tak jak sądziłem, w tym atramencie jest krew. A skoro tak, to podejrzewam, że złote i srebrne płatki z tych ilustracji przylepiono klejem kostnym. Z kości stworzeń.

Statek zakołysał, a wraz z nim mój żołądek. Gdy opanowałam mdłości, Matthew objął mnie. Między nami leżała księga; była uchylona, a wiersze tekstu próbowały znaleźć należne im miejsce.

- Co myśmy zrobili? - wyszeptałam.

- Znaleźliśmy Drzewo Życia i Księgę Życia, i to w jednym - Matthew oparł policzek o moją głowę.

- Gdy Peter Knox powiedział mi, że w tej księdze znajdują się wszystkie oryginalne czary czarownic, powiedziałam mu, że oszalał. Nie mogłam sobie wyobrazić, że ktoś byłby na tyle szalony, by zebrać tyle wiedzy w jednym miejscu - dotknęłam księgi. - Ale ta księga zawiera



znacznie więcej... a my nadal nie wiemy, o czym mówi tekst. Gdyby wpadła w nieodpowiednie ręce w naszych czasach...

- Można by ją wykorzystać do zniszczenia nas wszystkich - dokończył Matthew.

Uniosłam głowę, by na niego spojrzeć.

- To co z nią zrobimy? Zabierzemy ze sobą w przyszłość czy zostawimy tutaj?

- Nie wiem, *mon cœur*. - Przytulił mnie mocniej, tak że ledwo słyszałam fale uderzające o kadłub.

- Ale ta księga może nieść odpowiedź na wszystkie nasze pytania! - Byłam zaskoczona, że teraz, gdy Matthew wiedział, co zawiera, zgadzał się z nią rozstać.

- Nie wszystkie - odparł. - Jest jedno, na które sama możesz odpowiedzieć.

- Jakie? - zapytałam, marszcząc brwi.

- Cierpisz na chorobę morską czy jesteś przy nadziei? - Oczy Matthew były równie mroczne i wzburzone jak niebo z błyskawicami.

- Powinieneś wiedzieć lepiej ode mnie. - Kochaliśmy się ledwie kilka dni wcześniej, tuż po tym, jak się zorientowałam, że spóźnia mi się okres.

- W twojej krwi nie widziałem dziecka ani nie słyszałem jego serca; jeszcze na to za wcześnie. Ale wyczułem zmianę w twoim zapachu. Pamiętam ją z poprzedniego razu. Jesteś w ciąży od ledwie paru tygodni.

- Sądziłam, że ten fakt tylko zachęci cię do zatrzymania książki.

- Może moje pytania nie potrzebują odpowiedzi tak szybko, jak przypuszczałem. - By tego dowieść, Matthew odłożył księgę na podłogę, poza zasięgiem wzroku. - Myślałem, że powie mi, kim jestem i po co tu jestem. Ale chyba już to wiem.

Czekałam na wyjaśnienie.

- Po całym tych poszukiwaniach odkryłem, że jestem tym, kim byłem zawsze: Matthew de Clermontem. Mężem. Ojcem. Wampirem. I jestem tu tylko z jednego powodu: by coś zmienić.

## ROZDZIAŁ 13

Peter Knox omijał kałuże na dziedzińcu klasztoru na Strahovie w Pradze. Dokonywał corocznego wiosennego objazdu bibliotek w centralnej i wschodniej Europie. Gdy turystów i naukowców było najmniej, Knox jeździł od jednego repozytorium do drugiego, upewniając się, że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy nie pojawiło się nic nieprzewidzianego, co mogłoby narazić Kongregację, albo jego, na problemy. W każdej bibliotece miał zaufanego informatora, pracownika placówki, który był na tyle wpływowy, by mieć dostęp do książek i manuskryptów, ale nie dość, by uniknąć odpowiedzialności w związku z... zaginięciem skarbów biblioteki.

Knox dokonywał tych objazdów, od kiedy zrobił doktorat i zaczął pracować dla Kongregacji. Wiele się zmieniło od drugiej wojny światowej, a struktura administracyjna Kongregacji przystosowała się do nowych czasów. Wraz z dziewiętnastowieczną rewolucją w transporcie pociągi i drogi pozwoliły na nowy sposób zarządzania, tak że każdy gatunek skupiał się raczej na sobie, a nie na nadzorze nad konkretnym terytorium. Oznaczało to mnóstwo podróży i pisanie listów, możliwych w wieku pary. Philippe de Clermont walnie przyczynił się do modernizacji działalności

Kongregacji, choć Knox od dawna podejrzewał, że zrobił to głównie po to, by chronić tajemnice wampirów, a nie promować postęp.

A później wojny światowe zniszczyły łączność i sieci komunikacyjne, Kongregacja zaś powróciła do starych zwyczajów. Rozsądniej by było podzielić kulę ziemską na pasy, niż jeździć w kółko w poszukiwaniu konkretnej osoby oskarżonej o jakieś przestępstwo. Nikt nie odważyłby się na tak radykalną zmianę, gdyby Philippe żył. Na szczęście ta głowa rodu de Clermontów nie miała już nic do powiedzenia. Internet i e-maile sprawiały, że takie podróże nie były już niezbędne, ale Knox lubił tradycję.

Wtyczką Knoksa w Bibliotece Strahovskiej był mężczyzna w średnim wieku, Pavel Skovajsa. Był cały popielaty jak woskowany papier, nosił okulary z czasów komuny i odmawiał ich wymiany, ale trudno było stwierdzić, czy ze względów historycznych, czy sentymentalnych. Zwykle spotykał się z Knoksem w browarze klasztornym, w którym znajdowały się lśniące miedziane zbiorniki i podawano doskonałe bursztynowe piwo, nazwane po świętym Norbercie, którego szczątki spoczywały nieopodal.

Ale tego roku Skovajsa rzeczywiście coś znalazł.

- To list. Po hebrajsku - wyszeptał w słuchawkę. Nowe technologie traktował podejrzliwie - nie miał

telefonu komórkowego i nienawidził e-maili. Dlatego właśnie zatrudniono go w dziale konserwatorskim, gdzie jego dziwaczne podejście do wiedzy nie mogło spowalniać postępu w bibliotece.

- Czemu szepczesz, Pavle? - zapytał zirytowany Knox. Skovajsa uważał się za kogoś w rodzaju szpiega z czasów

zimnej wojny, co stanowiło pewien problem. Zachowywał się z tego powodu trochę paranoicznie.

- Bo musiałem rozłożyć książkę, by go zdobyć. Ktoś ukrył go pod wyklejką egzemplarza *De Arte Cabalística*

Johannesa Reuchlina - wyjaśnił podniecony Skovajsa. - Musisz natychmiast przybyć. W liście jest mowa o alchemii i tym Angliku, który pracował dla Rudolfa II. To chyba ważne.

Knox zabukował następny lot z Berlina. A teraz Skovajsa wciągnął go do obskurnego pokoiku w piwnicach biblioteki, oświetlonego pojedynczą gołą żarówką.

- Nie możemy pracować w jakimś wygodniejszym miejscu? - zapytał Knox, przyglądając się podejrzliwie metalowemu biurku z czasów komunizmu. - Czy to gulasz? - Wskazał lepką plamę na blacie.

- Ściany mają uszy, a podłogi oczy. - Skovajsa wytarł plamę rękawem brązowego swetra. - Tu jest bezpieczniej. Przyniosę list.

- I książkę - dodał ostro Knox.

Skovajsa odwrócił się, zaskoczony jego tonem.

- Tak, oczywiście. Książkę też.

- To nie jest *O sztuce Kabaty* - stwierdził coraz bardziej zirytowany Knox, gdy wrócił Skovajsa.

Księga Johannesa Reuchlina była wąska i elegancka, ale gruba. Musiała mieć z osiemset stron. Gdy Skovajsa rzucił ją na stół, mebel aż zadrżał.

- Niezupełnie - odparł ostrożnie Skovajsa. - To *De Arcanis Catholicae Veritatis* Galatina. Ale w środku jest Reuchlin.

Knox nienawidził, gdy ktoś odnosił się niefrasobliwie do informacji bibliograficznych.

- Na stronie tytułowej widać teksty po hebrajsku, łacinie i francusku - Skovajsa otworzył okładkę.

Nie było nic, co mogłoby podeprzeć wielki tom, Knoksa nie zdziwił więc złowieszczy zgrzyt. Spojrzał z niepokojem na Skovajcę.

- Bez obawy. Nie jest skatalogowana. Znalazłem ją, bo leżała na półce obok drugiego egzemplarza, który miał zostać na nowo oprawiony. Pewnie trafiła tu przez pomyłkę,



Knox otworzył teczkę. To sen. Musiał śnić. List był datowany na drugi Elul 5369 - pierwszy września 1609 roku w kalendarzu chrześcijańskim. I podpisany Yehuda Ben Bezalel, znany większości ludzi jako rabin Judah Loew.

- Znasz hebrajski, prawda? - zapytał Skovajsa.

- Tak. - Tym razem to Knox szeptał. - Tak - dodał głośniej.

Wpatrywał się w list.

- No i? - odezwał się po długiej ciszy Skovajsa. - O czym to jest?

- Wygląda na to, że Żyd z Pragi spotkał Edwarda Kelleya i pisał o tym swojemu przyjacielowi.

Tak poniekąd było.

*Długiego życia w spokoju, Benjaminie synu Gabriela, drogi przyjacielu, pisał rabin Loew.*

*Bardzo ucieszył mnie Twój list z miasta mojego urodzenia. Poznań to dla ciebie lepsze miejsce niż Węgry, gdzie nie czeka Cię nic poza cierpieniem. Jestem już starym człowiekiem, ale Twój list przywołał wyraźnie w mojej pamięci dziwne wydarzenia z wiosny 5351 roku, gdy przyszedł do mnie Edwardus Kellaeus, drogi cesarzowi badacz alchemii. Mówił, że zabił jakiegoś mężczyznę i że strażnicy cesarza niedługo aresztują go za morderstwo i zdradę. Przewidział własną śmierć, krzyząc: „Jak anioły upadnę do piekieł”. Mówił też o księdze, której szukasz, a która, jak wiesz, została skradziona cesarzowi Rudolfowi. Kellaeus nazywał ją czasem Księgą Stworzenia, a czasem Księgą Życia. Wciąż powtarzał: „Na początku są nieobecność i pożądanie”, „Na początku jest krew i strach”, „Na początku jest odkrycie czarodziejstwa” i tak dalej.*

*W szaleństwie Kellaeus wydarł z księgi trzy pierwsze strony, i to zanim została odebrana cesarzowi. Dał mi jedną z nich. Kellaeus nie chciał powiedzieć, komu prze-*

*kazał pozostałe, mówiąc o jakimś aniele śmierci i aniele życia. Niestety nie wiem, gdzie księga znajduje się teraz. Nie mam też tej karty, gdyż oddałem ją dla bezpieczeństwa Abrahamowi Ben Elijahowi. Uśmierciła go zaraza i możliwe, że karty tej nie uda się już odnaleźć. Jedyńym, kto może nadać tej sprawie nowy bieg, jest Twój Stwórca. Niech Twoja chęć uzdrowienia tej zniszczonej księgi pójdzie dalej, po uzdrowienie zniszczonej linii rodu, byś mógł zaznać spokoju u boku Ojca, który dał Ci życie. Niech Pan strzeże Twej duszy.*

*Od Twego oddanego przyjaciela Yehudy ze świętego miasta Pragi, syna Bezalela, 2 miesiąca Elul 5369*

- To wszystko? - odezwał się po kolejnej chwili milczenia Skovajsa. - Mówi tylko o spotkaniu?

- W skrócie.

Knox przeprowadził na tylnej okładce teczki szybkie obliczenia. Loew zmarł w roku 1609. Kelley odwiedził go osiemnaście lat wcześniej. Wiosną 1591 roku. Sięgnął po telefon komórkowy i z niesmakiem spojrzął na wyświetlacz.

- Nie macie tutaj sygnału?

- Jesteśmy pod ziemią. - Skovajsa wzruszył ramionami i wskazał grube mury. - Więc miałem rację, informując cię o tym?

Oblizął z podniecenia usta.

- Doskonale się spisałeś, Pavle. Zabieram list. I księgę. Były to jedyne przedmioty, które Knox kiedykolwiek zabrał z Biblioteki Strahovskiej.

- Dobrze. Jak przeczytałem o tej alchemii, to wiedziałem, że warto cię zawiadomić. - Pavel uśmiechnął się szeroko.

To, co nastąpiło później, było przykre. Skovajsa miał pecha, by po latach bezproduktywnych poszukiwań znaleźć dla Knoksa coś cennego. Kilkoma słowami i jednym gestem Knox dopilnował, by Pavel już nigdy nikomu nie powiedział,

co zobaczył. Ze względów sentymentalnych i etycznych go nie zabił. Tak zrobiłby wampir - wiedział o tym od zeszłej jesieni, gdy znalazł Gillian Chamberlain, opartą o drzwi jego pokoju w hotelu Randolph. Jako czarownik po prostu uwolnił zakrzep, który tkwił w żyłę udowej Skovajsy, by doszedł do mózgu. A gdy tam dotarł, spowodował ciężki udar. Nie było szans, by ktokolwiek znalazł tu konserwatora przed upływem kilku godzin, a wtedy będzie już za późno.

Knox wrócił do swojego wynajętego samochodu z potężną księgą i listem bezpiecznie wsuniętymi pod pachę. Gdy był już wystarczająco daleko od strahovskiego klasztoru, zjechał na pobocze i trzęsącymi się rękami wyciągnął list.

Wszystko, co Kongregacja wiedziała o tajemniczej księdze początków -*Ashmole 782* - opierało się właśnie na takich fragmentach jak ten. Każde nowe odkrycie niezmiernie poszerzało wiedzę. A ten list zawierał nie tylko krótki opis księgi i zawołane sugestie dotyczące jej znaczenia. Były tu także imiona i daty, no i szokująca informacja, że w księdze, którą Diana Bishop widziała w Oksfordzie, brakuje trzech stron.

Knox znów spojrzał na list. Chciał wiedzieć więcej -wycisnąć z niego wszelkie informacje. Tym razem zwrócił uwagę na kilka zwrotów: „zniszczona linia rodu”, „Ojciec, który dał ci życie”, „Twój Stwórca”. Knox, gdy czytał to po raz pierwszy, uznał, że Loew mówi o Bogu. Przy powtórnej lekturze doszedł do innego wniosku. Wyjął telefon i nacisnął jedną cyfrę.

- *Oui.*

- Kim jest Benjamin Ben Gabriel? - zapytał stanowczym tonem. Nastąpiła chwila ciszy.

- Cześć, Peter - odezwał się w końcu Gerbert z Aurillac. Słyszając tę nijaką odpowiedź, Knox zacisnął drugą dłoń w pięść. Jakże to typowe dla wampirów z Kongregacji. Mówi-



ły o uczciwości i współpracy, ale żyły zbyt długo i wiedziały za wiele. I, jak wszystkie drapieżniki, nie chciały się dzielić swoimi zdobyczami.

- „Benjamin - wilk drapieżny”. Wiem, że Benjamin Ben Gabriel jest wampirem. Który to?

- Nikt ważny.

- Czy wiesz, co wydarzyło się w Pradze w 1591 roku? -zapytał podniecony Knox.

- Mnóstwo rzeczy. Nie oczekujesz chyba, że będę ci teraz wszystko referował, jak uczeń przy tablicy?

Knox usłyszał w głosie Gerberta drżenie, coś, co mógł wychwycić tylko ktoś, kto znał go bardzo dobrze. Gerbert, czcigodny wampir, który nigdy nie zapominał języka w gębie, był zdenerwowany.

- Asystent doktora Dee, Edward Kelley, był w Pradze w 1591 roku.

- Już to przerabialiśmy. To prawda, a Kongregacja swego czasu podejrzewała, że *Ashmole 782* mógł być w bibliotece Dee. Ale kiedy pojawił się ten pomysł, spotkałem się z Edwardem Kelleyem w Pradze, wiosną 1586 roku. Doktor Dee miał księgę z obrazkami. Nie naszą. Od tamtej pory na wszelki wypadek odnaleźliśmy wszystkie pozycje z biblioteki Dee. Elias Ashmole nie dostał manuskryptu od Dee ani od Kelleya.

- Mylisz się. Kelley miał księgę w maju 1591 roku. -Knox zamilkł na chwilę. - I ją podzielił. W księdze, którą Diana Bishop znalazła w Oksfordzie, brakowało trzech stron.

- Co wiesz, Peter? - zapytał ostro Gerbert.

- A co ty wiesz, Gerbercie? - Knox nie lubił wampira, ale od lat współpracowali. Obaj rozumieli brzemienną w skutki zmianę, która dokona się w ich świecie. A na końcu mieli być zwycięzcy i pokonani. Żaden z mężczyzn nie chciał należeć do tych drugich.

- Benjamin Ben Gabriel to syn Matthew Clairmonta -odezwał się z ociąganiem Gerbert.

- Jego syn? - powtórzył tępo Knox.

W żadnym z bogatych wampirzych drzew genealogicznych Kongregacji nie było Benjamin de Clermont.

- Tak. Ale Benjamin wyrzekł się swojego rodu. Nie jest to coś, co przychodzi wampirowi łatwo, bo reszta rodziny może go zabić, by chronić swoje tajemnice. Matthew nie pozwolił de Clermontom odebrać życia jego synowi. I nikt nie widział Benjamin od XIX wieku, gdy zniknął w Jerozolimie.

Knoksowi świat zaczął się walić. Nie można było pozwolić, by Matthew Clairmont zdobył *Ashmole 782*. Nie, jeśli manuskrypt zawierał największe tajemnice czarownic.

- W takim razie musimy go odnaleźć - stwierdził Knox. -Bo według tego listu Edward Kelley rozdał trzy kartki. Jedną dał rabinowi Loewowi, który przekazał ją komuś o imieniu Abraham Ben Elijah z Chełma.

- Abraham Ben Elijah był kiedyś znany jako bardzo potężny czarownik. Czy wy naprawdę w ogóle nie znacie swojej własnej historii?

- Wiemy, że nie należy ufać wampirom. Zawsze uważałem to za uprzedzenia wynikające z hysterii, nie historii, ale teraz zaczynam się zastanawiać. - Knox zamilkł. - Loew poradził Benjaminowi, by poprosił o pomoc swojego ojca. Wiedziałem, że de Clermont coś ukrywał. Musimy odnaleźć Benjamin de Clermonta i zmusić go, by powiedział nam, co on i jego ojciec wiedzą o *Ashmole 782*.

- Benjamin de Clermont to niezrównoważony młodzik. Dotknięty tą samą chorobą, która dręczyła siostrę Matthew, Louise. - Wampiry nazywały to krwawym szalem, a Kongregacja zastanawiała się, czy choroba nie ma jakiegoś związku z nowym schorzeniem, które dotykało wampiry i kończyło się śmiercią wielu ciepłokrwistych po nieudanych próbach

zamienienia ich w wampiry. - Jeśli rzeczywiście istnieją trzy zaginione kartki *Ashmole 782*, to znajdziemy je bez jego pomocy. Tak będzie lepiej.

- Nie. Nadszedł czas, by wampiry odkryły swoje sekrety. - Knox wiedział, że powodzenie ich planów zależy w dużej mierze od tej gałęzi rodziny de Clermontów.

Jeszcze raz spojrzął na list. Loew jasno dał do zrozumienia, że chce, aby Benjamin uzdrowił nie tylko księgę, ale również swój związek z rodziną. Matthew Clairmont mógł na ten temat wiedzieć więcej, niż ktokolwiek by przypuszczał.

- Pewnie teraz będziesz chciał cofnąć się w czasie do Pragi Rudolfa, by odnaleźć Edwarda Kelleya - prychnął Gerbert, próbując zapanować nad zniecierpliwieniem.

Czarownice i czarownicy bywają tacy impulsywni.

- Wręcz przeciwnie. Jadę do Sept-Tours.

Gerbert parsknął. Szturm na rodzinny zamek de Clermontów był jeszcze głępszym pomysłem niż wycieczka w przeszłość.

- Może to i kuszące, ale niemądre. Baldwin udaje, że tego nie widzi, tylko dlatego, że jest skłócony z Matthew. -Z tego, co wiedział Gerbert, był to jedyny istotny błąd Philippe'a; to on przekazał Rycerzy Łazarza Matthew, a nie swojemu najstarszemu synowi, który zawsze uważał, że jemu się to należy. - Poza tym Benjamin nie uważa się już za de Clermonta, a de Clermontowie na pewno nie uważają go za swojego. Sept-Tours jest ostatnim miejscem, w którym moglibyśmy go znaleźć.

- Z tego, co wiemy, Matthew de Clermont od wieków miał jedną z zagubionych stron. Dopóki jej się nie odtworzy, księga do niczego się nie nada. Poza tym czas, by ten wampir zapłacił za swoje grzechy, a także za grzechy matki i ojca. Wszyscy oni byli odpowiedzialni za śmierć tysięcy czarownic. Niech wampiry się martwią, jak udobruchać Baldwina.

Knox miał sprawiedliwość po swojej stronie.

- Nie zapomnij o grzechach jego kochanki - dodał rozwścieczony Gerbert. - Tęsknię za moją Juliettą. Diana Bishop winna jest mi życie za to, które odebrała.

- A więc mam twoje poparcie? - Knox, prawdę mówiąc, nie dbał o to.

Przed końcem tygodnia zamierzał poprowadzić atak na twierdzę de Clermontów, z pomocą Gerberta lub bez.

- Owszem - zgodził się z ociąganiem Gerbert. - Wiesz, że wszyscy się tam zbierają. Czarownice, wampiry. Nawet kilka demonów. Nazywają się Konwentyklem. Marcus wysłał do wampirów z Kongregacji list z żądaniem zmiany umowy.

- Ale to by oznaczało...

- Koniec naszego świata - dokończył Gerbert.

CZĘŚĆ 111

LONDYN: BLACKFRIARS

## ROZDZIAŁ 14

Zawiodłeś mnie!

Przez salę przeleciał czerwony adamaszkowy pantofelek. Matthew pochylił głowę w chwili, gdy miał w nią uderzyć. Pantofelek minął jego ucho, trafił w wysadzane drogimi kamieniami sferyczne astrolabium i spadł na podłogę. Połączone pierścienie astrolabium zaczęły się kręcić po ustalonych orbitach.

- Chciałam Kelleya, głupcze. A zamiast niego mam tu cesarskiego ambasadora, który opowiedział mi o twoich licznych uchybieniach. Zażądał widzenia ze mną jeszcze przed ósmą rano, ledwie wzeszło słońce. - Elżbietę Tudor bolał ząb, co nie poprawiało jej nastroju. Cmoknęła, by złagodzić ból trzonowca, i skrzywiła się. - A ty gdzie się podziewałeś? Przychodzisz do mnie, nie przejmując się wcale moim cierpieniem.

Do Jej Wysokości podeszła błękitnooka piękność i wręczyła jej kawałek materiału nasączonego olejkiem goździkowym. Siedzący obok mnie Matthew sprawiał, że w sali już i tak zapach przypraw był odurzający. Elżbieta włożyła ostrożnie to lekarstwo między dąsło i policzek, a dziewczyna odsunęła się z szelestem zielonych sukien. Był to optymistyczny akcent w ten pochmurny majowy dzień, zupełnie jak zwiastun bliskiego lata. Z sali na czwartym

piętrze wieży pałacu w Greenwich roztaczał się wspaniały widok na szarą rzekę, błotnistą ziemię i burzowe chmury na angielskim niebie. Mimo wielu okien srebrzyste światło poranka nie zdołało rozświetlić ponurego pokoju, umeblowanego w stylu wczesnych Tudorów. Wyryte na suficie inicjały - przeplatające się H i A, Henryk VIII i Anna Boleyn - wskazywały na to, że salę urządzono mniej więcej w tym samym czasie, w którym urodziła się Elżbieta, i od tej pory raczej z niej nie korzystano.

- Może powinniśmy wysłuchać pana Roydona, nim rzucisz kałamarzem - zasugerował spokojnie William Cecil.

Ręka Elżbiety zawisła w powietrzu, ale nie odstawiła ciężkiego metalowego przedmiotu.

- Mam wieści o Kelleyu - zaczęłam, pragnąc pomóc.

- Nie interesuje nas twoje zdanie, pani Roydon - odparła ostro królowa Anglii. - Jak zbyt wiele kobiet na moim dworze nie masz za grosz poczucia przyzwoitości i dobrych obyczajów. Jeśli pragniesz pozostać w Greenwich wraz z mężem, a nie wrócić do Woodstock, gdzie twoje miejsce, lepiej weź przykład z pani Throckmorton. Ona nie odzywa się niepytana.

Pani Thockmorton spojrzała na Waltera, stojącego obok Matthew. Spotkaliśmy go na tylnych schodach do prywatnych pokoi królowej i chociaż Matthew uznał, że nie trzeba, Walter uparł się towarzyszyć nam do jaskini lwa.

Bess zacisnęła usta, by pohamować rozbawienie, ale oczy jej aż lśniły. Piękna dziewczyna pod opieką królowej i jej przystojny, posepny pirat byli sobie drodzy, widzieli to wszyscy poza Elżbietą. Kupidyn dopadł sir Waltera Rale-igha dokładnie tak, jak obiecał mu to Matthew. Facet był kompletnie zadurzony.

Mina Waltera złagodniała na widok spojrzenia kochanki, a sposób, w jaki zmierzył ją wzrokiem, sugerował, że kwe-

stia jej dobrych obyczajów zostanie poruszona w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Jeśli obecność Diany nie jest niezbędna, może pozwolisz, by moja żona wróciła do domu i odpoczęła, jak prosiłem - odezwał się spokojnie Matthew, chociaż jego czarne oczy tak jak oczy królowej ciskały błyskawice. -Podróżowała przez kilka tygodni.

Królewska barka przejęła nas, nim jeszcze zdołaliśmy postawić stopę w dzielnicy Blackfriars.

- Odpocząć! Od kiedy usłyszałam o twoich przygodach w Pradze, nie mogę spać w nocy. Odpocznie, gdy z tobą skończę! - wrzasnęła Elżbieta, a kałamarz poleciał w ślad za królewskim pantofelkiem. Gdy zaczął się zbliżać do mojej głowy, Matthew wyciągnął rękę i go złapał. Bez słowa przekazał go Raleighowi, który rzucił go służącemu, ściskającemu już królewski trzewik.

- Pana Roydona dużo trudniej byłoby zastąpić niż tę astronomiczną zabawkę, Wasza Wysokość. - Cecil uniósł wyszywaną poduszkę. - Może wykorzystasz to, jeśli wciąż czujesz potrzebę ostrzału.

- Nie próbuj mną kierować, lordzie Burghley! - oburzyła się królowa. Rozwścieczona odwróciła się do Matthew. - Nawet Sebastian Saint Clair nie zachował się tak wobec mojego ojca. Nie odważyłby się rozwścieczyć Lwa Tudorów.

Bess Throckmorton zamrugnęła, zaskoczona nieznanym nazwiskiem. Zwróciła złocistowłosą głowę najpierw w stronę Waltera, a potem królowej, niczym wiosenny żonkil szukający słońca.

- Powspominamy twojego świętej pamięci ojca innym razem, gdy będzie dość czasu, by odpowiednio uczcić jego pamięć. Czy nie miałaś pytań do pana Roydona? - sekretarz królowej spojrzał na Matthew tak, jakby przepraszał.

Wyraz jego twarzy mówił: „Z którym potworem wolałbyś się zmierzyć?”



- Racja, Williamie. Nie leży w naturze lwów bawić się z myszami i innymi małymi stworzeniami.

Pogarda królowej sprawiła, że Matthew cały się skurczył. Gdy wyglądał już na dość skruszonego, choć pulsujący na jego szczęce mięsień pozwalał mi wątpić w szczerą skruchę, odczekała chwilę, by się uspokoić, zaciskając dłonie na oparciu fotela.

- Chcę wiedzieć, dlaczego mój Cień tak bardzo wszystko sknocił - odezwała się z żalem. - Cesarz ma mnóstwo alchemików. Nie potrzebuje moich.

Ramiona Waltera opadły, a Cecil pohamował westchnienie ulgi. Skoro królowa zwracała się do Matthew jego przezwiskiem, to jej gniew już gasł.

- Edwarda Kelleya nie da się wyrwać z cesarskiego dworu, jak jakiegoś chwastu, bez względu na to, ile róż tam kwitnie - stwierdził Matthew. - Rudolf zbyt wysoko go ceni.

- A więc Kelley jednak zdołał osiągnąć sukces. Kamień filozoficzny jest w jego posiadaniu. - Elżbieta odetchnęła głęboko i złapała się za policzek, gdy powietrze owiało bolący ząb.

- Nie, nie osiągnął, w tym właśnie rzecz. Tak długo, jak Kelley obiecuje więcej, niż potrafi osiągnąć, Rudolf się go nie pozbędzie. Cesarz zachowuje się jak niedoświadczony młodzik, a nie wytrawny władca, zafascynowany tym, czego nie może mieć. Jego Wysokość uwielbia pościg. To wypełnia jego dni i przenika sny - powiedział spokojnie Matthew.

Od Rudolfa dzieliły nas rozmokłe pola i wzburzone rzeki Europy, ale były momenty, w których wciąż czułam na sobie jego nieprzyjemny dotyk i zachłanne spojrzenie. Mimo majowego ciepła i buzującego w kominku ognia zadrzałam.

- Nowy ambasador Francji napisał, że Kelley przemienił miedź w złoto.

- Philippe de Mornay nie jest wcale bardziej godny zaufania niż twój poprzedni ambasador, który, jeśli dobrze

pamiętam, próbował cię zabić. - Ton Matthew był idealną mieszanką służalczości i irytacji Elżbieta milczała.

- Kąsas, panie Roydon? - odezwała się w końcu.

- Nigdy nie ukąsiłbym lwa ani nawet lwiątko - wycedził Matthew. Walter zamknął oczy, jakby nie mógł znieść widoku zniszczeń, które musiały nastąpić po słowach Matthew. -Zostałem poważnie okaleczony podczas takiej próby i nie zamierzam bardziej narażać mojej urody z obawy, że nie będziesz mogła już znieść mojego widoku.

Zapadła cisza, przzerwana w końcu niegodnym damy wybuchem śmiechu. Walter otworzył oczy.

- Zasłużyłeś sobie, kto widział tak się podkradać do młodej panny, gdy sżyje. - Elżbieta wypowiedziała te słowa z nutą zaskakującej pobłażliwości.

Potrząsnęłam lekko głową, sądząc, że się przesłyszałam.

- Zapamiętam to sobie, Wasza Wysokość, na wypadek gdybym jeszcze kiedyś trafił na młodą lwicę z parą ostrych nożyc.

Tym razem byliśmy z Walterem równie zdezorientowani jak Bess. Tylko Matthew, Elżbieta i Cecil zdawali się rozumieć, o czym mowa... i co przemilczano.

- Nawet wtedy byłeś moim Cieniem. - Spojrzenie, jakie Elżbieta posłała Matthew, sprawiło, że wyglądała znów jak dziewczynka, a nie kobieta pod sześćdziesiątkę. A potem zamrugałam...i znów była starzejącą się, zmęczoną władczynią. - Zostawcie nas.

- Wasza... Wysokość? - wyjąkała Bess.

- Chcę porozmawiać z panem Roydonem sam na sam. Myślę, że nie spuści z oka swojej gadatliwej żony, więc ona też może zostać. Walter, zaczekaj na mnie w moim pokoju. Weź ze sobą Bess. Niedługo do was dołączę.

- Ale... - zaprotestowała Bess.

Rozejrzała się niespokojnie. Powinna trzymać się blisko królowej, a bez wskazówek protokołu gubiła się.

- Tym razem mi pomożesz, panno Throckmorton. - Cecil zrobił kilka powolnych kroków, wspierając się na lasce. Gdy mijał Matthew, spojrzał na niego twardo. - Zostawimy Jej Wysokość pod opieką pana Roydona.

Gdy królowa odesłała z sali służących, została tylko nasza trójka.

- Jezu - jęknęła Elżbieta. - Moja głowa jest jak zepsute jabłko, które zaraz pęknie. Nie mogłeś sobie wybrać jakiegoś lepszego momentu na incydent dyplomatyczny?

- Pozwól, że cię zbadam - poprosił Matthew.

- Sądziś, że możesz mi pomóc, choć nie udało się to mojemu medykowi, panie Roydon? - spytała królowa z nutką nadziei.

- Jeśli Bóg pozwoli, myślę, że zdołam uśmierzyć twój ból.

- Nawet przed śmiercią mój ojciec mówił o tobie z tęsknotą. - Ręce Elżbiety zdrząły. - Porównał cię do balsamu, którego zalet nie docenił.

- Doprawdy? - Matthew nie ukrywał zaciekawienia. Tego wcześniej nie słyszał.

- Mówił, że potrafisz poprawić mu humor szybciej niż ktokolwiek inny, choć, jak większość leków, bywałeś trudny do przełknięcia. - Elżbieta uśmiechnęła się słysząc wybuch śmiechu Matthew, a potem spoważniała. - Był wielkim, strasznym mężczyzną... i głupcem.

- Wszyscy mężczyźni są głupcami, Wasza Wysokość - przytaknął szybko Matthew.

- Nie. Porzućmy tytuły i mówmy tak, jakbym nie była królową Anglii, a ty wampierzem.

- Tylko jeśli pozwolisz mi obejrzeć ten ząb. - Matthew skrzyżował ramiona na piersi.

- Kiedyś propozycja, by rozmawiać ze mną poufale, wystarczyłaby, a ty nie stawiałbyś już warunków - Elżbieta westchnęła. - Tracę więcej niż tylko zęby. Dobrze, panie Roydon.

Otworzyła szeroko usta. Mimo że stałam kilka kroków dalej, poczułam zapach rozkładu. Matthew ujął jej głowę w ręce, by lepiej przyjrzeć się szczękom.

- To cud, że masz jeszcze jakieś zęby - stwierdził surowo. Elżbieta poczerwieniała z irytacji i próbowała odpowiedzieć. - Będiesz na mnie krzyczyć, jak skończę. A wtedy będziesz też miała powód, bo zamierzam skonfiskować twoje kandyzowane fiołki i słodkie wina. Do picia zostanie ci tylko woda miętowa, a do ssania maść goździkowa na dziąsła, bo zaropiały.

Matthew przesunął palcem po zębach królowej. Kilka z nich zachwiało się niepokojąco, a Elżbiecie oczy wyszły na wierzch. Matthew prychnął niezadowolony.

- Lizzie, może i jesteś królową Anglii, ale to nie daje ci wiedzy medycznej. Lepiej stosować się do rad medyka. A teraz nie ruszaj się.

Podczas gdy ja próbowałam dojść do siebie po tym, jak mój mąż nazwał królową Anglii „Lizzie”, Matthew wysunął palec wskazujący, potarł go o swój kiel, aż pokazała się krew, i wsunął do ust królowej. Był delikatny, ale Elżbieta i tak się skrzywiła. A potem wyprostowała z ulgą.

- E...uję - wyjąkała przez jego palce.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Jak skończę, w promieniu pięciu mil nie będzie żadnych cukierków ani innych słodczy. I obawiam się, że ból powróci. - Matthew cofnął się, a królowa przesunęła językiem po zębach.

- Tak, ale na razie minął - odezwała się z wdzięcznością i wskazała stojące obok krzesła. - Niestety nie pozostało nam nic innego, jak wyrównać rachunki. Usiądź i opowiedz mi o Pradze.

Wiele tygodni spędziłam na cesarskim dworze, wiedziałam więc, że siedzieć w obecności władcy jest niezwykle

przywilejem, i byłam podwójnie wdzięczna za to, że mnie właśnie spotkał. Podróż dodatkowo spotęgowała zmęczenie spowodowane pierwszymi tygodniami ciąży. Matthew podstawił mi krzesło, a ja osunęłam się na nie. Przycisnęłam plecy do rzeźbionego oparcia, by rozluźnić obolałe mięśnie. Matthew odruchowo zaczął rozmasowywać mi krzyż. Sądząc z wyrazu twarzy, królowa chyba mi tego pozazdrościła.

- Ty także cierpisz, pani Roydon? - zapytała z troską. Była zbyt miła. Gdy Rudolf traktował tak jakiegoś dworzanina, zwykle zwiastowało to coś złego.

- Tak, Wasza Wysokość, ale na to woda miętowa nie pomoże - odparłam smutno.

- Nie ukoj też cesarskiego gniewu. Ambasador twierdzi, że skradłeś jedną z ksiąg Rudolfa.

- Którą? - zapytał Matthew. - Rudolf ma ich tak wiele. Jak większość wampirów, od dawna nie zetknął się z niewinnością, więc jako aktor wypad! dość żałośnie.

- Nie prowadzimy tu gierki, Sebastianie - odezwała się cicho królowa, potwierdzając moje podejrzenia, że Matthew na dworze Henryka przybrał imię Sebastian St. Clair.

- Zawsze pogrywasz - odparł. - Pod tym względem nie różnisz się ani od cesarza, ani od Henryka z Francji.

- Panna Throckmorton mówiła, że z Walterem wymieniacie się wierszykami o kapryśkach władzy. Ale ja nie należę do tych próżnych władców, którzy zdolni są tylko do żartów i szyderstw. Miałam wymagających nauczycieli - odparła królowa. - Wszyscy którzy byli wokół mnie: matka, ciotki, macochy, wujowie, kuzyni, zginęli. Ja przetrwałam. Więc nie kłam mi tu i nie myśl, że ujdzie ci to płazem. Pytam jeszcze raz: co z księgą?

- Nie mamy jej - wtrąciłam się. Matthew spojrzał na mnie zaskoczony.

- Nie mamy teraz księgi. - Na pewno była już Pod Łanią i Koroną, bezpiecznie ukryta w archiwum Matthew

na strychu. Przekazałam Gallowglassowi księgę owiniętą w skórę i impregnowany olejem materiał, gdy na Tamizie podpłynęła do nas królewska barka.

- No, no. - Elżbieta powoli rozciągnęła usta w uśmiechu, ukazując poczerńiałe zęby. - Zaskakujesz mnie. I swojego męża chyba też.

- Wasza Wysokość, jestem niewysychającym źródłem niespodzianek. A przynajmniej tak mi ciągle mówią. - Bez względu na to, ile razy Matthew zwracał się do niej per „Lizzie”, a ona nazywała go Sebastianem, ja trzymałam się oficjalnych zwrotów.

- W takim razie cesarz musiał ulec złudzeniu. Jak to wyjaśnisz?

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego - prychnął Matthew. - Obawiam się, że szaleństwo, które dotknęło jego rodzinę, objawia się i u niego. Już teraz jego brat Matthias rozważa, jak go obalić i zająć jego miejsce, gdy Rudolf nie będzie już w stanie dzierżyć władzy.

- Trudno się dziwić, że cesarz tak bardzo pragnie zatrzymać przy sobie Kelleya. Kamień filozoficzny uzdrowi go i rozwiąże problem sukcesji. - Królowa skrzywiła się. - Będzie żył wiecznie, bez strachu.

- Oj, Lizzie. Przecież wiesz, że tak nie jest. Kelley nie potrafi stworzyć kamienia. Nie uratuje ani ciebie, ani nikogo innego. Nawet królowe i cesarze muszą pewnego dnia umrzeć.

- Sebastianie, jesteśmy przyjaciółmi, ale się nie zapominaj - oczy Elżbiety błysnęły.

- Gdy miałaś siedem lat i zapytałaś, czy twój ojciec chce zabić swoją nową żonę, powiedziałem ci prawdę. Byłem z tobą szczery wtedy i będę teraz, bez względu na to, jak bardzo cię to złości. Nic nie przywróci ci młodości, Lizzie, ani nie przywróci do życia tych, których straciłaś - powiedział stanowczo Matthew.

- Nic? - Elżbieta zmierzyła go wzrokiem. - Nie widzę, abyś miał zmarszczki czy siwe włosy. Wyglądasz dokładnie tak samo jak pięćdziesiąt lat temu, w Hampton Court, gdy zaatakowałam cię nożycami.

- Jeśli prosisz, abym wykorzystał moją krew i zamienił cię w wampierza, Wasza Wysokość, to muszę odmówić. Umowa zabrania nam mieszać się w ludzką politykę, a mieszanie się w sukcesję tronu Anglii poprzez osadzenie na nim wampierza do tego należy. - Matthew spojrzał na nią groźnie.

- Czy tak samo odpowiedziałbyś Rudolfowi, gdyby ci to zaproponował? - Oczy Elżbiety znów błysnęły.

- Tak. To by doprowadziło do chaosu... albo czegoś jeszcze gorszego. - Sama wizja budziła lęk. - Twoje królestwo jest bezpieczne - zapewnił ją Matthew. - Cesarz zachowuje się jak rozkapryszone dziecko, któremu odmówiono cukierka. Nic ponadto.

- Jego wuj, Filip Hiszpański, buduje okręty. Planuje kolejną inwazję!

- I nic nie działo - oświadczył Matthew.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

- Owszem.

Lwica i wilk mierzyli się wzrokiem. Gdy w końcu Elżbieta poczuła satysfakcję, westchnęła i odwróciła głowę.

- Dobrze więc. Nie masz księgi cesarza, a ja Kelleya i kamienia. Wszyscy musimy jakoś z tym żyć. Ale muszę też dać coś cesarskiemu ambasadorowi na poprawę nastroju.

- Może to? - Wyciągnęłam sakiewkę. Miałam w niej wszystkie, poza *Ashmole 782* i pierścieniem na palcu, swoje skarby - jedwabne sznurki, które dała mi Mateczka Alsop do tkania czarów, wygładzony przez wodę odłamek szkła, które Jack znalazł w piaskach Łaby i sądził, że to drogocenny kamień, kawałek cennego bezoaru dla Susanny, by mogła go wykorzystać w swoich leczniczych czarach, salamandry Matthew. I jeden obrzydliwie ozdobny łańcuch ze zwisa-

jącym zeń ponurym smokiem, który podarował mi Cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Położyłam go na stole przed królową.

- To świecidełko godne królowej, a nie żony szlachcica. -Elżbieta dotknęła lśniącego smoka. - Co dałaś Rudolfowi, że obdarował cię takim cackiem?

- Jest tak, jak powiedział Matthew, Wasza Wysokość. Cesarz pragnie tego, czego nie może dostać. Sądził, że zdobędzie tym moje względy. Ale się zawiódł - pokręciłam głową.

- Być może Rudolf nie potrafi znieść tego, że inni mogliby się dowiedzieć, jakim cudem pozwolił, by coś tak cennego wymknęło mu się z rąk - zasugerował Matthew.

- Masz na myśli swoją żonę czy klejnot?

- Moją żonę - odparł krótko.

- Ale klejnot może nam się jednak przydać. A jeśli chciał go podarować mnie - zastanawiała się na głos Elżbieta - a ty wzięłaś go, by bezpieczniej przewieźć?

- Diana niezbyt dobrze włada niemieckim - zgodził się z krzywym uśmiechem Matthew. - Gdy Rudolf wieszał go jej na szyi, zapewne robił to po to tylko, by wyobrazić sobie, jak w nim będziesz wyglądać.

- Wątpię - mruknęła Elżbieta.

- Jeśli cesarz pragnął, aby naszyjnik otrzymała królowa Anglii, chciałby, aby podarowano go jej z należytych ceremoniałem. Jeśli okażemy ambasadorowi należny szacunek. .. - zaproponowałam.

- To sprytne rozwiązanie. Oczywiście nikogo nie zadowoli, ale da dworzanom zajęcie, aż pojawi się coś nowego. -Elżbieta zabębniła palcami w stół. - Ale wciąż pozostaje kwestia księgi.

- Uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że jest nieistotna? - zapytał Matthew.

Elżbieta pokręciła głową.

- Nie.



- Tak myślałem. A gdybym powiedział, że jest wręcz przeciwnie, że może od niej zależeć przyszłość?

- To jeszcze bardziej naciągane. Ale że nie chcę, by Rudolf, czy któryś z jego popleczników miał w ręku klucz do przyszłości, pozostawię kwestię jej zwrotu w twoich rękach o ile oczywiście jeszcze kiedyś będziesz w jej posiadaniu.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odezwałam się, czując ulgę, że sprawę udało się rozwiązać niewidoma właściwie kłamstwami.

- Nie zrobiłam tego dla ciebie - przypomniała mi ostro Elżbieta. - Chodź, Sebastianie. Powieś łańcuch na mojej szyi. A potem możesz znów stać się panem Roydonem i wrócimy do sali gościnnej, gdzie udamy wdzięczność tak aby wszyscy byli zadziwieni.

Matthew wykonał polecenie, a jego palce spoczęły na ramionach królowej chwilę dłużej, niż powinny. Poklepała go po dłoni.

- Czy moja peruka leży prosto? - zapytała mnie Elżbieta, wstając.

- Tak, Wasza Wysokość. - W rzeczywistości lekko się przekrzywiła.

Elżbieta poprawiła perukę.

- Naucz swoją żonę, jak przekonująco kłamać, panie Roydon. Musi być lepiej wyszkolona w sztuce oszukiwania, bo inaczej nie przetrwa długo na dworze.

- Świat bardziej potrzebuje szczerości niż kolejnych dworzan. - Matthew wziął ją pod rękę. - Diana pozostanie taka, jaka jest.

- Mąż, który ceni u żony szczerść... - Elżbieta pokręciła głową. - To najlepszy dowód na to, że świat się kończy, jak przepowiedział doktor Dee.

Gdy Matthew pojawił się u boku władczyni w drzwiach prywatnych pokoi królewskich, zapadła cisza. Sala była pełna po brzegi, a zaniepokojone spojrzenia padały to na królową

to na młodzika w wieku studenckim, którego uznałam za cesarskiego ambasadora, to na Williama Cecila.

Matthew puścił dłoń królowej, która spoczywała na jego zgiętym ramieniu. Moja wiwerna załopotana nerwowo skrzydłami w głębi klatki piersiowej.

Położyłam rękę na przeponie, by uspokoić zwierzę. Tu są prawdziwe smoki, ostrzegłam ją bezgłośnie.

- Dziękuję cesarzowi za jego dar, wasza ekscelencjo - odezwała się Elżbieta, podchodząc do nastolatka z dłonią wyciągniętą do pocałunku. Chłopak spojrział na nią zaskoczony.

- *Gratias tibi ago.*

- Robią się coraz młodszy - szepnął Matthew, gdy do niego podeszłam.

- To samo mówię o moich studentach - powiedziałam cicho. - Kto to?

- Vilem Slavata. Na pewno widziałaś w Pradze jego ojca. Przyjrzałam się młodemu Vilemowi, próbując wyobrazić sobie, jak mógłby wyglądać za dwadzieścia lat.

- Jego ojciec był pulchny, z podwójnym podbródkiem?

- To jeden z nich. Ten opis pasuje do większości urzędników Rudolfa - zauważył Matthew, gdy spojrziałam na niego poirytowana.

- Przestań szeptać, panie Roydon! - Elżbieta zmiażdżyła mojego męża wzrokiem, a on uklonił się przeprasząco. Jej Wysokość kontynuowała po łacinie:

- *Decet eum qui dat, non meminisse benefi cii: eum vero, qui accipit, intueri non tam munus quam dantis animum.*

Jej Wysokość postanowiła chyba przeegzaminować ambasadora, by sprawdzić, czy jest godzien jej uwagi.

Slavata pobladł. Biedny chłopak nie miał szans.

„Szczytne to, gdy ten, który daje, nie wypomina przysługi, ale szczytne jest też, gdy ta, co otrzymuje, nie patrzy na

dar, a na duszę obdarowującego". Zakaszlałam, by się nie roześmiać, gdy wreszcie przetłumaczyłam sobie te słowa.

- Wasza Wysokość? - wyjąkał Vilem po angielsku z silnym akcentem.

- Dar. Od cesarza. - Elżbieta wskazała władczo łańcuch z emaliowanych krzyży, który spoczywał na jej szczupłych ramionach. Smok zwisał z szyi Jej Wysokości niżej niż z mojej. Westchnęła ostentacyjnie.

- Panie Roydon, powtórz mu moje słowa w jego własnym języku. Nie mam cierpliwości na lekcje łaciny. Czy cesarz nie szkoli swoich sług?

- Jego ekscelencja zna łacinę, Wasza Wysokość. Ambasador Slavata ucześnie! na uniwersytet w Wittenbergu i studiował prawo w Bazylei, jeśli dobrze pamiętam. To nie języka nie rozumie, a twoich słów.

- A więc dopilnuj, aby on i jego pan je zrozumieli. I nie ze względu na mnie - odparła ponuro Elżbieta. - Kontynuuj.

Matthew wzruszył ramionami i powtórzył słowa Jej Wysokości w ojczystym języku Slavaty.

- Zrozumiałem, co mówiła - wykrztusił oszołomiony chłopak. - Ale co miała na myśli?

- Jesteś zagubiony - mówił dalej Matthew po czesku. - To typowe u nowych ambasadorów. Nie martw się tym. Powiedz królowej, że Rudolf jest szczęśliwy, że przyjęła dar. A potem będziemy mogli iść na obiad.

- Możesz jej to przekazać ode mnie? - Slavata nie mógł dojść do siebie.

- Mam nadzieję, że nie wywołałeś kolejnego nieporozumienia między mną i cesarzem Rudolfem, panie Roydon - odezwała się Elżbieta, poirytowana, że wśród znanych jej siedmiu języków nie ma czeskiego.

- Jego ekscelencja mówi, że cesarz życzy Waszej Wysokości zdrowia i pogody ducha. Ambasador Slavata jest

szczęśliwy, że naszyjnik jest tam, gdzie być powinien, że nie zaginął, jak się tego obawiał cesarz. - Matthew spojrzał łagodnie na królową.

Elżbieta otworzyła usta, by coś powiedzieć, po czym zamknęła je szybko i zmierzyła go wzrokiem. Slavata, chętny do nauki, chciał wiedzieć, jak Matthew zdołał uciszyć królową Anglii. Gdy zrobił gest zachęcający Matthew do przetłumaczenia jego słów, Cecil wziął młodego człowieka pod ramię.

- Wspaniałe wieści, ekscelencjo. Myślę, że starczy już nauki jak na jeden dzień. Chodźmy, usiądziesz przy mnie -poprowadził go do pobliskiego stołu.

Królowa, zdominowana przez swojego szpiega i głównego doradcę, odchrząknęła znacząco i w towarzystwie Bess Throckmorton i Raleigha weszła po trzech niewielkich schodkach na podwyższenie.

- Co teraz? - wyszeptałam.

Przedstawienie się skończyło, a obecni w sali zaczęli zdradzać niepokój.

- Będę chciała jeszcze z tobą pomówić, panie Roydon -zawołała Elżbieta, gdy poprawiano jej poduszki. - Nie odchodź daleko.

- Pierre jest obok. Zaprowadzi cię do mojego pokoju, a w nim jest łóżko, cisza i spokój. Odpoczywaj tam do czasu, aż Jej Wysokość pozwoli mi odejść. Nie powinno to długo potrwać. Chce tylko dowiedzieć się wszystkiego o Kelleyu. - Matthew uniósł moją dłoń do ust i złożył na niej szarmancki pocałunek.

Znając słabość Elżbiety do jej męskich towarzyszy, mogło to ciągnąć się godzinami.

Byłam co prawda przygotowana na to, że sala audiencyjna będzie zatłoczona, ale i tak zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Dworzanie, nie dość ważni, by spożywać obiad w prywatnych salach królowej, przepychali się, pragnąc

jak najszybciej dotrzeć do własnego stołu, nim wszystko zeń zniknie. Żołądek skręcił mi się od zapachu pieczonej sarniny. Nigdy się do niego nie przyzwyczaję, a dziecku także się nie podobał.

Pierre stał z Annie pod ścianą, z innymi sługami. Na mój widok obydwójce odetchnęli z ulgą.

- Gdzie milord? - zapytał Pierre, pomagając mi przebrnąć przez tłum.

- Usługuje królowej - odparłam. - Jestem zbyt zmęczona, by stać i jeść. Możemy iść do pokoju Matthew?

Pierre z niepokojem spojrział w stronę drzwi, za którymi był jego pan.

- Oczywiście.

- Znam drogę, pani Roydon - odezwała się Annie, która okazywała wystudiowaną nonszalancję światowca świeżo po powrocie z Pragi, a do tego już drugi raz na dworze Elżbiety.

- Pokazałem jej pokój milorda, gdy udaliście się na spotkanie z Jej Wysokością - zapewnił mnie Pierre. - Jest piętro niżej, pod apartamentami żony króla.

- I pewnie teraz wykorzystywanymi przez faworytów królowej - dodałam cicho. Na pewno właśnie tam Walter sypiał... albo nie sypiał, co mogło się zdarzać. - Zaczekaj tu na Matthew, Pierre. Znajdziemy z Annie drogę.

- Dziękuję, madame - Pierre spojrział na mnie z wdzięcznością. - Nie lubię zostawiać go zbyt długo z królową.

Służba królowej spożywała posiłek w znacznie mniej wytwornym otoczeniu sali strażniczej. Zaciekawieni patrzyli na nas, gdy przechodziłyśmy.

- Sądzę, że jest jakaś prostsza droga - stwierdziłam, przygryzając wargę i mierząc wzrokiem długie schody. Wielka Sala była na pewno jeszcze bardziej zatłoczona.

- Przykro mi, proszę pani, ale nie ma - odparła przeproszającym tonem Annie.

- No to stawmy czoło tłumowi - westchnęłam.

Wielka Sala pełna była ludzi pragnących ściągnąć na siebie uwagę królowej. Moje pojawienie się od strony królewskich apartamentów wywołało falę entuzjazmu, po której szybko nastąpiły szepty zawodu, gdy okazałam się osobą zupełnie nieistotną. Przyzwyczaiałam się już do tego, ale wciąż krępowwały mnie baczne spojrzenia ludzi, kilka szturchnięć demonów i łaskoczący wzrok jakiejś czarownicy. Jednak gdy poczułam na plecach zimne spojrzenie wampira, obejrzałam się z niepokojem.

- Proszę pani? - zapytała Annie.

Przyjrzałam się tłumowi, ale nie mogłam zlokalizować źródła.

- Nic, nic, Annie - odparłam nerwowo. - To tylko moja wyobraźnia płata mi figle.

- Potrzebuje pani wypoczynku - oświadczyła stanowczo, jak kiedyś Susanna.

Ale w przestronnych pokojach Matthew na parterze, z widokiem na prywatne ogrody królowej, nie miałam szans na odpoczynek. Natknęłam się tam na pierwszego dramaturga Anglii. Annie odesłałam, by odnalazła Jacka i wyciągnęła z kłopotów, w jakie na pewno się wpakował, po czym zebrałam się w sobie, by stawić czoło Christophe-rowi Marlowe'owi.

- Witaj, Kit - odezwałam się. Demon podniósł wzrok znad biurka Matthew. Wokół niego leżały porzucane kartki. - Jesteś sam?

- Walter i Henry jedzą z królową. Czemu nie jesteś z nimi? - Kit był blady, wychudzony, zamknięty w sobie.

Wstał i zaczął zbierać papiery, spoglądając co chwila na drzwi, jakby spodziewał się, że ktoś wejdzie i nam przeszkodzi.

- Jestem zbyt zmęczona - ziewnęłam. - Ale nie musisz wychodzić. Zostań i zaczekaj na Matthew. Ucieszy się na twój widok. Co piszesz?

- Poemat - odparł krótko i usiadł.

Coś było nie tak. Demon się czymś denerwował.

Gobelin na ścianie za jego plecami przedstawiał złotowłosą dziewczynę, stojącą na wieży z widokiem na morze. Trzymała w ręku latarnię i wpatrywała się w dal.

To wszystko wyjaśniało.

- Pisziesz o Hero i Leandrze. - To nie było pytanie. Kit pewnie usychał z tęsknoty za Matthew i pracował

nad poematem miłosnym, od kiedy w styczniu wsiedliśmy

na statek w Gravesend. Nie odpowiedział. Po kilku chwilach wyrecytowałam:

*Mówili, że to panna w męczyzny odzieniu, Kształty, o jakich każdy marzy w upojeniu, Rysy pięknie rzeźbione i wymowne oczy, Czoło Miłości godne i uśmiech uroczy. Lecz kto znał jego pleć, ten mówił z humorem: Leandrze, tyś stworzony do zabaw z Amorem. Czemuś nie jest kochany i nie kochasz wzajem?*

Kit poderwał się.

- Cóż to za sztuczki czarownicy? Wiesz, co robię, gdy tylko to zrobię.

- To żadne sztuczki, Kit. Kto mógłby cię zrozumieć lepiej niż ja?

Kit się opanował, choć ręce wciąż mu się trzęsły.

- Muszę iść. Mam się z kimś spotkać na dziedzińcu ze szrankami. Chodzi o specjalne widowisko w przyszłym miesiącu, nim królowa wyruszy na letni objazd. Proszono mnie o pomoc.

Elżbieta co roku wyruszała na objazd kraju z wielką gromadą pomocników i dworzan; pozostawiała za sobą olbrzymie długie i puste spiżarnie.

- Powiem Matthew, że tu byłeś. Będzie mu przykro, że się minęliście.

W oczach Marlowe'a zalsniło coś dziwnego.

- Może chciałabyś iść ze mną, pani Roydon? To ładny dzień, a ty nie widziałaś Greenwich.

- Dziękuję, Kit. - Zaskoczyła mnie ta nagła zmiana nastroju, ale przecież to był demon. I marzył o Matthew. Chciałam co prawda odpocząć, a spotkania z Kitem nie były jak na razie przyjemne, ale może powinnam się jednak wysilić dla świętego spokoju. - Daleko to? Jestem zmęczona po podróży.

- Bardzo niedaleko - Kit ukłonił się. - Pani pierwsza. Dziedziniec do potyczek w Greenwich przypominał

wielki stadion lekkoatletyczny z oddzielonymi linami miejscami dla sportowców, trybunami dla widzów i różnym sprzętem. Przez środek prowadziły dwie szranki.

- Czy to tutaj odbywają się turnieje? - Mogłam sobie wyobrazić stukot kopyt, gdy rycerze pędzili naprzeciw siebie, opuszczając kopie nad szyjami koni tak, by trafić w tarczę przeciwnika i strącić go z siodła.

- Tak. Chciałabyś zobaczyć to z bliska? - zapytał Kit.

Nikogo tu nie było. Gdzieś w ziemię powbijano kopie. Zauważyłam też coś niepokojąco podobnego do szubienicy, z pionowym palem i zatkniętą w poprzek belką. Ale zamiast ciała zwisał z niej worek z piaskiem; ktoś go przedziurawił i piasek wysypywał się powoli.

- To kukła - wyjaśnił Marlowe. - Jeźdźcy celują kopią w worek z piaskiem.

Wyciągnął rękę i energicznie wyprostował ramię, by mi to zademonstrować. Kukła obróciła się - worek stanowił ruchomy cel dla rycerzy. Marlowe rozejrzał się wokół.

- Czy jest już ten, z kim się spotykasz? - Też się rozejrzałam, ale zobaczyłam tylko wysoką ciemnowłosą kobietę w przepięknej czerwonej sukni.

Stała dość daleko; pewnie jakaś romantyczna schadzka przez obiadem.



- A widziałaś tamtą kukłę? - Kit wskazał w drugą stronę, na manekin ze słomy i płótna, przymocowany do szubienicy. Ten także wyglądał raczej jak ofiara egzekucji niż sprzęt sportowy.

Poczułam na sobie chłodne, skupione spojrzenie. Nim zdążyłam się odwrócić, wampir trzymał mnie w objęciach, bardziej przypominających stalowe niż cielesne. Ale to nie były ramiona Matthew.

- Och, ona jest jeszcze rozkoszniejsza, niż sądziłam - odezwała się kobieta, a jej oddech owiał mi gardło.

Róże, piżmo. Pamiętałam te zapachy i próbowałam sobie przypomnieć, gdzie czułam je poprzednio. Sept-Tours. Pokój Louisy de Clermont.

- W jej krwi jest coś, czemu wampierze nie potrafią się oprzeć - mruknął Kit. - Nie wiem co, ale nawet ojciec Hubbart chyba uległ jej urokowi.

Po mojej szyi przesunęły się ostre zęby, ale nie przecięły skóry.

- Chętnie się z nią pobawię.

- Według planu mamy ją zabić - jęknął Kit. Był jeszcze bardziej zdenerwowany i niepewny, od kiedy pojawiła się Louisa. Milczałam, desperacko próbując zorientować się, w co oni pogrywają. - A potem wszystko wróci do normy.

- Cierpliwości. - Louisa zaciągnęła się moim zapachem. - Czujesz jej strach? To zawsze zaostrza mi apetyt.

Zafascynowany Kit podszedł bliżej.

- Ależ zbladłeś, Christopherze. Potrzebujesz więcej medykamentu? - Louisa chwyciła mnie inaczej, by móc sięgnąć do sakiewki. Podała Kitowi lepką, brązową pastylkę. Wziął ją szybko i wsunął do ust. - Cudowne, prawda? Ciepłokrwisci z Niemiec nazywają je „kamieniami nieśmiertelności”, bo ich składniki sprawiają, że nawet przygnębieni ludzie czują się po nich cudownie. I sprawiły, że znów jesteś silny.

- To ta czarownica odbiera mi siły, tak jak odebrała je twojemu bratu. - Oczy Kita zrobiły się szkliste, a jego oddech mdląco słodki. Narkotyki. Trudno się dziwić, że zachowywał się tak dziwnie.

- Czy to prawda, czarownico? Kit mówi, że wzięłaś mojego brata wbrew jego woli. - Louisa obróciła mnie do siebie. Jej śliczna twarz ucieleśniała ludzkie koszmary o wampirach - porcelanowobiała cera, kruczoczarne włosy, ciemne oczy, równie zamglone przez opium jak oczy Kita. Wrogość aż od niej buchała, a jej piękne usta były nie tylko zmysłowe, ale i okrutne. Ona polowała i zabijała bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

- Nie zwiodłam twojego brata. Wybrałam go, a on wybrał mnie, Louiso.

- Wiesz, kim jestem? - Wampirzyca uniosła ciemne brwi.

- Matthew nie ma przede mną sekretów. Jesteśmy parą. A także żoną i mężem. Twój ojciec był świadkiem na naszym ślubie. - Dziękuję, Philippe.

- Kłamiesz!-wrzasnęła Louisa.

Jej źrenice kompletnie przesłoniły tęczę, gdy straciła nad sobą kontrolę. Miałam się zmierzyć nie tylko z narkotykami, ale i z krwawym szalem.

- Nie wierz niczemu, co mówi - ostrzegł Kit. Wyciągnął sztylet i złapał mnie za włosy. Krzyknęłam

z bólu, gdy szarpnął moją głowę do tyłu. Jego sztylet celował w moje prawe oko.

- Wyłupię ci oczy, żebyś nie mogła więcej rzucać nimi uroków i przepowiadać mojego losu. Wiesz o mojej śmierci. Jestem tego pewien. Bez wzroku wiedzmy nie będziesz miała nad nami władzy... ani nad Matthew.

- Ta czarownica nie zasługuje na szybką śmierć - oświadczyła cierpko Louisa.

Kit przycisnął czubek sztyletu tuż pod moją brwią; na policzek spłynęła mi kropla krwi.

- Nie tak się umawialiśmy, Louiso. Aby zniweczyć czar, muszę wytupić jej oczy. A potem chcę, aby zginęła. Dopóki żyje, Matthew o niej nie zapomni.

- Cii, Christopherze. Czy ja cię nie kocham? Czyż nie jesteśmy sojusznikami? - Louisa pocałowała Kita namiętnie. Przesunęła usta wzdłuż jego szczęki i niżej, po żyłę. Jej wargi musnęły jego skórę i ujrzałam krew. Kit wciągnął gwałtownie powietrze i zamknął oczy.

Louisa piła łączywie z szyi demona. I staliśmy tak spleceni w objęciach wampirzycy. Próbowałam się oswobodzić, ale ścisnęła mnie mocniej, pijąc dalej.

- Słodki Christopher - wyszeptala, gdy ugasila pragnienie i polizala rane.

Blizna na szyi Kita byla srebrzysta i miękka, zupełnie jak ta na mojej piersi. Louisa musiała już wcześniej z niego pić.

- Czuję nieśmiertelność w twojej krwi i widzę te piękne słowa, które tańczą w twoich myślach. Matthew jest głupcem, że się do ciebie nie przyłącza.

- On pożąda tylko czarownicy. - Kit dotknął szyi, wyobrażając sobie, że to Matthew, a nie jego siostra, pił z jego żyły. - Chcę, aby zginęła.

- Ja też tego chcę. - Louisa spojrzała na mnie mrocznymi oczami. - Więc będziemy z nią walczyć. Ten, kto wygra, zrobi z nią to, co uważa za stosowne, by odkupiła grzechy, jakimi skalala mojego brata. Zgadzasz się, drogi chłopcze?

Oboje byli teraz kompletnie upojeni, po tym jak Louisa napiła się przesyconej narkotykiem krwi Kita. Zaczęłam się bać, gdy nagle przypomniałam sobie słowa Philippe'a:

„Myśl. Utrzymaj się przy życiu”.

A potem przypomniałam sobie o dziecku i znów zaczęłam panikować. Nie mogłam skrzywdzić naszego maleństwa.

Kit skinął głową.

- Zrobię wszystko, by odzyskać szacunek Matthew.

- Tak myślałam. - Louisa uśmiechnęła się i znów go pocałowała. - Wybierzemy kolory?

## ROZDZIAŁ 15

Robisz potworny błąd, Louiso - ostrzegłam, wyrywając się.

Wampirzyca i demon usunęli niekształtną słomianą kukłę, przywiązali mnie do belki, po czym Kit zasłonił mi oczy kawałkiem ciemnoniebieskiego jedwabiu zdjętego z czubka jednej z kopii, bym nie mogła rzucić na nich uroku. Stanęli obok i zaczęli dyskutować, kto weźmie srebrno-czarną kopię, a kto zielono-złotą.

- Matthew jest z królową. Wszystko wam wyjaśni - próbowałam mówić stanowczo, ale głos mi drżał.

Matthew opowiedział mi kiedyś o swojej siostrze, gdy byliśmy we współczesnym Oksfordzie i piliśmy herbatę przy kominku w Old Lodge. Była równie bezwzględna, co piękna.

- Śmiesz wypowiadać jego imię? - Kit szalał z wściekłości.

- Nie odzywaj się więcej, czarownico, bo inaczej pozwolę Christopherowi uciąć ci język - syknęła Louisa; nie musiałam patrzeć jej w oczy, by wiedzieć, że krwawy szal i opium nie są dobrym połączeniem. Brylant Ysabeau rozdarł mi policzek. Louisa złamała mi palec, zdejmując go, i teraz sama go wkładała.

- Jestem żoną Matthew, jego parą. Jak według was zareaguje, gdy dowie się, co zrobiliście?

- Jesteś potworem. Jeśli zwyciężę, pozbawię cię człowieczeństwa i ujawnię kłamstwa, które się pod nim kryją. - Słowa Louisy łąły się w moje uszy jak trucizna. - A gdy tego dokonam, Matthew odkryje, kim naprawdę jesteś, i także ucieszy się z twojej śmierci.

Gdy ich głosy ucichły w oddali, nie potrafiłam określić, gdzie oni są ani z której strony mogą się pojawić. Byłam całkiem sama.

„Myśl. Utrzymaj się przy życiu”.

Coś zatrzepotało mi w piersi. Nie panika. To moja wiwerna. Nie byłam sama. Byłam czarownicą. Nie potrzebowałam własnych oczu, by widzieć świat wokół.

Co widzicie? - zapytałam ziemię i powietrze.

Odpowiedziała wiwerna. Zaćwierkała i zatrajkotała, poruszając skrzydłami gdzieś między moim brzuchem i płucami.

Gdzie oni są? - zaczęłam się zastanawiać.

Otworzyło się moje trzecie oko, ukazując intensywne kolory późnej wiosny w całej błękitnej i zielonej krasie. Jeden ciemnozielony wątek skręcał się z białym i czarnym. Dotarłam nim do Louisy, która wsiadała na bardzo zdenerwowanego konia. Zwierzę nie chciało bliskości wampira i wciąż stawało dęba. Louisa ugryzła je w szyję, co sprawiło, że koń znieruchomiał, ale nadal był przerażony.

Podążyłam za drugim zestawem wątków, szkarłatnych i białych, sądząc, że doprowadzą mnie do Matthew. Ale ujrzałam oszalamiającą mieszankę kształtów i kolorów. Zaczęłam spadać, daleko, daleko, aż wylądowałam na zimnej poduszce. Śnieg. Wciągnęłam w płuca chłodne zimowe powietrze. Nie byłam już przywiązana do belki w majowe popołudnie w Greenwich. Miałam cztery albo pięć lat i leżałam na plecach w małym ogródku za naszym domem w Cambridge.

I przypomniałam sobie.

Bawiliśmy się z ojcem po obfitych opadach śniegu. Moje rękawiczki odcinały się szkarłatem od jego bieli. Robiliśmy śnieżne anioły, machając rękami i nogami. Fascynowało mnie, że gdy macham dość szybko, białe skrzydła zdawały się zyskiwać czerwoną obwódkę.

- Zupełnie jak smok z ognistymi skrzydłami - szepnęłam do taty. Znieruchomiał.

- Kiedy widziałas smoka, Diano? - spytał z powagą.

Znałam różnicę między powagą a jego typowym, kpiarskim tonem. Oznaczała, że oczekuje odpowiedzi, i to szczerzej.

- Mnóstwo razy. Głównie w nocy. - Moje ręce poruszały się coraz szybciej. Śnieg pod nimi zaczął zmieniać kolor, połyskując zielenią i złotem, czerwienią i czernią, srebrem i błękitem.

- A gdzie był? - wyszeptał, wpatrując się w zaspę, które zaczynały mnie otaczać, unosząc się i skrzypiąc, jak żywe. Jedna urosła i rozciągnęła się tak, że wyglądała niczym wąska głowa smoka. A potem rozlała się szerzej, tworząc skrzydła. Smok strząsnął płatki śniegu z białych łusek. Gdy odwrócił się i spojrzał na mojego ojca, ten wyszeptał coś i poklepał go po nosie, zupełnie jakby już się kiedyś z nim spotkał. Smok dmuchnął ciepłą parą w lodowate powietrze.

- Zwykle w środku mnie, tutaj. - Usiadłam, by pokazać tacie, o co mi chodzi. Dotknęłam rękawiczkami żeber. Czułam ich ciepło przez skórę, przez kurtkę, nawet przez rękawiczki. - Ale jak chce polatać, to muszę go wypuścić. Bo inaczej nie ma dość miejsca na rozpostarcie skrzydeł.

Za mną na śniegu leżała para lśniących skrzydeł.

- Ty swoje zostawiłaś - zauważył poważnie ojciec. Smok wy dostał się z zaspę. Zamrugnął srebrno-czarnymi

oczami, uniósł w powietrze i zniknął za jabłonią, z każdym machnięciem skrzydeł coraz bardziej rozpluwając się w powietrzu. Moje skrzydła także zaczęły znikać w śniegu.

- Smoczyca nie chce mnie ze sobą zabrać. I nigdy nie zostaje we mnie długo - westchnęłam. - Czemu tak jest, tatusiu?

- Może musi być gdzie indziej. Zastanowiłam się.

- Tak jak ty i mamusia, gdy idziecie do szkoły? - Dziwiło mnie to, że rodzice muszą chodzić do szkoły. Dziwiło też wszystkie dzieci z okolicy, mimo że większość ich rodziców spędzała całe dnie w szkole.

- Dokładnie tak. - Mój ojciec wciąż siedział w śniegu, obejmując rękami kolana. Uśmiechnął się. - Uwielbiam tę czarownicę w tobie, Diano.

- Ale mamusia się jej boi.

- Nie. - Ojciec pokręcił głową. - Mamusia boi się tylko zmian.

- Próbowałam ukrywać smoka, ale ona chyba i tak o nim wie - stwierdziłam ponuro.

- Mamusie tak już mają - odpowiedział tata. Spojrzał na śnieg. Moje skrzydła zniknęły.

- Ale wie też, kiedy masz ochotę na gorącą czekoladę. Myślę, że jeśli wejdziemy do środka, będzie już na nas czekała. - Ojciec wstał i podał mi rękę.

Wsunęłam swoją, wciąż w szkarłatnej rękawiczce, w jego ciepłą dłoń.

- Czy zawsze będziesz przy mnie, by podać mi rękę, jak zrobi się ciemno? - zapytałam.

Zapadał zmrok i nagle przestraszyłam się cieni. W ciemnościach czaiły się potwory, dziwne stwory, które obserwowały mnie, gdy się bawiłam.

- Nie - odparł. Usta mi zadrżały. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. - Ale nie martw się - wyszeptał. - zawsze będziesz miała swojego smoka.

Kropla krwi spłynęła z rany przy oku i spadła na ziemię u moich stóp. Mimo że miałam zasłonięte oczy, widziałam, jak powoli opada i ląduje z plaśnięciem. Wyrósł z niej czarny kiełek.

Zastukały kopyta. Ktoś krzyknął przeraźliwie; przypomniało mi to dawne potyczki. Dźwięki te jeszcze bardziej pobudziły moją wiwerkę. Musiałam się uwolnić. I to szybko.

Zamiast szukać wątków prowadzących do Kita i Lou-isy, skupiłam się na tych wplecionych w liny, które pętały moje nadgarstki i kostki. Zaczynałam właśnie je luzować,

gdy coś ostrego i ciężkiego roztrzaskało się o moje zebra. Uderzenie sprawiło, że straciłam oddech.

- Trafiona! - krzyknął Kit. - Czarownica należy do mnie!

- Tylko ją musnąłeś - odparła Louisa. - Musisz nadziać ją na kopię, jeśli chcesz żądać jej jako nagrody.

Niestety nie znałam zasad - ani pojedynkowania się, ani magii... Mateczka Alsop jasno dała mi to do zrozumienia przed naszym wyjazdem do Pragi. „Na razie masz tylko krnąbrną wiwerę, prawie oślepiający blask i tendencję do zadawania pytań, które dają sprzeczne odpowiedzi”, powiedziała. W ostatnim czasie zarzuciłam ćwiczenia z tkania czarów na rzecz intryg na dworze i zamiast poszukiwać magii, skupiłam się na poszukiwaniu *Ashmole 782*. Może gdybym została w Londynie, wiedziałabym, jak się z tego kłębowniska wyplątać. Tymczasem byłam przywiązana do belki niczym czarownica na stosie.

„Myśl. Utrzymaj się przy życiu”.

- Musimy spróbować jeszcze raz - stwierdziła Louisa. Jej głos oddalił się, gdy zawróciła konia i odjechała.

- Nie słuchaj jej, Kit - zawołałam. - Pomyśl, co robisz Matthew. Jeśli chcesz, abym odeszła, odejdę. Obiecuję.

- Twoje obietnice są niczym, czarownico. Skrzyżujesz palce i znajdziesz sposób, by się wykręcić. Nawet teraz widzę twój blask, gdy próbujesz wykorzystać swój czar przeciwko mnie.

„Prawie oślepiający blask. Pytania, które dają sprzeczne odpowiedzi. I krnąbrna wiwerna”.

Wszystko znieruchomiało.

Co powinniśmy zrobić? - zapytałam wiwerę.

W odpowiedzi rozłożyła skrzydła. Przesunęły się między zębami, przez skórę i rozpostarły po obu stronach mojego kręgosłupa. Wiwerna pozostała na swoim miejscu, owijając ogonem moje łono, dla bezpieczeństwa. Wyrzała zza mostka, jej srebrno-czarne oczy lśniły, i załopotowała skrzydłami.



Utrzymać się przy życiu - odparta, a jej słowa okryły mnie całunem szarej mgły.

Siła jej skrzydeł złamała słup za moimi plecami, a kolce na ich końcach przecięły linę wokół moich nadgarstków. Coś ostrego, pewnie pazury, rozcięło też więzy wokół moich kostek. Uniosłam się wysoko w powietrze, gdy Kit i Louisa wpadli w szarą chmurę stworzoną przez wiwerne. Poruszali się zbyt szybko, by zatrzymać się albo zmienić kierunek. Ich kopie się skrzyżowały, a siła uderzenia była tak wielka, że oboje zostali wyrzuceni z siodeł i spadli na ziemię. Zdrową ręką zerwałam opaskę z oczu w chwili, gdy Annie pojawiła się na dziedzińcu.

- Proszę pani! - krzyknęła.

Nie chciałam, aby tu była, nie w pobliżu Louisy de Clermont.

- Uciekaj! - syknęłam.

Słowa wydobyły się ze mnie wraz z ogniem i dymem, gdy krążyłam nad Kitem i Louisą.

Krew kapłała mi z ran na nadgarstkach i stopach, a tam, gdzie spadła jej kropla, wyrastał czarny pęd. Po chwili wokół demona i wampirzycy pojawiła się cała palisada smukłych czarnych pni. Louisa próbowała wyrwać je z ziemi, ale moja moc działała.

- Przepowiedzieć wam waszą przyszłość? - zapytałam szorstko. Oboje spojrzeli na mnie z przerażeniem. - Nigdy nie zdobędziesz tego, czego najbardziej pragniesz, Kit, bo czasami nie możemy dostać tego, co nam najdroższe. A ty nigdy nie wypełnisz pustki w sobie, Louiso, ani krwią, ani złością. I oboje umrzecie, bo śmierć prędzej czy później przychodzi do nas wszystkich. Ale wasza nie będzie łagodna. To wam obiecuję.

Ktoś zbliżał się z zawrotną prędkością. Gdy się zatrzymał, rozpoznałam Hancocka.

- Davy! - Białe palce Louisy zacisnęły się na otaczających ją czarnych palach. - Pomóż nam. Czarownica użyła czaru, by nas złapać. Wyłup jej oczy, a odbierzesz jej moc.

- Matthew jest już w drodze, Louiso - odparł Hancock. - Jesteś bezpieczniejsza za tą palisadą, we władaniu Diany, niż gdybyś uciekała przed jego gniewem.

- Nikt z nas nie jest bezpieczny. Ona spełni starodawną przepowiednię, którą Gerbert podzielił się z *maman* tyle lat temu. Doprowadzi do upadku de Clermontów!

- Nieprawda. - Hancock chyba jej współczuł.

- Prawda! - upierała się Louisa. - Strzeż się czarownicy o krwi lwa i wilka, bo ona zniszczy dzieci nocy. To czarownica z przepowiedni. Jak możesz tego nie dostrzegać!

- Louiso, nie czujesz się dobrze. Widzę to doskonale. Louisa wyprostowała się oburzona.

- Jestem *manjasang* i czuję się świetnie, Hancock. Po chwili pojawili się też Henry i Jack, zadyszani. Henry rozejrzał się po dziedzińcu.

- Gdzie ona jest? - krzyknął, kręcąc się wkoło.

- Spójrz w górę - Hancock wskazał palcem. - Tak jak powiedziała Annie.

- Diano! - westchnął Henry z ulgą.

Szaroczarny cyklon przemknął po podwórzu i zatrzymał się przy złamanej belce, do której byłam wcześniej przywiązana. Matthew nie trzeba było wskazywać, gdzie jestem. Natychmiast mnie odnalazł.

Ostatni przybyli Walter i Pierre. Pierre niósł Annie na barana, a ona zaciskała szczupłe ramionka na jego szyi. Zsunęła się z jego pleców, gdy przystanął.

- Walter! - krzyknął Kit, podchodząc do Louisy. - Trzeba ją zatrzymać! Wypuść nas. Wiem już, co należy zrobić. Rozmawiałem z czarownicą z Newgate i...

Przez czarne pale wsunęła się ręka, a długie, białe palce zacisnęły na gardle Kita. Marlowe zacharczał i umilkł.

- Ani słowa! - Matthew spojrzał na Louise.

- Matthieu. - Krew i narkotyki sprawiły, że wypowiedziała jego imię jeszcze bardziej z francuska. - Dzięki Bogu, że jesteś. Cieszę się, że cię widzę.

- A nie powinnaś. - Matthew odepchnął Kita. Wylądowałam za mężem, a moje nowe skrzydła wsunęły

się z powrotem pod żebra. Ale moja wiwerna była wciąż czujna, a jej ogon mocno zwinięty. Matthew wyczuł mnie i objął ramieniem, choć ani przez moment nie spuścił z oczu moich więźniów. Przesunął palcami po miejscu, w którym kopia przebiła suknię, gorset i skórę, by zatrzymać się na moich żebrach. Miejsce było mokre od krwi.

Matthew obrócił mnie i padł na kolana, odrywając materiał od rany. Zaklął. Jedną rękę położył mi na brzuchu i spojrzał w oczy.

- Nic mi nie jest. Nam nic nie jest - zapewniłam. Wstał, oczy miał czarne, a na skroni pulsowała mu żyła.

- Panie Roydon? - Jack podszedł do Matthew. Trząśł mu się podbródek. Matthew złapał chłopca za kołnierz, nim podszedł zbyt blisko mnie. Jack nawet nie drgnął.

- Ma pan koszmar? Matthew opuścił rękę.

- Tak, Jack. Okropny koszmar. Chłopiec wsunął rączkę w dłoń Matthew.

- Poczekam z tobą, aż przejdzie.

Oczy zaszły mi łzami. A więc o tym mój mąż powiedział Jackowi tej nocy, gdy dziecko męczyły koszmary.

Matthew zacisnął rękę na dłoni Jacka w cichym przyzwoleniu. Stali tak obaj, jeden wysoki i potężny, nadnaturalnie zdrowy, a drugi mały i nieporadny, dopiero dochodzący do siebie po trudnych przeżyciach.

- Gdy Annie powiedziała, że dopadła cię wampirzyca, nie wyobrażałem sobie... - nie mógł mówić dalej.

- To Christopher! - krzyknęła Louisa, odskakując od szalonego demona. - Mówił, że jesteś zaczarowany. Ale czuję na tobie jej krew. Nie rzuciła na ciebie uroku, karmisz się nią.

- Jest moją parą - oświadczył śmiertelnie groźnym tonem Matthew. - I jest przy nadziei.

Marlowe syknął. Wbił wzrok w mój brzuch. Objęłam się zranioną ręką, by chronić dziecko przed spojrzeniem demona.

- To wykluczone. Matthew nie może... - Zdziwienie Kita zamieniło się we wściekłość. - Ona wciąż go mami. Jak mogłaś go tak zdradzić? Kto jest ojcem dziecka, pani Roydon?

Mary Sidney uznała, że zostałam zgwałcona. Gallowglass podejrzewał początkowo, że byłam w ciąży ze zmarłym mężem lub kochankiem. Oba przypadki mogły wzbudzić opiekuńcze uczucia w Matthew, co by wyjaśniało nasz nagły romans. Dla Kita możliwe było tylko to, że przyprawiłam rogi mężczyźnie, którego kochał.

- Zabierz ją, Hancock! - błagała Louisa. - Nie możemy pozwolić na to, by czarownica wprowadziła do rodziny de Clermontów bękarta.

Hancock pokręcił głową i splótł ramiona na piersi.

- Próbowalaś zabić moją parę. Utoczyłaś jej krwi - odezwał się Matthew. - A dziecko nie jest bękartem. Jest moje.

- Wykluczone - odparła Louisa, ale bez przekonania.

- Dziecko jest moje! - powtórzył stanowczo jej brat. - Z mojej krwi, z mojego ciała!

- Ma krew wilka - wyszeptała Louisa. - To właśnie o niej mówiła przepowiednia. Jeśli dziecko przeżyje, zniszczy nas wszystkich!

- Zabierzcie ich z moich oczu. - Głos Matthew drżał z wściekłości. - Zanim rozerwę ich na strzępy i nakarmię nimi psy.

Kopniakami rozniósł palisadę i pochwycił swojego przyjaciela i siostrę.

- Nie pójdę... - zaczęła Louisa. Spojrzała w dół, na dłoń Hancocka zaciśniętą na jej rękę.

- Pójdiesz tam, gdzie cię zabiorę - odezwał się cicho. Zdjął pierścień Ysabeau z palca wampirzycy i rzucił go Matthew. - O ile wiem, należy do twojej żony.

- A Kit? - zapytał Walter, patrząc z niepokojem na Matthew.

- Skoro tak im ze sobą dobrze, zamknij go z Louisą. - Matthew pchnął demona w stronę Raleigha.

- Ale ona... - zaczął Walter.

- Będzie się nim żywić? - Matthew zrobił kwaśną minę. - Już to robi. To jedyny sposób, w jaki wampir może zakosztować efektów wina i opiatów: z żył ciepłokrwistych.

Walter przyjrzał się uważnie Matthew i skinął głową.

- Dobrze, mój drogi. Zrobimy tak, jak sobie życzysz. Zabierz Dianę i dzieci do Blackfriars. Resztę zostaw mnie i Hancockowi.

- Mówiłam, że nie ma się czym martwić. Dziecku nic nie jest. - Poprawiłam suknię.

Wróciliśmy prosto do domu, ale Matthew i tak posłał Pierre'a po Susannę i Mateczkę Alsop. Teraz cały dom pełen był rozzłoszczonych wampirów i czarownic.

- Może wy zdołacie go przekonać.

Susanna opłukała ręce w misce gorącej wody z mydłem.

- Jeśli twój mąż nie wierzy własnym oczom, nie przekona go nic, co zrobię lub powiem. - Przywołała Matthew.

Wraz z nim przyszedł Gallowglass; obaj stanęli w drzwiach.

- Nic ci nie jest, naprawdę? - Twarz Gallowglassa przybrała ziemisty kolor.

- Miałam złamany palec i żebro. To samo mogłoby mi się przydarzyć, gdybym spadła ze schodów. Dzięki Susannie palec jest już zdrowy. - Wyciągnęłam rękę.

Wciąż była spuchnięta, więc pierścień Ysabeau musiałam wsunąć na drugą rękę, ale mogłam już poruszać bez bólu palcami. Gojenie się rany w boku wymagało więcej czasu. Matthew odmówił użycia swojej krwi w tym celu, więc Susanna zastosowała kilka magicznych szwów i kataplazmy.

- Jest wiele powodów, dla których nienawidzę w tej chwili Louisy - odezwał się ponuro Matthew. - Ale jest też coś, za co jestem jej wdzięczny. Ona nie chciała cię zabić. Louisa nigdy nie chybia. Gdyby chciała przebić cię kopią, już byś nie żyła.

- Louisa była zbyt zajęta przepowiednią, którą Gerbert ujawnił kiedyś Ysabeau.

Gallowglass i Matthew wymienili spojrzenia.

- To nic takiego - stwierdził obojętnie Matthew. - Jakaś głupota, którą wymyślił, żeby podeksycytować *maman*.

- To przepowiednia Meridiany, prawda? - W głębi serca wiedziałam o tym od momentu, gdy Louisa o niej wspomniała.

Słowa te przypomniały mi dotyk Gerberta w La Pierre. Sprawily też, że powietrze wokół Louisy aż strzelało elektrycznością, zupełnie jakby była Pandorą i zdjęła przykrywkę z puszeki z dawno zapomniana magią.

- Meridiana chciała przestraszyć Gerberta tym, co się wydarzy w przyszłości. Udało jej się. - Matthew pokręcił głową. - To nie ma z tobą nic wspólnego.

- Twój ojciec to lew. Ty jesteś wilkiem. - Nagle mnie zmroziło w środku.

Czułam, że jest ze mną coś nie tak, gdzieś głęboko, gdzie nigdy nie dociera słońce. Spojrzałam na mojego męża, jedno z dzieci nocy, o których mówiła przepowiednia. Nasze pierwsze dziecko nie żyło. Odcięłam się od tych myśli, nie chcąc, by utkwily mi w sercu lub głowie na tyle długo, by na mnie wpłynąć. Ale bez skutku. Zbyt wiele było między nami szczeroci, by ukryć to przed Matthew... przede mną.

- Nie masz się czego lękać. - Matthew musnął ustami moje wargi.
- Jesteś zbyt pełna życia, by zwiastować zniszczenie.

Pozwoliłam, by mnie pocieszał, ale mój szósty zmysł go zignorował. Gdzieś tam została uwolniona śmiertelnie niebezpieczna siła. Czułam, jak jej wązki napinają się, ciągnąc mnie ku ciemności.

## ROZDZIAŁ 16

Stałam przed gospodą Pod Złotą Gąską i czekałam, aż Annie kupi trochę potrawy na kolację, gdy poczułam na sobie chłodne spojrzenie wampira.

- Ojcie Hubbardzie - powiedziałam i odwróciłam się. Oczy wampira przesunęły się po mojej klatce piersiowej.

- Dziwię się, że twój mąż pozwala ci chodzić samej po mieście, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się w Greenwich... no i to, że jesteś przy nadziei.

Moja wiwerna, która od wydarzeń na dziedzińcu pałacu stała się niezwykle opiekuńcza, oplótła mi żebra ogonem.

- Wszyscy wiedzą, że wampierze nie mogą być ojcami dzieci ciepłokrwistych kobiet - rzuciłam od niechcenia.

- Wygląda na to, że w przypadku takiej czarownicy, jak ty, nie jest to już tak oczywiste, chociaż wydaje się niemożliwe. - Ponura twarz Hubbarda jeszcze bardziej spochmurniała. - Na przykład większość stworzeń uważa, że nienawiść Matthew do czarownic jest niezmienna. Mało kto uwierzyłby, że to właśnie za jego sprawą Barbara Napier uniknęła stosu w Szkocji.

Wydarzenia w Berwick wciąż absorbowały Matthew, stały się też tematem plotek ludzi i innych istot.

- Matthew nie był w owym czasie w Szkocji.

- Nie musiał być przy tym obecny. Hancock przebywał w Edynburgu i udawał jednego z jej przyjaciół. To on poruszył w sądzie kwestię jej ciąży. - Zimny oddech Hubbarda pachniał lasem.

- Czarownica okazała się niewinna - stwierdziłam, otulając się szalem. - I została uwolniona od zarzutów.

- Tylko od jednego. - Hubbard nie spuszczał ze mnie wzroku. - Uznano ją winną wielu innych uchybień. A, biorąc pod uwagę, że niedawno wróciłaś, może nie słyszałaś, że król Jakub znalazł sposób, by podważyć decyzję sędziów w sprawie Napier?

- Podważyć? Jak?

- Szkocki król nie przepada ostatnimi czasy za Kongregacją, a twój mąż ma w tym swój udział. Specyficzne podejście Matthew do umowy i jego mieszanie się do szkockiej polityki sprawiły, że Jego Wysokość także postanowił poszukać luk w prawie. Jakub zdecydował się postawić przed sądem sędziów, którzy uniewinnili czarownicę. Są oskarżeni o błędną interpretację królewskiego prawa. Zastraszanie sędziów okaże się doskonałą metodą, by zapewnić odpowiednie wyniki kolejnych procesów.

- Matthew tego nie zaplanował! - Miałam zamęt w głowie.

- Brzmi to zbyt przebiegle, by pasowało do Matthew de Clermonta. Napier i jej dziecko przeżyją, ale zginą z tego powodu dziesiątki innych niewinnych istot - najeżył się Hubbard. - Czy nie tego pragną de Clermontowie?

- Jak śmiesz!

- Mam... - Annie wyszła na ulicę i omal nie upuściła garnka.

Wyciągnęłam rękę i wzięłam ją pod ramię.



- Dziękuję, Annie.

- Wiesz, gdzie jest twój mąż w ten piękny majowy poranek, pani Roydon?

- Zajmuje się interesami. - Matthew rano upewnił się, że zjadłam śniadanie, pocałował mnie i wyszedł gdzieś z Pierre'em.

Jack był niepokieszony, że musi zostać z Harriotem. Poczułam ukłucie niepokoju. Matthew zwykle zabierał chłopca do miasta.

- Nie - zaprzeczył Hubbard. - Jest w Bedlam, ze swoją siostrą i Christopherem Marlowe'em.

Bedlam było pod każdym względem, poza nazwą, więzieniem - miejscem zapomnienia, gdzie zamykano szaleńców, a także tych, na których rodziny rzuciły zmyślane oskarżenia po to tylko, by się ich pozbyć. Za posłania służyła tu tylko słoma, więźniowie nieraz przymierali głodem, strażnicy nie okazywali im krzty litości, a pacjentów nie leczono, więc większość z nich nigdy stamtąd nie wychodziła. A jeśli nawet, to takie doświadczenie pozostawiało na nich niezatarte piętno.

- Matthew, niezadowolony z pracy sądów w Szkocji, postanowił wydawać teraz własne wyroki w Londynie - ciągnął Hubbard. - Poszedł rano ich przesłuchać. Przypuszczam, że wciąż tam jest.

Było już dobrze po południu.

- Widziałem, jak Matthew de Clermont zabijał szybko, w gniewie. Makabra. Ale widok, jak robi to powoli i skrupulatnie, sprawi, że nawet największy ateista uwierzy w diabła.

Louisa była wampirem i miała krew Ysabeau. Mogła się obronić. Ale demon...

- Idź do Mateczki Alsop, Annie. Powiedz jej, że poszłam do Bedlam, by zająć się panem Marlowe'em i siostrą pana Roydona - popchnęłam lekko dziewczynkę.

- Muszę z panią zostać - zawołała Annie, wpatrując się we mnie. - Pan Roydon kazał mi to obiecać!

- Ktoś musi wiedzieć, gdzie poszłam, Annie. Powiedz Mateczce Alsop, co tu usłyszałaś. Znajdę drogę do Bedlam.

W rzeczywistości miałam mgliste pojęcie o tym, gdzie znajduje się zakład dla obłąkanych, ale znałam sposoby na to, by odnaleźć Matthew. W wyobraźni złapałam mocno łańcuch, który mnie z nim łączył, gotowa go pociągnąć.

- Poczekaj. - Hubbard zacisnął dłoń na moim nadgarstku. Podskoczyłam. Wampir zawołał do kogoś w cieniu - do

kościstego młodego człowieka, którego Matthew trafnie nazwał Amen Corner.

- Mój syn cię odprowadzi.

- Matthew będzie wiedział, że się ze mną spotkałeś. - Spojrzałam na rękę Hubbarda. Wciąż przytrzymał mój nadgarstek, przenosząc nań swój zapach. - Odreaguje to na chłopaku.

Hubbard zacisnął dłoń, a ja zrozumiałam, co chciał mi przekazać.

- Jeśli pragnąłeś mi towarzyszyć do Bedlam, ojciec Hubbardzie, wystarczyło poprosić.

Hubbard znał wszystkie skróty i boczne uliczki między St. James Garlickhythe i Bishopsgate. Wyszliśmy za miasto, na jedno z zapuszczonych przedmieść. Podobnie jak Cripplegate, okolice Bedlam były biedne i przeludnione. Ale prawdziwy horror jeszcze nas czekał.

Strażnik wyszedł nam na spotkanie przy bramie i poprowadził przez miejsce, które kiedyś znane było jako szpital Świętej Marii z Betlejem. Pan Sleford dobrze znał ojca Hubbarda i wciąż giął się w ukłonach, gdy wiódł nas przez nierówny dziedziniec do potężnych drzwi. Mimo grubych murów z kamienia i drewna dochodziły stamtąd rozzwierające krzyki uwięzionych. Większość okien nie miała szyb ani żadnej innej ochrony przed niepogodą. Smród zgnilizny, brudu i starości przytłaczał.

- Nie - zaprotestowałam, gdy Hubbard podał mi rękę przy wejściu do ciemnego pomieszczenia. Było coś nieprzyzwoitego w korzystaniu z pomocy, kiedy ja byłam wolna, a chorzy pozostawieni samym sobie.

W środku zaatakowały mnie duchy zmarłych więźniów i postrzępione wątki, które okręcały się wokół umęczonych mieszkańców szpitala. Aby poradzić sobie z tym horrorem, skupiłam się na makabrycznych obliczeniach matematycznych, dzieląc zebranych mężczyzn i kobiety na mniejsze grupki, a potem łącząc ich w inny sposób.

Podczas naszej wędrówki korytarzem doliczyłam się trzydziestu osób. Czternaścioro z nich było demonami. Z pół tuzina w ogóle nie miało na sobie ubrań, a kolejnych dziesięcioro okrywały łachmany. Kobieta w brudnym, ale bogatym męskim stroju wpatrywała się w nas z nienawiścią. W tym miejscu były też dwie czarownice i jeden wampir.

Piętnaścioro z nich przykuto do ściany lub podłogi, albo do obu naraz. Czwórka z pozostałej piątki nie mogła stać i kuciała, gadając nieskładnie i drapiąc ściany. Jeden z pacjentów tańczył nago na środku korytarza.

Do jednej z sal prowadziły drzwi. Coś mi mówiło, że właśnie tam znajdę Louise i Kita.

Strażnik otworzył je i mocno zastukał. Gdy nie otrzymał odpowiedzi, zadudnił w nie pięścią.

- Słyszałem już za pierwszym razem, panie Sleford. -Gallowglass nie wyglądał najlepiej. Miał świeże zadrapania na policzku i krew na kaftanie. Gdy zobaczył, że stoję za Slefordem, cofnął się o krok. - Cioteczka...

- Wpuść mnie.

- To nie jest najlepszy... - Gallowglass jeszcze raz spojrzął na mnie i usunął się. - Louisa straciła trochę krwi. Jest głodna. Trzymaj się od niej z daleka, jeśli nie chcesz być pogryziona albo podrapana. Przyciąłem jej pazurki, ale niewiele mogę zrobić z jej zębami.

Chociaż nic nie stało mi na drodze, nie mogłam postąpić nawet kroku.

Piękna, okrutna Louisa była przykuta do żelaznego pierścienia wbitego w kamienną podłogę. Suknię miała w strzępach i spływała po niej krew z głębokich nacięć na szyi. Ktoś dowodził swej wyższości nad nią - ktoś silniejszy i bardziej rozwścieczony niż ona.

Wyteżyłam wzrok, aż w cieniu ujrzałam ciemną postać, nachylającą się nad jakimś kształtem na ziemi. Matthew gwałtownie unióśł głowę. Twarz miał trupioblada, a oczy czarne jak noc. Nie było na nim ani kropli krwi. Tak jak propozycja pomocy ze strony Hubbarda, jego czystość też wydała mi się nieprzyzwoita.

- Powinnaś być w domu, Diano. - Matthew wstał.

- Jestem dokładnie tam, gdzie być powinnam. - Podeszłam do niego. - Krwawy szal i opiaty to zła mieszanka, Matthew. Ile jego krwi wypiliśmy?

Postać na podłodze drgnęła.

- Jestem tu, Christopherze - zawołał Hubbard. - Nic już ci się nie stanie.

Marlowe westchnął z ulgą, a jego ciałem wstrząsnął płacz.

- Bedlam nie znajduje się w Londynie, Hubbardzie - odezwał się zimno Matthew. - Znalazłeś się poza swoim terenem, a Kit nie jest pod twoją ochroną.

- Boże, znów się zaczyna. - Gallowglass trzasnął drzwiami przed nosem zdziwionego Slefroda. - Zamknij je! - zawołał, podkreślając nakaz uderzeniem pięścią.

Na szczęk zamka Louisa poderwała się, a łańcuchy na jej kostkach i nadgarstkach zabrzęczały. Jeden z nich pękł, a ja podskoczyłam, gdy rozerwane ogniwa zastukały o podłogę. Na korytarzu rozległ się podobny dźwięk.

- Niemojąkrewniemojąkrew... - powtarzała Louisa. Przywarła płasko do ściany, a gdy spojrzałam jej w oczy, jęknęła i odwróciła się.

- Zgiń, fantomie. Już raz umarłam i nie muszę się bać duchów takich jak ty.

- Zamilcz. - Głos Matthew był cichy, ale potoczył się po celi z taką mocą, że wszyscy podskoczyliśmy.

- Pić - jęknęła Louisa. - Proszę, Matthew.

Coś kapało na kamienie. Przy każdym uderzeniu kropli ciałem Louisy wstrząsał dreszcz. Ktoś powiesił za rogi głowę jelenia o pustych, niewidzących oczach. Z rozplątanej szyi krew sączyła się na podłogę tuż poza zasięgiem łańcuchów Louisy.

- Przestań ją torturować! - Postąpiłam o krok, ale Gal-lowglass mnie zatrzymał.

- Nie mogę pozwolić, abyś się wtrącała, cioteczko - odezwał się stanowczo. - Matthew ma rację, to nie twoja sprawa.

- Gallowglass! - Matthew pokręcił ostrzegawczo głową. Gallowglass puścił moją rękę i spojrzał z niepokojem na wuja.

- No dobra. Pozwól, że odpowiem na twoje pytanie, cioteczko. Matthew napił się akurat tyle krwi Kita, by podtrzymać swój krwawy szal. Jeśli chcesz z nim rozmawiać, będziesz potrzebowała tego - rzucił mi nóż.

Nie próbowałam go złapać, więc spadł z brzękiem na podłogę.

- Matthew, jesteś silniejszy niż ta choroba. - Podeszłam do niego. Stałam tak blisko, że moja suknia ocierała się o jego buty. - Pozwól, aby ojciec Hubbard zajął się Kitem.

- Nie. - Matthew był nieugięty.

- Co by sobie pomyślał Jack, gdyby zobaczył cię w tej chwili? - Wolałam wykorzystać poczucie winy, nie stał, by przywrócić rozum mojemu mężowi. - Jesteś jego bohaterem. Bohaterowie nie zniżają się nad przyjaciółmi i rodziną.

- Próbowali cię zabić! - Ryk Matthew wstrząsnął całym pomieszczeniem.

- Alkohol i narkotyki pozbawiły ich zdrowych zmysłów. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z tego, co robi -odparłam. - Podobnie jak ty teraz.

- Nie oszukuj się. Oboje doskonale wiedzieli, co się dzieje. Kit chciał się pozbyć przeszkody na swojej drodze do szczęścia, nie przejmując się nikim. Louisa poddała się tym samym okrutnym pragnieniom, które odczuwa od dnia, gdy została stworzona. - Matthew przeczesał palcami włosy. - Ja też wiem, co robię.

- Tak. Sam sobie wymierzasz karę. Jesteś przekonany, że biologia określa twoje przeznaczenie, przynajmniej w kwestii twojego krwawego szału. Uważasz więc, że jesteś taki sam jak Kit i Louisa. Kolejny szalenciec. Prosiłam, abys przestał zaprzeczać swoim instyngtom, Matthew, zamiast stawać się ich niewolnikiem.

Tym razem, gdy zrobiłam krok w stronę siostry Matthew, ona rzuciła się na mnie, plując i warcząc.

- Twój największy lęk przed przyszłością? Że zdegradują cię do zwierzęcia przykutego do ściany, czekającego na kolejną karę, bo właśnie na to zasługuje. - Podeszłam znów do niego i chwyciłam go za ramiona. - Nie jesteś kimś takim, Matthew. I nigdy nie byłeś.

- Mówiłem już, żebyś przestała mnie idealizować -odparł krótko. Oderwał ode mnie wzrok, ale zdążyłam dostrzec w nim rozpacz.

- A więc to także ze względu na mnie? Wciąż chcesz mi dowieść, że nie zasługujesz na miłość?

Opuścił ręce i zacisnął je w pięści. Rozwarłam je, a potem położyłam na moim brzuchu.

- Dotknij naszego dziecka, spójrz mi w oczy i powiedz, że nie masz szans na inne zakończenie tej historii.

Tak jak tej nocy, kiedy czekałam, by napił się z mojej żyły, minuty ciągnęły się w nieskończoność, gdy Matthew

walczył ze sobą. I jak wtedy nie mogłam zrobić nic, by przyspieszyć ten proces albo pomóc mu wybrać życie, nie śmierć. Sam musiał pochwycić delikatny wątek nadziei.

- Nie wiem - stwierdził w końcu. - Kiedyś wiedziałem, że miłość wampira i czarownicy jest zła. Wiedziałem, że wszystkie cztery gatunki są rozdzielone. Zgadzałem się na śmierć czarownic, bo to uratowałyby wampiry i demony.

Źrenice wciąż miał rozszerzone, ale ujrzałam wąski pasek zieleni wokół nich.

- Mówiłem sobie, że szaleństwa demonów i słabość wampirów to nowe zjawiska, ale teraz, gdy patrzę na Lou-isę i Kita...

- Już nic nie wiesz. Nikt z nas nie wie. To przerażająca perspektywa - dokończyłam cicho. - Ale musimy wierzyć w przyszłość, Matthew. Nic chcę, aby nasze dzieci urodziły się w mroku, nienawidząc i bojąc się tego, kim są.

Czekałam, aż znów mnie zaatakuje, ale zamilkł.

- Pozwól, by Gallowglass zajął się twoją siostrą, a Hubbard Kitem. I spróbuj im wybaczyć.

- Wampierze nie wybaczą tak łatwo jak ciepłokrwieńcy - odezwał się szorstko Gallowglass. - Nie możesz go o to prosić.

- Matthew cię prosił - zauważyłam.

- Tak, a ja odpowiedziałem, że może z czasem zapomnę. Cioteczko, nie żądaj od Matthew więcej, niż może dać. Sam jest sobie katem i nie potrzebuje jeszcze twojej pomocy. -W głosie Gallowglassa brzmiała groźba.

- Chciałabym zapomnieć, czarownico - odezwała się Louisa swobodnie, zupełnie jakby wybierała materiał na nową suknię. Machnęła ręką w powietrzu. - O tym wszystkim. Użyj swojej magii i spraw, aby zniknęły te straszne sny.

Mogłam to zrobić. Widziałam wątki łączące ją z Bedlam, Matthew i ze mną. Ale chociaż nie chciałam torturować Louisy, nie byłam też tak wielkoduszna, by zapewnić jej spokój.

- Nie, Louiso - powiedziałam. - Zapamiętasz Greenwich do końca życia, mnie także, no i to, jak skrzywdziłaś Matthew. Niech to wspomnienie będzie twoim więzieniem.

Odwróciłam się do Gallowglassa.

- Nim ją uwolnisz, upewnij się, że nie stanowi zagrożenia ani dla siebie, ani dla nikogo innego.

- Och, nie zazna wiele wolności - obiecał Gallowglass. - Stąd wyruszy tam, gdzie pośle ją Philippe. A po tym, co zrobiła, dziadek nie pozwoli jej już na żadne wybryki.

- Powiedz im, Matthew! - błagała Louisa. - Ty rozumiesz, co to znaczy, mieć te... te rzeczy pełzające w czaszce. To nie do zniesienia!

Zaczęła wyrywać sobie włosy.

- A Kit? - zapytał Gallowglass. - Jesteś pewien, że chcesz, aby został pod opieką Hubbarda, Matthew? Według mnie Hancock chętnie by się nim zajął.

- Kit należy do Hubbarda, nie do mnie - stwierdził kategorycznie Matthew. - Nie dbam o to, co się z nim stanie.

- To, co zrobiłem, robiłem z miłości... - zaczął Kit.

- Zrobiłeś to z zemsty. - Matthew odwrócił się od najlepszego przyjaciela.

- Ojczy Hubbardzie - zawołałam, gdy podszedł po swojego podopiecznego. - To, co Kit uczynił w Greenwich, zostanie zapomniane pod warunkiem, że nic, co wydarzyło się tutaj, nie wyjdzie poza te mury.

- Czyżbyś przysięgała w imieniu wszystkich de Clermontów? - Hubbard uniósł jasne brwi. - To twój mąż musi mi to obiecać, nie ty.

- Musi ci wystarczyć moje słowo - odparłam stanowczo.

- Dobrze, madame de Clermont. - Hubbard po raz pierwszy zwrócił się do mnie w ten sposób. - Rzeczywiście jesteś córką Philippe'a. Zgadzam się na warunki twojej rodziny.

Nawet po opuszczeniu Bedlam czułam, Matthew zresztą też, że mrok tego miejsca wciąż nas otacza. Był z nami



wszędzie tam, gdzie poszliśmy, towarzyszył nam podczas obiadu, odwiedzał z nami przyjaciół. Istniał tylko jeden sposób, aby się od niego wyzwolić. Musieliśmy wrócić do naszych czasów.

Nie omawiając tego ani nie snując świadomie planów, zaczęliśmy oboje porządkować nasze sprawy, odcinać wątki, które wiązały nas z przeszłością. Françoise zamierzała dołączyć do nas w Londynie, ale posłaliśmy jej list, by pozostała w Old Lodge. Matthew prowadził długie i skomplikowane rozmowy z Gallowglassem o tym, jakich kłamstw użyć, by szesnastowieczny Matthew nic zorientował się, że przez jakiś czas zastępował go Matthew z przyszłości. Szesnastowieczny Matthew nie mógł się spotkać z Kitem ani Louisą, bo nie można im było ufać.

Walter i Henry mieli coś wymyślić, by wyjaśnić zmiany w jego zachowaniu. Matthew posłał Hancocka do Szkocji, by przygotował tam miejsce na nowe życie. Ja pracowałam z Mateczką Alsop nad węzłami, które zabiorą nas w przyszłość.

Po jednej z lekcji Matthew spotkał się ze mną w St. James Garlickhythe i zaproponował, byśmy w drodze do domu przeszli przez dziedziniec katedry Świętego Pawła. Do przesilenia letniego pozostały dwa tygodnie, a dni były słoneczne i jasne mimo majaczącego wciąż mroku Bedlam.

Chociaż Matthew nadal przeżywał zajście z Louisą i Kitem, gdy zatrzymaliśmy się, by obejrzeć najnowsze książki i posłuchać wieści przy straganach bukinistów, było prawie jak za dawnych czasów. Przeglądałam akurat relację z najnowszego sporu na temat słownictwa między dwoma uczonymi z Cambridge, gdy Matthew zeszywniał.

- Rumianek. Liście dębu. I kawa. - Zwrócił głowę w stronę obcego zapachu.

- Kawa? - zapytałam, zaskoczona. Jak coś, co jeszcze nie dotarło do Anglii, mogło pojawić się wśród aromatów

przy katedrze? Ale Matthew nie było już przy mnie. Przepychał się przez tłum z mieczem w dłoni.

Westchnęłam. Matthew nie mógł się powstrzymać przed pościgiem za każdym złodziejem. Czasami żałowałam, że nie ma trochę słabszego wzroku i lekko stępionego poczucia moralności.

Tym razem ścigał mężczyznę niższego od niego, o gęstych, kręconych brązowych włosach, przyprószonych siwizną. Mężczyzna był szczupły, lekko przygarbiony, jakby zbyt wiele czasu spędzał nad książkami. Jego wygląd coś poruszył w mojej pamięci.

Ten ktoś wyczuł zbliżające się niebezpieczeństwo i odwrócił się. Niestety, miał tylko żałośnie krótki sztylet, nie większy niż scyzoryk. Nie na wiele mógł mu się przydać w starciu z Matthew. Chcąc uniknąć krwawej jatki, pognałam za mężem.

Matthew złapał go za rękę tak mocno, że biedakowi broń wypadła z ręki. Wampir przycisnął ofiarę do stoiska z książkami i przyłożył płaz miecza do jej gardła. Zamarłam na chwilę.

- Tatusz? - wyszeptałam.

To niemożliwe. Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem, a serce łomotało mi z zaskoczenia i radości.

- Witam, panno Bishop- odparł mój ojciec, podnosząc wzrok znad miecza Matthew. - Cóż za ciekawe spotkanie.

## ROZDZIAŁ 17

Mój ojciec zdawał się spokojnie podchodzić do spotkania z obcym, uzbrojonym wampirem i własną dorosłą córką.

Zdradzały go tylko lekkie drzenie głosu i dłonie zaciśnięte do białości.

- Doktor Proctor, jak sądzę. - Matthew cofnął się i schował broń.

Ojciec obciągnął brązową kurtkę. Zupełnie mu nie pasowała. Ktoś - pewnie moja matka - próbował przerobić kurtkę w stylu indyjskim w coś przypominającego urzędniczy płaszcz. Spodnie też miał za długie, bardziej z czasów Benjamina Franklina niż Waltera Raleigha. Ale jego znajomy głos, którego nie słyszałam od dwudziestu sześciu lat, wcale się nie zmienił.

- Urosłaś przez ostatnie trzy dni - odezwał się niepewnie.

- A ty wyglądasz dokładnie tak, jak pamiętam - szepnęłam, porażona faktem, że stoi przede mną.

Wiedziałam, że czarownica i wampierz w tłumie przy katedrze mogą zwrócić czyjąś uwagę i czułam się zagubiona w tej całej sytuacji, zastosowałam więc zasady dobrego wychowania:

- Może wpadłbyś do nas na drinka? - zaproponowałam zakłopotana.

- Pewnie, skarbie. Doskonały pomysł - skinął głową. Nie mogliśmy oderwać od siebie wzroku - ani w drodze

do domu, ani gdy wreszcie dotarliśmy do Łani i Korony, która, jakimś cudem, była pusta. Na miejscu ojciec uściskał mnie mocno.

- To naprawdę ty. Brzmisz jak twoja mama. - Odsunął mnie na odległość ramienia i zaczął mi się przyglądać. -I wyglądasz jak ona.

- Ludzie mówią, że mam twoje oczy. - Ja też mu się przypatrywałam. Kiedy ma się siedem lat, zwykle takich rzeczy się nie dostrzega. A kiedy chciałoby się na to zwrócić uwagę, często jest już za późno.

- To prawda - roześmiał się Stephen.

- Diana ma też twoje uszy. I wasze zapachy są do siebie w jakiś sposób podobne. To dlatego rozpoznałem pana przy katedrze Świętego Pawła. - Matthew nerwowo przeczesał włosy dłonią, po czym podał ją mojemu ojcu. - Jestem Matthew.

Ojciec spojrział na wyciągniętą rękę.

- Bez nazwiska? Jesteś jakąś gwiazdą, jak Halston albo Cher?

Wyobraziłam sobie nagle, co mnie ominęło z tego powodu, że nie miałam ojca jako nastolatka: jak mógłby robić z siebie idiotę podczas spotkań z chłopcami, z którymi się umawiałam. Oczy zaszyły mi łzami.

- Matthew ma wiele nazwisk. To po prostu... skomplikowane - powiedziałam, siąkając nosem. Mojego ojca zaniepokoił ten nagły atak wzruszenia.

- Na razie wystarczy Matthew Roydon - oświadczył Matthew, skupiając na sobie jego uwagę. Uścisnęli sobie dłonie.

- A więc to ty jesteś tym wampirem - stwierdził ojciec. - Rebecca strasznie się martwi kwestiami formalnymi twojego związku z moją córką, a Diana nie umie jeszcze nawet jeździć na rowerze.

- Och, tato... - Gdy tylko wymówiłam te słowa, zaczerwieniłam się. Brzmiałam tak, jakbym miała dwanaście lat.

Matthew uśmiechnął się i podszedł do stołu.

- Może usiądziesz i napijesz się wina, Stephen? - Podał mu czarękę i podsunął krzesło. - Spotkanie z Dianą to pewnie lekki szok.

- Można tak powiedzieć. Chętnie się napiję. - Mój ojciec usiadł, pociągnął łyk wina i skinął z uznaniem głową, nim zebrał się w sobie, by przejąć dowodzenie.

- No to przywitaliśmy się, zaprosiliście mnie do swojego domu i ugościliście. To podstawowe rytuały powitalne Zachodu. A teraz przechodzimy do sedna. Co ty tu robisz, Diano? - spytał.

- Ja? A co ty tu robisz! I gdzie jest mama? - Odsunęłam pucharek wina, którego nalał mi Matthew.

- Twoja matka jest w domu i się tobą zajmuje. - Zdziwiony ojciec pokręcił głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Masz pewnie z dziesięć lat mniej ode mnie.

- Wciąż zapominam, o ile jesteś starszy od mamy.

- Żyjesz z wampirem i masz coś przeciwko naszemu majowo-grudniowemu romansowi? - Żartobliwe określenie ojca rozbawiło mnie. Śmiejąc się, szybko przekalkulowałam. - Więc przybyłeś mniej więcej z 1980 roku?

- Tak. W końcu otrzymałem wyniki i wybrałem się na badania w terenie. - Stephen zmierzył nas wzrokiem. - Czy to tutaj i w tych czasach się poznaliście?

- Nie. Spotkaliśmy się we wrześniu 2009 roku w Oksfordzie. W Bibliotece Bodlejańskiej. - Spojrzałam na Matthew, a on dodał mi odwagi uśmiechem. Odwróciłam się do ojca i odetchnęłam głęboko. - Tak jak ty mogę przemieszczać się w czasie. I zabrałam tu z sobą Matthew.

- Wiem, że możesz przenosić się w czasie, skarbie. W zeszłym roku w sierpniu wystraszyłaś swoją matkę na śmierć, znikając w swoje trzecie urodziny. Raczkujące w czasie dziecko to największy koszmar matek. - Obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem. - A więc masz moje oczy, uszy, zapach i zdolność do przenoszenia się w czasie. Jeszcze coś?

Skinęłam głową.

- Mogę tworzyć czary.

- Och. Mieliśmy nadzieję, że będzie cię pociągać magia ognia, jak twoją matkę, ale widzę, że nic z tego. - Mój ojciec wyglądał na speszzonego. - Nie powinnaś raczej wspominać o tych zdolnościach w towarzystwie innych czarownic. A gdy będą próbować uczyć cię czarów, po prostu wpuszczaj wszystko jednym uchem i wypuszczaj drugim. Nawet nie próbuj opanować tej wiedzy.

- Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego wcześniej. Pomogłoby mi to z Sarą - odparłam.

- Dobra, stara Sara. - Śmiech ojca był ciepły i zaraźliwy. Na schodach rozległ się łoskot i po chwili do pokoju

wpadł Mop na czterech łapach i chłopiec, który otworzył drzwi tak energicznie, że aż uderzyły w ścianę.

- Pan Harriot mówi, że mogę znowu z nim iść i patrzeć na gwiazdy, i obiecał, że tym razem o mnie nie zapomni. A pan Szekspir podarował mi to. - Jack zaczął machać kawałkiem papieru. - To podobno akredytywa. A Annie gapiała się cały czas na jednego chłopca, jak jadła placek Pod Kardynalskim Kapeluszem. Kto to? - wycelował brudny palec w mojego ojca.

- To pan Proctor - wyjaśnił Matthew, łapiąc Jacka wpół. - Nakarmiłeś po przyjściu Mopa? - W Pradze nie dało się rozdzielić chłopca i psa, więc Mop przyjechał do Londynu, a jego dziwny wygląd sprawił, że stał się czymś w rodzaju lokalnej sensacji.

- Oczywiście, że nakarmiłem. Jeśli zapomnę, zjada mi buty, a Pierre powiedział, że zapłaci za jedną nową parę, nic pani nie mówiąc, ale za drugą już nie. - Jack zacisnął dłoń na ustach.

- Przepraszam, pani Roydon. Pobiegł ulicą i nie zdążyłam go dogonić. - Zaaferowana Annie wpadła do pokoju, po czym zamarła i na widok mojego ojca nagle pobladła.

- W porządku, Annie - odezwałam się miękko. Od wydarzeń w Greenwich bała się obcych. - To pan Proctor. Nasz przyjaciel.

- Mam kulki. Umiesz grać w kulki? - Jack wpatrywał się w mojego ojca z ciekawością, jakby się zastanawiał, co ten przybysz potrafi.

- Pan Proctor przybył, by porozmawiać z panią Roydon, Jack. - Matthew obrócił go twarzą do drzwi. - Potrzebujemy

wody, wina i chleba. Podzielcie zadania między siebie, a gdy wróci Pierre, zabierze was do Moorfields.

Ociągając się, Jack wyszedł z Annie na ulicę.

W końcu spojrzałam ojcowi w oczy. Bez jednego słowa przyglądał się mnie i Matthew, a w powietrzu wisiało mnóstwo pytań.

- Czemu tu jesteś, skarbie? - zagadnął cicho, gdy dzieci wyszły.

- Mieliliśmy nadzieję, że spotkamy tu kogoś, kto pomoże mi znaleźć odpowiedzi na pytania dotyczące magii i alchemii. - Z jakich przyczyn nie chciałam zdradzać ojcowi szczegółów. - Moją nauczycielką jest Mateczka Alsop. Zajęła się mną.

- Niezła próba, Diano. Ale ja leż jestem czarownikiem i wiem, kiedy próbujesz coś ukryć. - Rozsiadł się na krześle. - W końcu będziesz musiała mi powiedzieć. Myślałem po prostu, że tak będzie szybciej.

- A co ty tu robisz, Stephenie? - zapytał Matthew.

- Rozglądałam się. Jestem antropologiem. Tym się zajmuję. A ty czym się zajmujesz?

- Jestem naukowcem, biochemikiem, pracuję w Oksfordzie.

- Tato, wcale nie „rozglądasz się” po elżbietańskim Londynie. Masz stronę z *Ashmole 782*. - Nagle zrozumiałam, co tu robił. - Szukasz całego manuskryptu.

Postawiłam na stole drewniany świecznik. Pomiedzy dwiema świecami tkwiło astronomiczne kompendium mistrza Habérmela. Musieliśmy je codziennie przynosić, bo Jack codziennie je odnajdował.

- Jaką stronę? - zapytał podejrzanym niewinnym tonem.

- Stronę ukazującą alchemiczne zaślubiny. Pochodzi z manuskryptu z Biblioteki Bodlejańskiej. - Otworzyłam kompendium. Nie obracało się, dokładnie tak, jak sądziłam. - Spójrz, Matthew.

- Fajne - zagwizdał ojciec.

- Powinieneś zobaczyć jej pułapkę na myszy - mruknął Matthew.

- Do czego to służy? - ojciec sięgnął po kompendium, by mu się lepiej przyjrzeć.

- To matematyczny instrument do ustalania czasu i obserwacji zdarzeń astronomicznych, takich jak fazy księżyca. Gdy byliśmy w Pradze, zaczął się sam z siebie obracać. Myślałam, że ktoś szukał mnie i Matthew, ale może raczej wyczuwał ciebie, szukającego manuskryptu. - Wciąż zaczynał co jakiś czas działać, obracając bez wyraźnej przyczyny kółkami zębatymi. Wszyscy w domu nazywali go „zegarem więdźmy”.

- Może powinienem przynieść książkę. - Matthew już chciał wstać z krzesła.

- Nie trzeba - odparł mój ojciec. - Nie ma pośpiechu. Rebecca oczekuje mnie dopiero za kilka dni.

- Więc będziesz tutaj... w Londynie? Twarz ojca złagodniała. Skinął głową.

- A gdzie się zatrzymałeś? - zapytał Matthew.

- Tutaj! - zawołałam stanowczo. - Zostaje tutaj!

Po tylu latach bez niego nie wyobrażałam sobie, że mogłabym go teraz spuścić z oczu.

- Twoja córka ma bardzo określone zdanie na temat rezerwowania rodzinie miejsc w hotelach. - Matthew uśmiechnął się krzywo, przypominając sobie, jak zareagowałam, gdy chciał umieścić Marcusa i Miriam w karczmie w Cazeno-via. - Oczywiście możesz się u nas zatrzymać.

- Mam pokoje po drugiej stronie miasta - odezwał się z wahaniem tata.

- Zostań! - Zacisnęłam usta i zamrugałam, by powstrzymać łzy. - Proszę.

Chciałam zapytać go o mnóstwo rzeczy; miałam tyle pytań, na które tylko on znał odpowiedź. Mój ojciec i mój mąż wymienili spojrzenia.



- Dobrze - zgodził się w końcu tata. - Chętnie spędzę z tobą trochę czasu.

Chciałam mu oddać nasz pokój, bo wiedziałam, że Matthew nie będzie mógł spać w nim z obcą osobą, a ja zmieściłabym się na szeszlunku, ale mój ojciec odmówił, więc Pierre odstąpił mu łóżko. Stałam na podeście i słuchałam z zazdrością, jak Jack rozmawia z tatą niczym ze starym kumplem.

- Sądzę, że Stephen ma wszystko, czego potrzebuje - stwierdził Matthew, obejmując mnie.

- Myślisz, że jest mną zawiedziony?

- Twój ojciec? - zdziwił się Matthew. - Oczywiście, że nie.

- Wydaje się skrepowany.

- Kiedy całował cię na pożegnanie kilka dni temu, byłeś dzieckiem. Jest po prostu trochę przytłoczony sytuacją.

- Czy zdaje sobie sprawę z tego, co stanie się z nim i mamą? - wyszeptałam.

- Nie wiem, *mon cœur*, ale podejrzewam, że tak. - Matthew pociągnął mnie do sypialni. - Chodź do łóżka. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

Miał rację - następnego dnia ojciec był bardziej zrelaksowany, choć wyglądało na to, że spał krótko. Jack też.

- Czy ten chłopiec zawsze ma takie straszne koszmary? - zapytał ojciec.

- Przepraszam, że cię obudził - odparłam. - Zmiany go niepokoją. Zwykle zajmuje się nim Matthew.

- Wiem. Widziałem go - odparł ojciec, sącząc herbatę ziołową zaparzoną przez Annie.

To był właśnie problem z moim ojcem - widział wszystko. Jego spostrzegawczość mogła zawstydzić wampira. I chociaż miałam setki pytań - o moją mamę i jej magię, o kartkę z *Ashmole 782* - pod jego spojrzeniem zupełnie o nich zapominałam. Od czasu do czasu pytał mnie o jakiś drobiazg. Czy umiem rzucać bejsbolówką? Czy uważam, że

Bob Dylan to geniusz? Czy nauczono mnie, jak rozstawić namiot? Nie pytał mnie o Matthew ani o to, gdzie chodziłam do szkoły, nie interesowało go nawet, z czego żyję. A że w tej kwestii nie zdradzał żadnego zainteresowania, czułam się głupio, podając mu jakieś informacje. Pod koniec pierwszego dnia z nim byłam bliska łez.

- Czemu on ze mną tak mało rozmawia? - zapytałam Matthew, gdy rozwiązywał mi gorset.

- Bo pochłania go słuchanie. Jest antropologiem: zawodowym obserwatorem. To ty w rodzinie jesteś historykiem. Pytania są twoją dziedziną, nie jego.

- Gubię się przy nim i nie wiem, o czym mam mówić. A gdy zaczyna o coś pytać, zawsze porusza jakieś dziwne tematy... na przykład, czy wprowadzenie wyznaczonego pałkarza zniszczyło bejsbol...

- O tym rozmawiałby ojciec z córką, gdyby zaczął ją zabierać na mecze bejsbolu. A więc Stephen wie, że nie będzie świadkiem twojego dorastania. Nie wie tylko, ile czasu z tobą mu jeszcze zostało.

Usiadłam na brzegu łóżka.

- Zawsze był wielkim fanem Red Soksów. Pamiętam, jak mama mówiła, że jej ciąża i to, że Carlton Fisk dotarł do czwartej bazy w szóstej grze World Series, sprawiły, że jesienny semestr 1975 roku był najlepszym w jego życiu, mimo że Cincinnati w końcu pobiło Boston.

Matthew zachichotał.

- Jestem pewien, że jesienny semestr 1976 roku był lepszy.

- Soksi wtedy wygrali?

- Nie. Ale twój ojciec tak. - Matthew pocałował mnie, a ja zdmuchnęłam świecę.

Gdy następnego dnia wróciłam do domu po zakupach, ujrzałam mojego ojca siedzącego w salonie nad *Ashmole 782*.

- Gdzie znalazłeś księgę? - zapytałam, odkładając pakunki. - Matthew miał ją ukryć.

Wykańczało mnie chowanie przed dziećmi cholernego kompendium.

- Jack mi to dał. Nazywa to „Księgą potworów pani Roydon”. Jak to usłyszałem, to musiałem ją zobaczyć. - Przewrócił stronę.

Palce miał krótsze niż Matthew, grubsze i silniejsze w porównaniu z delikatnymi, zręcznymi palcami mojego męża.

- Czy to z tej księgi pochodzi ilustracja zaślubin?

- Tak. F dwie inne: jedna przedstawia drzewo, a druga dwa smoki, z których kapie krew. - Zamilkłam. - Zastanawiałam się, ile jeszcze mogę ci powiedzieć, tato. Wiem o twoich związkach z tą księgą, nawet to, czego ty nie wiesz, co się jeszcze nie wydarzyło.

- Więc opowiedz, co się z tobą stało, gdy odnalazłaś ją w Oksfordzie. I chcę usłyszeć prawdę, Diano. Widzę pomiędzy tobą a księgą zniszczone wątki, poskręcane i poplątane. I ktoś skrzywdził cię fizycznie.

Zapadła ciężka cisza, a ja nie miałam się gdzie ukryć przed badawczym spojrzeniem ojca. Gdy już nie mogłam tego dłużej znieść, popatrzyłam mu w oczy.

- To były czarownice. Matthew spał, a ja wyszłam na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Miało być bezpiecznie. Złapała mnie czarownica. - Zaczęłam się kręcić na krześle. - I tyle. Porozmawiajmy o czym innym. Nie chcesz wiedzieć, gdzie studiowałam? Jestem historykiem. Wykładam na uczelni. W Yale.

Chciałam rozmawiać z ojcem o wszystkim, tylko nie o serii wypadków, która rozpoczęła się od dostarczenia starej fotografii do mojego pokoju w New College, a zakończyła śmiercią Juliette.

- Później. Teraz chcę wiedzieć, czemu inna czarownica tak bardzo pragnęła tej książki, że próbowała cię zabić.

Tak - odparł widząc moje zaskoczone spojrzenie - sam się domyśliłem. Czarownica rzuciła na ciebie czar otwierający, który pozostawił na twoich plecach okropną bliznę. Czuję ranę. Matthew patrzy na tamto miejsce, a twoja smoczyca... tak, o niej też wiem... ostania je skrzydłami.

- Satu, ta czarownica, co mnie porwała, nie jest jedyną istotą, która chce posiadać książkę. Peter Knox też. Jest członkiem Kongregacji.

- Peter Knox - powtórzył ojciec. - Kto by pomyślał.

- Znacie się?

- Niestety tak. Zawsze żądał czegoś od twojej matki. Na szczęście ona go nienawidzi. - Z ponurą miną przewracał następną kartę. - Mam szczerą nadzieję, że Peter nie wie o martwych czarownicach w tej księdze. Jest w niej coś z czarnej magii, a Peter zawsze interesował się tą dziedziną. Wiem, czemu on mógłby jej pragnąć, ale do czego tak bardzo jest potrzebna Matthew i tobie?

- Magiczne stworzenia giną, tato. Demony stają się coraz dziksze. Krew wampirów nie zawsze przemienia ludzi. A czarownice mają coraz mniej dzieci. Wymieramy. Matthew uważa, że ta księga może nam pomóc wyjaśnić tego przyczyny. Jest w niej mnóstwo informacji genetycznych, w skórze, włosach, nawet krwi i kościach.

- Wyszłaś za mąż za odpowiednika Karola Darwina w świecie stworzeń. Ale czy jest zainteresowany początkami, a nie tylko wyginięciem?

- Tak. Od dawna próbuje ustalić, w jaki sposób demony, czarownice i wampiry są ze sobą spokrewnione i jak to się ma do ludzi. Ten manuskrypt, o ile zdołamy go z powrotem skompletować i zrozumieć jego zawartość, może zawierać istotne wskazówki.

Wbił we mnie wzrok.

- Więc jest to czysto teoretyczny problem, który interesuje twojego wampira?

- Już nie. Jestem w ciąży, tato. - Położyłam delikatnie rękę na brzuchu. Ostatnio coraz częściej tak robiłam.

- Wiem - uśmiechnął się. - Tego też się domyśliłem, ale cieszę się, że mi powiedziałaś.

- Jesteś tu ledwie od czterdziestu ośmiu godzin. Ja też nie lubię się za bardzo spieszyć. - Poczulałam się zawstydzona. Ojciec wstał i przytulił mnie mocno. - Poza tym powinieneś być zaskoczony. Czarownice i wampiry nie powinny się w sobie zakochiwać. A już na pewno nie powinny mieć razem dzieci.

- Twoja matka mnie ostrzegała, widziała to wszystko dzięki swoim niezwykłym zdolnościom - roześmiał się. - Histeryczka. Jak nie o ciebie się martwi, to o wampira. Gratuluję, skarbie. Dziecko to wspaniały dar.

- Mam nadzieję, że damy sobie z tym radę. Kto wie, co nam się urodzi?

- Dasz sobie radę lepiej, niż ci się zdaje - pocałował mnie w policzek. - Chodź, przejdziemy się. Pokażesz mi swoje ulubione miejsca w mieście. I chciałbym spotkać Szekspira. Jeden z moich głupich kolegów z pracy uważa, że to królowa Elżbieta napisała *Hamleta*. A skoro już mówimy o pracy, to jak to się stało, że po latach kupowania ci harwardzkich śliniaczków i rękawiczek mam córkę, która wykłada na Yale?

- Coś mnie zastanawia - odezwał się mój ojciec, wpatrując się w kielich z winem.

Byliśmy na wspaniałym spacerze, zjedliśmy przyjemną kolację, dzieci zostały wysłane do łóżek, a Mop chrapał przy kominku. Jak na razie dzień mijał idealnie.

- O co chodzi, Stephen? - Matthew uśmiechnął się znad swojego kielicha.

- Jak sądzicie, ile czasu jeszcze zdołacie trzymać w ryzach to szalone życie, które prowadzicie?

Uśmiech zniknął z twarzy Matthew.

- Chyba nie rozumiem pytania - odparł sztywno.

- Oboje trzymacie się wszystkiego tak mocno. - Tata pociągnął łyk wina i spojrzał znacząco na zaciśniętą pięść Matthew. - Takim uściskiem możesz przypadkiem zniszczyć to, co najbardziej kochasz, Matthew.

- Wezmę to pod uwagę. - Matthew z trudem panował nad sobą.

Otworzyłam usta, by zażegnać niebezpieczeństwo.

- Przestań wszystko naprawiać, skarbie - powiedział ojciec, nim zdążyłam wymówić choć słowo.

- Nie robię tego - zaprotestowałam.

- Ależ owszem. Twoja matka robi to ciągle, a ja rozpoznaję znaki. To moja jedyna okazja, by porozmawiać z tobą jako dorosłą osobą, Diano, i nie zamierzam niczego owijać w bawełnę tylko dlatego, że ty albo on czujecie się nieswojo.

Ojciec wsunął rękę pod kurtkę i wyciągnął jakąś broszurkę.

- Ty też próbowałaś ratować sytuację, Matthew. *Wieści ze Szkocji* - głosił niewielki tytuł, pod którym

widniał napis: „Opis godnego potępienia życia doktora Fiana, znanego czarownika, którego spalono na stosie w Edynburgu ostatniego dnia stycznia”.

- Całe miasto gada o szkockich czarownicach - ojciec podsunął książeczkę Matthew. - Ale magiczne stworzenia mówią coś innego niż ludzie. Twierdzą, że wielki i potworny Matthew Roydon, wróg czarownic, przeciwstawia się Kongregacji i ratuje oskarżonych.

Matthew chwycił broszurkę.

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co usłyszysz, Stephen. Londyńczycy lubią plotkować.

- Jak na dwoje maniaków kontrolowania wszystkiego, stwarzacie mnóstwo problemów. A te problemy nie skończą się tutaj. Będą się za wami ciągnąć aż do domu.

- Jedyne, co pojedzie z nami do domu z roku 1591, to *Ashmole 782* - stwierdziłam.

- Nie możecie zabrać księgi - oświadczył ojciec stanowczo. - Jej miejsce jest tutaj. Już dość napłataliście z czasem, zostając tu tak długo.

- Bardzo uważaliśmy, tato. - Bolała mnie jego krytyka.

- Uważaliście? Byliście tu siedem miesięcy. Poczuliście dziecko. Ja spędziłem w przeszłości najwyżej dwa tygodnie naraz. Nie jesteście już wędrowcami w czasie. Popełniliście jeden z podstawowych błędów pracy w terenie: zasymilowaliście się z miejscową społecznością.

- Ja tu już byłem, Stephen - odezwał się spokojnie Matthew. Bębni! palcami o udo; niedobry to znak.

- Wiem o tym, Matthew - odparł ojciec. - Ale wprowadziliście zbyt wiele zmian, by przeszłość pozostała nietknięta.

- Przeszłość zmieniła nas - stwierdziłam, patrząc w rozzłoszczone oczy ojca. - Trudno się dziwić, że my też ją zmieniliśmy.

- I uważasz, że nic się nie stało? Przenoszenie się w czasie to poważna sprawa, Diano. Nawet na krótką wizytę potrzeba planu, który zakłada, że pozostawi się wszystko tak, jak się zastało.

Usiadłam wygodniej na krześle.

- Nie zamierzaliśmy być tu tak długo. Jedno wynikało z drugiego i teraz...

- I teraz zostawicie bałagan. W domu pewnie też go zastaniecie. - Ojciec popatrzył na nas ponuro.

- Rozumiem, tato. Nabroiliśmy.

- Owszem - przytaknął spokojnie. - I powinniście się nad tym zastanowić, kiedy pójdę do Kapelusza Kardynalskiego. Niejaki Gallowglass przedstawił mi się na dziedzińcu. Podobno jest krewnym Matthew; obiecał, że pomoże mi spotkać się z Szekspirem, skoro moja własna córka mi

odmówiła. - Ojciec pocałował mnie w policzek. Wyczułam zawód, ale i wybaczenie. - Nie czekajcie na mnie.

Siedzieliśmy z Matthew w milczeniu, aż kroki mojego ojca ucichły w oddali. Odetchnęłam nerwowo.

- Nabroiliśmy, Matthew?

Przemyślałam wydarzenia ostatnich miesięcy - spotkałam się z Philippe'em, przedarłam przez mechanizmy ochronne Matthew, poznałam Mateczkę Ałsop i inne czarownice, odkryłam, że jestem prządką, zaprzyjaźniłam się z Mary i damami z Malej Strany; przygarnęliśmy Jacka i Annie, odzyskaliśmy *Ashmole 782* i oczywiście spłodziliśmy dziecko. Opiekuńczo położyłam rękę na brzuchu. Absolutnie nic bym nie zmieniła, nawet gdyby nadarzyła się po temu okazja.

- Trudno powiedzieć, *mon cceur* - mruknął posepnie. -Czas pokaże.

- Pomyślałam, że moglibyśmy pójść do Mateczki Ałsop. Pomaga mi z czarem, dzięki któremu wrócimy do przyszłości. - Stałam przed ojcem z moją skrzyneczką na czary w rękach. Wciąż czułam się przy nim zakłopotana po tym, jak palnął nam ostatniej nocy wykład.

- Nareszcie - ojciec sięgnął po kurtkę.

Wciąż nosił ją jak współczesny człowiek - zdejmował zaraz po wejściu do jakiegoś pomieszczenia i podwijał rękawy koszuli.

- Już myślałem, że żadna aluzja do ciebie nie dotrze. Nie mogę się doczekać, aż poznam doświadczoną prządkę. Pokażesz mi wreszcie, co masz w tym pudełeczku?

- Skoro tak cię to intrygowało, to czemu nie zapytałeś?

- Bardzo starannie je ukryłaś, uznałem więc, że nie chcesz, aby ktokolwiek o nim wspominał - stwierdził, gdy schodziliśmy po schodach.



Kiedy dotarliśmy do St. James Garlickhythe, otworzyła nam pomocnica Mateczki Alsop.

- Wejdźcie, wejdźcie - zawołała czarownica, machając do nas z miejsca przy kominku. Oczy jej się śmiały i lśniły z podniecenia. - Czekałyśmy na was.

Zgromadziły się tam wszystkie i patrzyły na nas wyczekująco.

- Mateczko Alsop, to mój ojciec, Stephen Proctor.

- Tkacz? - Mateczka uśmiechnęła się promiennie. - Jesteś związany z żywiołem wody, jak twoja córka.

Mój ojciec jak zwykle stał z boku i przyglądał się otoczeniu, prawie się nie odzywając, podczas gdy ja wszystkich przedstawiałam.

Kobiety uśmiechały się i kiwały głowami, choć Catherine musiała powtórzyć wszystko Elizabeth Jackson, bo akcent mojego ojca był dla niej zbyt niezrozumiały.

- Czy chciałbyś przedstawić nam swojego podopiecznego? - Mateczka Alsop spojrzała na ramiona mojego ojca, gdzie pojawił się błądy obrys czapli. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

- Widzisz Bennu? - zapytał zaskoczony ojciec.

- Oczywiście. Siedzi z rozpostartymi skrzydłami na twoich ramionach. Mój podopieczny nie ma skrzydeł, chociaż jestem mocno związana z powietrzem. Pewnie dlatego łatwiej nad nim zapanować. Gdy byłam mała, do Londynu przybył tkacz, który miał harpię o imieniu Ella. Było ją bardzo trudno wytresować.

Pomocnica Mateczki Alsop krążyła wokół mojego ojca i nuciła cicho do ptaka, a on stawał się coraz bardziej widoczny.

- Może Bennu przekona wiwernę Diany, by podała swoje imię. To na pewno ułatwiłoby twojej córce powrót do własnego czasu. Nie chciałabym, aby pozostał tu jakikolwiek

ślad jej smoczycy, bo mogłoby ją to ściągnąć z powrotem do Londynu.

- Niesamowite! - Mój ojciec próbował wszystko to ogarnąć: spotkanie z czarownicami, fakt, że jego tajemnice były widoczne jak na dłoni...

- Kto? - zapytała uprzejmie Elizabeth Jackson, sądząc, że coś źle zrozumiała.

Mój ojciec wyprostował się i uważnie jej przyjrzał.

- Czy my się znamy?

- Nie. Rozpoznajesz wodę w moich żyłach. Cieszymy się, że jesteś tu z nami, panie Proctor. Od dawna nie było w Londynie trójki tkaczy naraz. W mieście aż huczy.

Mateczka Alsop wskazała krzesło obok siebie.

- Usiądź, proszę.

Ojciec zajął honorowe miejsce.

- W domu nikt nie wie o całym tym tkactwie.

- Nawet mama? - osłupiałam. - Tato, musisz jej powiedzieć.

- Och, ona wie. Ale nie musiałem jej mówić. Pokazałem jej.

Ojciec zgiał palce i wykonał instynktowny znak rozkazu.

Świat wokół rozświetlił się odcieniami bieli, szarości, fioletu i zieleni, gdy wyszukiwał ukryte w pokoju wodne wątki: gałązki wierzby w dzbanie na oknie, srebrną świecę, której Mateczka używała do czarów, rybę, która miała zostać upieczona na kolację. Wszyscy i wszystko w pokoju przybrało wodne odcienie. Bennu poderwał się do lotu, a jego srebrno obrzeżone skrzydła wywoływały powietrzne fale. Pomocnicą Mateczki Alsop miotał wiatr, aż zamieniła się w lilię o długiej łodydze, po czym wróciła do ludzkiej formy i wyrosły jej skrzydła. Zupełnie jakby dwa stwory bawiły się ze sobą. Na myśl o rozrywce moja wiwerna strzeliła ogonem i zaczęła bić skrzydłami o moje żebra.

- Nie teraz - zakazałam jej stanowczo, przytrzymując stanik sukni.

Ostatnie, czego nam było trzeba, to rozbrykana wiwerna. Może i straciłam kontrolę nad przeszłością, ale nie byłam na tyle nierozsądna, by wypuścić smoka w Londynie czasów elżbietańskich.

- Wypuść ją, Diano - zawołał mój ojciec. - Ben się nią zajmie.

Ale nie mogłam się na to zdobyć. Ojciec zawołał Bennu, który zniknął w jego ramionach. Zniknęła też wodna magia wokół mnie.

- Czemu tak bardzo się boisz? - zapytał cicho ojciec.

- Boję się przez to! - Machnęłam w powietrzu moimi sznurkami. -1 przez to! - Uderzyłam się w żebra, denerwując wiwernę, która sapnęła w odpowiedzi. Moja ręka zsunęła się w miejsce, gdzie rosło dziecko. - 1 przez to. To za wiele. Nie muszę używać pretensjonalnej magii żywiołów tak, jak ty przed chwilą. Dobrze mi tak, jak jest.

- Możesz tkać czary, rozkazywać wiwernie, naginać zasady, które kierują życiem i śmiercią. Jesteś równie nieprzewidywalna jak sam wszechświat, Diano. To moc, za którą każda szanująca się czarownica zdolna jest zabić.

Spojrzałam na niego przerażona. Poruszył jedyną kwestię, z którą nie potrafiłam się zmierzyć. Czarownice już zabiły dla tych mocy. Zabiły mojego ojca i moją matkę.

- Pakowanie twoich czarów w eleganckie pudełeczka i oddzielanie ich od sztuki magicznej nie zmieni losu mamy ani mojego - mówił dalej smutno.

- Nie to próbuję zrobić.

- Naprawdę? - Uniósł brwi. - Możesz powtórzyć, Diano?

- Sara mówi, że magia żywiołów i sztuka czarów to dwie różne rzeczy. Mówi...

- Zapomnij, co mówi Sara! - Ojciec złapał mnie za ramiona. - Nie jesteś Sarą. Jesteś inna niż wszystkie czarownice, jakie do tej pory stąpały po ziemi. I nie musisz wybierać pomiędzy czarami a mocą, którą masz w zasięgu ręki. Jesteśmy tkaczami, tak?

Skinęłam głową.

- Więc myśl o magii żywiołów jak o osnowie: o mocnych włóknach, które tworzą świat, a o czarach jak o wątku. Są częścią tej samej tkaniny. To jeden wielki system, skarbie. Jeśli przestaniesz się bać, zdołasz go opanować.

Widziałam to w lśniącej wokół pajęczynie kolorów i cieni, ale strach pozostawał.

- Poczekaj. Jestem też związana z ogniem, jak mama. Nie wiemy, jak zareaguje woda i ogień. Jeszcze tego nie przerabiałam.

Bo pojechałam do Pragi. Bo skupiłam się na polowaniu na *Ashmole* 782 i nie myślałam o przyszłości i powrocie do niej.

- A więc możesz grać na dwa fronty! Tajemna broń czarownic - roześmiał się.

Roześmiał się?!

- To poważna sprawa, tato.

- Wcale nie musi taka być. - Ojciec poczekał, aż się nad tym zastanowię, po czym zagiął palec i złapał pojedynczy szarozielony wątek.

- Co robisz? - zapytałam podejrzliwie.

- Patrz - odparł szeptem cichym niczym szmer fali na brzegu.

Przytknął palec do ust i wydał wargi, zupełnie jakby trzymał niewidzialną słomkę do puszczenia baniek. A kiedy dmuchnął, pojawiła się kula wody. Strzelił palcami w stronę wiadra przy palenisku, a kula zamieniła się w lód, poleciała tam i wpadła z pluskiem do wody.

- Trafiony zatopiony.

Elizabeth zachichotała, uwalniając przy tym serię wodnych bąbelków, które pękały w powietrzu, pryskając wodą.

- Nie lubisz niewiadomego, Diano, ale czasem trzeba się z tym zmierzyć. Gdy po raz pierwszy posadziłem cię na trzykołowym rowerku, byłaś przerażona. A kiedy nie mogłaś ułożyć w pudełku wszystkich klocków, zaczęłaś nimi rzucać o ścianę. Ale przeszliśmy przez to. Jestem pewien, że z tym też sobie poradzimy. - Ojciec wyciągnął rękę.

- Ale to takie...

- Pogmatwane? Takie jest życie. Przestań próbować być doskonała. Dla odmiany spróbuj być prawdziwa.

Machnął ręką w powietrzu, ukazując wszystkie wątki, zwykle ukryte.

- W tym pokoju jest cały świat. Nie śpiesz się i go poznaj. Przyglądałam się wzorom; widziałam wokół czarownic

skupiska kolorów, które oznaczały ich mocne strony. Mnie otaczały poplątane wątki ognia i wody w różnych kolorach. Znów wpadłam w panikę.

- Wezwij ogień - poradził ojciec, zupełnie jakby było to tak proste jak zamówienie pizzy.

Po chwili wahania zgięłam palec i zapragnęłam, aby przyszedł do mnie ogień. O czubek palca zahaczył pomarańczowo-czerwony wątek, a gdy wypuściłam powietrze przez wydęte wargi, uleciały z nich dziesiątki bąbelków światła i ciepła, niczym świetliki.

- Wspaniałe, Diano! - zawołała Catherine, klaszcząc. Oklaski i ogień sprawiły, że moja wiwerna zapragnęła

wyść ze mnie. Bennu zaskrzeczał z ramion ojca, a wiwerna odpowiedziała.

- Nie - syknęłam przez zaciśnięte zęby.

- Nie psuj zabawy. Ona jest smokiem, a nie złotą rybką. Czemu wciąż próbujesz udawać, że magia to nic niezwykłego? Daj jej polatać.

Rozluźniłam się odrobinę, moje żebra zmiękły i odgięły się od kręgosłupa, niczym kartki książki. Wiwerna skorzystała z okazji i wyleciała z trzepotem skrzydeł, które, najpierw szare i niewidoczne, zaczęły lśnić. Ogon zwinęła w luźny węzeł i zaczęła krążyć po pokoju. Łapała małe kulki światła w zęby i połykała niczym cukierki. Potem skupiła się na wodnych bąbelkach ojca, jakby były szampanem. A gdy skończyła się nimi raczyć, zawisała w powietrzu przede mną, uderzając ogonem o podłogę. Przechyliła na bok głowę i czekała.

- Czym jesteś? - zapytałam, zastanawiając się, jak zdołała wchłonąć sprzeczne ze sobą moce wody i ognia.

- Tobą, ale nie tobą. - Wiwerna zamrugła, przyglądając mi się szklistymi oczyma.

Na czubku jej spiczastego niczym grot strzały ogona unosiła się kula energii. Wiwerna machnęła nią, a kula wylądowała w moich splecionych dłoniach. Wyglądała dokładnie tak, jak ta, którą dałam Matthew w Madison.

- Jak masz na imię? - wyszeptałam.

- Możesz nazywać mnie Corra - odparła w języku ognia i mgły. Skinęła na pożegnanie głową, rozplynęła się w szary cień i zniknęła.

Poczułam jej ciężar w sobie; zwinęła skrzydła wokół moich pleców i znieruchomiła. Odetchnęłam głęboko.

- Świetnie, skarbie. - Ojciec uściskał mnie mocno. - Myślałaś jak ogień. Empatia to tajemnica większości rzeczy w życiu, w tym magii. Spójrz, jak wyraźne zrobiły się wątki!

Wokół nas cały świat lśnił. A w kątach coraz wyraźniejsze fale indygo i bursztynu ostrzegały, że czas zaczyna się niecierpliwie.

## ROZDZIAŁ 18

Moje dwa tygodnie dobiegły końca. Czas, bym wracał.

Chociaż spodziewałam się tych słów, spadły na mnie jak grom z jasnego nieba. Zamknęłam oczy, by ukryć swoją reakcję.

- Jeśli niedługo nie wrócę, twoja matka pomyśli, że poderwałem sobie jakąś sprzedawczynię pomarańczy.

- Sprzedawcy pomarańczy to raczej siedemnasty wiek - rzuciłam z roztargnieniem, zbierając sznurki z podółka.

Robiłam postępy i to zarówno w tak prostych czarach, jak te przeciw bólowi głowy, jak i trudniejszych, które mogły wywołać fale na Tamizie. Oplotłam wokół palców złoty i niebieski sznureczek: siła i zrozumienie.

- Ojej, niezłe odkrycie, Diano. - Tata odwrócił się do Matthew. - Szybko wraca do formy.

- Komu to mówisz - zakpił.

Obaj wykorzystywali humor, by łagodzić swoje kontakty, co sprawiało, że bywali czasami nie do zniesienia.

- Cieszę się, że cię poznałem, Matthew, i to mimo że groźnie wyglądasz, kiedy myślisz, że rządę Dianą - odezwał się ze śmiechem tata.

Ignorując ich żarty, splotłam żółty sznurek ze złotym i niebieskim: perswazja.

- Zostaniesz do jutra? Szkoda by było, gdyby ominęło cię świętowanie.

Była wigilia świętego Jana i całe miasto szykowało się do zabawy. Bojąc się, że ostatni wieczór spędzony z córką nie byłby wystarczającą zachętą, bezwstydnie odwołałam się do naukowych zainteresowań ojca.

- Będziesz mógł poobserwować zwyczaje ludowe.

- Zwyczaje ludowe? - roześmiał się. - Sprytne. Oczywiście, że zostanę do jutra. Annie zrobiła mi wieniec z kwia-

tów na głowę, a Will zaproponował, żebyśmy zakosztowali tytoniu z Walterem. A potem idę odwiedzić ojca Hubbarda. Matthew zmarszczył brwi.

- Znasz Hubbarda?

- Oczywiście. Przedstawiłem mu się, gdy tu przybyłem. Nie miałem innego wyjścia, skoro to on tu dowodzi. Dość szybko zorientował się, że jestem ojcem Diany. Macie niesamowity zmysł powonienia. - Spojrzał ciepło na Matthew. - Ciekawy człowiek. I ta jego wizja, by wszystkie stworzenia żyły razem, jak jedna wielka szczęśliwa rodzina.

- Nastałby kompletny chaos - zauważyłam.

- Jakoś przetrwaliśmy ostatnią noc, mając trzy wampiry, dwie czarownice, demona, dwoje ludzi i psa pod jednym dachem. Nie odrzucaj tak szybko nowych pomysłów, Diano. - Ojciec spojrzał na mnie z dezaprobatą. - Pewnie spędzę trochę czasu z Catherine i Marjorie. Dziś wieczór mnóstwo czarownic wyjdzie na miasto. Jestem pewien, że te dwie wiedzą, gdzie można się dobrze zabawić.

Wyglądało na to, że mój ojciec jest już z połową miasta na „ty”.

- Tato, bądź ostrożny. Zwłaszcza przy Willu. Żadnych „rany” i „nieźle, stary” do Szekspira.

Mój ojciec lubił slang. Twierdził, że to znak rozpoznawczy antropologów.

- Szkoda, że nie mogę zabrać Willa do domu, byłby fajnym... przepraszam, skarbie, współpracownikiem. Ma poczucie humoru. Przydałby się ktoś taki w naszym instytucie. - Ojciec zatarł ręce. - A wy jakie macie plany?

- Żadnych. - Spojrzałam zaskoczona na Matthew, a on wzruszył ramionami.

- Zamierzałem odpowiedzieć na kilka listów - odezwał się z wahaniem. Poczty nazbierało się niepokojąco dużo.

- No, nie. - Mój ojciec poruszył się gwałtownie na krześle i spojrzał na coś z przerażeniem.



- Co? - Odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto lub co weszło do pokoju.

- Nie mówcie mi, że należycie do uczonych, którzy nie oddzielają życia prywatnego od pracy. - Załamane ręce. - Nie wierzę, że moja córka mogłaby być kimś takim.

- Dramatyzujesz, tato - stwierdziłam sztywno. - Możemy spędzić wieczór z tobą. Nigdy nie paliłam tytoniu. Zapalenie z Walterem będzie historyczną chwilą, w końcu to on przywiózł tytoń do Anglii.

Ojciec zdawał się jeszcze bardziej przerażony.

- Wykluczone. To rozrywka dla facetów. Loinel Tiger twierdzi...

- Nie przepadam za Tigerem - przerwał mu Matthew. - Nigdy nie mogłem zrozumieć jedzenia posiłków przy ludziach.

- Czy możemy porzucić na chwilę temat zjadania ludzi i ustalić, dlaczego nie chcesz spędzić ostatniej nocy tutaj ze mną i Matthew? - Zabolalo mnie to.

- To nie o to chodzi, skarbie. Pomóż mi, Matthew. Weź Dianę na randkę. Na pewno coś wymyślisz.

- Na przykład na wrotki? - Matthew uniósł wysoko brwi. - W szesnastowiecznym Londynie nie ma wrotkami, zresztą w XXI wieku też ich niewiele zostało.

- Cholera. - Ojciec z Matthew od ładnych kilku dni grali w grę „co zostanie przeżytkiem”. Co prawda tata był zachwycony tym, że disco i Pet Rock znikną, ale jednocześnie zszokowany, słysząc, że inne rzeczy, na przykład garnitury sportowe, stanowią teraz powód do żartów.

- Uwielbiam jeździć na wrotkach. Mamy z Rebeccą takie miejsce w Dorchester, które odwiedzamy, gdy chcemy odpocząć kilka godzin od Diany i...

- Pójdziemy na spacer - odezwałam się szybko.

Mój ojciec bywał nadmiernie szczery, gdy wspominał, jak spędzają z mamą wolny czas. Zdawał się sądzić, że to może zgorszyć dobrze wychowanego Matthew. A gdy to nie

zadziałało, zaczął go jeszcze nazywać sir Lancelotem, by dodatkowo go zdenerwować.

- Spacer. Pójdziecie na spacer. Na prawdziwy spacer, tak?

Odsunął krzesło od stołu.

- Trudno się dziwić, że stworzenia takie jak my są na granicy wyginięcia. Wyoście się. Oboje. Ale już! I nakazuję wam dobrze się bawić! - Pchnął nas w stronę drzwi.

- Jak? - zapytałam oszołomiona.

- Córka nie powinna zadawać takiego pytania ojcu. Jest noc świętojańska. Wyjdźcie i zapytajcie pierwszą napotkaną osobę, co macie robić. Albo jeszcze lepiej, weźcie z niej przykład. Wyjście do księżycy. Rzucajcie czary. A przynajmniej trochę się poprzytulajcie. Jestem przekonany, że nawet sir Lancelot wie, jak się całować. Czy to jasne, panno Bishop?

- Chyba tak. - Mój głos zdradzał wątpliwości co do tego, jak ojciec rozumie zabawę.

- Dobrze. Nie będzie mnie aż do wschodu słońca. Nie czekajcie na mnie. Albo jeszcze lepiej: sami bawcie się do białego rana. Jack jest z Tommym Harriotem. Annie ze swoją ciotką. Pierre... nie wiem, gdzie jest Pierre, ale on niańki nie potrzebuje. Do zobaczenia na śniadaniu.

- Od kiedy mówisz na Thomasa Harriota „Tommy”? -zapytałam.

Ojciec udął, że nie słyszy.

- Przytul mnie, nim wyruszę. I nie zapomnij dobrze się bawić, jasne? - Uścisnął mnie mocno. - Do zobaczenia po drugiej stronie, skarbie.

Wyszedł i zatrzasnął nam drzwi przed nosem. Sięgnęłam do zasuwki, ale moja ręka nagle znalazła się w zimnym uścisku wampira.

- Matthew, on za kilka godzin odejdzie! - Sięgnęłam do drzwi drugą ręką. Tę też złapał.

- Wiem. I on też wie - odparł.

- Więc powinien też wiedzieć, że chcę z nim spędzić więcej czasu. - Spojrzałam na drzwi, pragnąc, aby się otworzyły. Widziałam wątki biegnące ode mnie przez drewno do czarownika po drugiej stronie. Jeden z nich zerwał się i uderzył mnie w dłoń, niczym gumka recepturka.

- Tato! - krzyknęłam.

- Ruszaj, Diano! - odkrzyknął.

Chodziliśmy z Matthew po mieście, patrząc na zamykające się wcześniej sklepy i świętujących, którzy zbierali się w klubach. Wielu rzeźników wystawiało przed drzwi sterty kości, białych i czystych, jakby ktoś je wygotował.

- O co chodzi z tymi kośćmi? - zapytałam Matthew po tym, jak trafiliśmy na trzecią stertę.

- Są na kościane ogniska.

- Kościelne ogniska?

- Nie. Kościane ogniska. Zgodnie z tradycją ludzie świętują noc świętojańską, rozpalając ogniska: z kości, z drewna albo mieszane. Co roku burmistrz nakazuje zaprzestać tych zabobonnych zabaw, ale ludzie i tak z nich nie rezygnują.

Matthew zabrał mnie na kolację do słynnej karczmy Belle Savage, tuż za dzielnicą Blackfriars, na Ludgate Hill. Nie była to zwykła jadłodajnia, ale miejsce rozrywki, gdzie klienci mogli oglądać przedstawienia i pojedynki, nie wspominając już o Marocco, słynnym koniu, który potrafił odnaleźć w tłumie dziewice. Nie był to wprawdzie tor wrotkowy w Dorchester, ale prawie.

Po mieście od jednej do drugiej knajpy włóczyło się mnóstwo nastolatków; klęli i świntuszyli. W dzień większość z nich pracowała ciężko jako służący i czeladnicy. Nawet wieczorów nie mieli dla siebie, bo ich panowie kazali im pilnować sklepów i domów, opiekować się dziećmi, przynosić jedzenie i wodę i zajmować się dziesiątkami innych rzeczy, niezbędnych dla dobrego funkcjonowania domostw

tych czasów. Dziś jednak Londyn należał do nich i zamierzali to wykorzystać.

Dzwony były akurat dziewiątą, gdy przeszliśmy przez Ludgate i skierowaliśmy się do Blackfriars. O tej porze straż zaczynała krążyć po mieście, a ludzie mieli wracać do domów, ale tego wieczora jakoś nikt nie przestrzegał nakazu. Słońce zaszło ledwie godzinę temu, księżycowi do pełni brakowało jeszcze jednego dnia, ale ulice już były skąpane w jego blasku.

- Możemy iść dalej? - zapytałam.

Zawsze szliśmy w jakieś konkretne miejsce - do zamku Baynard, na spotkanie z Mary, do St. James Garlickhythe, na zebranie zgromadzenia, na plac przed katedrą Świętego Pawła po książki. Nigdy tak po prostu nie spacerowaliśmy po mieście.

- Czemu nie, skoro kazano nam trzymać się z dala od domu i dobrze bawić - zdecydował Matthew. Schylił się i skradł mi całusa.

Minęliśmy zachodnie wrota katedry Świętego Pawła, gdzie mimo późnej pory życie tętniło w najlepsze, i skierowaliśmy się na północ. W ten sposób trafiliśmy na Cheapside, najszerszą i najbogatszą ulicę Londynu, gdzie skupili się złotnicy. Obeszliśmy fontannę Krzyża Cheapside, w której chlapani się rozbrykani chłopcy, i ruszyliśmy na wschód. Matthew poprowadził mnie trasą pochodu koronacyjnego Anny Boleyn i wskazał dom, w którym w dzieciństwie mieszkał Geoffrey Chaucer. Kilku kupców zaprosiło Matthew do gry w bule. Ale po trzecim trafieniu go wygwizdali.

- Zadowolony, że dowiodłeś im, kto tu jest najlepszy? - zapytałam żartobliwie, gdy objął mnie mocno.

- Bardzo - odparł i wskazał mi rozwidlenie dróg. - Patrz.

- Budynek Royal Exchange - zawołałam uszczęśliwiona. - W nocy! Pamiętałeś!

- Dżentelmen nigdy nie zapomina - wyszeptał, kłaniając się nisko. - Nie jestem pewien, czy są otwarte jeszcze

jakieś sklepy, ale lampy na pewno się świecą. Czy będzie pani łaskawa przejść się ze mną po podwórzu?

Przeszliśmy pod szerokimi łukami obok dzwonnicy, na której widniał złoty konik polny. W środku powoli obróciłam się wkoło, podziwiając czteropiętrowy budynek, w którym sto sklepów sprzedawało wszystko, począwszy od pełnych zbroi, a na łyżce do butów skończywszy. Z góry patrzyły na kupców i klientów posągi angielskich władców, a szczyt każdego z mansardowych okien zdobił kolejny pasikonik.

- Pasikonik był emblematem Greshama, a on nie wstydził się go rozpowszechniać - roześmiał się Matthew, widząc, na co patrzę.

Okazało się, że niektóre sklepy były jeszcze otwarte, pod głównymi arkadami zapalono lampy, a oprócz nas zjawilo się tam wiele innych osób.

- Skąd dochodzi muzyka? - zapytałam, rozglądając się za minstrelami.

- Z wieży - Matthew wskazał kierunek, z którego przyszliśmy. - Kupcy wspólnie opłacają koncerty w ciepłe dni. To sprzyja interesom.

Matthew też sprzyjał interesom, sądząc z tego, ilu sprzedawców zwracało się do niego po imieniu. Żartował z nimi i pytał o żony i dzieci.

- Zaraz wrócę - powiedział i ruszył do najbliższego sklepu. Nie wiedząc, o co chodzi, stałam i słuchałam muzyki,

obserwując, jak jakaś energiczna młoda kobieta organizuje naprędce bal. Ludzie ustawili się w kręgi, trzymając się za ręce i podskakiwali niczym popcorn na gorącej blasze. Matthew wrócił i coś mi wręczył.

- Pułapka na myszy - zaśmiałam się, patrząc na małe drewniane pudełko z ruchomymi drzwiczkami.

- Prawdziwa pułapka na myszy - dodał i wziął mnie za rękę. Zaczął iść tyłem, ciągnąc mnie w stronę bawiących się ludzi. - Zatańcz ze mną.

- Tego tańca na pewno nie umiem. - Zupełnie nie przypominał spokojnych piasów z Sept-Tours i dworu Rudolfa.

- Ale ja owszem - odparł Matthew, nie patrząc nawet na krążące za nim pary. - To stary taniec, czarna szkapa, naprawdę łatwy.

Pociągnął mnie na koniec rzędu, zabrał pułapkę i dał ją jakiemuś ulicznikowi, obiecując, że jeśli odda nam ją na koniec piosenki, dostanie pensa. Następnie wziął mnie za rękę, stanął obok innych tancerzy i przyłączyliśmy się do zabawy. Trzy kroki i noga do przodu, trzy kroki i mały krok do tyłu. Po kilku powtórkach zaczęły się bardziej skomplikowane figury; dwanaścioro tancerzy podzieliło się na dwie grupy po sześć osób i zaczęło zamieniać miejscami, przechodząc po skosie od jednej linii do drugiej i wykonując odpowiednie wymachy nogami.

Gdy taniec się skończył, rozległy się prośby o kolejne utwory, ale my wyszliśmy z budynku Royal Exchange, nim piasy stały się szybsze. Matthew odzyskał pułapkę i zamiast poprowadzić mnie prosto do domu, ruszył na południe, w stronę rzeki. Skręcaliśmy tyle razy i przeszliśmy przez tyle dziedzińców, że kompletnie straciłam wyczucie kierunku, zanim dotarliśmy do kościoła Wszystkich Świętych, o wysokiej kwadratowej wieży i pustych krużgankach, po których kiedyś przechadzali się mnisi. Jak większość londyńskich kościołów, i ten popadał w ruinę, a jego średniowieczne kamienne mury się sypały.

- Dasz radę się trochę powspinać? - zapytał Matthew, przechodząc krużgankiem do niskich drewnianych drzwi.

Skinęłam głową i zaczęliśmy wspinaczkę. Minęliśmy dzwony, które na szczęście wisiały teraz nieruchomo; Matthew otworzył klapę zamykającą wejście na dach, wsunął się przez otwór, po czym wciągnął mnie za sobą. I oto znaleźliśmy się za blankami wieży, z widokiem na cały Londyn.

Na wzgórzach wokół miasta płonęły już ogniska, a na barkach i łódkach przepływających przez Tamizę kołysały się światełka lamp. Z tej odległości, na tle ciemnej rzeki, wyglądały jak robaczki świętojańskie. Słyszałam śmiech, muzykę i odgłosy codziennego życia, do których tak się przez te ostatnie miesiące przyzwyczaiałam.

- A więc spotkałaś królową, widziałaś budynek Royal Exchange w nocy, a nawet uczestniczyłaś w przedstawieniu, nie tylko je oglądałaś - Matthew odliczał na palcach.

- Znaleźliśmy też *Ashmole 782*. Odkryłam, że jestem prądką i że magia nie jest tak konkretna, jak na to liczyłam. - Przyglądałam się miastu, wspominając, jak pojawiliśmy się tu po raz pierwszy, a Matthew musiał mi wskazać punkty orientacyjne, bym się nie zgubiła.

Teraz sama potrafiłam je nazwać.

- Tam jest Bridewell - pokazałam. - I katedra Świętego Pawła. I miejsce, gdzie odbywają się walki niedźwiedzi.

Odwróciłam się do wampira stojącego obok mnie.

- Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór, Matthew. Nigdy wcześniej nie byliśmy na prawdziwej randce, wśród ludzi, jak dziś. Fantastyczne wrażenia.

- Nie wykazałem się, starając się o twoją rękę, prawda? Powinniśmy spędzić więcej takich nocy z tańcami i patrzeniem w gwiazdy. - Uniósł głowę, a światło księżyca padło na jego bladą twarz.

- Lśniesz - odezwałam się cicho, dotykając jego podbródka.

- Ty także, - Objął mnie w talii, tuląc w ten sposób także nasze dziecko. - To mi o czymś przypomina. Twój ojciec dał nam listę.

- Bawiliśmy się przecież. Oczarowałeś mnie, zabierając do sklepów, a potem zaskoczyłeś tym widokiem.

- Pozostały już tylko dwa punkty. Pani wybiera: mogę zawyć do księżyca albo możemy się całować.

Uśmiechnęłam się i nagle zażenowana odwróciłam wzrok. Matthew zadarł głowę.

- Żadnego wycia. Sprowadzisz strażę - zaprotestowałam ze śmiechem.

- W takim razie musimy się całować - szepnął, przywierając wargami do moich ust.

Następnego ranka wszyscy przysypiali nad śniadaniem, bo położyli się spać przed świtem. Tom i Jack dopiero wstali i pochłaniali owsiankę, gdy wszedł Gallowglass i powiedział coś Matthew. Ujrzałam smutne spojrzenie mojego męża i aż zaschło mi w ustach.

- Gdzie mój tata? - poderwałam się.

- Wrócił do domu - odparł szorstko Gallowglass.

- Czemu go nie zatrzymałeś? - Czułam, że łzy napływają mi do oczu. - Nie mógł tak po prostu zniknąć, muszę z nim spędzić jeszcze kilka godzin.

- Cioteczko, wieczność by ci nie wystarczyła - zauważył przygnębiony Gallowglass.

- Nawet się nie pożegnał - wyszeptałam głucho.

- Ojciec nie powinien nigdy być zmuszony żegnać się ostatecznie z dzieckiem - odezwał się Matthew.

- Stephen prosił, abym ci to przekazał. - Gallowglass podał mi poskładany w łódkę origami kawałek papieru.

- Tatusiowi nigdy nie wychodziły łabędzie - otarłam oczy. - Ale zawsze umiał robić łódki.

Ostrożnie rozłożyłam liścik.

*Diano,*

*Wyrosłaś na kobietę spełniającą nasze marzenia. Życie jest mocną osnową czasu. Śmierć to tylko wątek. Dzięki twoim dzieciom i ich dzieciom będziemy żyć wiecznie.*

*Tata*

*PS. Za każdym razem, gdy przeczytasz w Hamlecie: „Źle się dzieje w państwie duńskim”, pomyśl o mnie.*



- Twierdzisz, że magia to tylko urzeczywistnione pragnienie. Może czary to nic więcej jak słowa, w które szczerze wierzysz - powiedział Matthew, kładąc mi ręce na ramionach. - On cię kocha. Zawsze będzie cię kochał. Tak jak ja.

Jego słowa wplotły się w wątki łączące nas, czarownicę i wampira. Mówiły o jego uczuciach - czułości, szacunku, lojalności, nadziei.

- Też cię kocham - wyszeptalam, wzmacniając jego czar moim.

## ROZDZIAŁ 19

Mój ojciec opuścił Londyn bez prawdziwego pożegnania. Ja chciałam odejść inaczej, dlatego też na ostatnie dni w mieście składało się skomplikowane tkanie słów i pragnień, czarów i magii.

Przed moją ostatnią wizytą u Mateczki Alsop jej pomocnica czekała smutna na końcu alei, prowadzącej do domu mojej nauczycielki. Szła za mną bezszelestnie, gdy wspinałam się po schodach do pokoju czarownicy.

- A więc zostawiasz nas - odezwała się z fotela przy kominku Mateczka Alsop. Miała na sobie wełnianą suknię i była owinięta szalem, choć ogień buchał żarem.

- Musimy. - Schyliłam się i ucałowałam jej pomarszczony policzek. - Jak się dziś miewasz?

- Trochę lepiej, dzięki lekarstwom Susanny. - Mateczka zaniósła się takim kaszlem, że aż zgięła się wpół. Gdy już opanowała atak, przyjrzała mi się i skinęła zadowolona głową. - Tym razem dziecko wiąże się z tobą mocno.

- Owszem - uśmiechnęłam się. - Na dowód mam mdłości. Chciałabyś, abym powiedziała to innym kobietom?

Nie chciałam obarczać Mateczki dodatkowym ciężarem, czy to emocjonalnym, czy fizycznym. Susanna niepokoiła się jej stanem, a Elizabeth Jackson przejęła część obowiązków, zwykle wykonywanych przez starszą zgromadzenia.

- Nie trzeba. To Catherine mi powiedziała. Mówiła, że kilka dni temu przyleciała do niej Corra, prychnając i trajkocząc, jak zwykle to robić, gdy ma jakąś tajemnicę.

Ustaliliśmy z wiwerną, że ograniczy swoje wyprawy do jednej tygodniowo, i to wyłącznie w nocy. Z niechęcią zgodziłam się też na loty podczas nowiu, kiedy szanse na to, że ktoś ją zobaczy i uzna za ognisty znak nadchodzącego końca świata, były najmniejsze.

- To tam się wybrała - roześmiałam się.

Corra dobrze się czuła w towarzystwie tej czarownicy, a Catherine z przyjemnością urządzała sobie z nią zawody w zianiu ogniem.

- Wszystkie się cieszymy, że Corra znalazła sobie zajęcie lepsze niż wspinanie się po kominach i straszenie duchów. - Mateczka Alsop wskazała krzesło naprzeciw siebie. - Nie usiądziesz ze mną? Możliwe, że bogini nie da nam drugiej okazji.

- Słyszałaś wieści ze Szkocji? - zapytałam, sadowiąc się przed nią.

- Nie słyszałam nic, od kiedy powiedziałaś mi, że Euphemia MacLean nie ustrzegła się stosu mimo ciąży. - Zdrowie Mateczki podupadło tego wieczora, w którym poinformowałam ją, że młoda czarownica z Barwick została spalona, choć Matthew bardzo starał się ją ocalić.

- Matthew przekonał wreszcie resztę Kongregacji, że tę spiralę oskarżeń i egzekucji trzeba powstrzymać. Dwie z oskarżonych czarownic odwołały swoje zeznania, mówiąc, że złożyły je pod wpływem tortur.

- Kongregację na pewno zaskoczyło, że wampierz opowiada się za czarownicami. - Mateczka Alsop przyjrzała mi się uważnie. - Gdybyście zostali, zdradziłby się. Matthew Roydon żyje w świecie półprawd, ale nikt nie potrafi wiecznie unikać zdemaskowania. Musicie bardziej uważać ze względu na dziecko.

- Tak też zrobimy - zapewniłam. - Na razie jednak jeszcze nie wiem na pewno, czy mój ósmy węzeł jest dość mocny, bym mogła przenieść się w czasie. Nie z Matthew i dzieckiem.

- Pokaż mi go. - Mateczka wyciągnęła rękę. Nachyliłam się i położyłam sznureczki na jej dłoni. Aby

przenieść się w czasie, musiałam użyć wszystkich dziewięciu i zrobić dziewięć różnych węzłów. Żaden czar nie wymagał więcej. Mateczka Alsop sprawnie złożyła czerwony wątek osiem razy i złączyła końce tak, że węzeł był nierozzerwalny.

- Ja to robię w ten sposób. - Cudownie prosty: luźne pętle i zawijasy niczym maswerki w oknie katedry.

- Mój tak nie wyglądał - uśmiechnęłam się krzywo. - Wił się i skręcał.

- Każdy węzeł jest równie wyjątkowy jak tkacz, który go tworzy. Bogini nie chce, byśmy naśladowali jakiś ideał, ale byśmy byli sobą.

- No to ja muszę być strasznie pogmatwana. - Sięgnęłam po sznurki, by przyjrzeć się wzorowi.

- Chciałabym ci pokazać jeszcze jeden węzeł - powiedziała Mateczka.

- Jeszcze jeden? - zmarszczyłam brwi.

- Dziesiąty. Nie potrafię go zrobić, chociaż powinien być najłatwiejszy. - Mateczka uśmiechnęła się, ale podbródek jej zadrżał. - Moja nauczycielka też nie potrafiła go wykonać, ale pokazała mi go w nadziei, że trafi się taka prządka jak ty.

Mateczka Alsop rozwiązała węzeł pstryknięciem sękatego palca wskazującego. Oddałam jej czerwony sznurek,

a ona utkała zwykłą pętlę. Przez moment sznurek utworzył gładki pierścień. Ale gdy tylko zabrała palce, rozwiązał się.

- Przecież przed chwilą połączyłaś końce sznurka w dużo bardziej skomplikowanym węźle - odezwałam się zdziwiona.

- Dopóki sznurek jest choćby raz skrzyżowany, mogę połączyć jego końce i dopełnić czar. Ale tylko tkacz stojący pomiędzy światami potrafi zrobić dziesiąty węzeł - odparła. - Spróbuj. Użyj srebrnej nici.

Zszokowana połączyłam końce sznurka w koło. Włókna utworzyły pętlę bez początku i końca. Zabrałam palce, ale koło pozostało niezmienione.

- Piękny wzór - pochwaliła zadowolona Mateczka. -Dziesiąty węzeł ma w sobie moc wieczności, to materia życia i śmierci. Podobnie jak wąż twojego męża albo Corra, która łapie czasem ogon w paszczę, gdy jej przeszkadza.

Uniosła dziesiąty węzeł - kolejny uroboros. W pokoju zapanowała niezwykła atmosfera, aż dostałam gęsiej skórki.

- Tworzenie i niszczenie to najłatwiejsza magia, ale też najpotężniejsza, tak jak najprostszy węzeł jest najtrudniejszy do zrobienia.

- Nie chcę używać magii do niszczenia - odparłam. Bishopowie mieli długą tradycję nieczynienia zła. Ciotka

Sara uważała, że jeśli czarownica złamała tę podstawową zasadę, czekała ją w końcu kara.

- Nikt nie chce używać darów bogini jako broni, ale czasem nie ma innego wyjścia. Twój wampierz o tym wie. A po tym, co wydarzyło się tu i w Szkocji, ty także.

- Możliwe. Ale mój świat jest inny, nie potrzeba w nim magicznej broni.

- Światy się zmieniają, Diano. - Mateczka Alsop skupiła się na jakimś dawnym wspomnieniu. - Moja nauczycielka, matka Ursuła, była wspaniałą prządką. W wigilię Wszystkich Świętych, gdy rozpoczęły się te wydarzenia w Szkocji

i kiedy pojawiłaś się, by zmienić nasz świat, przypomniało mi się jedno z jej prorocत्व. Zaczęła nucić:

*Gdy w ryku burz i gniewie mórz Gabriel na brzegu stanie I zadmie w swój cudowny róg, Świat stary zginie i nowy powstanie.*

Gdy Mateczka Alsop skończyła, nic, nawet wiaterek czy trzask ognia, nie zakłócało ciszy. Odetchnęła głęboko.

- Wszystko jest jednością. Życie i śmierć. Dziesiąty węzeł bez początku i końca i wąż wampierza. Księżyc w pełni, który był na niebie w tym tygodniu, i cień, jaki Corra rzuciła na Tamizę, wieszcząc wasze odejście. Stary i nowy świat. - Uśmiechnięte usta Mateczki zadrżały. - Ucieszyłam się, gdy do mnie przybyłaś, Diano Roydon. A gdy mnie opuścisz, bo musisz, będzie mi ciężko na sercu.

- Zwykle to Matthew informuje mnie, gdy wyjeżdża z miasta. - Białe dłonie Andrew Hubbarda spoczywały na rzeźbionych podłokietnikach jego fotela w kościelnej krypcie. Gdzieś nad nami ktoś przygotowywał się do mszy. - Co cię tu sprowadza, pani Roydon?

- Przyszłam porozmawiać o Annie i Jacku. Hubbard nie spuszczał ze mnie swoich dziwnych oczu,

gdy wyciągnęłam niewielką skórzaną sakiewkę. Zawierała dość pieniędzy, by starczyło na pięć lat życia dla nich obojga.

- Wyjeżdżam z Londynu. Chciałabym, abyś wziął to na ich utrzymanie. - Wyciągnęłam w jego stronę rękę z sakiewką. Nawet nie drgnął.

- To niepotrzebne, droga pani.

- Proszę. Zabrałabym ich ze sobą, gdybym mogła. Ale że nie mogą pojechać ze mną, muszę wiedzieć, że ktoś będzie nad nimi czuwał.

- A co dasz w zamian?

- Jak to... oczywiście pieniądze. - Znów uniosłam sakiewkę.

- Nie chcę ani nie potrzebuję pieniędzy, pani Roydon. - Hubbard rozparł się w fotelu i zamknął oczy.

- Więc czego... - zamilkłam.

- Bóg nie czyni nic na próżno. W Jego planach nic nie zdarza się przypadkiem. Chciał, abyś tu dziś przyszła, ponieważ pragnie się upewnić, że nikt twojej krwi nie będzie się musiał lękać niczego z mojej strony ani ze strony moich podopiecznych.

- Mam dość obrońców - zaprotestowałam.

- A czy to samo możesz powiedzieć o swoim mężu? - Hubbard spojrzął na moją pierś. - W jego żyłach jest teraz więcej twojej krwi, niż gdy tu przybyłaś. No i trzeba pamiętać o dziecku.

Serce mi zamarło. Gdy zabiorę Matthew do współczesności, Andrew Hubbard będzie jednym z nielicznych, znających jego przyszłość i świadomych, że znalazła się w niej czarownica.

- Nie użyłbyś wiedzy o mnie przeciw Matthew. Nie po tym, co zrobił, jak się zmienił.

- Nie użyłbym? - Krzywy uśmiech Hubbarda powiedział mi, że zrobiłby wszystko, by strzec swojej trzódki. - Nie darzymy się ciepłymi uczuciami.

- Znajdę inny sposób, by zapewnić im bezpieczeństwo. - Postanowiłam odejść.

- Annie jest już moim dzieckiem. Czarownicą i częścią mojej rodziny. Dopilnuję, by nic złego jej nie spotkało. Jack Blackfriars to zupełnie inna sprawa. Jest człowiekiem, więc będzie musiał sam o siebie zadbać.

- Ale jest dzieckiem!

- Nie moim. Ty też nie. Nic wam nie jestem winien. Miłego dnia, pani Roydon. - Hubbard odwrócił głowę.

- A gdybym należała do twojej rodziny, to co? Czy spełniłbyś moją prośbę w sprawie Jacka? Uznałbyś Matthew za członka twojej rodziny i chronił go? - Myślałam teraz o szesnastowiecznym Matthew. Gdy wrócimy do terażniejszości, tamten Matthew będzie nadal żył w przeszłości.

- Jeśli dasz mi swoją krew, to Matthew, Jack i twoje nie-narodzone dziecko nie będą się mieli czego obawiać z mojej strony ani ze strony mojej rodziny. - Hubbard wypowiedział te słowa obojętnie, ale w jego spojrzeniu widziałam taką samą chciwość jak u Rudolfa.

- A ile krwi byś potrzebował? „Myśl. Utrzymaj się przy życiu”.

- Bardzo mało. Nie więcej niż kroplę - oświadczył niewzruszenie.

- Nie mogę pozwolić, byś wziął ją bezpośrednio z mojego ciała. Matthew by się dowiedział, a w końcu jesteśmy parą - zaprotestowałam.

Spojrzenie Hubbarda na moment spoczęło na mojej piersi.

- Zawsze biorę daninę prosto z szyi mojego dziecka.

- Wierzę, ojczu Hubbardzie. Ale rozumiesz chyba, czemu to niemożliwe i niewskazane w tym wypadku. - Zamilkłam, licząc na to, że Hubbard pragnienie władzy, wiedzy o mnie i Matthew, posiadania czegoś, czym w razie potrzeby mógłby zagrozić de Clermontom, zwycięży. - Mogłabym użyć czarki.

- Nie - pokręcił głową. - Krew byłaby skażona. Musi być czysta.

- W takim razie srebrnej czarki - odparłam, myśląc o słowach kucharza z Sept-Tours.

- Otworzysz żyłę z nadgarstka nad moimi ustami i pozwolisz, by spłynęła w nie krew. Nie dotkniemy się. - Hubbard zmierzył mnie wzrokiem. - Inaczej zwątpię w szczerłość twoich intencji.

- Dobrze, ojciec Hubbardzie. Zgadzam się na te warunki. - Poluzowałam tasiemkę przy prawym mankiecie i podciągnęłam rękaw. Jednocześnie wyszeptałam prośbę do Corry.

- Gdzie chcesz to zrobić? Z tego, co wiem, twoje dzieci klękają przed tobą, ale to nie zadziała, jeśli krew ma skapnąć do twoich ust.

- To sakrament. Boga nie obchodzi, kto klęczy. - Ku mojemu zaskoczeniu Hubbard ukląkł przede mną. Podał mi nóż.

- Nie potrzebuję go. - Przesunęłam palec po niebieskiej siateczce na nadgarstku i wyszeptałam prosty czar rozwiązujący. Pojawiła się szkarłatna linia. Krew zaczęła się zbierać.

Hubbard otworzył usta. Nie odrywał oczu od mojej twarzy. Spodziewał się, że się wycofam, że jakoś go oszukam. Ale ja zamierzałam dotrzymać treści przyrzeczenia, choć nie ducha naszej umowy. Dziękuję, Mateczko Alsop, powiedziałam w myśli, posyłając jej ciche błogosławieństwo w podzięcie za to, że pokazała mi, jak radzić sobie z tym mężczyzną.

Uniosłam dłoń nad jego ustami i zacisnęłam w pięść. Z mojej ręki spłynęła kropla krwi i zaczęła spadać. Hubbard zamknął oczy, jakby chciał się skupić na tym, co z niej wyczyta.

- Czym jest krew, jeśli nie ogniem i wodą? - wyszeptałam.

Wezwałam wiatr, by kropla spadała wolniej. Moc powietrza wzrosła, zamrażając kroplę tak, że zamieniła się w mały, ostry kryształek, który wylądował na języku Hubbarda.

Wampir, zaskoczony, otworzył oczy.

- Nie więcej niż kropla. - Wiatr osuszył krew na moim ręku, tworząc czerwony labirynt na błękitnym tle żył. - Jesteś sługą Bożym dotrzymującym słowa, prawda, ojciec Hubbardzie?

Corra rozluźniła okalający moją talię ogon. Użyła go, by sprawić, aby nasze dziecko nie miało świadomości okropnej



transakcji, którą przeprowadziłam, ale wyglądało na to, że teraz najchętniej pobiłaby nim Hubbarda.

Powoli zabrałam rękę. Hubbard zapragnął ją złapać i przycisnąć do ust. Widziałam, kiedy wpadł na ten pomysł, równie jasno, jak myśli Edwarda Kelleya, gdy rozważał, czy nie uderzyć mnie swoją laską. Ale zmienił zdanie. Wyszepiałam kolejny prosty czar, by zamknąć ranę, i odwróciłam się bez słowa.

- Gdy następnym razem będziesz w Londynie - odezwał się cicho Hubbard - Bóg mi o tym powie. A jeśli taka będzie Jego wola, znów się spotkamy. Ale pamiętaj jedno. Bez względu na to, dokąd pójdziesz, nawet w krainę śmierci, jakaś część ciebie będzie żyła we mnie.

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego. Jego słowa były groźne, ale na twarzy widziałam zamyślenie, wręcz smutek. Szybko wyszłam z krypty, pragnąc jak najprędzej oddalić się od Andrew Hubbarda.

- Zegnaj, Diano Bishop! - krzyknął za mną.

Dopiero w połowie drogi do domu uświadomiłam sobie, że chociaż tak niewiele informacji kryło się w jednej kropli krwi, ojciec Hubbard znał teraz moje prawdziwe nazwisko.

Gdy wróciłam do gospody Pod Łanią i Koroną, usłyszałam kłócących się Matthew i Waltera. Słyszał ich też przez otwarte okna służący Raleigha, który stał na dziedzińcu i trzymał potężnego rumaka Waltera.

- To by oznaczało moją śmierć! I jej także! Nikt nie może się dowiedzieć, że spodziewa się dziecka! - Co dziwne, słowa te wypowiedział Walter.

- Nie możesz zostawić kobiety, którą kochasz, i własnego dziecka, udając, że jesteś wierny królowej. Elżbieta odkryje, że ją zdradziłeś. A Bess straci na zawsze swoją pozycję.

- To jak według ciebie powinienem postąpić? Ożenić się z nią? Jeśli zrobię to bez pozwolenia królowej, każe mnie aresztować.

- Bez względu na to, co się stanie, przeżyjesz - odparł sucho Matthew. - Ale jeśli pozbawisz Bess swojej ochrony, ona zginie.

- Jak możesz udawać, że zależy ci na szczerości małżeńskiej, po tych wszystkich kłamstwach, które mówiłeś o Dianie? Czasami upierałeś się, że jesteście małżeństwem, ale nakazałeś nam zaprzeczać, gdyby pojawiły się jakieś obce czarownice lub wampierze. - Walter zniżył głos, ale wciąż brzmiała w nim wściekłość. - Twoim zdaniem uwierzę, że kiedy wrócicie tam, skąd przybyliście, przyznasz się, że jesteście małżeństwem?

Wsunęłam się niezauważona do pokoju. Matthew zawahał się.

- Tak myślałem - mruknął Walter. Naciągał rękawiczki.

- Czy tak chcecie się pożegnać? - zapytałam.

- Diano - powiedział zmęczonym głosem Walter.

- Witaj, Walterze. Na dole czeka twój sługa.

Walter ruszył do drzwi, ale jeszcze na chwilę się zatrzymał:

- Bądź rozsądny, Matthew. Nie mogę stracić zaufania na dworze. Bess wie lepiej niż ktokolwiek, jak groźny jest gniew królowej. Na dworze Elżbiety szczęście dopisuje krótko, ale w niełasce pozostaje się na zawsze.

Matthew patrzył, jak jego przyjaciel zbiega po schodach.

- Boże, przebacz. Za pierwszym razem, gdy zdradził mi ten plan, stwierdziłem, że jest rozsądny. Biedna Bess.

- Co się z nią stanie, gdy odejdziemy? - zapytałam.

- Na jesieni będzie już widać, że jest w ciąży. Pobiorą się w sekrecie. Gdy królowa zapyta o ich związek, Walter zaprzeczy wszystkiemu. Wielokrotnie. Reputacja Bess

legnie w gruzach, okaże się, że jej mąż jest kłamcą, i oboje zostaną aresztowani.

- A dziecko? - wyszeptałam.

- Urodzi się w marcu i umrze na jesieni. - Matthew usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach. - Napiszę do ojca i dopilnuję, by Bess otrzymała jego ochronę. Może Susanna Norman będzie się nią opiekować w czasie ciąży.

- Ani twój ojciec, ani Susanna nie uchronią jej przed ciosem, jakim będzie wyrzeczenie się jej przez Raleigha. - Położyłam mu rękę na ramieniu. - A czy po naszym powrocie zaprzeczysz, że jesteśmy małżeństwem?

- To nie takie proste... - W oczach Matthew czaił się strach.

- Tak właśnie powiedział Walter. A ty oświadczyłeś, że się myli. - Przypomniałam sobie słowa przepowiedni Mateczki Alsop: „Świat stary zginie i nowy powstanie”. - Nadchodzi chwila, w której będziesz musiał wybrać między bezpieczeństwem przeszłości a obietnicą przyszłości, Matthew.

- Przeszłości nie da się zmienić, bez względu na to, jak bardzo będę się starał - odparł. - Powtarzam to zawsze królowej, gdy rozpacza po błędnej decyzji. Znowu pokonała mnie własna broń, jak zauważyłby Gallowglass.

- Uprzedziłeś mnie tym razem, wuju. - Gallowglass wszedł cicho do pokoju i rozkładał paczki. - Mam twój papier. I pióra. I tonik na gardło Jacka.

- Tak się kończy nieustanne siedzenie z Tomem na wieżach i gadanie o gwiazdach. - Matthew potarł twarz. - Musimy dopilnować, by Tom miał z czego żyć, Gallowglass. Niedługo Walter nie będzie już mógł utrzymywać się ze swojej służby. Henry Percy będzie musiał znowu przejąć jego obowiązki, ale ja też powinienem w tym uczestniczyć.

- A jak już mówimy o Tomie, to czy widzieliście jego szkice pojedynczego okularu do oglądania nieba? Nazywają to z Jackiem gwiezdny okular.

Włoski zjeżyły mi się na karku, gdy wątki w pokoju zadrżały energią. Po kątach czas zazgrzyta! w proteście.

- Gwiazdny okular... Jak wygląda? - rzuciłam od niechcienia.

- Sama ich spytaj - odparł Gallowglass, odwracając głowę w stronę schodów.

Do pokoju wpadli Jack i Mop, a za nimi wszedł Tom z uszkodzonymi okularami w ręku.

- Diano, jeśli ich dotkniesz, na pewno pozostawisz znak na przyszłości - ostrzegł mnie Matthew.

- Popatrz, popatrz, popatrz! - Jack złapał grubą szczapę drewna. Mop śledził jego ruchy i kłapnął zębami, próbując złapać przelatujący kawałek. - Pan Harriot mówi, że gdybyśmy to wydrążyli i włożyli na jednym końcu soczewki z okularów, to odległe rzeczy wydawałyby się bliższe. Wie pan, jak to wydrążyć, panie Roydon? A jeśli nie, to czy stolarz z ulicy Świętego Dunstana mógłby mnie tego nauczyć? Są jeszcze bułki? Panu Harriotowi przez całe popołudnie burczało w brzuchu.

- Pokaż mi to. - Wyciągnęłam rękę po drewnianą rurkę. - Bułki są w kredensie na podeście, jak zawsze. Daj jedną panu Harriotowi i sobie też jedną weź. I nie - dodałam, zanim zdążył coś powiedzieć - nie karm nimi Mopa.

- Dzień dobry, pani Roydon. Jeśli tak prosta para okularów może sprawić, by człowiek widział słowa Boga w Biblii, to na pewno bardziej skomplikowane pozwoliłyby ujrzeć dzieła Boga w Księdze Natury - odezwał się marzycielsko Tom. - Dziękuję, Jack. - Wgryzł się z roztargnieniem w bułkę.

- A jak chciałbyś je zmienić? - odezwałam się głośno, wstrzymując oddech.

- Połączyłbym wypukłe i wklęsłe soczewki, tak jak sugerował szlachcic z Neapolu, signor delia Porta, w księdze, którą czytałem w zeszłym roku. Mam zbyt krótką rękę, by

trzymać je w odpowiedniej odległości. Dlatego chcemy je przedłużyć tym kawałkiem drewna.

I w ten sposób Thomas Harriot zmienił historię nauki. Nawet nie musiałam mieszać się do przeszłości, trzeba było tylko dopilnować, by o niej nie zapomniano.

- Ale to tylko takie moje rozważania. Zapiszę je i później o nich pomyślę - westchnął Tom.

To był właśnie problem ówczesnych naukowców - nie widzieli potrzeby ogłaszania swoich pomysłów. W przypadku Thomasa Harriota jego pomysły nie przetrwały, gdyż nigdy nie zostały opublikowane.

- Masz rację, Tom. Ale ta drewniana rurka jest za krótka - uśmiechnęłam się szeroko. - A co do stolarza ze Świętego Dunstana, to mistrz Vallin bardziej się nada, jeśli potrzebujesz długiej. Pójdziemy do niego?

- Tak! - krzyknął Jack, skacząc jak szalony. - Mistrz Vallin ma mnóstwo kółek zębatach i sprężyn, panie Harriot. Dał mi jedną taką sprężynkę i mam ją w moim pudełku ze skarbami. Moje nie jest tak duże jak to pani Roydon, ale i tak mnóstwo się w nim mieści. Możemy iść teraz?

- Co knuje cioteczka? - zapytał Gallowglass Matthew. Obaj byli zaskoczeni i zaniepokojeni.

- Myślę, że mści się na Walterze za to, że nie zadbał odpowiednio o przyszłość - stwierdził spokojnie Matthew.

- Ach, no to nie ma sprawy. A już się bałem, że wynikną z tego jakieś problemy.

- Zawsze jakieś wynikają - odparł Matthew. - Jesteś pewna, że wiesz, co robisz, *ma lionne*?

Tak wiele nastąpiło wydarzeń, których nie mogłam zmienić na lepsze. Nie mogłam odzyskać swojego pierwszego dziecka ani uratować czarownic w Szkocji. Przywieźliśmy z dalekiej Pragi *Ashmole 782* tylko po to, by dowiedzieć się, że nie możemy go zabrać w przyszłość. Pożegnaliśmy się z naszymi ojcami i mieliśmy zostawić przyjaciół. Co z tego pozostanie?

Doskonale jednak wiedziałam, co należy zrobić, by przetrwał teleskop Toma. Skinęłam głową.

- Przeszłość nas zmieniła, Matthew. Czemu my też nie mielibyśmy jej zmienić?

Wziął mnie za rękę i ucałował ją.

- Idź do mistrza Vallina. I każ mu przesłać mi rachunek.

- Dziękuję. - Nachyliłam się do niego i wyszeptałam: -Nie martw się. Wezmę ze sobą Annie. Wytarguje dobrą cenę. Poza tym kto wie, ile należy sobie liczyć za teleskop w 1591 roku?

I tak czarownica, demon, dwoje dzieci i pies złożyli tego popołudnia wizytę mistrzowi Vallinowi. Tego dnia, późno, wysłałam naszym przyjaciołom zaproszenia, by przyszli do nas następnego wieczora. Miało to być nasze ostatnie z nimi spotkanie. Gdy zajmowałam się teleskopem i kolacją, Matthew dostarczył *Verum Secretum Secretorum* Rogera Bacona do Mortlake. Nie chciałam patrzeć, jak *Ashmole 782* trafia do doktora Dee. Wiedziałam, że musi wrócić do potężnej biblioteki alchemika, by Elias Ashmole mógł go mieć w XVII wieku. Ale trudno było mi oddać księgę komuś innemu, tak samo jak ciężko było mi się rozstać z figurką bogini Diany, która trafiła do Kita po naszym przybyciu. Kwestie praktyczne dotyczące naszego wyjazdu pozostawiliśmy Gallowglassowi i Pierre'owi. Zapakowali kufry, opróżnili skrzynie, podzielili pieniądze i wysłali osobiste rzeczy do Old Lodge bardzo sprawnie, co świadczyło o tym, że niejednokrotnie się tym zajmowali.

Pozostało już tylko kilka godzin do naszego wyjazdu. Wracałam właśnie od mistrza Vallina z dziwną paczką owiniętą w miękką skórę, gdy stanęłam jak wryta na widok dziesięciolatki przed sklepem z plackami, wpatrującej się z zachwytem w wystawę. Przypominała mi mnie w tym wieku, począwszy od potarganych włosów w kolorze słomy, po

ręce zbyt długie w proporcji całego ciała. Dziewczynka zeszywniała, jakby wiedziała, że ktoś ją obserwuje. Gdy nasze oczy się spotkały, wiedziałam już czemu - była czarownicą.

- Rebecca! - zawołała jakaś kobieta, wychodząc ze sklepu. Na jej widok serce mi podskoczyło, bo wyglądała jak moja matka i Sara jednocześnie.

Rebecca nic nie powiedziała, tylko dalej wpatrywała się we mnie tak, jakby zobaczyła ducha. Jej matka uniosła wzrok, by zobaczyć, co tak zaabsorbowało córkę, i aż jęknęła. Jej spojrzenie łaskotało, gdy mnie tak lustrowała. Ona także była czarownicą.

Zmusiłam się, by podejść do sklepiku. Z każdym krokiem zbliżałam się do dwóch czarownic. Matka przytuliła córkę, ale Rebecca próbowała się wyrwać.

- Wygląda jak babunia - wyszeptała, usiłując przyjrzeć mi się uważnie.

- Cii - powiedziała jej matka. Spojrzała na mnie przepraszająco. - Wiesz, że twoja babunia nie żyje, Rebecco.

- Jestem Diana Roydon. - Skinęłam głową w stronę znaku nad nimi. - Mieszkam Pod Łanią i Koroną.

- Ale w takim razie... - Kobieta spojrzała na mnie przestraszona i przygarnęła bliżej córkę.

- Jestem Rebecca White - odezwała się dziewczynka, nie zwracając uwagi na reakcję matki. Dygnęła niepewnie. To też wyglądało znajomo.

- Miło mi cię poznać. Niedawno sprowadziłaś się do Blackfriars?  
- Chciałam jak najdłużej przeciągnąć rozmowę, choćby po to, by móc patrzeć na te znajome, a zarazem obce twarze.

- Nie. Mieszkamy przy szpitalu obok targu Smithfield - wyjaśniła Rebecca.

- Przyjmuję pacjentów, gdy w salach brakuje miejsca - kobieta zawahała się. - Jestem Bridget White, a Rebecca jest moją córką.

Nawet bez tych znanych imion, jak Rebecca i Bridget, rozpoznałam te dwie istoty głęboko w sobie. Bridget Bishop urodziła się około 1632 roku, a pierwsze imię, jakie pojawia się w grymuarze Bishopów, to imię babki Bridget, Rebecki Davies. Czy ta dziesięciolatka wyjdzie kiedyś za mąż i przyjmie to nazwisko?

Rebecca skupiła uwagę na moim uchu. Sięgnęłam tam ręką. Kolczyk Ysabeau.

By sprowadzić Matthew i mnie w przeszłość, wykorzystałam trzy przedmioty - manuskrypt *Doktora Fausta*, srebrną figurkę szachową i kolczyk schowany w laleczce Bridget Bishop. Ten kolczyk. Wyjęłam z ucha delikatny złoty drucik. Dzięki doświadczeniu nabytemu w kontaktach z Jackiem wiedziałam, że z dziećmi najlepiej rozmawiać, patrząc im w oczy, jeśli chce się, aby coś zapamiętały. Ukucnęłam, by zrównać się z nią wzrostem.

- Potrzebuję kogoś, kto przechowa to dla mnie. - Podałam jej kolczyk. - Pewnego dnia będzie mi potrzebny. Będiesz go strzec?

Rebecca spojrzała na mnie poważnie i skinęła głową. Wzięłam ją za rękę, czując, jak przepływa przez nas prąd porozumienia, i położyłam na jej dłoni ozdobione drogimi kamieniami druciki. Zacisnęła na nich palce.

- Mogę, mamó? - spytała poniewczasie.

- Chyba tak - odparła ostrożnie Bridget. - Chodź, Rebecco. Musimy iść.

- Dziękuję - powiedziałam. Wstałam i poklepałam dziewczynkę po ramieniu, spoglądając w oczy jej matki. - Dziękuję.

Poczułam kłujące spojrzenie. Zaczekałam, aż Rebecca i Bridget odeszły dalej, po czym odwróciłam się do Christophera Marlowe'a.

- Pani Roydon... - Kit był zachrypnięty i wyglądał jak własna śmierć. - Walter powiedział, że wyjeżdżacie tego wieczora.



- Prosiłam, aby ci to przekazał. - Siłą woli zmusiłam Kita, by popatrzył mi w oczy.

To także mogłam naprawić: dopilnować, by Matthew pożegnał się odpowiednio z tym mężczyzną, kiedyś jego najbliższym przyjacielem.

Kit spuścił wzrok.

- Nie powinienem był przychodzić.

- Wybaczam ci, Kit.

Na te słowa zaskoczony Marlowe gwałtownie uniósł głowę.

- Czemu? - zapytał zszokowany.

- Ponieważ go kochasz. Ale i dlatego, że tak długo, jak Matthew będzie cię obwiniał o to, co mi się przydarzyło, jakaś część jego pozostanie z tobą. Na zawsze - stwierdziłam. - Chodź na górę i się pożegnaj.

Matthew czekał na nas na podeście - zorientował się, że kogoś sprowadzam. Pocałowałam go delikatnie w usta.

- Twój ojciec ci wybaczył - wyszeptałam. - Obdaruj Kita takim samym darem.

A potem zostawiłam ich, by naprawili tyle, ile się dało w tak krótkim czasie.

Kilka godzin później podałam Thomasowi Harriotowi stalową tubę.

- Oto twój gwiazdny okular, Tom.

- Zrobiłem go z lufy muszkietu, oczywiście po wprowadzeniu poprawek - wyjaśnił monsieur Vallin, słynny twórca pułapek na myszy i zegarów. - Jest grawerowany, tak jak życzyła sobie tego pani Roydon.

Z boku, na pięknej srebrnej płytce w kształcie chorągwi, widniały słowa: *N. Vallin me fecit, T. Harriot me invenit, 1591*.

- N. Vallin mnie wykonał, T. Harriot mnie wymyślił, 1591 - uśmiechnęłam się ciepło do monsieur Vallina. - Doskonale.

- Możemy teraz popatrzeć na księżyc? - zawołał Jack, biegnąc do drzwi. - Jest już większy niż zegar na kościele Świętej Mildred.

I tak oto Thomas Harriot, matematyk i lingwista, tworzył historię na dziedzińcu Łani i Korony, siedząc na starym krześle wziętym ze strychu. Naprowadził długą metalową tubę z dwiema soczewkami okularowymi na księżyc w pełni i westchnął zadowolony.

- Spójrz, Jack. Jest dokładnie tak, jak powiedział signor delia Porta. - Tom zaproponował, by chłopiec usiadł mu na kolanach, i przytknął mu do oka okular. - Dwie soczewki, jedna wypukła, druga wklęsła, rzeczywiście dają efekt, jeśli tylko odpowiednio się je ustawi.

Po Jacku przyszła kolej na nas wszystkich.

- Cóż, nie tego się spodziewałem - stwierdził rozczarowany George Chapman. - Nie sądziliście, że będzie bardziej imponujący? Wydaje mi się, że wolę poetyckie wersje księżyca, niż tę, Tomie.

- Ależ on wcale nie jest idealny. - Zawiedziony Henry Percy potarł oczy i znów spojrzał przez lunetę.

- Oczywiście, że nie. Nic nie jest idealne - rzucił Kit. - Nie możesz wierzyć we wszystko, o czym mówią filozofowie, Hal. To prosta droga do klęski. Widzisz, co odrobina filozofii zrobiła z Tomem.

Spojrzałam na Matthew i uśmiechnęłam się szeroko. Już dawno nie słyszeliśmy utarczek słownych Szkoły Nocy.

- Tom może przynajmniej sam na siebie zarobić, a to więcej, niż mogę powiedzieć o którymkolwiek ze znanych mi dramatopisarzy. - Walter popatrzył przez tubę i zagwizdał. - Szkoda, że nie wymyśliłeś tego przed moją wyprawą do Wirginii, Tom. Można by przez lunetę obserwować brzeg z bezpiecznego miejsca na okręcie. Spójrz przez to, Gallowglass, i powiedz, czy się myłę.

- Nigdy się nie mylisz, Walterze - odparł Gallowglass, puszcżając oko do Jacka. - Zapamiętaj to, chłopcze. Ten, kto płaci ci pensję, zawsze ma rację.

Zaprosiłam też Mateczkę Alsop i Susannę, i nawet one spojrzęły przez gwiezdny okular Toma. Na żadnej z nich wynalazek nie zrobił specjalnego wrażenia, choć obie odpowiednio głośno się zachwyciły, gdy je zachęciłam.

- Czemu mężczyźni bawią się takimi drobiazgami? - wyszeptała do mnie Susanna. - Mogłam im powiedzieć, że księżyc nie jest idealnie gładki, nawet bez tego nowego instrumentu. Czy oni nie mają oczu?

Po przyjemnościach oglądania niebios pozostały nam tylko bolesne pożegnania. Wysłałam Annie z Mateczką Alsop, mówiąc jej, że Susanna potrzebuje pomocy, by odprowadzić staruszkę. Pożegnałam się z nią tak krótko, że Annie spojrzęła na mnie niepewnie.

- Wszystko w porządku, proszę pani? Może powinnam zostać?

- Nie, Annie. Idź z ciotką i Mateczką Alsop. - Zamrugęłam, by powstrzymać łzy. Jak Matthew znosił te ciągle pożegnania?

Następnie wyszli Kit, George i Walter, rzucając szorstkie „bywaj” i poklepując Matthew po ramieniu.

- Chodź, Jack. Pójdziecie z Tomem do mnie - powiedział Henry Percy. - Noc jeszcze młoda.

- Nie chcę iść - odparł Jack.

Odwrócił się do Matthew i wpatrzył w niego. Chłopiec wyczuł zbliżającą się zmianę. Matthew uklęknął przed nim.

- Nie ma się czego bać, Jack. Znasz pana Harriota i lorda Northumerland. Dopilnują, by nie stała ci się krzywda.

- A jeśli będę miał koszmar? - wyszeptał Jack.

- Koszmary są jak gwiezdny okular pana Harriota. To tylko złudzenie, które sprawia, że coś odległego zdaje się bliskie i większe, niż jest naprawdę.

- Tak? - Jack zamyślił się. - Więc nawet jeśli widzę we śnie potwora, to on mnie nie może złapać?

Matthew skinął głową.

- Ale powiem ci coś w sekrecie. Sen to odwrócony koszmar. Jeśli śnisz o kimś, kogo kochasz, ta osoba będzie bliżej, nawet jeśli jest gdzieś daleko. - Wstał i położył rękę na głowie Jacka w niemym błogosławieństwie.

Gdy Jack i jego opiekunowie wyszli, pozostał już tylko Gallowglass. Wyciągnęłam sznureczki z mojego pudełka, zostawiając w nim kilka rzeczy: kamyk, białe pióro, kawałek drewna z jarzębiny, biżuterię i list od mojego ojca.

- Przechowam je - obiecał Gallowglass, biorąc ode mnie pudełeczko.

W jego wielkiej ręce wydawało się dziwnie malutkie. Uścisnął mnie mocno.

- Pilnuj drugiego Matthew, żeby kiedyś mógł mnie odnaleźć - zaciskając oczy, wyszeptalam mu do ucha.

Wypuściłam go z objęć i odsunęłam się. Dwaj de Clermontowie pożegnali się jak wszyscy de Clermontowie -krótco, ale z uczuciem.

Przed Kardynalskim Kapeluszem czekał Pierre z końmi. Matthew pomógł mi wsiąść, po czym sam wskoczył na siodło.

- Żegnaj, madame - powiedział Pierre, puszczając wodze.

- Dziękuję, przyjacielu. - Znów zbierało mi się na płacz. Pierre podał Matthew list. Rozpoznałam pieczęć Philippe'a.

- Milordzie, instrukcje od ojca.

- Jeśli za dwa dni nie pojawię się w Edynburgu, zacznij mnie szukać.

- Tak zrobię - obiecał Pierre, gdy Matthew cmoknął na konia i ruszyliśmy do Oksfordu.

Zmienialiśmy konie trzy razy i do Old Lodge dotarliśmy przed wschodem słońca. Francoise i Charles zostali odesłani. Byliśmy sami.

Matthew położył list od Philippe'a na biurku, gdzie szesnastowieczny Matthew musiał go *znaleźć*. List nakazywał mu wyjazd do Szkocji w ważnej sprawie. Matthew Roydon miał przez jakiś czas zostać na dworze króla Jakuba, a potem zniknąć i rozpocząć nowe życie w Amsterdamie.

- Król Szkotów ucieszy się, że znów zacznę się zachowywać po staremu - stwierdził Matthew, dotykając listu czubkiem palca. - Na pewno nie będę więcej próbował ratować czarownic.

- Tutaj już wiele zmieniłeś, Matthew. - Objęłam go ramieniem. - Teraz pora zrobić porządki w naszych czasach.

Weszliśmy do sypialni, w której znaleźliśmy się tyle miesięcy temu.

- Wiesz, że nie mam pewności, czy uda nam się prześlizgnąć przez te wszystkie wieki i trafić dokładnie w wybrany czas i miejsce? - ostrzegłam.

- Już mi to tłumaczyłaś, *mon cceur*. Wierzę w ciebie. - Matthew wziął mnie mocno pod ramię. - Chodźmy na spotkanie przyszłości. Znowu.

- Żegnaj, domku. - Rozejrzałam się po raz ostatni po naszym pierwszym domu. Wiedziałam, że znów go zobaczę, ale że nie będzie już ten sam co w tamten czerwcowy poranek.

Niebieskie i bursztynowe wątki w kątach trzaskały niespokojnie, wypełniając pokój światłem i dźwiękiem. Odetchnęłam głęboko i zaczęłam wiązać brązowy sznurek, pozostawiając jeden koniec luźno. Poza Matthew i ubraniami, które mieliśmy na sobie, sznurki były jedyną rzeczą, jaką zabierałam z powrotem.

- Węzeł pierwszy czar zaczyna - wyszeptałam.

Z każdym zaplatanym węzłem robiło się coraz głośniejsze, aż skrzek i wycie stały się ogłuszające.

Gdy końce dziewiątego sznurka złączyły się, unieśliśmy stopy, a świat wokół nas powoli się rozplynął.

## ROZDZIAŁ 20

Wszystkie angielskie gazety miały mniej więcej podobne nagłówki, ale Ysabeau uznała, że najlepszy dał „Times”.

### ANGLIK WYGRYWA WYŚCIG DO WIDOKU GWIAZD

30 czerwca 2010

Anthony Carter, czołowy ekspert od wczesnych przyrządów naukowych z Muzeum Historii Nauki przy uniwersytecie w Oksfordzie, potwierdził dziś autentyczność refraktora, opisanego nazwiskami Thomasa Harriota, elżbietańskiego matematyka i astronoma, i Nicholasa Vallina, hugenockiego zegarmistrza, który z przyczyn religijnych uciekł z Francji.

Ponadto na teleskopie widnieje data „1591”.

Odkrycie to poruszyło środowiska naukowe. Przez lata uważano, że to włoski matematyk Galileo Galilei zapożyczył od Holendrów podstawowe rozwiązania teleskopowe, by stworzyć urządzenie do obserwacji księżyca, które wykorzystał po raz pierwszy w 1609 roku.

- Będzie trzeba na nowo pisać podręczniki do historii - powiedział Carter. - Thomas Harriot przeczytał *Magię Naturalną* Giambattisty delia Porta i zaintrygowało go, jak można wykorzystać wypukłą i wklęsłą soczewkę, by „widzieć zarazem rzeczy oddalone i te w pobliżu wyraźniej i z większą dokładnością”.

Jedną z przyczyn, dla których wkład Thomasa Harriota w naukę astronomii został pominięty w dotychczasowych badaniach, jest fakt, że nie publikował on swoich odkryć, a jedynie dzielił się nimi z bliską grupą przyjaciół zwaną Szkołą Nocy. Dzięki opiece finansowej Waltera Raleigha i Henry'ego Percy'ego, zwanego hrabią Czarownikiem Northumberland, Harriot mógł sobie pozwolić na zgłębianie podmiotów swoich zainteresowań.

Pan I.R. Riddell znalazł teleskop wraz z różnymi matematycznymi notatkami Thomasa Harriota i skomplikowaną srebrną pułapką na myszy, również sygnowaną nazwiskiem Vallina. Pan Riddell naprawiał dzwony w kościele Świętego Michała, nieopodal siedziby rodziny Percy'ego w Alnwick, gdy wyjątkowo silny powiew wiatru zerwał wyblakły gobelin przedstawiający świętą Małgorzatę zabijającą smoka, odsłaniając ukryte pod nim pudełko.

- Rzadko się zdarza, by urządzenia z tamtego okresu miały aż tyle znaków identyfikacyjnych - wyjaśnił dziennikarzom doktor Carter, pokazując datę wygrawerowaną na teleskopie, potwierdzającą, że został wykonany w 1591-1592 roku. - Wiele zawdzięczamy Nicholasowi Vallinowi, który zdawał sobie sprawę z tego, jak ważny jest to wynalazek dla historii rozwoju nauki, i walnie przyczynił się do opisanego jego pochodzenia i twórców.

- Nie chcę go sprzedać - odezwał się Marcus. Z założonymi rękami, oparty o futrynę, bardzo przypominał Matthew. - Rozmawiałem ze wszystkimi, począwszy od urzędników kościelnych w Alnwick, na hrabim Northumberland i biskupie Newcastle skończywszy. Nie oddadzą teleskopu nawet za tak wielkie pieniądze, jakie im zaproponowałem. Ale chyba przekonałem ich, by sprzedali pułpkę.

- Usłyszał o tym cały świat - stwierdziła Ysabeau. - Piszą o tym nawet w „Le Monde”.

- Należało bardziej się starać zatuszować tę sprawę. To mogło dostarczyć czarownicom i ich sojusznikom ważnych informacji - zauważył Marcus.

Coraz większa grupa mieszkańców Sept-Tours od tygodni niepokoiła się, co mogłaby zrobić Kongregacja, gdyby dowiedziała się, gdzie przebywają Matthew i Diana.

- A co sądzi Phoebe? - zapytała Ysabeau.

Od razu polubiła spostrzegawczą, nienagannie wychowaną młodą kobietę o stanowczych rysach twarzy.

Marcus uśmiechnął się. Znow wyglądał tak, jak przed wyjazdem Matthew, bez troski i wesoło.

- Uważa, że jest zbyt wcześnie, by móc ocenić szkody, jakie wyrządziło odkrycie teleskopu.

- Mądra dziewczyna - pochwaliła Ysabeau.

- Nie wiem, co bym bez... - zaczął Marcus, po czym dodał z groźną miną: - Kocham ją, *grand-mère*.

- Oczywiście, że tak. A ona ciebie.

Po majowych wydarzeniach Marcus uznał, że powinna być z resztą rodziny, i sprowadził ją do Sept-Tours.

Byli nierozłączni. A Phoebe wykazała się doskonałym opanowaniem, gdy spotkała wszystkie te demony, wampiry i czarownice mieszkające w zamku. Jeśli zaskoczyło ją, że na świecie są też inne istoty poza ludźmi, to nie dała tego po sobie poznać.

W ciągu ostatnich miesięcy tajne zgromadzenie Marcusa poważnie się rozrosło. Asystentka Matthew, Miriam, była teraz stałą mieszkanką zamku, podobnie jak córka Philippe'a, Vérin, i jej mąż, Ernst. Gallowglass, wszędobylski wnuk Ysabeau, zaszokował ich wszystkich, pozostając w zamku na całe sześć tygodni. I wciąż nie zamierzał wyjeżdżać. Sophie Norman i Nathaniel Wilson powitali na świecie swoją córeczkę, Margaret, właśnie pod dachem Ysabeau, a teraz dziecko rządziło niepodzielnie, ustępując tylko matce rodu de Clermont. Ze względu na to, że jej wnuczka mieszkała w Sept-Tours, matka Nathaniela, Agatha, pojawiała się w zamku i znikła bez uprzedzenia, podobnie jak najlepszy przyjaciel Matthew, Hamish. Nawet Baldwin się czasem pokazywał.

Ysabeau w całym swoim długim życiu nie spodziewała się, że będzie miała tak wielki dwór.



- Gdzie Sara? - zapytał Marcus, rozglądając się. - Nie słyszę jej.  
- Jest w Okrągłej Wieży. - Ysabeau odcięła ostrym paznokciem brzegi artykułu i delikatnie wyjęła wycinek z gazety. - Przez jakiś czas siedziały z nią Sophie i Margàret. Sophie twierdzi, że Sara czuwa.

- Czemu? Co się tym razem stało? - zapytał Marcus, łapiąc gazetę.

Przeczytał je wszystkie tego ranka, śledząc subtelne zmiany w finansach i strefach wpływów, które Nathaniel wychwytywał i analizował, by lepiej orientować się w działaniach Kongregacji. Świat bez Phoebe był niewyobrażalny, ale Nathaniel stał się prawie równie niezbędny.

- Ten cholerny teleskop na pewno napyta nam biedy. Kongregacja potrzebuje tylko przemieszczającej się w czasie czarownicy i tej historii, a uzyska wszystko, by przenieść się w przeszłość i znaleźć tam mojego ojca.

- Twój ojciec już niedługo tam zabawi, jeśli w ogóle jeszcze tam jest.

- Doprawdy, *grand-mère* - zirytował się Marcus, wciąż wpatrzony w tekst wokół dziury, jaką pozostawiła w „Timesie” Ysabeau. - Skąd możesz to wiedzieć?

- Pierwsze były miniatury, potem zapiski z laboratorium, a teraz teleskop. Znam moją synową. Ten teleskop to właśnie coś takiego, co mogłaby zrobić Diana, gdyby nie miała już nic do stracenia. - Ysabeau minęła swojego wnuka. - Diana i Matthew wracają do domu.

Z twarzy Marcusa nie dało się nic wyczytać.

- Sądziłam, że bardziej się ucieszysz z powrotu ojca - powiedziała cicho Ysabeau, zatrzymując się w drzwiach.

- To były trudne miesiące - mruknął ponuro Marcus. - Kongregacja wyraziła się jasno, że chce księżę i córkę Nathaniela. A gdy Diana wróci...

- Nic ich nie powstrzyma - Ysabeau odetchnęła głęboko. - Przynajmniej przestaniemy się martwić, że coś im się stanie w przeszłości. Będziemy razem, w Sept-Tours, walcząc ramię w ramię.

Umierając ramię w ramię.

- Tyle się zmieniło od zeszłego listopada. - Marcus wpatrzył się w lśniąca powierzchnię biurka, jakby był czarownikiem i mógł odczytywać z niego przyszłość.

- Przypuszczam, że podobnie było w ich życiu. Ale miłość twojego ojca do ciebie jest niezmienna. Sara potrzebuje teraz Diany. A ty Matthew.

Ysabeau wzięła wycinek i ruszyła do Okrągłej Wieży, pozostawiając Marcusa zatopionego w myślach. Kiedyś było to ulubione więzienie Philippe'a. Teraz trzymano tu stare papiery rodzinne. Chociaż drzwi do pokoju na trzecim piętrze były otwarte, Ysabeau zapukała.

- Nie musisz pukać. To twój dom. - Chrypka w głosie Sary mówiła, jak wiele wypaliła papierosów i ile wypła whiskey.

- Jeśli tak się zachowujesz u siebie, to cieszę się, że nie jestem twoim gościem - odparła ostro Ysabeau.

- Moim gościem? - Sara zaśmiała się cicho. - Nigdy bym cię nie wpuściła do domu.

- Wampiry zwykle nie potrzebują zaproszenia. - Ysabeau i Sara do perfekcji doprowadziły złośliwe przekomarzenia.

Marcus i Em bez skutku próbowali przekonać je, by zachowywały się wobec siebie uprzejmie, ale obie głowy rodów wiedziały, że te ostre wymiany zdań pomagają utrzymać kruchą równowagę sił.

- Nie powinnaś tu siedzieć, Saro.

- Czemu nie? Boisz się, że przeziębisz się i umrę? -W głosie Sary nagle zabrzmiął ból; zgięła się wpół, jakby ktoś ją uderzył. - Bogini, dopomóż... tak mi jej brakuje. Powiedz, że to sen, Ysabeau. Powiedz, że Emily wciąż żyje.

- To nie sen - powiedziała najłagodniej, jak umiała, Ysabeau. -  
Wszyscy za nią tęsknimy. Wiem, że czujesz ból i pustkę, Saro.

- I że to minie - wyszeptała Sara.

- Nie. Nie minie.

Sara uniosła głowę, zaskoczona stanowczością Ysabeau.

- Każdego dnia tęsknię za Philippe'em. Słońce wstaje, a moje serce woła do niego. Czekam w napięciu na jego głos, ale jest tylko cisza. Łaknę jego dotyku. Gdy słońce zachodzi, kładę się ze świadomością, że mojego ukochanego nie ma już na tym świecie i nigdy nie ujrzę jego twarzy.

- Jeśli chcesz mnie pocieszyć, to marnie ci idzie - powiedziała Sara przez łzy.

- Emily zginęła, by dziecko Sophie i Nathaniela mogło żyć. Ci, którzy przyłożyli rękę do jej śmierci, zapłacą za to, przysięgam. De Clermontowie doskonale wiedzą, co to zemsta, Saro.

- A czy zemsta sprawi, że poczuję się lepiej? - zapłakana Sara spojrzała na nią.

- Nie. Ale uczestnictwo w tym, jak Margaret dorasta, owszem. A także to. - Ysabeau położyła wycinek na kolanach czarownicy. - Diana i Matthew wracają do domu.

CZĘŚĆ IV

NOWY ŚWIAT, STARY ŚWIAT

## ROZDZIAŁ 21

Moje próby dotarcia z przeszłości do Old Lodge przyszłości spełzły na niczym. Skupiłam się na wyglądzie i zapachu tego miejsca i ujrzałam wątki, które łączyły mnie i Matthew z domem - brązowe, zielone i złote. Ale wciąż wyślizgiwały mi się z rąk.

Spróbowałam więc dosięgnąć Sept-Tours. Wątki, które wiązały nas z zamkiem, mieszały się z charakterystyczną dla Matthew czerwienią i czernią z dodatkiem srebra. Wyobraziłam sobie dom pełen znajomych twarzy - Sary i Em, Ysabeau i Marthe, Marcusa i Miriam, Sophie i Nathaniela. Ale nie mogłam dotrzeć nawet do tej bezpiecznej przystani.

Starając się ignorować narastającą panikę, zaczęłam przeglądać setki innych możliwych celów. Oksford? Stacja metra Blackfriars we współczesnym Londynie? Katedra Świętego Pawła?

Moje palce wciąż trafiały na ten sam wątek w osnowie czasu, który nie był wcale gładki i jedwabisty, ale twardy i szorstki. Przesunęłam po nim palcami i stwierdziłam, że to nie wątek, ale korzeń połączony z jakimś niewidzialnym drzewem. Potknęłam się, zupełnie jak o niewidoczny próg, i wylądowałam w przedpokoju w domu Bishopów.

Dom! Upadłam na ręce i kolana, przyciskając do podłogi powiązane sznureczki. Setki lat polerowania i kroków moich przodków dawno wygładziły te szerokie sosnowe deski.

Ich dotyk był taki znajomy, coś trwałego w tym zmiennym świecie. Uniosłam głowę, spodziewając się, że ujrzę ciotki czekające w salonie. Droga do Madison była tak prosta, że uznałam, iż musiały nas prowadzić. Ale powietrze w domu Bishopów było nieruchome i bez życia, zupełnie jakby od Halloween nikt go nie zmącił. Wyglądało na to, że nawet duchów tu nie ma.

Matthew klęczał obok, wciąż mnie obejmując, a jego mięśnie drżały pod wpływem stresu spowodowanego podróżą w czasie.

- Jesteśmy sami? - zapytałam. Pociągnął nosem.

- Tak.

Na te słowa dom obudził się, a atmosfera nagle ze spokojnej i bez wyrazu zamieniła się w gęstą i burzliwą. Matthew spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Twoje włosy. Znow są inne.

Spojrzałam w dół i stwierdziłam, że rudoblond loki, do których się już przyzwyczaiałam, zamieniły się w proste, jedwabiste pasma o złocistym odcieniu, zupełnie jak czupryna mojej matki.

- To pewnie ta wędrownica w czasie tak działa.

Dom jęknął i zazgrzytał. Poczułam, jak zbiera energię, by wybuchnąć.

- To tylko ja i Matthew. - Moje słowa uspokajały, ale miały dziwny akcent.

Mimo to dom mnie rozpoznał i odetchnął z ulgą. Przez komin wpadł wiatr, niosąc ze sobą nieznaną mi zapach rumianku zmieszanego z cynamonem. Popatrzyłam w stronę kominka i leżących wokół niego połamanych desek, i wstałam.

- Co u licha?

Spod paleniska wyrastało drzewo. Czarny pień wypełniał komin, a gałęzie przebiły się przez kamień i drewnianą okładzinę.

- Zupełnie jak drzewo z alembiku Mary. - Matthew ukucnął przy palenisku w swoich czarnych aksamitnych pludrach i wyszywanej płóciennej koszuli. Dotknął grudki srebra wrosniętej w korę. Jego głos też brzmiał jak nie z tej epoki.

- To wygląda jak twój znak pielgrzyma. - Z trudem rozpoznałam obrys trumny Łazarza.

Podeszłam do niego, a moje czarne suknie sunęły po podłodze.

- I chyba nim jest. W ampułce były dwa złocone otwory na wodę święconą. Przed wyjazdem z Oksfordu napełniłem jeden twoją krwią, a drugi moją. - Matthew spojrzał mi w oczy. - Z twoją krwią przy sobie czułem, że nigdy nie zostaniemy rozdzieleni.

- Prawdopodobnie ampułka musiała rozgrzać się i częściowo stopić. Jeśli wewnątrz było złocone, to oprócz krwi mogło wypłynąć trochę rtęci.

- A więc to drzewo powstało z tych samych składników, co *arbor Diana* Mary. - Matthew spojrzał na łyse gałęzie.

Zapach rumianku i cynamonu stał się bardziej intensywny. Drzewo zaczęło kwitnąć, ale nie pojawiły się kwiaty czy owoce, lecz klucz i pojedyncza karta welinu.

- To strona z manuskryptu - zawołał Matthew, ściągając ją z drzewa.

- To znaczy, że książka w XXI wieku wciąż jest wybrakowana. Nie zdołaliśmy temu zapobiec - odetchnęłam głęboko, by się uspokoić.

- W takim razie istnieje duże prawdopodobieństwo, że księga wciąż jest bezpiecznie ukryta w Bibliotece Bodlejańskiej - stwierdził Matthew. - A to klucz do samochodu.

Zdjął go z gałęzi. Od tyłu miesiące nie myślałam o innej formie transportu niż koń albo statek. Wyjrzałam za okno, ale nie było tam żadnego samochodu. Matthew podążył za moim wzrokiem.

- Marcus i Hamish na pewno dopilnowali, byśmy mogli się dostać do Sept-Tours bez dzwonięcia do nich z prośbą o pomoc. Prawdopodobnie na wszelki wypadek rozmieścili samochody w całej Europie i Stanach. Ale raczej nie na widoku - stwierdził.

- Tu nie ma garażu.

- Jest stodoła. - Matthew odruchowo chciał wsunąć kluczyk do kieszeni spodni, ale jego pludry nie miały tak nowoczesnych udogodnień.

- Myślisz, że zostawili dla nas jakieś ubrania? - Wskazałam mój wyszywany stanik i grube spódnice. Wciąż był na nich kurz z niebrukowanych, szesnastowiecznych dróg Oksfordu.

- Sprawdźmy. - Matthew zaniósł klucz i stronę z manuskryptu do kuchni.

- Wciąż brązowa - zauważyłam, patrząc na kraciastą tapetę i starodawną lodówkę.

- Wciąż dom - zawtórował mi Matthew, przytulając mnie.

- Nie, bo bez Em i Sary.

- W porównaniu z tyloma ludźmi, którzy otaczali nas przez ostatnie miesiące, nasza współczesna rodzina zdawała się wątpa i niezbyt liczna. Tu nie było Mary Sidney, by omówić moje problemy podczas burzliwego wieczora. A Susanna i Mateczka Alsop nie wpadną na czarkę wina i nie pomogą mi w opanowaniu najnowszego czaru. Nie będzie wesołej Annie, która pomagała mi wyplątać się z gorsetów i sukien, ani Henry'ego Percy'ego, by bez wahania przybył nam na ratunek, nie zadając żadnych pytań. Objęłam Matthew w pasie, pragnąc poczuć jego niezniszczalność.

- Zawsze będziesz za nimi tęsknić - powiedział cicho, wyczuwając mój nastrój. - Ale z czasem ból osłabnie.

- Zaczynam się czuć jak wampir, nie czarownica - stwierdziłam smutno. - Zbyt wiele pożegnań, zbyt wielu utraconych bliskich.



Zauważyłam kalendarz na ścianie. Wciąż z listopadową datą. Wskazałam go Matthew.

- Czy to możliwe, że nie było tu nikogo od zeszłego roku? - zapytałam zaniepokojona. - Coś musi być nie tak - sięgnęłam po telefon.

- Nie - powstrzymał mnie Matthew. - Kongregacja pewnie ma podsłuch na telefonie i obserwuje dom. Oczekują nas w Sept-Tours. Bez względu na to, czy nie było nas godzinę, czy rok, to właśnie tam musimy się udać.

Znaleźliśmy nasze współczesne ubrania na suszarce, wsunięte w powłoczkę poduszki, by się nie zakurzyły. Obok stała teczka Matthew. Przynajmniej Em musiała tu być po naszym wyjeździe. Nikt inny nie pomyślałby o takich praktycznych kwestiach. Owinęłam nasze elżbietańskie ubrania w poszewkę, nie chcąc tracić tych namacalnych dowodów naszego wcześniejszego życia, i wsunęłam je pod pachę, niczym nieforemną piłkę.

Matthew włożył stronę z *Ashmole 782* do teczki i zamknął ją starannie.

Nim wyszliśmy z domu, przyjrzał się uważnie sadowi i okolicznym polom, wypatrując niebezpieczeństw. Ja także się rozejrzałam po okolicy moim okiem czarownicy, ale wyglądało na to, że nikogo tu nie ma. Widziałam wodę pod sadem, słyszałam sowy na drzewach, czułam słodycz lata w wieczornym powietrzu, ale nic ponadto.

- Chodź. - Matthew złapał tobolek i wziął mnie za rękę. Przebiegliśmy do stodoły. Matthew naparł na drzwi, ale ani drgnęły.

- Sara rzuciła na nie czar. - Widziałam go, jak okręcał się wokół klamki i wnikał we włókna drewna. -1 to dobry.

- Zbyt dobry, by go złamać? - Matthew zacisnął z niepokojem usta.

Nie dziwiło mnie to, że się martwił. Ostatnim razem, gdy tu byliśmy, nie potrafiłam nawet rozpaść świeczek

w dyniach na Halloween. Znalazłam luźne końce wątków i uśmiechnęłam się szeroko.

- Żadnych węzłów. Sara jest skuteczna, ale nie jest prządką. - Wcześniej wsunęłam moje ełżbietańskie sznureczki za gumkę legginsów. Gdy je teraz wyciągnęłam, zielony i brązowy sznurek z moich rąk sięgnęły do czarnej Sary i połączyły się z nią, znosząc blokadę, którą nałożyła na drzwi moja ciotka, szybciej nawet, niż zrobiłby to nasz mistrz złodziei, Jack.

W środku stała Honda Sary.

- Jak ty się w to zmieścisz?

- Dam radę - odparł Matthew, wrzucając nasze ubrania na tylne siedzenie.

Podał mi teczkę i wsunął się za kierownicę, a po kilku próbach odpalił silnik.

- Gdzie teraz? - zapytałam, zapinając pas.

- Syracuse. A potem Montreal. No i Amsterdam, gdzie mam dom.

- Matthew wrzucił bieg; samochód cicho wytoczył się ze stodoły. - Jeśli ktoś będzie nas szukał, to w Nowym Jorku, Londynie i Paryżu.

- Nie mamy paszportów - zauważyłam.

- Zajrzyj pod wycieraczkę. Marcus na pewno powiedział Sarze, żeby je tam schowała.

Odsunęłam brudną wycieraczkę i znalazłam pod nią mój amerykański paszport i francuski Matthew.

- Czemu twój nie jest bordowy? - zapytałam, wyciągając je z zamkniętej foliowej torebki: kolejne dzieło Em.

- Bo to paszport dyplomatyczny. - Wyjechał na drogę i włączył światła. - Powinien być też dla ciebie.

W mój amerykański paszport był wsunięty francuski paszport dyplomatyczny na nazwisko Diana de Clermont, uwzględniający moje małżeństwo z Matthew. Jak Marcus zdołał skopiować moje zdjęcie, nie niszcząc oryginału, pozostawało tajemnicą.

- Teraz też jesteś szpiegiem? - szepnęłam.

- Nie. To jak z przenoszeniem się w przestrzeni - uśmiechnął się. - Kolejna zaleta związana z byciem de Clermontem.

Opuściłam Syracuse jako Diana Bishop, a następnego ranka przybyłam do Europy jako Diana de Clermont. Dom Matthew w Amsterdamie okazał się siedemnastowiecznym pałacykiem przy najpiękniejszym odcinku kanału Herengracht. Matthew wyjaśnił, że kupił go zaraz po opuszczeniu Szkocji w 1605 roku.

Zostaliśmy tam tylko tyle czasu, ile potrzeba na prysznic i przebranie się. Nie zdjęłam legginsów, które miałam na sobie od wyjazdu z Madison, i włożyłam jedną z koszul Matthew. A on znów przywdział swoje tradycyjne szarości i czernie z kaszmiru i wełny, mimo że według gazet był już koniec czerwca. Dziwnie było nie widzieć jego nóg. Przyzwyczyłam się do tego, że były na widoku.

- Wydaje mi się, że to sprawiedliwa zamiana - stwierdził Matthew. - Ja twoich nóg nie widziałem od dawna, jeśli nie liczyć czasu spędzanego w sypialni.

Matthew omal nie dostał zawału, gdy zobaczył, że w podziemnym garażu nie ma jego ukochanego rangę rovera, lecz stoi w nim granatowy sportowy wóz z miękkim dachem.

- Zabiję go - zagroził Matthew, gdy ujrzał ten pojazd z niskim zawieszeniem. Użył klucza do domu, by otworzyć metalową skrzynkę na ścianie. W środku był kolejny klucz i liścik: „Witaj w domu. Nikt się nie będzie spodziewał, że mógłbyś wsiąść do takiego samochodu. Jest bezpieczny. I szybki. Cześć, Diano. M.”

- Co to? - zapytałam, patrząc na umieszczone w chromowanej desce rozdzielczej zegary jak z kokpitu samolotu.

- To spyker spyder. Marcus kolekcjonuje samochody mające pajęczaki w nazwie. - Matthew uruchomił drzwi

samochoodu, a te uniosły się niczym skrzydła myśliwca. Zaklął. - To najbardziej rzucający się w oczy samochód, jaki można sobie wyobrazić.

Dotarliśmy nim tylko do Belgii, po czym Matthew podjechał do dilerów samochodowych, oddał mu kluczyki do samochodu Marcusa i odjechał czymś znacznie większym i mniej fikuśnym. Francuską granicę przekroczyliśmy w bezpiecznym, ciężkim wozie i kilka godzin później zaczęliśmy powoli wspinać się przez góry Owernii do Sept-Tours.

Co jakiś czas między drzewami widziałam fragmenty zamku - szaroróżowy kamień, ciemne okno wieży. Nie mogłam się powstrzymać, by nie porównać obecnego zamku i miasteczka obok z tymi, jakie widziałam w 1590 roku. Tym razem nad Saint-Lucien nie unosił się dym. Odległy dźwięk dzwonek sprawił, że obróciłam głowę, spodziewając się ujrzeć, jak potomkowie kóz, które znałam, wracają na wieczorny posiłek. Ale tym razem Pierre nie wybiegnie nam na spotkanie z pochodnią w dłoni. Nie ma już Kucharza w kuchni, tasakiem obcinającego głowy bażantom, by odpowiednio przygotować posiłek dla ciepłokrwistych i wampirów.

I nie było też Philippe'a ani jego wybuchów śmiechu, trafnych spostrzeżeń o wadach człowieka zaczerpniętych z Eurypidesa, ani pomocy w rozwiązywaniu problemów, jakie czekały nas po powrocie do współczesności. Ile czasu zajmie mi odzwyczajenie się od wsłuchiwania się w ciszę w oczekiwaniu na hałas, jaki zawsze zwiastował nadejście Philippe'a? Serce ścisnęło mi się w piersi na myśl o moim teściu. Ten rozświetlony, zapędzony współczesny świat był zbyt szybki dla takich bohaterów jak on.

- Myślisz o moim ojcu - wyszeptał Matthew. Nasze ciche rytuały - wampirzego picia krwi i czarowniczego pocałunku - sprawiły, że łatwiej odgadywaliśmy swoje myśli.

- Ty także - zauważyłam.

Myślał o nim, od kiedy przekroczyliśmy francuską granicę.

- Od jego śmierci zamek wydawał mi się pusty. Zapewniał schronienie, ale nie dodawał otuchy. - Matthew spojrzął na budowlę, a potem znów skupił się na drodze przed nami. Powietrze było ciężkie od odpowiedzialności, a syn musiał sprostać oczekiwaniom swojego ojca.

- Może tym razem będzie inaczej. Są tam Sara i Em. I Marcus. Nie mówiąc o Sophie i Nathanielu. Philippe też wciąż tu jest, jeśli tylko zdołamy skupić się na jego obecności, a nie jej braku.

Przetrwa w cieniu każdego pokoju, w każdym kamieniu w ścianie. Zapatrzyłam się na piękne, surowe rysy mojego męża, rozumiejąc teraz lepiej, jak doświadczenie i ból je ukształtowały. Jedną ręką objęłam brzuch, a drugą wyciągnęłam do niego, by dać mu pocieszenie, którego tak bardzo potrzebował.

Ujął moją dłoń i uścisnął. A gdy ją puścił, przez dłuższy czas nie mówiliśmy. Zaczęłam nerwowo postukiwać palcami o udo, a kilka razy miałam nawet ochotę otworzyć szyberdach i podlecieć do drzwi zamku.

- Nawet o tym nie myśl. - Szeroki uśmiech złagodził groźną nutę w głosie Matthew.

Odwzajemniłam się tym samym, gdy zjeżdżaliśmy po ostrym łuku.

- To się pospiesz - zawołałam, ledwo nad sobą panując. Mimo moich nalegań prędkościomierz wciąż wskazywał tę samą liczbę. Jęknęłam zniecierpliwiona.

- Trzeba było jechać dalej samochodem Marcusa.

- Cierpliwości. Już prawie dotarliśmy do celu.

I nie ma mowy, żebym choć odrobinę przyspieszył, pomyślał Matthew, znów spowalniając.

- Co to Sophie mówiła o tym, jak prowadził Nathaniel, gdy była w ciąży? „Prowadzi niczym staruszka”.

- To teraz wyobraź sobie, jak prowadziłby Nathaniel, gdyby rzeczywiście był staruszką, mającą setki lat, jak ja. I tak będę prowadził zawsze, gdy będziesz ze mną w samochodzie. - Ujął moją dłoń i ucałował ją.

- Obie ręce na kierownicy, staruszko! - zażartowałam, gdy pokonaliśmy ostatni zakręt i wyjechaliśmy na prostą drogę obsadzoną orzechami, prowadzącą na dziedziniec zamku.

Pospiesz się, poprosiłam cicho, wpatrując się w dach wieży Matthew. Spojrzałam na niego zaskoczona, gdy samochód zaczął zwalniać.

- Czekały na nas - wyjaśnił, wskazując przednią szybę. Na środku drogi stały Sophie, Ysabeau i Sara. Demon, wampir, czarownica - i był jeszcze ktoś. Ysabeau trzymała na rękach dziecko. Widziałam gęstą

brązową czuprynę i pulchne, długie nóżki. Dziecko jedną ręką ścisnęło miodowy pukiel włosów wampirzycy, a drugą wyciągało władczo ku nam. Gdy spojrzało na mnie, poczułam charakterystyczne mrowienie. Dziecko Sophie i Nathaniela było czarownicą, zgodnie z przepowiednią.

Odpięłam pas i wyskoczyłam z samochodu, nim Matthew zdążył go zatrzymać. Łzy płynęły mi po policzkach, gdy Sara podbiegła do mnie i objęła w znajomym uścisku, otaczając mnie zapachem cynamonu i wanilii.

Dom, pomyślałam.

- Tak się cieszę, że wróciłaś bezpiecznie - zawołała rozemocjonowana.

Nad ramieniem Sary obserwowałam, jak Sophie bierze ostrożnie dziecko od Ysabeau. Twarz matki Matthew była równie nieprzenikniona i piękna, jak zawsze, ale ściągnięte usta świadczyły o tym, jak silne miotają ją uczucia, gdy oddawała dziecko. Dokładnie tak samo zachowywał się czasem Matthew. Byli do siebie zdecydowanie bardziej podobni, niż wydawałoby się to możliwe, biorąc pod uwagę sposób, w jaki Matthew przyszedł na świat.

Wyswobodziłam się z objęć Sary i odwróciłam do Ysabeau.

- Nie byłam pewna, czy wrócić. Tak długo was nie było. A potem Margaret zażądała, aby zabrać ją na drogę, i wtedy zaczęłam wierzyć, że może jednak wrócić bezpiecznie. -Ysabeau przyglądała mi się, jakby szukała jakieś informacji, której jeszcze jej nie zdradziłam.

- Wróciliśmy. I zostajemy.

Dość już straciła w swoim długim życiu. Pocałowałam ją delikatnie w policzek, a potem w drugi.

- *Bien* - wyszeptała z ulgą. - Wszyscy się cieszymy, że jesteście, nie tylko Margaret.

Gdy dziecko usłyszało swoje imię, zaczęło wołać „d-d--d-d-d”, machać rączkami i nóżkami, próbując się do mnie wyrwać.

- Mądra dziewczynka - pochwaliła Ysabeau, poklepując po głowie Margaret, a potem Sophie.

- Chciałabyś potrzymać swoją córkę chrzestną? - zapytała Sophie.

Uśmiechała się szeroko, ale w oczach miała łzy. Wyglądała zupełnie jak Su sanna.

- Chętnie - odparłam, biorąc dziecko na ręce w zamian za ucałowanie Sophie.

- Witaj, Margaret - szepnęłam, oddychając jej dziecięcym zapachem.

- D-d-d-d - Margaret złapała mnie za włosy i zaczęła nimi oplatać swoją piąstkę.

- Ależ z ciebie psotnica - roześmiałam się. Wbiła mi stopy w żebra i chrząknęła w proteście.

- Jest równie uparta jak jej ojciec, mimo że urodziła się pod znakiem Ryb - oświadczyła pogodnie Sophie. - Sara zastąpiła cię na ceremonii. Była też Agatha. Nie ma jej teraz, ale pewnie niedługo znów się pojawi. Razem z Marthą zrobiły specjalne ciasto ozdobione pasmami lukru. Niesamowite.

A Margaret miała piękną sukienkę. Brzmisz inaczej, jakbyś spędziła mnóstwo czasu zagranicą. I podobają mi się twoje włosy. Też się zmieniły. Jesteś głodna? - Sophie wyrzuciła to wszystko z siebie z prędkością karabinu maszynowego, zupełnie jak Tom czy Jack. Nawet tutaj, w rodzinie, brakowało mi moich przyjaciół.

Pocałowałam Margaret w czoło i oddałam dziecko matce. Matthew wciąż tkwił w otwartych drzwiach rangę rovera, tylko jedną nogą na ziemi Owernii, jakby niepewny, czy powinien tu być.

- Gdzie Em? - zapytałam.

Sara wymieniła z Ysabeau spojrzenia.

- Wszyscy czekają na was w zamku. Może się przejdziemy? - zaproponowała Ysabeau. - Zostawcie samochód. Ktoś się nim zajmie. Na pewno chcielibyście rozprostować nogi.

Objęłam Sarę i ruszyłam przed siebie. Gdzie się podział Matthew? Odwróciłam się i wyciągnęłam do niego rękę. Chodź do swojej rodziny, powiedziałam w myślach, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Chodź do ludzi, którzy cię kochają.

Uśmiechnął się, a mnie serce aż podskoczyło.

Ysabeau syknęła zaskoczona.

- Bicie serc. Twojego. I... jeszcze dwóch? - Spojrzenie jej pięknych zielonych oczu spoczęło na moim brzuchu, a w kąci jednego z nich pojawiła się mała czerwona kropka. Ysabeau spojrzała z zachwytem na Matthew. Skinął głową, a krwawa łza spłynęła jego matce po policzku.

- W mojej rodzinie często rodziły się bliźniaki - wyjaśniłam.

Matthew dopiero w Amsterdamie odkrył, że biją we mnie dwa małe serduszka, tuż przed tym, jak wsiedliśmy do spydera Marcusa.

- W mojej też - wyszeptała Ysabeau. - A więc to, co w swoich snach ujrziała Sophie, to prawda? Spodziewasz się dziecka... dziecka Matthew?



- Dzieci - odparłam, patrząc, jak krwawa łza powoli spływa jej po policzku.

- A więc to nowy początek - stwierdziła Sara, także ocierając łzę. Ysabeau uśmiechnęła się słodko-gorzko do mojej ciotki.

- Philippe miał ulubione powiedzenie o początkach. Coś starożytnego. Co to było, Matthew? - zapytała syna Ysabeau.

Matthew w końcu wysiadł z samochodu, zupełnie jakby krępował go jakiś czar i dopiero teraz zostały spełnione wszystkie warunki, by go uwolnić. Podszedł do mnie, pocałował w policzek swoją matkę, po czym wziął mnie za rękę.

- *Omni fine initium novum* - powiedział, rozglądając się po posiadłości swojego ojca, jakby wreszcie przybył do domu. - W każdym końcu kryje się nowy początek.

## ROZDZIAŁ 22

### **30 maja 1593**

Annie zaniósła figurkę Diany ojcu Hubbardowi, tak jak nakazał jej pan Marlowe. Serce jej się ścisnęło, gdy ujrzała ją w rękach wampierza. Malutka figurka zawsze przypominała jej Dianę Roydon. Nawet teraz, prawie dwa lata po nagłym odjeździe jej pani, Annie wciąż za nią tęskniła.

- I nie powiedział nic więcej? - zapytał Hubbard, oglądając z uwagą figurkę. Strzała łowczyni zalśniła w świetle i zdawało się, że zaraz polecą.

- Nic, ojczu. Nakazał mi ją panu przynieść, nim wyruszył dziś rano do Deptford. Pan Marlowe zapewnił, że będzie pan wiedział, co należy zrobić.

Hubbard zauważył wsunięty do malutkiego kołczanu kawałek papieru, zwinięty obok strzał bogini.

- Podaj mi szpilkę, Annie.

Annie, zaskoczona, wyciągnęła ze stanika sukienki szpilkę. Hubbard wbił czubek w papier i ostrożnie wyciągnął zwitek.

Przeczytał tekst, zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Biedny Christopher. Zawsze był jedną z zagubionych duszyczek Pana.

- Pan Marlowe nie wróci? - Annie omal nie westchnęła z ulgą.

Nigdy nie lubiła pisarza, a po wydarzeniach na dziedzińcu pałacu w Greenwich jeszcze stracił w jej oczach. Gdy jej pani i pan wyjechali, nie pozostawiając żadnych informacji co do tego, gdzie ich szukać, Marlowe stał się melancholijny, potem pogrążył się w rozpacz i czymś jeszcze mroczniejszym. Czasami Annie miała wrażenie, że ten mrok go pochłonie, i uważała, żeby i jej się to nie przytrafiło.

- Nie, Annie. Bóg mi mówi, że pan Marlowe przeszedł już do innego świata. Módlmy się, by znalazł tam spokoju, którego nie miał w tym życiu. - Hubbard popatrzył na dziewczynę. Wyrosła na piękną młodą kobietę. Może zdoła wyleczyć Willa Szekspira z jego miłości do żony tamtego mężczyzny. - Ale nie martw się. Pani Roydon prosiła, bym traktował cię jak własne dziecko. A ja dbam o moje pociechy i będziesz miała nowego pana.

- Kogo, ojczy? - Musiała być posłuszna Hubbardowi.

Pani Roydon jasno jej powiedziała, ile potrzebuje pieniędzy, by zostać niezależną szwaczką w Islington. Aby łączyć taką sumę, musiała długo oszczędzać.

- Pana Szekspira. Teraz, kiedy umiesz czytać i pisać, jesteś wiele warta, Annie. Możesz mu pomóc w pracy. - Hubbard spojrział na kawałek papieru, który ścisnął. Kusiło go, by zachować go wraz z tą paczką, która przybyła z Pragi, wysłana przez sieć przewoźników i kupców stworzoną przez holenderskie wampiry. Hubbard wciąż nie bardzo wiedział, czemu Edward Kelley przysłał mu dziwną ilustrację ze smokami. Edward był mroczną i ponurą istotą, a Hubbard nie pochwalał jego kodeksu moralnego, w którym cudzołóstwo i kradzież nie były uznawane za zło.

W tym wypadku pobranie krwi w rytuale rodziny i ofiary było obowiązkiem, a nie przyjemnością, jak zwykle. W zamian Hubbard tak dobrze poznał duszę Kelleya, że nie chciał go w Londynie. Wysłał go więc do Mortlake. Dzięki temu Dee przestał go zameczać prośbami o lekcje magii.

Ale Marlowe chciał, by ta figurka trafiła do Annie, a Hubbard nie zamierzał odmówić życzeniu umierającego. Podał Annie figurkę i kawałek papieru.

- Daj to swojej ciotce, pani Norman. Niech to dla ciebie przechowa. A ta kartka może być jeszcze jedną pamiątką po panu Marlowie.

- Tak, ojciec Hubbardzie - zgodziła się Annie, chociaż miała ochotę sprzedać srebrną figurkę i zachować zdobyte pieniądze.

Wyszła z kościoła, w którym sprawował posługę Andrew Hubbard, i ruszyła w stronę domu nowego pracodawcy. Will Szekspir nie miał tak zmiennych nastrojów jak Marlowe, a pani Roydon zawsze mówiła o nim z szacunkiem, chociaż przyjaciele pana lubili sobie z niego żartować.

Szybko zadomowiła się u pisarza i z każdym dniem miała lepszy humor. Wieści o makabrycznej śmierci Marlowe'a, które do nich dotarły, tylko potwierdziły, jak szczęśliwie się złożyło, że się od niego uwolniła. Pan Szekspir też był wstrząśnięty i tej nocy za wiele wypił, co zwróciło na niego uwagę mistrza sztuk, ale wyjaśnił, dlaczego to zrobił, i życie wróciło do normy.

Annie myła okno, by zapewnić swojemu pracodawcy więcej światła do czytania. Akurat moczyła szmatkę w wodzie, gdy z jej kieszeni wysunął się zwitek papieru i porwał go przeciąg.

- Co to jest, Annie? - zapytał podejrzliwie Szekspir, wskazując go końcem pióra.

Dziewczyna pracowała wcześniej dla Kita Marlowe'a. Mogła przekazywać informacje jego przeciwnikom. Nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś dowiedział się o jego najnowszym zleceniu. Ciężko było się utrzymać w czasie, gdy wszystkie teatry były zamknięte z powodu zarazy. Sztuka *Venus i Adonis* mogła mu zapewnić byt, o ile nikt nie skradnie mu tego pomysłu.

- Nic t.. .takiego... proszę pana - wyjąkała Annie, schylając się, by podnieść papiera.

- Skoro nic takiego, to mi to przynieś - zażądał. Szekspir rozpoznał pismo, gdy tylko wziął karteczkę do

ręki. Włoski na karku zjeżyły mu się. To była wiadomość od nieboszczyka.

- Kiedy Marlowe ci to dał? - odezwał się ostro.

- Nie dał, proszę pana. - Jak zawsze Annie nie potrafiła skłamać. Niewiele miała innych cech czarownicy, ale szczerości pod dostatkiem. - To było ukryte. Ojciec Hubbard znalazł i mi dał. Na pamiątkę, jak powiedział.

- Znalazł to po śmierci Marlowe'a? - Szekspir był teraz podekscytowany.

- Tak - wyszeptała Annie.

- W takim razie przechowam to dla ciebie. Dla bezpieczeństwa.

- Oczywiście. - Annie z niepokojem zmarszczyła brwi, widząc, jak ostatnie słowa Christophera Marlowe'a znikają w zaciśniętej pięści jej nowego pana.

- Zajmij się swoimi sprawami, Annie. - Szekspir zaczekał, aż jego służąca poszła po wodę, po czym przeczytał treść:

*Czarne jest znamię straconej miłości Barwa demonów I Cień Nocy*

Westchnął. Nigdy nie mógł zrozumieć wyboru metrum Kita. A jego melancholijne poczucie humoru i makabryczne zainteresowania były zbyt mroczne jak na te smutne czasy. Sprawiały, że publiczność czuła się nieswojo, dość już było śmierci w Londynie. Zaczął kręcić piórem.

„Znamię straconej miłości”. Jasne, prychnął. Miał już dość prawdziwej miłości, choć klienci, którzy mu płacili, zdawali się nigdy nią nie nudzić. Skreślił słowa i zastąpił je czymś, co bardziej pasowało do jego odczuć.

„Demony”. Wciąż bolał go sukces *Fausta* Kita. Szekspir nie umiał pisać o stworzeniach nadnaturalnych. Dużo lepiej szło mu pisanie o zwykłych, niedoskonałych śmiertelnikach w szponach losu. Czasami myślał, że mógłby stworzyć jakąś niezłą historię o duchu. Może skrzywdzony ojciec, który nawiedza syna. Szekspir zadrzał. Jego własny ojciec byłby przerażającym widmem, gdyby Pan zmęczył się jego towarzystwem, po tym, jak John Szekspir poukłada już wszystkie swoje sprawy. Wykreślił słowo i zastąpił je innym.

„Cień Nocy”. To było marne, przewidywalne zakończenie strofy, takie, które wymyśliłby George Chapman. Ale co by bardziej pasowało? Skreślił kolejne słowo i napisał nad nim: „Grymas”. „Grymas nocy”. To też nie brzmiało dobrze. Wykreślił i wpisał „grom”. Jeszcze gorzej.

Szekspir zaczął się zastanawiać nad losem Marlowe'a i jego przyjaciół. Wszyscy byli teraz tak odlegli jak cień. Henry Percy korzystał z rzadkiego okresu królewskiej dobroci i był wciąż na dworze. Raleigh ożenił się w tajemnicy i stracił przychylną władczyni. Został teraz zesłany do Dorset, a królowa liczyła, że zostanie tam zapomniany. Harriot gdzieś się zasztył i pewnie rozwiązywał jakieś

matematyczne zagadki albo wpatrywał się w gwiazdy niczym szurnięty Robin Koleżka. Plotka głosiła, że Chapman był w Niderlandach z jakąś misją zleconą przez Cecila i pisał długie poematy o czarownicach. A Marlowe'a zamordowano niedawno w Deptford, mówiło się, że było to zabójstwo na zlecenie. Może ten dziwny Walińczyk wiedziałby coś więcej na ten temat, skoro był wtedy z Marlowe'em. Roydon - jedyny naprawdę potężny człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkał Szekspir - i jego tajemnicza żona zniknęli latem 1591 roku i od tej pory nikt ich nie widział.

Jedynym człowiekiem z kręgu Marlowe'a, z którym wciąż regularnie spotykał się Szekspir, był potężny Szkot o imieniu Gallowglass, który cenił się znacznie wyżej, niż powinien sługa, i opowiadał cudowne historie o wrózkach i elfach. To dzięki zleceniom od Gallowglassa Szekspir wciąż miał dach nad głową. Gallowglass zdawał się ciągle mieć jakieś zadania, które wymagały fałszerskich zdolności Szekspira. I płacił dobrze, zwłaszcza gdy chciał, aby Szekspir podrobił styl pisma Roydona na marginesie jakiejś książki albo stworzył list z jego podpisem.

Co za banda, pomyślał Szekspir. Zdrajcy, ateści i kryminaliści, całe to stado. Zawahał się chwilę. Dopisał jeszcze jedno słowo, tym razem stanowczym ruchem pióra, usiadł wygodniej i przyjrzał się nowym wersom:

*Czarne jest znamię piekła Barwa łochów i Szkoła Nocy*

Teraz nie wyglądało to już na słowa Marlowe'a. Dzięki alchemii swojego talentu Szekspir przetworzył pomysły nieboszczyka w coś odpowiedniego dla przeciętnego lon-dyńczyka, a nie dla ludzi tak niebezpiecznych jak Roydon.

I zajęło mu to ledwie kilka chwil.

Szekspir nie czuł ani odrobiny żalu, gdy zmieniał przeszłość, by odmienić przyszłość. Czas Marlowe'a w teatrze

świata się skończył, ale czas Szekspira dopiero się zaczynał. Pamięć była krótka, a historia niezycziwa. Tak to już jest na tym łoż padole.

Zadowolony wsunął kartkę w stosik papierów na brzegu biurka, przygniecionych psią czaszką. Pewnego dnia znajdzie miejsce na te kilka wersów. A potem zaczął się zastanawiać.

Może zbyt szybko odrzucił „Znamię straconej miłości”. Był w tym potencjał jeszcze nie wykorzystany, czekał, aż ktoś go odkryje. Szekspir sięgnął po skrawek, który odciął z częściowo zapisanej karty papieru, w ramach próby wprowadzenia oszczędności po tym, jak Annie pokazała mu ostatni rachunek od rzeźnika.

„Stracone Zachody Miłości”, zanotował dużymi literami.

Tak, pomyślał, na pewno kiedyś mi się to przyda.